Wrzesień — 1856.

O WYKOPALISKACH LEŻAJSKICH

RZECZ ARCHEOLOGICZNA.

III.

Wchodźimy teraz jakby na wielki ukraiński step, na obszerne pole historyi Staro-Słowiańskich wieków, A jak na ukraińskim stepie po owych odwiecznych mogiłach kierować się trzeba, tak i nam na tem błędnym obszarze mają być drogoskazem wykopaliska nasze, podobne tym, co w tamtych zagrzebane spoczywają mogiłach.

Trudne to wszakże zadanie, a tem niewdzięczniejsze, że wywodząc li same wnioski, pewności ostatecznéj wyrzec nie jest w stanie.

Historya ostatniemi czasy zdobyła obszerne nieznane przedtem sobie źródła. Jednem z takich źródeł jest właśnie Archeologia. Mętne ono dotąd jest w prawdzie, i czystą krynicą nie spływa jeszcze do owego strumie-

---

Patrz zeszyt lipcowy i sierpniowy.

nia historyi, którem ma się krzepić i orzeźwiać strudzona ludzkość. Jednakże już i teraz pierwsze pragnienie głębszych dochodzeń, spokoić może. Skoro zaś Archeologia z prostéj nauki postąpi na wyższy umiejętności stopień, obrobi sama siebie krytycznie, w tenczas z pewnością nieocenione usługi odda historyi. Przyszłość okaże, jak długo na to, zwłaszcza u nas czekać będziemy.

Znaleziska Archeologiczne w wiekowych grobowiskach, powinny służyć za punkt oparcia dla historyi, za miejsca nad któremi bliżej zastanawiać się winna, za wskazówki śladów, którędy i jakie znaczą się dzieje. Takie pojęcie rzeczy i nas naprowadza na pewne domysły i ślady, miejsc i wykopalisk Leżajskich, które sprawdzić na karcie historyi tutaj wypadnie.

W ocenieniu wykopalisk Leżajskich następne w nich wybitne zauważaliśmy charaktery: *Celtycki* w przedmiotach krzemiennych; *Rzymski* i *Słowiański z wpływem Rzymskim*, w pieniążkach i innych przedmiotach; *Słowiański z wpływem greckim*, w naczyniach glinianych i innych rzeczach.

W skutek tego należy nam iść ślad w ślad z historyą w ręku, po tych obszarach ziemi gdzie teraz Leżajsk, i dopatrywać się bacznie czyli tam w istocie zachodzily takie dziejowe wypadki coby te piętna w tych stronach usprawiedliwiać mogły. Następnie z tejże saméj zasady, i na podstawie znalezionych przedmiotów, należy rozważyć, czyli historya miejsca te na swych kartach stanowczo zaznaczyła, lub czyli dawne ludy właścicieli teraźniejszych znalezisk, nie zapisała przypadkowo w innych obcych im stronach.

W pierwszym razie historya dopełniłaby i potwierdziła nasze domysły. W drugim, nasze wykopaliska posłużyćby mogły do rozjaśnienia, niepewnych miejsc w historyi.

W tych poszukiwaniach historycznych trzymać się będziemy niemal dosłownie Lelewela [1]) i Szafarzyka [2]) jako tych, których prace najwięcéj u nas znane, są przerobem wielu uprzednich źródeł, a którzy nadewszystko dotychczas, są słusznie największą powagą na bujnéj niwie Staro-Słowiańskiéj.

Celtyckie rzeczy jako najstarsze przychodzą nam najpierw pod rękę.

„Dzieje Celtów jakkolwiek wiele o nich pisano, nie są przecież jeszcze dostatecznie wyprowadzone ze ćmy niepewności na światło niepodejrzanéj prawdy, a imie ich również jak imie Scytów i Sarmatów stało się w wielu względach igraszką bystrych badaczów. Nie mniejsza niepewność panuje i we względzie języka celtyckiego; albowiem aż do dziś toczy się spór między uczonymi o to, czyli on należy do rzędu języków indo-europejskiego, czyli raczéj do Siewierskiego, albo znać od obydwóch się różni i osobną klassę stanowi.“ (Sz. I, § 17. 1.) [3]) „Imie Celtów pochodzi od Greków. Rzymianie idąc w ich ślady, pisali Celtae, zwyczajniéj przecież Galli. Dopiero w III stól. pr. Chrys., zwłaszcza w czasie wpadu Celtów do Grecyi, weszło w obyczaj u Greków imie Galatae, zamiast *Κελται*. Podobna jest do wiary, że Celtowie nazywali sami siebie Gaili, Gâli, tak jak jeszcze dziś potomkowie ich w Irlandyi i Szkocyi, z którego to słowa poszło zapewnie greckie, Celtae, Galatae.“ (Sz. I, § 17, 2). „Właściwi Celtowie w najdawniejszéj

---

[1]) Narody na ziemiach Słowiańskich przed powstaniem Polski. — Poznań 1853.

[2]) Słowiańskie Starożytności tłum. Dr. H. N. Bońkowski. Poznań 1842.

[3]) Dla uniknienia częstego powtarzania całych nazwisk, odnosząc się do autorów z których rzecz czerpiemy, przyjmiemy w dalszym ciągu skrócenia: Sz. (Szafarzyk) L. (Lelewel).

dobie dziejowéj zajmowali Gallią i przyległe jéj krainy na zachód i wschód, i znaczna część półwyspu Pirenejskiego w ich była dzierżeniu. W długiem przeciągu czasu wspomnieni Celtowie czyli Gallowie tak się rozmnożyli, a postępując co raz daléj i daléj granice swoich dzierżaw tak rozszerzyli, że osady ich z jednéj strony dotykały aż do morza Adryatyckiego a przez Illyryk do góry Haemus (Bałkan) zwanéj, z drugiéj zaś strony przez rzekę Odrę i Wisłę i śniegiem okryte góry Bastarnickie aż do ujścia Dniestru sięgały.“ (Sz. I, § II, 8).

Rozpatrzywszy tak w ogólnych zarysach owe Celtyckie ludy — i jak z swoich zachodnich siedzib rozlały się potem ku wschodowi, wypada znowu odszukać czas kiedy się to działo, bliżéj zarazem oznaczając miejscowość i okolice, które w tem nowem osiedlaniu we wschodnich Europy stronach, przez nich zalane zostały.

Nieco późniéj po pierwszéj wyprawie Celtów pod Brennusem do Rzymu, i złupieniu samego miasta oprócz Kapitolium, Celtowie zapuścili powtórne swoje zagony na wschód około r. 350 - 336 pr. Chr. Jedni z nich rzucili się na Panonią, a „po wieloletnich srogich bojach, Słowian tamecznych częścią pobili, częścią ku Tatrom, i daléj za Tatry wyparli, a osadziwszy się sami pod imieniem Skordysków w krainie nad Sawą, Drawą i Dryną“ aż do Azyi dotarli. Druga znów Celtycka nawała z północnych więcéj stron, przed upływem trzeciego wieku pr. Chr. posuwała się daléj a daléj na wschód, już to podbijając pod siebie, już pędząc po przód usuwające się przed niemi domowe narody Windickie i ich zajmując miejsca. „Takowym sposobem dostali się Celty Olmbronowie i Kotonowie do źródeł Wisły i za rzekę Odrę. Anortowie zaś Teuryskowie, Bastarnowie i Peucynowie aż daleko za góry Tatry, do okolic rzeki Prutu, Dniestru i Bugu. Tym sposobem Celtowie spotkali się z Windami czyli Słowianami, nad Dunajem Pannoń-

skim i przed Chorwackiemi Tatrami, a dzieje dawnych Gallów są w ścisłem nierozłączonym związku z historyą Starożytnych Słowian.“ (Sz. I. § 17, 14).

Z tych to pokrewnych gałęzi Celtyckiego szczepu, Bastarnowie i Peucynowie są najprawdopodobniéj temi, którzy na tych lesistych równinach Sanowego ujścia, zostawili swe celtyckie z tamtych czasów zabytki [4]). „Podług Pliniusa i Tacyta zdaje się: iż siedliska Bastarnów i Peucynów sięgały daleko na północ i wschód przez rzekę Dniestr, zapewne aż ku Bugowi, co wszakże wielce jest niepewnym.“ A Ptolomeus liczy Bastarnów wraz z Peucynami między wielkiemi narodami w Sarmacyi Europejskiéj, siedliska ich mieniąc w górach Tatrzańskich między górną Tyssą a Dniestrem. Kiedy zaś i zkąd Bastarnowie i inni Celtowie przywędrowali do tych Windyckich i Getyckich krajów, nie można zupełnie dokładnie podać; a jednakże domyślać się godzi że się to stało przynajmniéj na końcu IIIgo wieku pr. Chr. i że ta ich wędrówka *szła od lasów hercyńskich stroną północną Tatrów.* Były więc narody Windyckie ze dwóch stron przez narody Celtyckie ścigane, i daléj ku północy pędzone, przez Skardysków z Panonii i Illyryi między 350-336 pr. Chr., i znów przez Bojów, Ombronów, Kotynów, Bastarnów i innych z okolicy Wisły i Dniestru prawie około r. 300-200 pr. Chr. (Sz. I, § 17, 10, 8).

Lelewel opowiadając koleje i boje Gallo-Celtów mówi o Bastarnach „którzy o Karpaty opierali się“ że ci stali się więcéj głośnemi od innych swych współplemieńców, i że dłużéj jak jakikolwiek naród Gallski byt swój prze-

---

[4]) Jest dotąd w téj okolicy pomiędzy Leżajskiem a Jarosławiem wieś *Pełkinie* w pobliżu Sanu, z cerkwią parafialną. Nazwisko to osady, blisko bardzo przypomina ów naród Peucynów, i na możebność pochodzenia swego od owych czasów nawodzi.

ciągnęli. Szerząc zaś na różne strony podboje opanowali ujścia Dunajowego wyspę Peukę, od któréj nazwę Peukinów dostali. Będąc zaś jednego ze Skordyskami Celtyckiego pochodzenia, temże samem co i Skordyskowie mówili językiem to jest po Gallsku." (L. VI. 351). Świadectwa wprawdzie Pliniusa, Tacyta i Ptolomeusa spisane o Bastarnach w tych stronach, są za zwięzłe i za nadto ogółowo mówią tylko o ich siedliskach „nad Dniestrem, Bugiem i w górach Karpackich między górną Cissą i Dniestrem," ażeby można zupełne i dobitne wyciągnąć z nich wnioski, o pobycie tychże Bastarnów w okolicach dzisiejszego Leżajska. Wszakże: *posuwanie* się ich od lasów Nercyńskich *północną stroną Karpat ku Dniestrowi* na *te również okolice mogło także wypadać*, w których między dwoma wodami (Wisłą i Sanem) i lasami, które im bezpieczeństwo stanowiska i potrzeb dla koczujących ludów, wygodnie dostarczając, przez dłuższe nawet w nich czasy prawdopodobnie zatrzymywać się mogli.

Sięgając w czasy i wypadki tak nam odległe, niepodobno jest wymagać zbyt szczegółowych świadectw, któreby nam każdą okolicę wskazując, zaznaczały z teraźniejszą dokładnością wszystkie miejscowości. Odległość miejsc i rzek jednych od drugich, nie były dość jasno w pojęciach Starożytnych pisarzy, jak również mieszali oni nazwiska miejsc i krajów odległych między sobą, jedne za drugie często przywodząc. Dla tego, w każdem z takich jak ten przeglądzie, niepodobna jest wspierając się na zródłach: oznaczyć z owych czasów pewne punkta na karcie. „Trzeba mieć wyobrażenia ówczesnych pisarzy, mówi słusznie Lelewel (VII, 1, 2), żeby dosyć ocenić ich wyrażenia." „Elba np. podług Strabona była mocno na Dacyą naciśnięta tak, że Swewów siedliska wydawały się blisko Bastarnów, a tym sposobem Germania blizko była zetkniona z Sarmackie-

mi stepami; tym sposobem Getowie zamknięci się zdawali przez Swewów Bastarnów i Jazygów stepowych, chociaż część gór (Karpackich, tatrzańskich) zajmowali (i za temi górami siedzieli) tym czasem między Swewami nad Elbą a Bastarnami nad Prutem, rzeczywiście przedział wielki; niezmierny.“

Dla ostatecznego streszczenia tego wywodu powołując się raz jeszcze na świadectwa: Pliniusza, Tacyta, Ptolomeusza co do siedzib Bastarnów na ziemiach Słowiańskich i szlaku ich pochodu od lasów hercyńskich ku Dniestrowi północną stroną Karpat, i porównywając to wszystko z naszemi Celtyckiemi wykopaliskami, podobnemi do znalezisk w Szwajcaryi, w siedliskach Bojów Celtyckich i przychodzi wniosek wyciągnąć: — że owi Bastarni w swojem przechodzie przy końcu IIIgo wieku pr. Chr. jeden ze stalszych i dłuższych pobytów, mieć mogli we widłach Sanu i Wisły, w okolicach Leżajska. Jedno zaś z większych miejsc obrzędów religijnych i pogrzebowych w miejscu teraźniejszego wykopaliska w Leżajsku, skoro tamże napotykamy tyle Celtyckich zabytków.

Na tem to dowodzie wykopalisk wspierając się, a znacząc siedziby ludów Celtyckich na ziemiach Słowiańskich, jednę z takich siedzib!, to jest Bastarnów możnaby posunąć, daléj jeszcze od Bugu aż ku Sanowi w okolicę Leżajska, i zmazać ową wątpliwość Szafarzyka, o ich siedliskach nawet u *Bugu.*

Odnosząc znowu wzajemnie zabytki Celtyckie wynajdywane w tych stronach, do zapisanych a powołanych uprzednio śladów historycznych: wędrówek Celtów od lasów Nercyńskich ku Dniestrowi, i biorąc rzeczy okrągło z uwzględnieniem wolnego pochodu i rozsiedlania się — to pleśń XVIII wieków lub niewielu mniéj, okrywa te krzemienne zabytki Leżajskie, które to odgrzebane po tylu wiekach, służą teraz w rękach badaczy

jako dowód bytności w tych stronach ludów, którym służyły w swoim czasie jako broń do ujarzmienia lub też wyparcia spokojnych miejscowych Słowian.

Zaznaczywszy wiek i przyczyny znalezienia się w wykopaliskach Leżajskich rzeczy Celtyckich — przejrzymy w następstwie przedmioty, rzymskie piętno na sobie noszące. Z właściwych rzymskich, mamy wprawdzie dwa tylko pieniążki Vespaziana i Severa, bo co się tyczy pół-pierścienia i zapin (fibul) to mimo tego iż przyznajemy im rzymski charakter i pochodzenie, nie idzie zatém, abyśmy je za czysto rzymskie wyroby podawać mieli. Mogły one rzeczywiście ztamtąd pochodzić, lecz mogły być wyrabiane i w kraju, zwłaszcza zapiny, zawsze jednak pod wpływem rzymskiego naśladownictwa— mody, że tak po dzisiejszemu wyrazić się przyjdzie. Naturalna to bowiem jest rzeczy kolej, że mieszkańcy tutejsi Słowianie jako niżsi cywilizacyą od Rzymian, wszedłszy z niemi w bliższe poznanie i stósunki, przejmować musieli różne od nich zwyczaje i rzymskiemu ulegać wpływowi. To co tu mówimy o rzymskiém naśladownictwie i wpływie, rozciągamy zawczasu i do tego, co daléj przyjdzie nam zastósować i do wpływu greckiego.

Stosunki handlowe Rzymian z za-Karpackiemi Słowianami, wiemy: że istniały od dawnych bardzo czasów. Przedmiotem handlu na Pomorzu Pruskiém, tak wiele poszukiwanym u starożytnych, był ów sławiony bursztyn. Późniéj, w bliższych za-karpackich krainach szukano futer i zboża. Handel ów prowadził przez te kraje trzema znanemi drogami, które zaznaczył i wyjaśnił o ile się dało dokładnie Szafarzyk (I. § 8. 1.). Na podstawie atoli samych stósunków handlowych — mimo

iż na nich tylko opiera Szafarzyk (I. § 22. 7.) swoje domysły co do znajdowanych u nas rzymskich pieniędzy — a w najlepszym razie: i na wytknięciu jednéj z tych trzech dróg Szafarzykowych na Leżajsk, osunęlibyśmy się tylko grubą mgłą domysłów, bez podstawienia za punkt oparcia historycznych wypadków, które jedne tylko bliżéj do prawdy przysunąć mogą.

Nie koniecznie jednakże drogą tylko handlową, owe pieniążki mogły się dostać w strony Leżajska, mogły je inne jeszcze zanieść wypadki, zwłaszcza wojenne. Wszak długo zbrojną ręką Słowianie ścierali się z Rzymem.

Znane są wojny Geto-Daków z Rzymianami. Znane zwycięztwa Decebala nad Domicyanem, który wkroczywszy do Dacyi (R. 86 po Chr.) od Decebala pobity, musiał mu opłacać haracz pieniężny (L. VII. 13). Wszystkie Geto-Dackie ludy posiłkowały się wzajem w tych wojnach, bo świetna gwiazda Decebala pociągała je ku wspólnemu ciemięzcy owych wieków — ku staréj Romie. Trajan dopiero otrząsł się z przewagi Daków, daninę opłacać poprzestał. Zmógłszy zaś Dackiego Decebala obległ go w własnéj stolicy Zarmigetusie [Sargecyi] [5]) (pomiędzy 104—106) — pokonał, a los Dacyi roztrzygnął się — ugięła głowę pod jarzmo rzymskie.

[5]) Sarmigethus — teraz nędzna wioska *Varhely* po wołosku *Gredistie* — leży w Siedmiogrodzie (Broser Kreis — Hatzeger Bezirk). Po wzięciu téj stolicy przez Rymian zwała się Ulpia Trajana Augusta Dacica. Wiele tam dotąd rymskich wynajduje się starożytności jak kolumn, mozajk i t. p. r. — Zobacz w téj rzeczy szacowne pismo „Mittheilungen der k. k. Centralcomission zur Erforschung und Erhaltung der Baudenkmale itd. Nr. 5 i 6.—Artykuł bardzo interesujący korespondenta c. k. centralnéj komissyi z Hamersdorfu M. J. Ackuer'a. *Vàr* w języku madziarskim znaczy *zamek*—gród, — *hely* znów, zowie się *miejsce—locus*. Razem więc wyraz składany Vàrhely znaczy miejsce grodu — grodzisko — co przez wołoską nazwę *Gredistie* doskonale się tłumaczy i rozumie.

Wtedy to „ludność postanowiła kraj opuścić, swą wolność, swą narodowość unieść“. Znaczna zatém część Daków uchodząc srogiéj niewoli ustępowała w strony nieprzystępne Rzymianom, w strony górzyste; a ruszając za Karpaty i aż za Dniestr, szukała u za-karpackich swych pobratymców spokojnego przytułku. (Bielowski— Wst. do Dz. Pol. k. 432—L. VII. 13.).

Obraz téj dziwnéj najstarszéj emigracyi ludów Słowiańskich — całego niemal narodu ustępującego dobrowolnie przed zwycięzcami, przechował się dotąd w Rzymie, wykuty na wspaniałéj kolumnie Trajana, jako smutne wspomnienie nieszczęsnych już i wtedy dla Słowian czasów.

Te atoli przywiedzione dzieje odnoszą się dotąd do nad-Dunajskiéj Dacyi i południowych stron Karpat, do Słowian których Grecy Getami, Dakami przezwali Rzymianie. Z dobrowolną dopiero Daków w strony północne wędrówką, przenoszą się wraz z niemi za Karpaty, i odtąd już jednym słowiańskim płyną potokiem. Trzeba zatém wraz z południowemi Dakami przesuwając się po za Karpaty, tu dla bliższego zbadania rzeczy rozpatrzyć się w pokrewnych Gecko-Wendeńskich plemionach, walczących tylokrotnie z Rzymianami (Sz. I. § 8. 9.). Trzeba poszukać w dziejach jakiego poza-karpackiego narodu rozłożonego w swoich siedzibach ku widłom Sanu, albo przytykającego nie zbyt odlegle do okolicy Leżajska, któryby w następnych czasach wiódł naczelnie ludy Słowiańskie, lub wraz z niemi postępował na boje z Rzymianami, a przez nie zawięzywał się w stosunki rzymskie. Takim narodem mogli być *Karpowie*, lub prawdopodobniéj inny jeszcze mniéj znany im pokrewno-sąsiedni szczep: *Saboki.*

„Nazwisko Karpów czy Karpianów naprzemian, powtarza całe pasmo gór, w Karpatach ich pobyt okoliczny poświadczając (L. VI. 55.)— a w dalszych wiekach

pomiędzy Dakami i Getami mocno ono znaczącém się staje“ (L. VII. 9.).

Ptolomeusz między narodami północnéj Europy wymieniając Karpianów, kładzie ich pobyt między Bastarnów i Peucynów — gdzie zaś przebywali ci Bastarni i Peucyni, już wiemy. Według tego zatém: siedziby Karpianów przypadają *na* środkowe stoki Karpat, a zapewne i przypierające do nich płaszczyzny.

Dzisiejsi starożytnicy Słowiańscy mieszczą ich w zachodniéj Galicyi, a Katenesich (Geogr. epigr. II. 287.) posuwa ich aż ku Bystrzycy, rzece wpadającéj do Seretu. Mogli oni i tak daleko się rozciągać, nie rozminiemy się jednakże z prawdą, dopatrując w siedliskach Karpów pewną ku wschodowi ruchomość. Bo gdy ztamtąd najbliżsi ich sąsiedzi Peucynowie posuwali się coraz to daléj, to Karpowie mogli aż tak daleko zajmować opuszczone przez nich siedliska. Karpowie ci jak to poświadcza Szafarzyk (I. § 10. 9.) był to naród Słowiański i ten sam, który cesarz Konstanty Porfirogenita mówiąc o późniejszém zdobyciu Solina (449) mieni Chorbatami.

Chrobatowie znowu w Vtym już wieku po Chrystusie zajmowali znaczną część wschodniéj, a zapewne i kawałek zachodniéj dzisiejszéj Galicyi; a ponieważ niema w dziejach dowodu żeby późniéj, lub kiedyby tamże przybyli; więc i Karpów zachodnią granicę wypadnie tak daleko posunąć, jak daleko na zachodzie napotykamy Chrobatów.

Z tego przecież zupełnie nie wypływa, abyśmy chcąc się utrzymać przy swojém zdaniu, siedlisko Karpów sprowadzać chcieli koniecznie aż we widły Sanowe w okolicę Leżajska. W rozpołożeniach owoczesnych zastósowanych teraz na karcie, poprzestać trzeba na ogólnym tylko zarysie, bo z powodów nie dość wyraźnego oznaczenia starych pisarzów „wskazane granice krain,

nie były granicami ścisłemi narodów“ (L. VII. 14.). Że atoli wiemy dokładnie iż: „Getowie byli głównym narodem co na północ Istru i okolice Karpat zamieszkiwali — a ród Dako—Gecki z dawna już za Karpatami i około Wisły przebywał“ (L. VII. 14.), to jeżeli sami już właściwi Karpowie nie rozciągali się aż w te strony, mieszkając jednak w bliskości nich, sąsiadowali z jednoplemiennemi sobie, tu osiadłemi ludami słowiańskiemi. Właśnie też Szafarzyk kładzie nawet według Ptolomeusza w tych stronach bo nad Sanem, naród mniejszy i mało znany Saboków. Saboci — Sabokoi (Σαβόκοι); mieniąc, że nazwa ta z dwóch jest wyrazów złożona: *Sa* (zamiast San) i *boki* — jak: Naliboki, Wisłoboki i podobne. Słówko więc: *bok* znacząc tyle co brzeg (ripa) w złączeniu z *Sa* (San) nadawało wtedy nazwę Żupie czyli ziemi nad Sanem — którą cudzoziemcy obrócili na lud tego nazwiska (Sz. I. § 10. 9.).

Jakąkolwiek mogły jednak mieć nazwę te ludy — Saboki lub inaczéj; to jako Dacko-Getcko-Wendeńskiego pochodzenia a raczéj właściwie Słowianie na równiach Sanowych rozsiadli, przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi Rzymianom, do wspólnéj sprawy, do przełamania rzymskiéj potęgi, lub też odparcia rzymskiego miecza, według rodzinnego obyczaju — i jako najbliżsi sąsiedztwa Karpów łączyć się razem z niemi musiały i jedne koleje bojów przebywać, a wspólne doznając korzyści lub straty — do jednéj wraz odnosić się historyi; — jako zaś naród podrzędny, mniejszy, pod ogólną nazwę Karpów podchodzić.

Mówiąc o zabytkach Celtyckich, położyliśmy także w tych samych miejscach posady Bastarnów. Nic to jedno drugiemu nie sprzeciwia się wcale. Nie zaznaczaliśmy wtedy stałych, lecz przechodnie tylko lub czasowe stanowiska Bastarnów, w pochodzie ich daléj na wschód ku Dniestrowi i ujściom Dunaju, gdzie zajęli

wyspę Peuke. Owe téż Celtyckie ludy w swojéj na domowe plemiona „napaści nie wytępiali mieszkańców, ale siedlili się między niemi — a żadna z tych nowych osad nie została czysto Celtycką — nie spędzali ludzi, a wikłali się w krainy, gdzie mieszkańcy byli osiedleni rolnicy — musieli zatém zwolnieć swe wymagania i spokojniejszą gościnę między Getami pozyskać“ (L. VI. 36. 38.). Według więc zdania historyka naszego, gdyby Bastarni i przydłużéj zatrzymali się w tych stronach, zmieszać się i zespolić, zlać nawet w jednolitość było dość czasu, bo od epoki w któréj widzieliśmy przesuwających się północną stroną Karpat Bastarnów, aż do téj do któréj teraz przychodzimy, upłynęły cztery wieki i z górą.

Zwróćmy się jednak bliżéj na dzieje Karpów o których nam idzie właściwie, a którzy nieraz dali się poznać Rzymianom. Około r. 180—192, roczną oni od Rzymian wymogli *daninę pieniężną*, a od r. 237 często aż ku brzegom Dunaju robili napady, tak, iż na jednym rzymskim napisie czytamy: „G. Valerius a Carpis liberatus“ (Sz. I. § 10. 9.). Od roku dopiero 248 Karpowie przestają być straszni Rzymianom, pobił ich wtedy bowiem cesarz Filip Arab i Maximin — a następnie cesarz Aurelian przemógłszy ich potęgę, znaczną część do Panonii przesiedlił, czego wreszcie Dyoklecyan dokonał r. 295. (Sz. I. § 0. 9. L. VII. 17).

Przywodząc tutaj na jaw ostateczne boje Karpów z Rzymianami, nie sądzimy bynajmniéj, aby je sami właściwi Karpowie staczać tylko mieli. Nie przysądzamy im tak wielkiéj potęgi, aby o własnych siłach szarpali się na tak przeważnego nieprzyjaciela. Chociaż zaś dzieje zapisują na téj karcie wojennéj same tylko Karpów nazwiska, to pod tém powszechném mianem rozumieć w ogóle wypada wszystkich Słowian, co od północy, od gór Karpackich, ku południowi stępując, urągali potędze rzymskiéj. A jak dawniéj Berebistas, jak znowu

Decebal prowadził zwycięzkie zastępy Daków przeciwko legionom Rzymu, a imie jego stało się hasłem pod którém gromadziły się wszystkie plemiona Dako-Getów — tak późniéj snać naród Karpów wcielił w siebie myśl oswobodzenia plemion Słowiańskich, walczenia z ujarzmicielem starego świata, przodował innym na polach bitew. Południowi Dakowie osłabieni niepomyślnemi walkami i ustąpieniem po za Karpaty, nie występowali już samoistnie jak pierwéj do wojen z Rzymem — ale zagrzewani, wspierani a nawet parci przez zagórskich współbraci, co jeszcze chcieli w staréj południowéj odetchnąć ojczyznie, w ich hufcach tylko walczyli, pod ich imieniem nawet zbierali się. Widzimy też w tych czasach coraz więcéj wysuwających się transmontanów — zagórskich Dako-Venedów (L. VII. 15), między któremi najpotężniejszy naród Karpów, użycza wszystkim ogólnéj nazwy. „Występywali zaś Karpowie do boju z Sarmacyi z za Karpatów. Bądź tedy był to pod własném imieniem Karpów naród, bądź Daków, którzy Karpaty zamieszkiwali, to jest pewna, że dzieje o krajowcach miejscowych nie zapomniały“ (L. VII. 17). Pod ogólną więc nazwą Karpów, występują różne przed- i za-karpackie plemiona Słowian z Rzymianami walczące.

Rzućmy teraz okiem na oba pieniążki rzymskie [6]) z wykopalisk Leżajskich, i porównajmy daty z wskazanymi tu wypadkami. Pierwszy z nich bity za Vespaziana, drugi za Severa. Vespazian panował od r. 69 do 79. Za jego rządów nie było wojen ze Słowianami. Jeżeli zatém ów pieniądz nie drogą handlową — co jest wątpliwe — wśliznął się wtenczas do Słowian za-karpa-

---

[6]) W odgadywaniu czasu znalezionych pieniędzy, przyjmujemy używaną w numizmatyce zasadę: iż każdy prawie pieniądz mniéj więcéj w 150 lat od wybicia, wychodzić zwykł z obiegu jako wartość zamienna — pieniężna; a staje się nadal przedmiotem tylko rzadkości — numizmatem.

ckich; przybyć mógł dopiero po śmierci Vespaziana. Wiemy że Trajan w r. 106 zawojował Dacyą, a niedobitki przeszły aż za Karpaty. Podniósł zaś wojnę dla tego przeciwko Dakom, że Decebal na Domicyanie (panującym od r. 81—96) wymógł daninę, którą państwo rzymskie po jego śmierci opłacać musiało. Mógł więc ów pieniądz Vespaziana w daninie złożony Dakom, z ich wychodźcami po r. 106 — w nasze przybyć strony.

Drugi pieniążek bity jest za Severa. Severów jak wiadomo było dwóch. Septimus Severus (193—211) i Alexander Severus (222—235). Właśnie téż przed wstąpieniem na tron Severa Septima pomiędzy 180—192, znajomi nam Karpowie wymogli pieniężny haracz od Rzymian, a daninę tę mogli obydwa płacić Severowie, bo nie ma śladów aby się od niéj zwolnili. Może więc na tę daninę i ten Leżajski pieniądz się składał, a przybył z powracającemi w domowe za-karpackie strony Karpami lub Sabokami [7]). Aczkolwiek właściwy czas tych pieniędzy w dziwną się z wypadkami jedność układa, to jakąbądź w te strony dostały się one drogą — czyli tą którą jako możebną wskazaliśmy, lub inną nam nieznaną; to w połączeniu jednak z innemi przedmiotami rzymskiego pochodzenia, za przypadkowo tylko znachodzące się w wykopaliskach uważać ich nie można. Wszystko zaś, razem w związku z wypadkami zapisanemi przez historyą, wyprowadza na jaw stosunki tych stron mieszkańców ze Starą Romą, w czasach (192—306) których opowiedzieliśmy co dopiero zajścia dziejowe.

---

[7]) Z takich to zapewne samych przyczyn z pieniążków rzymskich wynajdywanych w Galicyi, najwięcéj znachodzi się takich samych a zwłaszcza Vespazianowskich.

Kiedy po ustaniu bojów słowiańskich z Rzymianami i upadku Państwa rzymskiego — po rozszczepieniu Słowiańszczyzny przez Madziarów, po najściu na ziemie Słowiańskie różnych ludów Czudzkich, Germańskich, Skandynawskich, Hunnów, Awarów i tym podobnych rozbójniczych włóczęgów, co Europę przeistoczyć a spółeczność jéj w inne kształty przyoblec mieli — kiedy po tylu okropnych przejściach i wstrząśnieniach zaczyna się trochę spokoić na obszarach północnego wschodu Europy; wtedy z pomroki opadających kurzaw bojowych coraz wyraźniéj i dobitniéj poczyna się wychylać Słowiańszczyzna. Wtedy to, na niwach Słowiańskich brzask światła rzucając coraz jaśniejsze promienie wywodzi na jaw zarysy społeczeństw ludów Słowiańskich. Narody porządkują się — do jakiegoś ładu wszystko przychodzi, a wiek IX i X dają już pewniejsze piśmienne odznaczenia ziem i podziałów Słowiańskich.

Niespracowany Lelewel w dziedzinie swych poszukiwań, przerzucił i rozpatrzył niemało źródeł piśmiennych coby mu rozjaśniać mogły światlejsze pojęcie o podziałach i posadach tych Słowiańskich narodów — w tém kształtowaniu się dziejowém. Toż samo uczynił i Szafarzyk. Pierwszy idąc w swoich Słowiańskich wywodach w ślady za dwoma z pomiędzy wielu historykami, za żydem Ben Gorionem i cesarzem Konstantym Porfirogenitą — mówi o Lenżanach (*Λενζανηνοι*) a mieniąc ich Łuczanami, naznacza im siedlisko około Styru z miastem Łuck. Szafarzyk w to samo zawikłanie i więcéj jeszcze, popada.

Okoliczność wykopalisk Leżajskich, w połączeniu z śladami w tych stronach przebywania Celtyckich Bastarnów — zamięszkiwania ich następnie przez Słowiańskich Karpów czy Saboków — a przy bliższém wniknięciu w słowa Porfirogenity i przyjrzeniu się opisywanym przez niego krajom, pozwala nam na pewne uwagi, sprowadzające

do posunięcia onych Lenzanów (*Λενζανηνοι*) bliżéj ku nam, w okolicę Leżajska.

Spojrzyjmy jak rzecz Lelewel prowadzi „Józef syn Goriona (יוסיפון) lingua judaica, i dzieło jego są zagadki. Sam zowie się kapłanem, wzięciu Jeruzalem współczesnym; walczył w jego obronie i króla swego Agrippy; znał Mikołaja z Damasku. Byłby więc współczesny Józefa Fławiana. Wymysł trudny do stwierdzenia według tych wzmianek. Dzieło jego wczesno między Arabami było znane, zwali go Jusufem Ben Gorion, przesławnym między mędrcami dziejopisarzem i naczelnikiem. Zdaje się że żył dziewiątego wieku.“

„Na wstępie jego dzieła znajduje się biblijny rozród, czyli obliczenie ludów Jafeckich Europy i północnych Wołgi okolic. Rękopisma całkowitych jego dziejów są bardzo niejednostajne, są też skrócenia; znajdują się z bardzo zupełną osnową a rozrodu w nich niema. Rozród tedy wydaje się ustępem doczepionym, tém bardziéj że wymienia zdarzenia późniejsze. Z tém wszystkiém ma znamiona wielkiéj dawności, widocznie to jest że musi być z jedenastego wieku najpóźniéj, a oblicza ludy z pewną ich znajomością. Okazuje się być świadomym tych ludów które nam są lepiéj znane; mniéj staje się pewnym, mniéj jasnym gdy wymienia ludy o których niemamy wiadomości dostatecznych. Niepewność ta niewątpliwie wynika nieraz ze skażenia w rękopismach imion, niemniéj atoli pewna że wspomina ludy których inne źródła nam niedostarczyły.“ (L. VIII. 5).

Ów tedy Józef Ben Gorion objaśniając rozejście się potomków Jafeta wedle języków i rodzajów — a mówiąc o rozrodzie Dodanim w dalszym ciągu wymienia od niego idących: „Karwatów (Kroatów), Salaki (Slawaki,) Letzfim (לצפים Letzchi;) Liwomim, Charchar (Chrabar, Chrobatów), Chezramin (Bajormin Baviere,) Bomin (Boe-

mia, Czechy). Jasno jest że siedm Dodanim ludów rozród poczytuje za Sławian.“ (L. VIII. 10).

Przechodząc następnie Lelewel w tłómaczenie i rozgraniczenie tych ludów, mówi daléj: „Co do Lecfim czy Lecchim, ci mogą się odnieść, albo do Luticów baltyckich pobrzeży, albo do Łuczan czeskich, albo do Łuczan wołyńskich, *albo do jakiego ludu podobnego nazwiska*. Wojenne sprawy uświetniły Luticów Veletabów; handel głośnymi czynił Lenczanów, Luticzanów, (*Λενδανηνοι*) Const. Porphir. de adm. imp. 9. 37; Nestor....) co mieszkali koło Styru sprzymierzeńców Kijowian, a sąsiadów Dregowiczów, Ultinów i Pieczyngów. Rzekami (Styr, Prypeć, Dniepr) odwiedzali targowiska Kijowa, a miasto ich Łuck *Λιουτζα* do dni naszych stoi. Sądzę że ci ostatni są Lecfim, Lecchi, jużto że bliżsi ludów południowych które josipinowy rozród więcéj zajmują; już to że izraelita musiał mieć więcéj handlową na oku, niż jakąkolwiek inną sławę.“ (Lelewel VIII. 10).

Nieznając żydowskiego języka Ben Goriona, ani też niemając dzieła jego w przekładzie całkowitem, ufamy w téj sprawie Lelewelowi i razem z nim zgadzamy się, że owi Lecfim czy Lecchi Ben Goriona, są jedném i tem samém ludem których cesarz Konstanty nazywa Lenżanami Lenzanenoi, Lenzaninoi (*Λενζανηνοὶ*), ale z uwag powyżéj wyłuszczonych nie zdaje nam się, ażeby ci Konstantego Lenzanenoi, mieli się koniecznie odnosić do okolic Łucka. Na czem zaś Lelewel swe twierdzenie opiera — przepatrzmy:

Na wyrażeniach Araba Masudego i listach Chazdaja.

Na wyrażeniach cesarza Konstantego Porphyrogenity.

Masudy opowiada; że najliczniejsi z pomiędzy Słowian zowią się Lużajet, Lużaja, Luzana, Loudzana, Ludhana. Że za handlem ciągną do Andalus, do Konstantynopola, do Chozarów; a Lelewel wsparty na li-

stach Chasdaja (epistolae Chasdai cartes et geogr. du moyen âge) wywodzi z tego że to są Łuczanie Łucka nad Styrem, którzy mieli obejście z Konstantynopolem przez Kijów (L. VIII. 32). „Łuck znajdował się na drodze stosunków zachodu ze wschodem północnym. — Listowna Chasdaja powieść ukazuje nam na to dostateczne ślady. Wiadomo że między byzanckiemi cesarzami a kalifami Korduby trwały znoszenia się. Chasdaj spodziewał się przeprawić swe gońce do Chozarów przez Byzant. Zaszłe pod ów czas zajścia sprawiły drogę niebezpieczną wiedział iż mógłby wziąść drogę na Jeruzalem ale inna odkrywała mu się droga.“ Tak mówi z listów Chasdaja o Łucku Lelewel (VIII. 11.) opowiadając o poselstwie Gebalim, którzy są Trzklab, i jak przeprawiło to poselstwo listy Chasdaja do króla Chozarów przez okolice Łucka.

Aczkolwiek w językach wschodnich wyczytania kopistów i wydawców bardzo są trudne do wyrozumienia, i łatwe do przekręcenia nazwisk, to ufając biegłości tłómaczeń Masudego i Chasdaja za któremi idzie Lelewel — nie spieramy się, iż co ci obydwa wschodni pisarze mówią — może się do jednych i tych samych odnosi krajów, Wszakże właśnie sądząc z następnych słów Lelewela iż; „ten król Tzklabów Gebalim (przez którego kraje przechodziło owe poselstwo) był sąsiadem Aszkenesa (Niemców) może król goralów. Jedno i drugie na jedno wychodzi, w owym królu naczelniku Chrobatów na podgórzu Karpatów; nawodzi na wielką czyli białą Chrobacyą“ (L. VIII. 11.) inną jeszcze jakąś bliżéj pod karpacką krainę — a nie same tylko okolice Łucka nad Styrem rozumiećby wypadło. Nie znając przecie języków wschodnich — ani mając pod ręką in extenso tłómaczeń Masudego i Chasdaja nie wdajemy się w dalsze tych źródeł rozbiory. — Lecz sa-

me słowa Lelewela o nich rzeczone zapisując, bierzemy je jako poparcie naszych dalszych wywodzeń.

W dziele Konstantego [8]) czyta się (*Cap. IX.*) „Sclavi (Σκλαβοι) autem ipsorum (Russorum) tributarii, Crivitacini (Κριβηταινηοι) dicti, et Lenzanini (Λενζανῆνοι) nec non ceteri Sclavini (Σκγαβίνοι) in montibus suis monoxyla, sive lintres, hiemis tempore caedunt, ipsosque in aptam formam concinnatos, postquam — sudo et sereno aëre soluta glacies est, in proximas paludes deducunt... Hiberna vero et aspera Russorum vivendi ratio haec est. Ineunte novembri mense, quam primum eorum principes cum universa Russorum gente egrediuntur Ciavo (ἀ' πὸ τὸν κιαβον).... Illic vero peracta tota hieme, rursum aprili mense soluta glacie Dunapris fluvii, Ciavum descendunt.“

Na tem dosłownie przywiedzionem opowiadaniu Konstantego cesarza, Lelewel niemając innéj pewniejszéj podstawy zaznaczył swych Lenżan około Łucka nad Styrem.

Nie dziwiemy się temu wcale, że nasz historyk nie wiedząc o tak starych pod Leżajskiem znaleziskach niezwrócił na te okolice swojéj uwagi i szukał gdzieindziéj siedlisk tych Lenżan, którzyby raczéj jednak podług słów Porphirogenity — w tych stronach zamieszkiwali.

Mówi on przecie „Słowianie opłacający się Rusinom zwani Krywiczanie i *Lenżanie* (Λενςανηνοι) i inni Słowianie, zimową porą na górach swoich ścinają drzewo i dłubią łudki (monoxyla), pod lato zaś, gdy śnieg stopnieje spuszczają je do bliskich jezior“ — ma się rozumieć po wezbranych wodach. Słowa te widocznie się stosują do mieszkańców podgórskich „którzy na górach

---

[8]) **Constantini Porphirogenetae De administrando Imperio. W. Anselmi Banduri Imperium Orientale sive Antiquitat. Constantinopolit. Paris. 1711. Tol. T. 1.**

swoich ścinają drzewo“ właściwiéj zatem odnieśćby ich można do jakiejś części Chrobatów pod Karpackich — którzy Sanem aż w okolicę Leżajska — najgłówniejszego punktu swojéj siedziby mogli spławiać drzewo, a w czasie roztopów wiosennych, wśród wodnistéj i podmokłéj okolicy daléj na Bełz i Sakal, przez górny Bug w poprzek, aż na Styr i Prypeć, a ztąd daléj Dnieprem ku Kijowu, dostawać się mogli. Nie wymienia wszakże Styru ani Prypeci Konstanty, lecz sam Dniepr, a Lelewel tylko dowolnie się ich sam domyśla. Mogła więc być i inna wodna droga od Sanu ku Dnieprowi — nam teraz nieznana przez opadnięcie i oschnięcie wód.

Na dowód że wodnistość kraju w odległych wiekach była zupełnie inną od teraźniejszéj — a siatka wodna inaczéj rysowała się niż teraz — posłuchajmy co opowiada gwoli temu w swojem wybornem dziele Szajnocha, [9]) choć już o dużo późniejszych latach przemawia niżli te, o których pisał Konstanty Porphirogenita: „Rzadkość zaludnienia — mówi on o przed Jagielońskich czasach — utrzymywała ziemię w stanie przyrody. Większa jéj część szumiała lasem, lub trzęsła się moczarami — topieliskiem.“ „Większa mokrzystość ziemi szła na równi z większą obfitością wód w rzekach.“ „To czyniło niegdyś prawie wszystkie rzeki spławnemi. Oprócz Wisły i Dniepru są w dawném prawodawstwie i Styr, Narew, Warta, Dunajec, Wisłoka, Bug, Zbrucz, Wieprz, Tyśmienica, *San*, Nida, Prosna rzekami *portowemi* [10]).

Niektóre z nich jak np. Wisła o tyle niegdyś głębsza zaczęła już bardzo wcześnie bo za czasów Jagiełły upadać i zasuwać się [11]) Inne tam „gdzie dziś czółno na

---

[9]) Jadwiga i Jagełło p. Karola Szajnochę—T. I. R. 1.

[10]) Volum. Legum. I. 151. —Bandtkie Jus. Polon. 254—Czacki o Prawach 1. 2. 31.

[11]) Jekel. Poln. Handelsgeschichte. 1. 70.

mieliżnie osiada, *ładowne komięgi i szkuty niosły*" [12]). Inne wreszcie zupełnie zniknęły n. p. rzeka i jezioro Czartorya" [13]) „Z wielu zjawisk możnaby wnieść że w ogóle prą wody w swojéj niespokojności razem z ludnością ku wschodowi". — (Siarczyński str. 131 mówi te słowa właśnie o Sanie). — „Najjawniejszym atoli skutkiem téj niesforności znachodzimy nadzwyczaj szerokie *wylewy*. Po dłuższych deszczach stawały całe krainy *pod wodami*. Na ów czas w poprzek gościńców, po niwach snuły się liczne łodzie jakoby po morzu." „Po tem morskiem zwierciadle wylewów każdorocznych, po tych jeziorach kilkomilowych, rzekach portowych wiły się we wszelkich kierunkach przeróżne statki, okręty. Mniejsze zawijały do różnych jeziorowych i rzecznych przystani, zwanych pod ów czas przewłoki. Większe dążyły do morza i za morze". „Na innych rzekach mniejszość statków wetowała się niezmierną ich licznością. Przypomnijmy sobie jakie mnóstwo najrozmaiciéj nazwanych łodzi i łódek, pławiczek i pławic, obijaników, szuchaléj, bark, bajdaków, o trzech a nawet o czterech masztach wiosłuje na jeziorach Pińskich z nadejściem wiosny [14]) a poweźmiemy wyobrażenie o tłumie żagli na wodach ówczesnéj Polski. Zabytkiem téj gęstéj w Piastowskich wiekach żeglugi — acz dziś i zabytek już zapomniany — pozostało wielce wydoskonalone słownikarstwo żeglarne, oceniające tyle różnokształtnych i różne przeznaczenie mających rodzai statków."

To wyjaśnienie świeżego historyka o wodnistości kraju w odległych czasach, wielce sądzimy popiera powyższe mniemanie iż *mogła być inna droga od Sanu ku Dnieprowi, nam teraz nieznana przez opadnięcie i oschnię-*

---

[12]) X. Siarczyński. Wiadomości o mieście Jarosławiu str. 131.
[13]) Staroż. Polska. Balińskiego. II. 339.
[14]) J. J. Kraszewski. Wspomnienia Wołynia, Polesia, Litwy. I. 129.

cie wód. Lesistość w tych stronach była także ogólną. Nawiedzał ją jeszcze lubownik myśliwstwa Jagiełło.— Mówił o niéj w „Dryaz Zamechskiéj“ śpiewak z Czarnolasu. A późniéj dopiero zmieniła się, gdy zaczęto trzebić lasy, kiedy „od r. 1545 z gorączkowym zapałem zajęto się około Bugu handlem popiołów, wanczosu i klepek“ [15]). Kiedy więc na tych równiach szumiały dziewicze bory, to napływ wód i mokrzystość kraju musiała być dużo większa niż teraz. Wspomnieliśmy zaś o niéj w pierwszéj części tego pisma, mówiąc o położeniu okolic Leżajskich, o ich i teraz jeszcze podmokłości — o mostach na bagnach za czasów Jagiełłowych. Co wszystko razem wzięte na uwagę, przemawiać się zdaje za odniesieniem słów Porphirogenity do równin między Sanem a Bugiem.

Że znowu krainy od Wisły po równiach Sanowych aż do Bugu i Styru były w najdawniejszych wiekach osiadłe, a na tych równiach rozmaite gałęzie Słowian pod różnemi nazwiskami żup, mieszkać musiały; to oprócz licznych w tych stronach wykopalisk, świadczy pobyt mnogich gęślarzy ludowéj poezyi w Bełzkim, jeszcze nawet w XVI wieku „Dwie wsie, jedna w Sokalskim, druga w Grabowieckim dotąd noszą nazwę *Skomrochów*, a tu i owdzie po wsiach i przedmieściach dopatrzyć możemy bardów *ex professo* ludowych.“ [16])

Zabytek ten gęślarski na wielką zasługuje uwagę i poparcie w tem dowodzeniu, pomnąc czem była muzyka dla starych Słowian jak przy dźwiękach muzyki zawierali przymierza a z gęślą w ręku wysyłali swych królewskich posłów w obce narody.

---

15) Bibl. Warszaw. R. 1855, mies. Październik—„Północno Wschodnie Wołoskie osady.“ przez J. T. L.

16) Bibl. Warszawska R. 1855 Październik—„Północno Wschodnie Wołoskie osady.“ przez J. T. L.

Szafarzyk szukając po swojemu owych Porphyrogenitowych Lenżan zaszedł bardzo daleko, bo aż do Wielkich Łuk — tam ich siedliska mieszcząc. (II. §. 28. 8). Wyrzuca on Karamzinowi i innym że ich w okręgu miasta Łucka na Wołyniu osadzają, mimo różnicy miasta Łuck, w którym niema brzmienia nosowego a które w nazwie Porphirogenity przemaga.

Sam przecie Szafarzyk popadł w tenże błąd, bo ani w nazwie Wielkich Łuk, ani Łucka zarówno brzmienie nosowe nie przebija się — a przeciwnie w Lenżajsk staréj miasta nazwie, czuć się daje jak najwyraźniéj. Lelewel spostrzegł się na innem miejscu i mówiąc o Burzanach powiada że „posiadali krainę przestroną, około rzeki Styru, gdzie się wznosił gród Łuck (?) zamieszkiwali też po obu stronach Bugu, a posiadłości ich rozciągały się *może* aż do Wisły i Sanu“ (L. VIII. 25) Otóż sądząc z wykopalisk nie *może* ale *pewna* ta rozciągłość się wydaje, i że ludy tu a nie indziéj zamieszkałe zwał Konstanty Lenżanami, co i na podobieństwie nazwisk miast pokazuje się.

Nazwisko miasta dane przez Porphirogenitę (Te loutza *τε Λιουτζα*) Lelewel rozumie przez Łuck, jako miasto główne swoich Łuczan, a Konstantego Lenżan — w czem przecie trudno się dopatrzyć, najmniejszego nawet w brzmieniu podobieństwa. Nadto, dzisiejszy Łuck „podług nieco pewniejszych źródeł historycznych; Włodzimierz W. Ks. Kijowski zbudować miał około r. 1000, a może tylko nawet zamek.“ [17]) niemógł w takim razie *nic* wiedzieć o Łucku Konstanty, pisząc koło 949, skoro w 50 przeszło dopiero lat powstał zamek — a miasto późniéj zapewne jeszcze. Szafarzyk na swą rękę mienić go znowu chce grodem Lubecz nad Dnieprem, uważając że (Te loutza *τε Λιουτζα*) jest zamiast Lioutza

---

[17]) **Teraźn. Polska Balińskiego T. II. R. 819.**

„gdzie należy oddzielić spójnik (te) przez omyłkę do słowa przydzielony“ — (Sz. II. §. 28. II.) i bezwątpienia owo (te Loutza) jest dużo więcej podobniejsze do grodu Lubecz niżli do Łucka.

Jednakowoż w stronach Sanowych choć wprawdzie odległéj, które w ślad za Porphyrogenitą naznaczamy Lenżanom Leżajskiem — powtarza się ta nazwa we wsi z kościołem *Lutcza* (Ob. Jasielski Dekanat Strzyżowski) koło zaś Leżajska nie zbyt daleko jest miasteczko staréj bardzo osady Lubaczów, dające nawet rzece nazwisko Lubaczówka — które dużo bliżéj od Lubeczu i Łucka do wyrażenia Konstantego przystaje. Pół mili znowu od miasteczka Sieniawy nad Sanem jest wieś Lężachów (co brzmienia nosowe Konstantego dobrze odbija) — jeszcze zaś wyżéj między Jarosławiem a Radymnem jest wieś Łowce z kościołem parafialnym co również zbliża się brzmieniem do owego Loutza. Nie dość na tém, nazwiska Dackie miejsc które według Maxinusa Lelewel przyrównywa do nazwisk zakarpackich w tych stronach się stosują, i lepiéj odpowiadają tutejszo miejscowym, niżeli indziéj przez Lelewela wyszukiwanym np. (L. VI. 68. VII. 28).

(*Μαιτώνιον*) Maitonion — może być Majdań miasteczko w okolicy Leżajska gdzie się urny znajdują.

(*Λιζισις*) Lisis — Lisko lub Lisów daleko prędzéj niż Leżajsk.

(*Ναῖσσος*) Naissos Nisko — miasteczko koło Leżajska.

(*Ταμασιδανα*) Tamasidawa — Tomaszów tamże itd.

Kiedy myśli o Lenżanach i Łucku, i pomięszaniu tych nazwisk przez Lelewela i Szafarzyka zajmowały uwagę naszą, doszedł nas jeden z numerów Tygodnika

Chorwackiego „Newen“ [18]) w którym podobne powątpiewania co do Łuczan Lelewelskich objawił jakiś nasz pobratymiec Jugo Słowianin. Mówiąc on o dziełach Massudego Araba odnośnie do rzeczy Słowiańskich tak się wyraża: „Najliczniejsi z pomiędzy Słowian — powiada Massudi — są Ludzani czyli Ludzaje. Idą za handlem aż do Andaluzyi, Carogrodu i kraju Chozarów. — Podług mniemania Lelewela, byliby to Łuczanie (Łuck nad Styrem) którzy przez Kijów lub inną jaką drogę do ujść Dnieprowych miewali styczność z Carogrodem. Nie wiemy ażali Łuczanie byli w swym czasie do takiéj doszli sławy; lubo z drugiéj strony taić nie można, iż nachodzim Małoruś już w związkach z Carogrodem, coby za prawdziwością opowiadania przemawiało“.

Uderzyła snać autora powyższych słów, choć może z innych niźli nas względów, sprzeczność oznaczania koło Łucka narodów przez Masudego wymienionych, a rozumianych za też same co i u Porphyrogenity przez Lelewela. Sprzeczność ta każdego uderzyć musi, kto bliżéj w téj całéj sprawie rozpatrzy się, aczkolwiek pewniejsze onéj rozświetlenie archeologia tylko uczynić może, a to za pośrednictwem wykopalisk.

Prostując zdania Lelewela i Szafarzyka, prostujemy je tylko co do przemiany nazwisk i miejsca zamieszka-

---

[18]) Newen Zabawni i Poueni List. Odgoworni urednik. Jos. Praus. Br. 23. 7 Lipnja 1855 w Zagrzebiu — *Artykuł.* „Nekoje zemljo— i sgodopisne crtice iz driuh srednjega vieka arapskich spisateliah o Slorenstru, navlas juznomu od (þ. P. ra. y Ь.—„Najmnogobrojniji izmedju Slawjanh—veli Masudi—jesu Ludzâni ili Ludzâji. Idu za trgovinom tja do Andaluzije, Carigradu i kozarske zemlje,“ Polak mnienja Lelewelowa razumieva Lûcane (Łucka nad Strijem), koji Pricko Kijera, ili kojim drugim Putem do usca Dnjeprova obeise s Carigradom. Dabi bili Lucani u ono doba do tolike znamenitosti dosli, istinabog poznato nam nije; premda s Carigradom, cim se na pozoristes poviestnice pojavise.“

nia jednego z szczepów Słowiańskich; nie zaś w chęci byśmy mieli jaki nowy naród odkrywać, i ten wprowadzać na świeżą scenę dziejową. Staramy się trafić w myśl i słowa Porphyrogenity, a nie jakie bądź stwarzać nowości.

Rozumiemy zaś przez owych Konstantego Lenżanenoi — naród Słowiański — znany pod ogólnem mianem Chrobatów, pod którą to nazwą cesarz Konstanty oznacza wielkie i górzyste krainy Karpackie w stronach wschodnich, w ojczyznie Rusinów w dzisiejszéj wschodniéj ziemi Halickiéj. — Byli oni potomkami dawnych Karpów, odziedziczywszy po nich tę nazwę od gór Chrybskich czyli Chorbów, w których stokach mieszkali (Sz. II. §, 28. 4.) Chrobacyata „była w Północy Karpat, rozciągała się podgórzem aż do źródeł Elby.“ (L. VIII. 27.) „Ziemie te i narody jak nam je Konstanty maluje, słynęły przed Tatrami właściwie już w VII stóleciu, a nie za czasów pomienionego cesarza — czerpał on zaś (t. j. czerpać mógł) wiadomości o tych krainach z opowiadania Rusinów, a to przed przybyciem księżnéj Ołgi do Carogrodu.“ (przybyła ks. Ołga r. 955) (Sz. II. § 38. 2.) Dla tego należy dobrze rozróżnić co Konstanty mówi o czasach swoich, a co zasłyszał lub wiedział, o dawniejszych.

Ta ogólna nazwa Chrobatów przemienia się późniéj w szczegółowe nazwiska przechodząc po przyjściu Słowian nad Dunajskich do Chrobacyi bo „od wyjścia swego z nad Dunaju, ponad Wisłą rozsiedleni Słowianie przybrali, jak mówi Nestor, imie Lęchów, Wiślanami zwano ich w wieku IX. Nader liczni i na wiele gałęzi dzielący się, zajmowali rozległą przestrzeń, inni do morza Baltyckiego przypierali — zdaje się część ich w wieku VII należała do Państwa Samonowego. — Nie zdala lewego brzegu Wisły, nad Nidą znane jest miasto Wiślica jedna z najstarszych osad Słowiańskich w tych

stronach, i prawdopodobnie siedziba główna Wiślanów, zwanych u Nestora Lęchami. W drugiéj połowie IX wieku mieszkał w niéj książę potężny imieniem Wyszewit. Był on mocno w obyczajach pogańskich rozmiłowany i z obrządków chrześciańskich natrząsał się. Słał do niego Arcybiskup morawski Metody, z upomnieniem aby przyjął dobrowolnie Chrzest, w przeciwnym bowiem razie zmuszonym będzie do tego. Gdy to upomnienie nie skutkowało, wyprawił się na niego sam, jak się zdaje Świętopełk, a po uporczywéj walce strącił go z tronu i rozprzestrzenił granicę diecezyi Biskupów morawskich w tych stronach, aż do źródeł Bugu i Styru. [19]). —

Obszerna więc nazwa Chrobatów i Lęchów przypada na ludy krajów północnych stoków Karpat, w płaszczyzny ku Wiśle i daléj schodzące. Ci Lęchowie nader liczni i na wiele dzielący się gałęzi liczne miejscowe musieli przybierać nazwiska — a jedno z takich mogło być Lenżanie, które i u Masudego i w listach Chasdaja przechowało się. Nazwa ta musiała być dużo wcześniejsza niż czasy pisania ksiąg przez Konstantego (948—949) i zapewne z opowiadań Rusinów czerpana, skoro w połowie już IX w. w nadwiślu władztwo Wyszewita zostało pokonane przez Świętopełka a granice dyecezyi morawskiéj posunięte aż do źródeł Bugu i Styru.

Nazwy te, których trudno dojść teraz prawdziwego znaczenia, powstają z podziału krajów Słowiańskich na powiaty zwane Żupa, Żupania. Podział ten nie dość ustalony zmieniał się, miewając i podrzędne Żupanie, o których dzieje albo mało co, lub też nic wcale nie wspominają. Każda zaś Żupa nosząc własne nazwisko, u starych Greków i Rzymian, znaczyła zwykle tyle co nazwisko narodu.

---

[19]) **August Bielowski. Wstęp krytyczny do dziejów Polski k. 483.**

(L. VIII. 27. Sz. II. § 21. 1.) Jedna też z takich właśnie żup w stronach wideł Sanowych, mogła przybrać nazwisko narodu pod piórem Porphyrogenity, któréj brzmienie nosowe Lenżaninoi, odpowiada takiemuż brzmieniu Lęchów Nestora.

Zastanowiliśmy się może przydłużéj nad całym tym przedmiotem — lecz uważaliśmy tego potrzebę nie tyle może dla wykopalisk Leżajskich, jak raczéj, dla sprowadzenia w jedność zdań i domysłów Szafarzyka i Lelewela, szukających tak mozolnie swych Łuczan.

Zbierając zaś rzecz w treściwe słowa na podstawie naszych wywodów mniemamy: że naród któren Masudy nazywa Lużajet — a Porphirogenita Lenżanenoi — był jakąś gałęzią Lęchów najprędzéj Żupą tego nazwiska; że narodu tego Łuczanami zwać ani też siedliska jego około Łucka naznaczać by nie wypadało, zwłaszcza skoro Łuck dużo później przychodzi w dziejach od czasów Porphirogenity, odnieść by raczéj należało w równie podmokło-lesiste, od wideł Sanu aż do źródeł Bugu i Styru.

Co znowu do szczegółowego poglądu na wykopaliska Leżajskie: te odnoszą się sądzimy do tych samych Lenżan przez Porphyrogenitę wymienionych — a że naród ten miał obejście z Kijowem i Byzancium ztąd wpływ grecki odbijał się pod te czasy na dzisiejszych znaleziskach. — Przedmioty zaś te z taką cechą zaliczyć wypada do wieku VII lub VIII, skoro w połowie IX zagaszano tu zgliszcza pogańskie — przez wcielenie aż po Bug i Styr stron tych, do dyecezyi Morawskiéj.

Karol Rogawski.

GUIZOT
i
REWOLUCYA ANGIELSKA.

Histoire de Charles I (1625—1649) 2. Vol. Paris 1854.
Histoire de la République et de Cromwell (1649—1658) 2. Vol. Paris 1854.
Histoire du Protectorat de Richard Cromwell et du rétablissement des Stuarts (1658—1660) 2. Vol. Paris 1856.

Macaulay mówiąc o Foxie i Makintoszu utrzymuje: iż mówili, robili i pisali historyę. Guizot należy do rzędu podobnych ludzi. Prawie w młodości umiłował instytucye angielskie a całe życie poświęcił dla ich rozjaśnienia i obrony. W różnych kolejach życia swego tak u steru rządu, jak i na wygnaniu nie poprzestał marzyć, aby ideał zdjęty z ustaw angielskich urzeczywistnić i ustalić w kraju swoim. Jako profesor, pisarz, mąż stanu i mówca wytrwale pracował nad tém wielkiém zadaniem, a dzisiaj przy schyłku niemal wieku

swego szuka jeszcze wypoczynku w dziejach angielskich. —

W wieku przeszłym Wolter utrzymywał iż nauczył się myśleć w Anglii, a Montesquieu podziwiał jéj ustawy i zdrowy rozsądek jéj mieszkańców. Z obudzeniem się niemal samodzielności umysłowéj we Francyi rozpoczyna się sympatya dla konstytucyi angielskiéj. Guizot znakomite zajmuje stanowisko w tym kierunku, a pamiętny na słowa następujące Burkego „iż wolność méj ojczyzny ma swe drzewo genealogiczne i herby“, przedsiębrał z niezmordowaną wytrwałością wykazać jéj historyę, heraldykę i tytuły.

Do najszczęśliwszych chwil życia Guizota należą bezwątpienia te czasy, w których widział swe myśli i usiłowania urzeczywistnione, a kraj swój używający błogich swobód konstytucyjnych. Wówczas porównywając położenie Francyi z Anglią z radością i dumą wyrzekł następne słowa: „Przed rewolucyą naszą różnica jaka istniała pomiędzy Francyą a Anglią zasmucać mogła nie jednego z Francuzów, lecz teraz pomimo tylu nieszczęść jakich doznaliśmy, i pomimo tych jakich jeszcze doznać możemy, nie mamy powodu do smucenia się, gdyż postęp równości socyalnéj i światło cywilizacyi poprzedziły we Francyi wolność polityczną, a zatém będzie ona zupełniejszą i prawdziwszą. Francya może teraz bez żalu spoglądać na wszystkie historye świata, albowiem jéj, pełna jest sławy a przyszłość wynagrodzi ją zapewne za to na czém jéj dotąd zbywało“.

Smutna i fatalna rzeczywistość zawiodła przynajmniéj chwilowo nadzieje Guizota, zaprzeczyła wiele jego teoryi, potargała wiele usiłowań, jednakże nie osłabiła głębokości przekonania. Wypadki najnowsze zasmuciły jego duszę i nieraz zapewne wywołały z głębi jego serca żałosne westchnienia Turgota: „Wolności! może ludzie nie są godni ciebie. Równości! będą cię pragnęli lecz

nie otrzymają cię“ przecież niedoprowadziły go do rozpaczy o przyszłość kraju swego i do zwątpienia w swe zasady.

Z nieugiętą wytrwałością zabrał on się na nowo do pracy i postawił sobie do rozwiązania owe sfinksowe pytania: czém jest duch rewolucyjny, jaki jego cel, prawa i charakter? Historya angielska służyła mu za Sybillę tłumaczącą tajemnice teraźniejszości, w niéj czerpał maksymy, zasady i pociechę. Dla tego dziwić się nie można że ostatnie jego prace mieszczą w sobie wiele zwrotów dotyczących nowszych wypadków, gdyż one mocno go poruszyły i ciągle stały mu na myśli.

Jako historyk nie posiada Guizot żywéj wyobraźni, zdolnéj wywołać umarłe postacie i przedstawić je czytelnikowi w ich właściwym charakterze. Rozum przeważa u niego nad imaginacyą, dla tego troszczy się przedewszystkiém o przyczyny wypadków, z wielką zręcznością i talentem odszukuje ich najdrobniejsze odcienia, lecz często zapomina o całości i nie umié jéj należycie odmalować.

Podobnie jak Richardson analizując w swych powieściach najdelikatniejsze namiętności zapomina często w szczegółach o istocie charakteru i natury ludzkiéj, tak równie Guizot dokładnie rozumie logikę wypadków, lecz nie umié wywołać na jaw żywych postaci historycznych. Podobnie jak znakomity nowellista angielski korzysta z najmniejszego szczegółku aby kazanie powiedzieć czytelnikowi, tak równie Guizot przy każdym ważniejszym wypadku zatrzymuje się i prawi naukę i napomnienie. W żadném z dawniejszych dzieł Guizota nie przebija tyle tonu profesorskiego ile w ostatnich.

Czytając historyę Kromwella i jego syna, nieraz nasuwa się ta uwaga: iż autor pozbierawszy naprzód i ustawiwszy fakta chronologicznie, poprzeplatał je potém

sentencyami politycznemi a nie starał się powiązać ich w jednę organiczną i artystyczną całość.

Mało jest bardzo, mówi Villemain, historyi pojedynczych osób posiadających tyle blasku i mieszczących w sobie tyle wypadków, ile życie Kromwella. Dla psychologa i badacza natury ludzkiéj wielka ta figura jest bardzo ciekawą i zajmującą. Inni znakomici ludzie są monumentalniejsi, fizyonomie ich wyraźniejsze, a charakter ich wybitniejszy, lecz Kromwell należy do tych rzadkich postaci, które Hamann filozof niemiecki wystawia siedzące na stopniach świątyni: jako prawdziwe sfinksy i najwięcéj zagadkowe figury w historyi.

W naturze téj prostéj, bogatéj i chytréj łączyły się wszystkie wielkie przymioty ze złemi, wzniosłe i szlachetne instynkta z niskiemi. Figura ta przyciąga nas swą oryginalnością, chcielibyśmy spokojnie na nią patrzeć, rozpoznać najdrobniejsze jéj odcienia, odróżnić jéj dobre strony od złych, a potém utworzyć sobie dokładne o niéj wyobrażenie. Tymczasem Guizot nie rozbiera Kromwella, ani jako zdolny anatomista, ani téż nie przedstawia jako śmiały portrecista. Przy każdym szczególe życia jego występuje z uwagą lub wykrzyknikiem, tam gdzie Kromwell w istocie był prostym i szczerym, on widzi dowody hypokryzyi i karci go za takową. Zbyt częste uwagi jakiemi on przeplata wypadki i opowiadanie swe zamiast nauczać, nudzą owszem i niecierpliwią.

Villemainowi służyły za źródła do jego pracy jednostronne i niedostateczne pamiętniki. Jakkolwiek umiał on ze zwykłym sobie talentem dopatrzyć niektóre delikatne odcienia charakteru Kromwella i takowe żywo odrysować, to przecież przedstawia go nieraz w świetle niewłaściwém. — Carley zebrał listy Kromwella i napisał jego apoteozę. Pomijając jednostronne teorye tego fantastycznego i oryginalnego pisarza, przyznać należy iż

jemu zawdzięczamy dokładniejsze wyobrażenie o Kromwellu. Guizot nie pisał historyi rewolucyi angielskiéj ani jako literat, ani entuziasta, lecz jako mąż stanu i zimny obserwator. Pamiętny na ostatnie wypadki głównie w niéj śledził początek, bieg i koniec rewolucyi. Ktokolwiek chce poznać teoryę rewolucyi, jéj najdelikatniejsze zboczenia i jéj stosunek do reakcyi późniejszéj, w dziełach najnowszych Guizota znajdzie trafne spostrzeżenia i głęboką przenikliwość polityczną. Z téj przyczyny zwłaszcza praca jego zasługuje na wielkie uznanie i wdzięczność.

Dzieła Guizota zaledwo przedstawiają nam początki wolności szukającéj prawnego uznania, zaledwo pokazują hasła i chorągwie pod jakiemi duch angielski występuje do walki, zaledwo oprowadzają nas po pierwszych pobojowiskach na jakich rewolucya i reakcya zwyciężają się naprzemian, lecz nie dają nam ostatecznego rozwiązania.

Któż z myślących ludzi będąc świadkiem w ostatnich czasach tylu przemian, tylu nadziei płonnych i tylu usiłowań zmarnowanych nie odwrócił się ku Anglii, a widząc ją potężną i spokojną nie zawołał wraz z Remusatem: czémże kraj ten zasłużył na tyle szczęścia? — Chcąc znaleźć na to ważne pytanie odpowiedź, należy przebiedz główne epoki historyi politycznéj angielskiéj i przypatrzyć się jakim sposobem tam się instytucye kształciły i ustalały.

Wolność w Anglii wystawioną była na długą walkę, przechodziła różne koleje nim stała się obyczajem narodowym i ustawą polityczną: „Zmiany przez jakie w sześciu ostatnich wiekach konstytucya nasza przechodziła, mówi Macaulay, były skutkiem stopniowego rozwoju a nie zaś zniszczeń i odbudowań po sobie następujących. Tymczasem stary dąb jest w stosunku do młodego, czém dojrzały człowiek w stosunku do dziecka,

tém jest właśnie obecna konstytucya do téj pod którąśmy dojrzewali przed pięciuset laty. Jakkolwiek zaprowadziliśmy wiele zmian w prawach naszych, jednakże konstytucya angielska zatrzymała dużo swych dawnych elementów. Ztąd znajduje się w niéj wiele anomalii, lecz zarazem wiele zasad wynagradzających takowe. Inne narody posiadają bezwątpienia *formuły konstytucyjne* daleko symetryczniejsze od naszych, lecz dotąd żadne jeszcze inne spółeczeństwo nie potrafiło pogodzić rewolucyi z tradycyą, postępu z trwałością, energii młodzieńczéj z majestatem starożytności naukowéj".

W wyrazie tym „formuły konstytucyjne" ileż to mieści się prawdy i nauki! Scholastyka polityczna zamieszać może pojęcia, narobić wiele ruin, lecz nie potrafi nic zbudować i ustalić, o czém kilkodziesięcioletnie doświadczenie najlepiéj zaświadcza.

Instytucye i dzieje angielskie wielki mają powab dla każdego myślącego człowieka, albowiem przemawiają zarówno do rozumu teoretycznego i praktycznego. Wszystko to co może obchodzić męża stanu, co zajmować umysł spekulacyjny odbiło się w nich z wielką świetnością i potęgą. Zmysł praktyczny anglików potrafił wznieść gmach polityczny wspaniały i trwały, który z wielu względów zasługuje na uwielbienie i podziwienie.

To godzenie postępu z tradycyą, porządku z wolnością o któréj mówi Macaulay zaczyna się z pierwszą rewolucyą angielską, dla tego wielkie ona zajmuje stanowisko w dziejach angielskich i ciekawym jest przedmiotem do bliższego poznania.

Pierwsza rewolucya, panowanie Wilhelma IIIgo i czasy Jerzych stanowią główne epoki publicznego życia w Anglii. Są trzema aktami wielkiego dramatu który ciągnąc się przez wieki zaledwo w nowszych czasach zyskał

rozwiązanie. Chcąc poznać charakter tego znakomitego arcydzieła, niewystarcza zatrzymać się przy pierwszym jego akcie i który daje zaledwo słabe wyobrażenie o dalszych jego częściach, lecz trzeba przebiedz wszystkie. Nowsze prace Macaulaya, lorda Mahona, i Remusata przedstawiają te czasy burzliwe i znakomite zarazem, dla tego chcemy się pokrótce zastanowić nad niemi. Obecnie ograniczamy się na rewolucyi angielskiéj i dziełach Guizota.

Z wstąpieniem na tron familii Sztuartów rozpoczyna się nowa epoka dziejów, instytucyi a nawet charakteru ludu angielskiego. Do tego czasu wyrabiał, przekształcał i ustalał wszystkie żywioły stanowiące jego narodowość i potęgę polityczną. Do tego czasu śmiało powiedzieć można, iż dojrzewał, odtąd występuje jako mąż ufny w swe siły, wytrawiony doświadczeniem, nieugięty wolą, i przedsiębiorczy w działaniu.

Panowanie Sztuartów stanowi środek w dziejach angielskich, w którym kończą się dawne czasy a rozpoczynają nowe, w którym wyobrażenia, stosunki i prawa średniowieczne zmieniają się i przybierają nowe kształty. Odtąd Anglia poczyna postępować zupełnie innym torem od państw na stałym lądzie, odtąd fizyonomia jéj historyi przybiera samoistniejsze i oryginalniejsze rysy.

Za panowania téj nieszczęśliwéj familii zaczął się wyrabiać porządek polityczny i socyalny który doprowadził kraj do potęgi a jego instytucye wystawił na podziw świata. Wolter w następujących słowach dokładnie odmalował to co każdego głębiéj patrzącego w stosunki angielskie uderza. „Naród angielski mówi on jest jedynym na kuli ziemskiéj, co potrafił zapomocą oporu ograniczyć władzę królów i który nareszcie po długich usiłowaniach zaprowadził formę rządu mądrą, w któréj panujący jest wszechwładny w robieniu dobra, lecz ma związane ręce do robienia złego, w któréj panowie są

potężni bez zuchwałości i bez wazalów, i w któréj lud bierze udział bez nieładu.“ Naród angielski wyrobił porządek polityczny oparty na harmonii towarzyskiéj nieznanéj dotąd na stałym lądzie. Jedynie w Anglii nastąpiło pojednanie stanu średniego wiejskiego i miejskiego z arystokracyą, a z téj zgody z czasem wywinęła się potęga narodu świetność na zewnątrz, i spokój wewnątrz. Temu zbawiennemu wpływowi Grecya zawdzięczała energię swego geniuszu a Rzym przewagę nad światem. Rewolucya angielska rozpoczyna to wielkie dzieło, i wprowadza naród na drogę zupełnie inną od téj po jakiéj postępują inne państwa.

Wówczas kiedy na stałym lądzie monarchia zwycięża i ustala się, a przez to centralizacya administracyjna pochłania wszystkie samoistne jednostki, wówczas kiedy szlachta, urządzenia municypalne i gminne znikają zupełnie, albo tracą na znaczeniu dawnem, natenczas w Anglii, budzi się niepodległość osobista; szlachta, miasta i lud wiejski obstają przy swych prawach i walczą w obronie takowych. Wówczas kiedy na stałym lądzie indywiduum traci niepodległość, kiedy własność zostaje bez gwarancyi należnych, natenczas w Anglii rozpoczyna się walka o bezpieczeństwo osób i własności.

Pierwszy raz w rewolucyi angielskiéj występuje duch rasy anglo-saxońskiéj z wszystkiemi temi przymiotami, jakie późniéj doprowadzają ją do potęgi, a u świata wywołują podziwienie. W niéj to *ja* o którem marzą filozofowie niemieccy znalazło uosobistnienie wyrażenie i potęgę. Ono stanowi podstawę życia towarzyskiego, publicznego i politycznego. Z niego wychodzi inicyatywa działania, ono jest główną sprężyną wszelkich czynności, na jego uznaniu opierają się wszystkie instytucye kraju, i służą za rękojmie dla jego bezpieczeństwa. Cóż znaczy *self government* jeżeli nie uprawnienie we wszyst-

kich stosunkach tak cywilnych jako i politycznych niepodległości osobistéj?

Anglia różni się od innych krajów stałego lądu, zwyczajami i instytucyami. Historye ich krążą około innéj osi, a dążności ich stanowią dwa bieguny zupełnie sobie przeciwne. Na stałym lądzie rząd jest wszystkiem a indywiduum niczem, w Anglii zaś indywiduum jest wszystkiem, a rząd służy za środek ubezpieczający jego prawa. Z téj kardynalnéj różnicy wyprowadzić można wszystkie cechy charakteryzujące zwyczaje i urządzenia na stałym lądzie i w Anglii.

Narody wychowane pod wpływem centralizacyi nie mają rozwiniętego uczucia samoistności, dla tego w życiu prywatnem przestrzegają przedewszystkiem wymagań towarzyskich, obawiają się wystąpić z ruchem samodzielnym, aby nieobrazić konwencyi przyjętych. Za przykład posłużyć nam może Francya. Centralizacya wnikła tam we wszystkie stosunki życia i wykształciła monarchię administracyjną służącą za wzór reszcie Europy. Jakież uczucie przeważa we Francyi, w pożyciu prywatnem? Towarzyskość ze wszystkiemi jéj następstwami. Przed nią Francuz bije czołem, na jéj korzyść zrzeka się swych widzeń i popędów, ona jest królową absolutną a moda jako rada królewska *(conseil du roi)* ściele pod jéj stopy cały kraj i niwelluje wszystkie zwyczaje. Francuz obawia się być oryginalnym, ekscentrycznym, jednem słowem niechce wyróżnić się od innych. Anglik przeciwnie niepoddaje się towarzyskości, wszędzie chce on zachować swe *ja*. Tak w salonie jako i w życiu publicznem jest on indywidualistą. Ekscentryczność go nie razi lecz owszem bawi. Wszystko to co odznacza się charakterem, samoistnością, pociąga go i zajmuje. Rzadko bywa dowcipnym a często humorystą, gdyż humor dowodzi swobody osobistéj, i jest jéj objawem. Francuz w życiu towarzyskiem i publicznem

szanuje równość i uległość, a Anglik swobodę i niepodległość. Słusznie więc powiedział Swift iż Francuz jest *zwierzęciem towarzyskiem*, a Anglik *zwierzęciem politycznem*.

Na stałym lądzie rząd jest ogniskiem wszystkich stosunków socyalnych, w nim skupiają się ważniejsze siły kraju, z niego wychodzi inicyatywa i kierunek najróżnorodniejszych czynności. Praca wieków przykładała się do wyrobienia władzy nietylko potężnéj ale nawet absorbującéj każdy samoistny element społeczeństwa. W historyi przeto ludów na stałym lądzie rząd był ostatnim celem do którego ich dzieje zmierzały, a indywiduum służyło za narzędzie fatalnéj konieczności robiącéj z niego ofiarę na ołtarzu centralizacyi administracyjnéj. W skutek téj dążności Francya wyrobiła organizm polityczny dotąd nieznany, w którym idea państwa rozwinięta i podniesioną została do ideału. W Anglii zaś uprawnienie praw osobistych było celem dziejów, a zatem chcąc poznać ducha instytucyj angielskich przedewszystkiem pytać się należy o znaczenie indywiduum? jakie ono stanowisko zajmowało w historyi i jakie koleje przechodziło?

Duch cywilizacyi prowadzony ręką Opatrzności przenosi się z jednego miejsca na drugie, przywołuje nowe narody do potęgi i tworzy bogactwa umysłowe i materyalne dotąd nie znane. Wówczas kiedy Cezar wstępował na brzegi dzisiejszéj Anglii trudno było przewidzieć iż z czasem ta barbarzyńska i dzika wyspa zostanie najwięcéj ucywilizowanym krajem, i że w nim zasiadać będzie świat jeżeli nie przewyższający rzymski mądrością, wytrwałością i powagą, to mu przynajmniej równy. W ówczas kiedy Honoriusz przemawiał do Bretonów: „brońcie się i rządźcie sami, teraz jesteście wolnemi“ a ci przełożyli niewolę nad niepodległość, trudno było zapewne przewidzieć iż z czasem zastąpi to znikcze-

mniałe pokolenie naród dzielny i najwolniejszy jaki dotąd ukazał się światu. A jednakże Opatrzność tak chciała i ziściła się jéj wola! —

W historyi ludów nietylko ich energia rozum i wytrwałość odgrywa znaczną rolę, lecz Opatrzność i szczęśliwy zbieg okoliczności nieraz doprowadza ją do świetności takiéj, do jakiéj bez ich pomocy niebyłyby doszły. —

Narody mogą tylko wzrastać w potęgę w warunkach przyjaznych ich zdolnościom i energii. Zewnętrzne okoliczności bardzo szczęśliwe będą dla Anglii. Ich to błogiemu wpływowi lud angielski zawdzięcza nietylko potęgę handlową, ale co większa znaczną część swych instytucyj i wiele zalet charakteru swego.

Od pewnego czasu ludzie nieukontentowani stanem rzeczy na stałym lądzie w rasie tylko anglo-saksońskiéj widzą wszystkie doskonałości, uważają ją niejako za lud uprzywilejowany a inne zaś narody za zniewieściałe lub niewolnicze narzędzia. Tymczasem sądzimy że w zdaniu lorda Mahona przypisującemu zewnętrznym okolicznościom więcéj wpływu na postęp instytucyi aniżeli energii ludu angielskiego, wiele mieści się prawdy. Nie potrzeba egzagierować, dosyć być sprawiedliwym dla anglików aby uznać należnie ich zasługę i sławę.

Gdyby nie zewnętrzne okoliczności, ani cnoty Hampdenów, energia Kromwella, mądrość Wilhelma III i ani talenta Pittów, Foxów i Burków nie byłyby potrafiły ustalić swobód politycznych w Anglii. Jakież to były te zewnętrzne okoliczności tak przeważnie wpływające na losy Anglii?

Do najważniejszych bezwątpienia okoliczności które sprzyjały jéj potędze należą położenie geograficzne kraju, i sposób w jaki się tworzyła narodowość angielska. Jakkolwiek położenie geograficzne przeznacza Anglią na państwo handlowe i zamożne lecz gdyby byli pozo-

stali ciągle panami kraju Bretoni zapewne z niego niebyliby umieli korzystać. Z resztą położenie to w późniejszych dopiero czasach wpłynęło na potęgę handlową w Anglii, początkowo sprzyjało tylko wykształceniu się niepodległéj i odrębnéj narodowości. Ludy które przybyły do Anglii będąc oddzielone od reszty Europy, pozostały wolne od wpływów obcéj cywilizacyi, dłużej zatem przechowały swe dawne zwyczaje i samoistniéj się rozwijać musiały. Położenie więc geograficzne Anglii bardzo sprzyjało powstaniu narodu typowego który fizyonomią i charakterem różni się od innych ludów europejskich.

Podobnie jak u pojedynczych osób tak i u narodów czerstwość i dzielność sił fizycznych wpływa na zdolności ich moralne, i bogactwo ich zasobów. W tym względzie jak i w wielu innych Anglicy mają pierwszeństwo przed innemi narodami. Nim Backwell zastósował teoryą krzyżowania do bydła i owiec, wprzód rokowały to zewnętrzne okoliczności na jego narodzie. Jest on bezwątpienia jednym z ludów europejskich najwięcéj pomieszanym i pokrzyżowanym i kto wie czyli to nie jest powodem jego dzielności.

Wiadomo iż po usunięciu się Rzymian Saxonowie wezwani przez Bretonów przybyli do dzisiejszéj Anglii w roku 449. Z czasem dawniejsi mieszkańcy częściowo zniszczeni zostali, częściowo szukali schronienia w odległych częściach kraju, a częściowo za granicą. Przy końcu więc wieku 6go dawniejszą ludność zastąpiła rasa anglo-saxońska i została panem najpiękniejszéj i środkowéj części Anglii.

Po upadku państwa rzymskiego, barbarzyńcy rozszerzając się po południowéj Europie znaleźli wszędzie potężną cywilizacyę, która ich owładnęła i przekształciła. Anglo-saxonowie zaś zająwszy posiadłości bretońskie, zastali tam pokolenia zniewieściałe, żyjące w ciągłéj niezgodzie, i szczątki cywilizacyi materyalnéj po rzymia-

nach z któréj korzystali lecz nie mogli być przez nią podbici i zmiękczeni. Dla tego zachowali oni dawne zwyczaje, żyjąc i rządząc się w sposób właściwy pierwotnym Germanom. Fakt ten wpłynął znacznie na późniejsze losy Anglii, i dopomógł jéj do wyrobienia odrębnego charakteru tak w instytucyach jako i obyczajach. Zresztą był on ważnym także dla ogólnéj cywilizacyi, albowiem gdyby oni byli zastali trwałe instytucye rzymskie, byliby ulegli ich wpływowi, a przez to byłyby się zmieniły warunki dla ich historycznego rozwoju. Cywilizacya łacińska byłaby wzięła górę a Anglia niebyłaby potrafiła pod jéj wpływem wyrobić w sobie odrębnego i oryginalnego charakteru. Przy zawiązku samym ludu angielskiego pokazują się przyczyny odróżniające go od innych ludów na stałym lądzie.

Późniejsze napływy różnych pokoleń do Anglii, nie osłabily rasy północnéj lecz owszem ją zwiększyły i wzmocniły. — W dziewiątym wieku przybyli tam Duńczycy a na początku 11go Normandy, którzy ostatecznie zostali panami kraju. — Słusznie zatem Daniel Foë pytał się w roku 1687 wigów chlubiących się z tego iż wyobrażają prawdziwych Bretonów: „Gdzież to znajdujecie Bretonów? Pokażcie mi ich — My jesteśmy tylko mieszaniną Duńczyków, Saxonów, Normandów i wszystkich tych barbarzyńców przybyłych z krain skandynawskich i germańskich, którzy zwyciężyli i zniszczyli Piktów.“ Formacya ludu angielskiego następowała zwolna, warstwy coraz świeższe i zdrowsze przybywały do dawnych pokładów i utworzyły całość jędrną i dzielną. Dla Anglików wędrówka ludów zakończyła się dopiero w wieku jedenastym, w ówczas kiedy już inne narody ukończyły proces assymilacyjny. — Narodowość przeto angielska jest jedną z najmłodszych, składały ją żywioły energiczne i silne, dla tego w nowszych czasach widać jeszcze u niéj ślady barbarzyństwa. —

Wypadki historyczne i polityczne nie osłabiły odrębnego stanowiska Anglii, lecz owszem go zwiększyły. Za pośrednictwem Normandów weszła ona w stosunki z Francyą które późniéj dały powód do długich wojen i nienawiści obydwóch narodów — Nareszcie protestantyzm oderwał ją od jedności katolickiéj a połączył z ludami tego samego szczepu. — W skutek tych wpływów naród angielski zostawał zawsze w sprzeczności z ludami południowemi a tem samem mało przyjął cywilizacyi łacińskiéj.

Stosunki handlowe wyrwały Anglią z jéj odosobnionego położenia, i zetknęły ją z całym światem, lecz postawiły ją w tak szczęśliwych warunkach iż z czasem musiała ona zostać panią mórz, a przez to zyskać przewagę handlową. — Dla żadnego narodu Opatrzność tyle nie zrobiła co dla Anglii, a żaden inny nie skorzystał tyle co ona z odkryć genialnych ludzi. — Potęga geniuszu zmieniła oś około któréj dotychczasowy świat handlowy krążył a z Anglii wyspy odległéj i odosobnionéj zrobiła punkt centralny wszystkich komunikacyj. — W wiekach średnich były tylko trzy drogi po których handel obiegał, to jest: wschód, morze śródziemne i baltyckie. — Lecz skoro Kolumb odkrył Amerykę a Vasco de Gama Przylądek Dobréj Nadziei i otworzył drogę do Indyj, natenczas handel opuścić musiał dawne komunikacye, i ze Wschodu, Południa i Północy przenieść się na Zachód. — Odtąd Bagdad, Konstantynopol, Wenecya i Lubeka przestały być ogniskami handlu ogólnego. — Geniusz Kolumba i Gamy odebrał ważność handlową brzegom Tygru, Marmory, Adryatiku i Elby a przeniósł ją do tych co dotykają oceanu atlantyckiego. — Któż z téj rewolucyi nadzwyczajnéj najwięcej skorzystał jeżeli nie Anglia? — Przy końcu wieku 15go zaledwo wychodzić zaczęła z barbarzyństwa, trudno jéj zatem było kusić się o panowanie na morzu

baltyckiem, śródziemnem i czarnem i rozpocząć walkę z Wenecyą, Genuą, Hanzą i Wschodem. — Do tego czasu położenie jéj geograficzne oddzielając ją od świata osłabiało ją i stanowiło jéj niższość, lecz po tych odkryciach zostało jéj potęgą. — Przez ten jedyny fakt pozbyła się ona groźnej konkurrencyi miast włoskich i hanzeatyckich i podobnie rozwijać mogła swe siły. — Geniusz Kolumba i Gamy wzywając Anglią do panowania nad morzami, w téj saméj chwili wskazał jéj na Hiszpanię, Portugalię i Francyę, jako na najgroźniejszych nieprzyjaciół. — W skutek tego najkosmopolityczniejszy środek jakim jest handel, początkowo służył do odosobnienia Anglii od świata i postawienia jéj w sprzeczności z ludami romańskiemi. —

Pod wpływem tych przyjaznych okoliczności lud angielski szybko wzrastał i tworzył oddzielną i oryginalną narodowość. — Nic mu nie przeszkadzało do wyrobienia potężnéj indywidualności, owszem wszystko wpływało na jéj ustalenie i charakter. Poznawszy ogólne warunki przewodniczące kształceniu się narodowości angielskiéj przypatrzmy się teraz cokolwiek wewnętrznym stosunkom. — Przymioty jakiemi dzisiejsi Anglicy się odznaczają wyrobiły się zwolna w skutek pewnych wpływów historycznych. — Wielkie uczucie niepodległości osobistéj rachowanie na własne siły, energia, wytrwałość w ogóle wszystkie zalety cechujące ludzi wolnych nie są właściwe saméj rasie anglo-saxońskiéj, lecz ona postawiona w lepszych warunkach od innych narodów europejskich wykształciła je silniéj i wszechstronniéj.

Lord Brougham kreśląc historyę konstytucyjną Anglii utrzymuje: „iż pierwsze pytanie jakie badaczowi początków konstytucyi nasuwa się, jest, jakiego stopnia wolności lud używał, i o ile władza panującego była ograniczoną lub nie? — Bardzo jest naturalnem iż naród, który wysoko ceni wolność i z powodu tego przypisuje

sobie nawet wyższość nad innemi, starał się odnieść jej początki aż do najodleglejszych czasów. — Czuje on w tym względzie dumę podobną do dumy wielkiéj familii i powinne szlachectwo swe chce wywieść od najdawniejszych czasów.“ —

W kraju takim jak Anglia w którym życie publiczne rozwinięte jest do wysokiego stopnia, historya służy za narzędzie widoków rozmaitych stronnictw. — Pomijając przeto jednostronne opinie Wigów i Torysów, co do początków swobód angielskich, nie ulega wątpliwości iż za czasów anglo-saxońskich arystokracya przeważała w Anglii na podobieństwo innych krajów feudalnych, władza królewska była bardzo słaba, a w 10tym nawet wieku zawisła od trzech familij przemożnych jako to: Godwin, Leofrice i Siward. — Wilhelm Iszy podniósł znaczenie władzy królewskiéj, zaprowadził nowy porządek w miejsce dawniejszéj anarchii arystokracyi saxońskiéj. — Prócz wpływu osobistego jaki wywierał na Normandów zyskał jeszcze przewagę majątku pomiędzy niemi przez wielkie dobra jakie zagarnął dla siebie i dla swéj familii. — Nadto żądając od całéj szlachty przysięgi na wierność sobie, osłabił na przyszłość wpływ przemożnych ludów, a władzy królewskiéj nadał obszerniejsze i skuteczniejsze znaczenie. —

Anglia przyszła do jedności zewnętrznéj w wieku 11, którą inne kraje europejskie dopiero po długich walkach i w skutek znacznych przeobrażeń socyalnych nabyły. Jakkolwiek z podbojem Normandów prawa i zwyczaje feudalne zaczęły panować w Anglii, przecież władza ich nie dochodziła do tego stopnia, aby zagrażała całości państwa i rozdzielała go na odrębne prowincye. Odtąd głównem zadaniem dla Anglii było odbyć proces assymilacyjny pomiędzy Saxonami a Normandami i utworzyć z nich jeden naród. Dokonała to w sposób bardzo skuteczny i zbawienny. Z czasem nienawiść dwóch

tych ludów zaczęła się zaciérać, z jednéj strony panowanie Normandów się ustalało, a z drugiéj strony opór Saxonów się zmniejszał. Nareszcie powinności feudalne osobiście ciążące na szlachcie zamienione zostały na pieniężne. Z powodu tego wystawioną była na częste gwałty i nadużycia panujących, a nie będąc dosyć potężną aby się oprzeć takowym, szukała pomocy u Saxonów. W skutek tego przymierza powstała Wielka Karta, owe palladium wolności cywilnéj i politycznéj Anglii.

Magna Charta zajmuje wielkie stanowisko w dziejach angielskich, od niéj bowiem datuje się zlanie Normandów z Saxonami i połączenie się wszystkich klas pomiędzy sobą. W innych krajach władza królewska pracowała nad utworzeniem jednego państwa i nad zlaniem się różnych ludów w jeden naród, dla tego z wzrostem jéj potęgi zwiększała się zarazem potęga ludów nad którymi panowała. W Anglii przeciwnie, nie rząd był owem ogniwem spajającem rozmaite pokolenia i klasy w jeden naród, lecz przywilej okupiony ich krwią i poświęceniem.

Śmiało powiedzieć można iż Magna Charta ukonstytuowała naród angielski, dla tego dumnie on zwraca się do niéj, ponieważ jéj zawdzięcza swą egzystencyę, wszystkie swe prawa i przywileje. Jeżeli obok tego uwzględnimy iż w Anglii prawo do tronu było nie stałe, że większa część panujących była uzurpatorami potwierdzonemi przez parlament, łatwo zrozumiemy dla czego tam monarchia umiarkowana się wykształciła i ustaliła.

Położenie geograficzne broniło Anglię od zewnętrznego napadu, dla tego niepotrzebowała utrzymywać wojska stałego. W innych krajach przy jego pomocy poupadały dawne przywileje, a władza królewska zyskała zupełną niepodległość. W Anglii przeciwnie najdowolniejsi i najabsolutniejsi królowie we względzie podatków byli zawiśli od narodu. Henryk VIII mógł posłać na szafot

Buckinghama, Surreya i Annę Boleyn bez żadnéj opozycyi, lecz skoro chciał nałożyć podatek bez przyzwolenia parlamentu, wywołał tak wielkie oburzenie w narodzie, iż zmuszony był go zaniechać.

Bardzo słusznie utrzymuje Hallam, iż swobody angielskie kosztowały więcéj pieniędzy aniżeli krwi — gdyż królowie potrzebując pieniędzy radzi nieradzi musieli zwoływać parlament i żądać od niego przyzwolenia podatków. Z téj zawisłości panujących wynikły najzbawienniejsze skutki dla Anglii. Centralizacya administracyjna niewykształciła się, lecz natomiast zwyczaje miejscowe i urządzenia municypalne rozwinęły się i ustaliły. Czynności pojedynczych osób nie doznawały przeszkód ze strony administracyi pasożytnéj, a przez to lud angielski przywykł rachować na siebie i zamiłował niepodległość.

Pomimo najdowolniejszych rządów i wojen domowych Anglia ciągle postępowała. Pod gwarancyą praw cywilnych i urządzeń miejscowych rozwijał się zmysł praktyczny w narodzie i wzrastał przemysł. Najgwałtowniejsze zaburzenia domowe dotykały tylko wyższe warstwy społeczeństwa, pozostawiając środkowym i dolnym dosyć bezpieczeństwa i swobody do pracy. Błogich tych skutków nie zawdzięcza Anglia jedynie zawisłości rządu od parlamentu, lecz zwłaszcza szczęśliwym stosunkom socyalnym. „Duch oporu przeciwko nieprawności i uciemiężeniu, mówi Guizot, był najszlachetniejszem i najzbawienniejszem usposobieniem ludu angielskiego w ciągu jego historyi“. Temu to w istocie duchowi zawdzięcza połączenie się różnych klas, które na stałym lądzie żyły w nienawiści lub w wojnie. W Anglii począwszy od Wielkiéj Karty, szlachta, stan miejski i wiejski zaczęły się zbliżać a z czasem pojednanie to nabrało siły i zyskało powagę prawną. Zwłaszcza po wojnach domowych pomiędzy York i Lankaster związki te stały

się liczniejsze i ściślejsze. Następujący fakt może posłużyć za dowód o ile arystokracya ucierpiała wskutek rozdwojeń cywilnych. W roku 1451 Henryk VI zawezwał 35 lordów do parlamentu, a w roku zaś 1485 Henryk VII mógł tylko powołać 29, z których wielu w nowszych dopiero czasach zostało parami.

Pod wpływem tych różnych okoliczności o jakich dotąd mówiliśmy, Anglia przy końcu wieku XVgo doszła do tego niepewnego stanu, który tak dla pojedynczych osób jako i narodów zapowiada koniec jednego a początek drugiego wieku. Barbarzyńska Anglia Saxonów, Duńczyków i Normandów zaczyna się przekształcać i wkrótce przeszłość zaledwo słabe pozostawi ślady po sobie. W stanie tym przejściowym występuje już naród, w którego rysach jakkolwiek widać jeszcze elementa wpływające na jego wzrost, jednakże fizyonomia jego zaczyna nabierać jedności i mocy charakteru jakich dotąd nie posiadała. Lecz aby naród angielski wyszedł ostatecznie z dzieciństwa, potrzeba było jeszcze z jego strony pewnych wysileń. W wieku XVItym nastąpiła ta szczęśliwa dla niego rewolucya. Z początkiem tego wieku zaczęła panowanie nowa dynastya, która przewodniczyła z wielką energią i zdolnością téj fazie, służącéj do zupełnego wykształcenia geniuszu i narodowości angielskiéj. Dynastyą tą była familia Tudorów.

Trudno zaprzeczyć wpływu, jaki energia niektórych panujących z tego domu wywarła na losy Anglii. Henryk VII pomimo wielkiéj chciwości posiadał wiele zalet potrzebnych naczelnikowi rządu; Henryk VIII jako człowiek był bezwątpienia potworem, lecz jako panujący ważny wpływ wywarł na przyszłość kraju swego, nakoniec Elżbieta pomimo znacznych wad uważaną była przez spółczesnych za typ potęgi i godności królewskiéj, a potomność potwierdziła tę opinią. Za panowania téj familii wszystkie siły narodu rozwinęły się i nabrały

mocy. Geniusz jego dojrzał i śmiało rzucił się w przyszłość. Odtąd Anglia występować zaczyna jako państwo groźne nie tylko na morzu lecz i w polityce.

Władza Tudorów była absolutną i dowolności takiéj jakiéj przykłady znajdujemy tylko w Kaliguli lub Neronie. Lecz chociaż rząd był despotyczny, naród zyskał potęgę tak na wewnątrz jako i na zewnątrz. Klęski jakie poniosła sławna armada hiszpańska pokazały światu iż Anglia jest fortecą niezdobytą. Zniszczenie przewagi handlowéj miast hanzeatyckich podźwignęło przemysł i zwiększyło marynarkę. Zresztą jakkolwiek protestantyzm wprowadzony był przez Henryka VIII, mordercę swych żon, a kontynuowany przez Somerseta mordercę swego brata, i Elżbietę morderczynię nieszczęśliwéj Maryi Sztuart, to przecież politycznie dużo Anglia przez to skorzystała, albowiem stanęła na czele państw protestanckich i odtąd ważną zajęła rolę w dziejach świata.

Świetność polityczna jaką kraj zyskał w tym czasie byłaby zapewne słabém wynagrodzeniem za wszystkie gwałty i tyranie Tudorów, gdyby stosunki wewnętrzne nie były nabrały jednocześnie ruchu i życia dotąd nieznanego. Wojny domowe osłabiły dawną burzliwą arystokracyę a stan średni nie przyszedł jeszcze do poczucia swéj powagi, potrzebował więc kraj pewnego czasu do wyrobienia nowych żywiołów i do wystąpienia silniejszego do walki. Despotyzm Tudorów zapewnił mu pokój wewnętrzny, a osłabiając i demoralizując resztki arystokracyi, dopomagał tém samém stanowi średniemu do wzrostu i znaczenia.

W epoce nawet absolutyzmu Anglia była szczęśliwsza od innych państw. Familia Tudorów rządząc dowolnie, nie starała się zaprowadzać centralizacyi administracyjnéj, lecz owszem wspierała i zwiększała urządzenia miejscowe. Aby osłabić wpływ arystokracyi chętnie udzie-

lała przywileje miastom i korporacyom. Drobna zatém szlachta przyzwyczajała się do rządów w swych hrabstwach, a stan średni w miastach i grodach. Wzrost handlu i przemysłu obudził ducha assocyacyi, rozwinął przedsiębiorczość i energią w narodzie. Następnie *nowi ludzie publiczni* jak Wolsey, Cecil, Smith, Walsingham i Mikołaj Bakon, którzy pochodzili ze stanu średniego, a chociaż nieposiadali wzniosłości umysłu właściwéj familiom arystokratycznym, ani zręczności jaką odznaczali się zwykle ministrowie z duchowieństwa, przecież mieli wszystkie przymioty właściwe ich stanowi, jako to pilność, wytrwałość, głębokie i jasne pojęcie interesów kraju i patryotyzm nieznający spoczynku. Oni to pierwsi nauczyli Anglię zastósowywać w polityce zewnętrznéj ową sławną zasadę *Divide et impera*, oni pierwsi wskazali jéj iż przedewszystkiem uważać powinna na swe interesa i korzyści handlowe.

Przypatrując się ówczesnéj potędze Anglii, zdaje się iż Shakspeare malował tylko rzeczywistość opiewając w następnych słowach jéj świetne stanowisko: „Tronie królewski królów, wyspo piastująca berło, ziemio majestatu, siedlisko Marsa, drugi Edenie, półraju, forteco zbudowana przez naturę samą przeciw zarazie i napaści, szczęśliwa raso ludzi, mały świecie, kosztowny kamieniu oprawny w srebrzyste bałwany, który morze jako wał lub fosa wykopana około domu, strzeże przed zazdrością mniéj szczęśliwych ludów, ta ziemia błogosławiona, ten kraj, to królestwo, ta mamka piastująca tylu królów strasznych... ta ojczyzna tylu drogich istot, ta Anglia opasana morzem tryumfalném a o któréj brzegi najeżone skałami rozbijają się gwałtowne szturmy wilgotnego Neptuna, ta Anglia przyzwyczajona panować nad obcymi!“ —

Skoro naród wyda poetę, który z tak wielką potęgą maluje jego godność, to musi takowy posiadać w łonie

swojém wielkie zasoby, musi się czuć silnym i dumnym. Wówczas kiedy ten poeta genialny tonem wzniosłym i hyperbolicznym wynosił świetność narodu swego, czuł takowy w istocie swą dzielność, zrozumiał swe powołanie, zechciał być wolnym i został nim.

Religia jest ściśle połączona z porządkiem nowszych społeczeństw, dla tego po większéj części zmiany jakie w niéj zachodzą, wystawiają je na rozruchy i klęski. Henryk VIII niszcząc katolicyzm, przygotował rewolucyę i przez akt dowodzący jego absolutnéj władzy podkopał posady monarchiczne. Podobnie jak każda tyrania trwała i rozumna stara się oprzeć na pewnych interesach kraju, tak równie Henryk VIII zaprowadzając reformę, prześladując katolików i luteranów podsycał nienawiść i przesądy ludowe przeciwko władzy papiezkiéj. Poznosił niektóre podatki kościelne, rozdawał dobra skonfiskowane duchowieństwa pomiędzy szlachtę, a przez to zainteresował lud do swych gwałtów i odwrócił jego nienawiść od swéj władzy despotycznéj do religii katolickiéj.

Z powyższych uwag pokazuje się, iż za panowania Tudorów powstały trzy główne dążności szukające uznania tak na wewnątrz jako i zewnątrz. Protestantyzm jakkolwiek rozdzielony na liczne sekty zyskał potęgę nienawiścią katolicyzmu i sympatyę dla protestantów na stałym lądzie. Wzrastający przemysł i handel pragnął przewagi morskiéj a tém samém stawiał interesa angielskie w sprzeczności z państwami dotychczas panującemi na morzu. Nareszcie klasa średnia można liczbą i bogactwem chciała przyjść do władzy.

Rozstrzygnięcie tych trzech wielkich dążności narodowych przypadło na nieszczęśliwą familię Sztuartów, która goniąc za utopiami, wachając się w czynach i myślach upadła pod brzemieniem trudnych okoliczności i własnego niedołęstwa.

Panowanie Jakóba Igo służy za smutny prolog do tego tragicznego dramatu, jaki się z rewolucyą rozpoczyna. W tym czasie występują już wszystkie pytania które późniéj zostały hasłem wojen domowych, i pokazują się dążności zapowiadające nowe usposobienie umysłów.

Natura i wychowanie dołożyły wszelkich starań aby z Jakóba Igo zrobić dokładny typ tego wszystkiego czém król być niepowinien. Charakterem zbliża on się do Klaudiusza, obydwa posiadali tęż samą miękkość, ten sam brak decyzyi, tęż samą niepraktyczność i toż samo tchórzostwo. Obydwa byli uczonemi, pisarzami i mowcami i obydwa dali dowody swego ciasnego umysłu.

Jakób Iszy rozpoczynając panowanie familii Sztuartów starał się wstrzymać wszystkie dążności żywotne w ludzie angielskim i to smutne usiłowanie przekazał swym następcom. Protestantyzm i interesa handlowe oddzielały Anglię od Hiszpanii, Jakób nie zważając na to zaraz po wstapieniu na tron pospieszył zawrzeć z nią pokój i prosić o rękę Infantki dla swego syna.

Prawo do tronu nie było nigdy ustalone w Anglii, po śmierci Elżbiety zgłaszało się do niego aż 14tu pretendentów. Jakób będąc jeszcze królem Szkocyi napisał książkę w któréj starał się udowodnić: że panujący jest wiernym obrazem Boga na ziemi, że posiada władzę od nieba, że ma prawo tworzyć takie ustawy jakie mu się podoba — i nakoniec że Bogu samemu tylko winien odpowiedzialność z swych czynów. Wstąpiwszy na tron angielski chciał urzeczywistnić te zasady — nie troszcząc się o możność i przeszkody jakie w tym względzie napotkać może. Wyznawców téj teoryi znalazł w wyższém duchowieństwie, które będąc zawisłe od rządu a spodziewając się od niego korzyści chętnie przyjęło i propagowało zasady biernego posłuszeństwa.

Po Tudorach odebrał pełny arsenał instytucyi prote-

gujących dowolność i nadużycia. Lecz na nieszczęście swe nie posiadał ich energii i rozumu — chciał być na ich podobieństwo absolutnym a nie starał się jak oni o potęgę swego kraju. Słaby i zmiękczony położył zaufanie nieograniczone w ludziach lekkomyślnych i nieuczciwych. Dwóch z pomiędzy nich to jest Robert Carr i Jerzy Villiers wywierali na niego wpływ bezwzględny. Pomimo trybunałów wyjątkowych, sprawiedliwość była sprzedawaną, i sam kanclerz państwa Bakon autor Novum organum korzystał z téj hańby.

Co się zaś tyczy interesów Anglii, a zwłaszcza handlu który od czasu Elżbiety nabrał wielkiego znaczenia, zamiast mu dopomagać wstrzymywał go, tworząc rozmaite monopole i ustanawiając najniedorzeczniejsze podatki. W pierwszym roku jego panowania Raleigh podał mu pamiętnik wykazujący wszystkie potrzeby i interesa sprzyjające potędze morskiéj, handlowéj i przemysłowéj Anglii. Lecz myśli tego wielkiego człowieka zostały literą martwą, a w piętnaście lat potem Jakób aby uspokoić Hiszpanią którą geniusz Raleigha zatrważał posłał go na szafot.

Na szczęście swe Anglia nieprzestała od czterech wieków jak mówi Guizot patrzeć na swój parlament, a teraz przyszedł czas, w którym za jego pośrednictwem chce ona uzyskać i utrwalić swe prawa. Lecz zkądże do tego znajdzie potrzebną energią, gdzież ten rozum praktyczny umiejący godzić przeszłość z przyszłością i łączyć wolność z porządkiem? Drobna szlachta trudniąc się rolnictwem, zasiadając po sądach, piastując godności administracyjne w hrabstwach, rozwinęła zdolności praktyczne i obznajmiła się z interesami kraju. Stan miejski zyskując coraz więcéj na zamożności zasiadając w radach municypalnych dostatecznie został usposobiony do wzięcia korzystnego udziału w życiu publicznem. Ze szlachty drobnéj za czasów Tudorów powstała nowa

arystokracya, wykształcona, energiczna, czująca wysoko swą godność i narodu. Arystokracya ta drugiego powołania nie ustępuje w zamiłowaniu niepodległości i odwadze dawnym baronom, a przewyższa ich w uszanowaniu prawa i porządku. Wszystkie te żywioły są przygotowane już do walki, i tylko czekają na hasło.

Przy otworzeniu zaraz pierwszego parlamentu w roku 1604 wystąpiły oznaki nieufności i dążności zdradzające rewolucyjny charakter. Parlament ten niezboczył z drogi umiarkowania, lecz z powagą i wytrwałością zabrał się do dzieła. W obec panującego który naśladował dowolnie Tudorów bez ich potęgi, który wyznawał teorye uwalniające go od wszelkiéj kontroli i odpowiedzialności przyjął on dwie główne zasady zapewniające jego niepodległość, to jest że jemu tylko służy prawo weryfikowania elekcyi i że członkom w ciągu trwania parlamentu niemoże być wytoczony proces, i że niemogą być aresztowani. Następnie parlament ten w sposób poważny, lecz nauczający odważył się zaprzeczyć teorye absolutne Jakóba w słowach następujących: „Wasza królewska Mość jest źle zainformowany. Królowie angielscy nieposiadają władzy absolutnéj na mocy któréj mogliby zmieniać religią, gdyż podobnéj władzy Bóg nieudzielił nikomu, i stanowić prawa bez zezwolenia parlamentu.“

Bardzo skromnie rozpoczęła się owa sławna walka pomiędzy parlamentem a tronem, z początków jéj trudno było wnosić, iż ona z czasem przejdzie na bój krwawy i gwałtowny. Parlament umiarkowaniem i godnością zajął poważne stanowisko, i postępował zwolna tak jakby wiedział iż potrzeba jeszcze długiego czasu aby naród mógł otrzymać prawdziwe swobody.

Zmuszony potrzebą pieniędzy zwołał Jakób I drugi parlament w roku 1614, lecz ten nie powolny jego żądaniom rozwiązany został po dwóch miesiącach egzy-

stencyi. Odtąd przez 6 lat rządził on dowolnie nie odnosząc się do Izb i narodu. W ciągu tych lat smutne i melancholiczne wypadki nastąpiły tak wewnątrz kraju jako też i zewnątrz. A pomiędzy innemi ważniejsze jako to rozwód Essexowéj, morderstwo Owerburego, wyniesienie Villiera, przebaczenie Somersetowi, niełaska Coka, śmierć Raleigha, bitwa pod Pragą, inwazya Palatinatu przez Spinolę i prześladowanie ogólne Protestantów na stałym lądzie. Wypadki te i nadużycia Jakóba wywołały w kraju wielkie nieukontentowanie które zmusiło go do zwołania nowego parlamentu w roku 1621. Odtąd zmienia się scena działania, odtąd parlament zaczyna występować groźniéj i śmieléj. Poważył on się krytykować politykę zewnętrzną króla, który obrażony tą zuchwałością kazał mu oznajmić, iż nie do niego należy zajmowanie się interesami państwa. Parlament wystąpił z odpowiedzią którą śmiało uważać można za manifest rozpoczynającéj się walki. Odpowiedź ta brzmi następująco: „wolność, swobody, przywileje i jurysdykcya parlamentu są prawem wrodzonem i dawnem, niezaprzeczalnem i spuścizną poddanych Anglii. Sprawy ważne i nagłe, tyczące się króla, państwa, obrony królestwa i kościoła jako też stanowienie praw, strzeżenie ich wykonania, i czuwanie nad nadużyciami ciągle powiększającemi się, stanowią przedmiot właściwy i godny obrad Parlamentu.“

Protestacye te podobnie jak i dawniejsze nie miały żadnego skutku. Sciągnęły tylko prześladowanie najznakomitszych członków parlamentu pomiędzy któremi były imiona pierwszych familij jako to: Essex, Warwick i Spencer. Lecz chociaż nie otrzymały żadnego bezpośredniego skutku wywarły przecież znaczny wpływ moralny na kraj, usposobiły opinią publiczną i zawezwały niejako do tworzenia szeregów zbrojnych. Parlament postawił się na stanowisku pewnem i poważnem, w imie

praw odwiecznych, w imie spuścizny po przodkach przemawiał do króla i narodu. Rewolucya angielska zyskała przez to powagę legalną, stanęła po stronie wieków i tradycyi. Z tego praktycznego kierunku łatwo wnosić można iż ona doprowadzić musi do ważnych wypadków. Rozum jasny angielski nie gubił się w abstrakcyach niedorzecznych, nie szukał ideałów lecz chciał ustalić najkardynalniejsze prawa jakiemi są bezpieczeństwo osób i własności.

Jakkolwiek rewolucya angielska ulegając konieczności właściwéj każdéj rewolucyi, wyszła z granic umiarkowania i rozsądku, a przez to wystawiła naród na niepotrzebne klęski i nieszczęścia, to przecież duch jéj praktyczny i tradycyjny nie został bez wpływu;—naród angielski wcześnie przyszedł do upamiętania, a odróżniając fałszywe teorye i gwałtowne namiętności rewolucyjne od prawdziwych potrzeb i praw, tem więcéj umiłował wolność praktyczną i tę formę rządu która najwięcéj daje rękojmi dla niepodległości osobistéj i dla własności.

Zdrowie Jakóba Igo zaczęło słabnąć od pewnego czasu i na dniu 27 marca 1625 rozstał się z tym światem. Pod jego wątłem panowaniem duch wolności dojrzał i nabrał sił potrzebnych do walki, która nastąpiła za czasów jego następcy. Karol Iszy nie miał żadnego podobieństwa z ojcem swym. Nie był on pedantem i tchórzem, posiadał wielkie wykształcenie, rozwinięte uczucie piękna, i przykładną moralność w życiu prywatnem. Talenta jego jakkolwiek niebyły świetne, przecież chętnie zajmował się sprawami publicznemi. Postawa jego była poważna i królewska. Lecz na nieszczęście był on fałszywym i upartym, a umysł jego dość ciasny nie potrafił poznać usposobień ludu, i dążności czasu. Rząd jego zostawał w ciągłéj sprzeczności z opinią publiczną, robił on jéj koncessye wtenczas kie-

dy był zmuszony, lecz w téj saméj chwili kiedy dawał najuroczyściéj przyrzeczenie, łamał je i niedotrzymywał. Nareszcie naród który stracił do niego miłość, i ufność przestał go się z czasem obawiać.

Lud angielski prawie przez półtora wieku był rządzony przez panujących którzy pomimo wielkich wad i gwałtów posiadali znaczną energią, a jeżeli niebyli miłowani i nienawidzeni, to zawsze wzbudzali bojaźń w poddanych. Z familią Sztuartów zmienił się ten stan rzeczy na jéj nieszczęście i kraju. Przyniosła ona wyobrażenia do Anglii niezgodne z duchem jéj historyi i z usposobieniami narodu.

Władza królewska i parlament za czasów Karola Igo zachowały dawną swą rolę. Karol podobnie jak jego ojciec chciał rządzić absolutnie a Izba niższa podobnie do téj z roku 1604, 1614 i 1621 starały się ograniczyć jego dowolne pretensye i zdobyć formę rządu zgodną z duchem czasu i potrzebami narodu. Z tą tylko różnicą że walka ta która trwała już 20 lat, za wstąpieniem Karola Igo na tron zajątrzyła się, a wzbudzając coraz więcéj namiętności i wstrętu pomiędzy walczącemi stronami, przybrała nareszcie charakter pojedynku pomiędzy człowiekiem a narodem, pomiędzy panującym broniącym samowoli a parlamentem prawa do cywilizowania się i potęgi.

Karol Iszy powtarzał często te smutne słowa które go nareszcie przyprawiły o zgubę, „dla czegóż niemiałbym rządzić bez parlamentu podobnie jak bracia moi w Hiszpanii i Francyi". Zapominał tylko o różnicy czasu i o tem że nie był ani we Francyi ani w Hiszpanii. Jakkolwiek znalazł on poparcie swych teoryj w wyższem duchowieństwie i w części arystokracyi ziemskiéj, to jednakże część arystokracyi, drobna szlachta, stan średni, mniejsze duchowieństwo było jéj przeciwne. Fatalne zaślepienie niepozwoliło temu nieszczęśliwemu Mo-

narsze dopatrzyć zbierających się chmur nad jego głową. Coraz więcéj wyosobniał on się ze społeczeństwa i jako bohater średniowieczny gonił za marzeniami w obec narodu, który go nierozumiał i niesłuchał. Z jednéj strony Karol I kontynował politykę ojca swego, a z drugiéj strony parlament i cała część oświecona narodu nie wahała się stawiać oporu przeciwko wszelkiéj nielegalności. Przy pierwszym zaraz Parlamencie zwoływanym w roku 1625 wystąpiła grożna oppozycya. Król żądał pieniędzy a Izba niższa usunięcia różnych nadużyć. Aby zapobiedz prędkiemu rozwiązaniu, zawotowała tylko częściowo podatki, skarżyła się na pomoc niesioną Francyi przeciwko Hugenotom i zażądała aby prześladowanie Purytanów ustało. Król rozwiązał Izbę i z własnéj woli nałożył podatki. Lecz czyliż zatrzymując ministra Buckinghama który shańbił koniec panowania Jakóba Igo nie odkrywał przez to myśli w jakiéj chce rządzić? Przyzwolić podatki królowi na całe życie podczas władzy ministra znienawidzonego od narodu wydawało się Izbie niebezpieczeństwem i słabością. W następnym roku występuje ona daleko śmieléj i energiczniéj. Jakkolwiek zezwoliła na podatki żądane, oskarżyła Buckinghama, a król na to odpowiedział przyaresztowaniem członków, którzy poważyli się wziąść inicyatywę w tak śmiałym kroku.

Rozbierając bliżéj wypadki, zdaje się iż fatalna logika niemi kieruje. Zawczasu można przewidzieć ofiary i tryumfy. Widząc Karola Igo pasującego się z falami czasu, pomimowolnie budzi się w nas dla niego sympatya, gdyż przeczuwamy iż ulegnie jéj przemocy. Przeczuwamy że Monarcha ten pełen cnót, wybrany został jako expiacya cudzych zbrodni, gdyż niepodobna aby sam upór i pogarda danego słowa wystarczyła na usprawiedliwienie jego smutnego losu.

Każdy krok Karola Igo nacechowany dowolnością budził w kraju niechęć a Izbom dodawał odwagi. Brak pieniędzy ten zły geniusz większéj części panujących prześladował bezustannie Karola Igo i stawiał go w najfałszywszem położeniu. Pretensye jego absolutne rozbijały się o smutną rzeczywistość, robiąc z niego parodyę losu. Najzuchwalsze zamiary przy słabości środków wydają się śmiesznemi i niedorzecznemi. Jakkolwiek ten nieszczęśliwy Monarcha w obronie swych zasad podniósł się aż do heroizmu, to przecież słabość jego charakteru i fantastyczność zamiarów zaciemnia wiele jego zalet.

Karol Iszy chcąc przyciągnąć do siebie kraj zniechęcony rozmaitemi nadużyciami zwołał Parlament w roku 1628. W ciągu pierwszéj sessyi Izba niższa wymogła od króla po przyzwoleniu podatków sławny akt znany pod nazwiskiem *the Petition of Right*, stanowiący drugą wielką kartę swobód i przywilejów angielskich. W skutek tego aktu Karol Iszy zobowiązał się uroczyście do nienakładania podatków bez zezwolenia Parlamentu, do szanowania niepodległości osobistéj i do przywrócenia trybunałom właściwych ich attrybucyj. Ustawą tą zastrzeżone zostały wszystkie prawa kardynalne i zdaje się że odtąd kraj przejdzie na drogę pokoju a panujący wraz z narodem używać będą błogiego losu. Żądania poprzednich parlamentów uzyskały sankcyą królewską i przeszły w prawo, a przez to usunięto wszystkie powody do agitacyi i oporu. Tymczasem wypadki inny bieg przybrały; duch rewolucyjny postąpił o jeden krok naprzód a Karol Iszy zbliżył się o jeden krok do przepaści mającéj go pochłonąć. Ręka mordercza uwolniła naród od nienawistnego ministra Buckinghama. Karol I nauczony doświadczeniem i upokorzony w najróżnorodniejszy sposób miał teraz porę zmienić swą politykę i przejść szczerze na drogę legalną, zwłaszcza że do tego zobowiązywały go słowa dane uroczyście Parlamentowi

i narodowi. Lecz na nieszczęście swe wybrał on na doradzców dwóch ludzi którzy jego i siebie przyprawili o zgubę. Jeden z nich Laud człowiek uparty, nienawistny, gwałtowny i ograniczony, a drugi Strafford odważny, zdolny i wymowny lecz przytem przewrotny i zepsuty, weszli do ministeryum. Od tego czasu zaczyna się zmieniać scena działania i wypadków. Do tego czasu nadużycia królewskie nie nosiły charakteru stanowczego i niepochodziły z planu śmiało pomyślanego a energicznie wykonywanego. Były one raczéj igraszką lekkomyślności królewskiéj, aniżeli postanowieniem niezmiennem. Odtąd pretensye panującego zamieniono w system i do nadużyć zaprowadzono metodę. Laud zaczął prześladować nielitościwie i z zaciętością nienawistnego pedanta wszystkie sekty protestanckie i chciał je zmusić do powrotu do kościoła anglikańskiego a Strafford dokładał wszelkich starań aby utworzyć stałe wojsko i przy jego pomocy zniszczyć nietylko swobody polityczne ale nawet sądom odebrać dotychczasową niezawisłość. Postępowanie niedorzeczne i gwałtowne ministrów zwiększyło w kraju nienawiść a w Szkocyi wywołało wojnę domową. Podatki dowolnie nakładane stały się powodem do oporu i częstych aresztowań; lecz wszystkie te pojedyncze czyny nikną w porównaniu obywatelskich cnót Hampdena. Duch legalnego oporu wszystkich poprzednich parlamentów za Jakóba Igo i Karola Igo znalazł w nim uosobistnienie i najdzielniejsze ramie. Protestacya z jego strony przeciw zapłaceniu 20 szyllingów dowolnie na niego nałożonych zyskała rozgłos w kraju i obudziła w nim świadomość jego praw. Hampden został naczelnikiem parlamentu i narodu. Nie działał w skutek inspiracyi osobistéj lecz był duszą kraju i czasu swego. Został niejako inkarnacyą ducha politycznego rasy anglo-saksońskiéj. W nim przedstawiają się wszystkie jego przymioty z całą swą potęgą i świetnością,

jako to zdrowy rozsądek, rezolutność, wytrwałość, pogarda okazałości i głębokie uczucie prawa połączone z głębokiem uczuciem obowiązku, w ogóle, zbiór tych wszystkich przymiotów energicznych i męzkich które tworzą charakter publiczny ludu zdolnego do wolności.

Macaulay bardzo słusznie utrzymuje: iż historya Hampdena począwszy od roku 1640 aż do jego śmierci jest historyą Anglii. Znakomity ten mąż przedstawiał to wszystko co purytanizm miał szlachetnego a co oppozycya słusznego i praktycznego. Jakkolwiek został wielkim nie szukał wielkości, jakkolwiek został sławnym niepragnął sławy tylko postępując po drodze obowiązku same one przyszły uwieńczyć jego skromne i poważne skronie. Spokojnie i bez pretensyi znakomity ten szlachcic z Buckinghamshire stanął na czele swego narodu i otworzył mu drogę do nieznanéj dotąd świetności. Pierwszy raz wystąpił w życiu publicznem w roku 1621 i zajął miejsce w téj Izbie która śmiało powiedzieć można iż sformułowała rzetelne potrzeby kraju. Po rozwiązaniu Parlamentu w roku 1826 nałożono pożyczkę przymusową. Hampden niechciał poddać się takowéj, utrzymując: iż chętnie by pożyczył tak jak inni lecz obawia się wystąpić przeciw Magna Charta, która przepisuje aby ją czytano dwa razy do roku tym którzyby chcieli przekroczyć jéj prawa.

Przez jedynaście lat po rozwiązaniu Parlamentu w roku 1628 przebywał w swym majątku położonym w najpiękniejszéj okolicy hrabstwa Buckinghamshire i zajmował się rolnictwem i używał spokoju wiejskiego. Aż do czasu sławnego swego oporu przeciwko dowolnemu podatkowi, posiadał on jak mówi Clarendon reputacyę w swym okręgu, lecz imie jego niebyło jeszcze głośne w kraju, ale odtąd został on przedmiotem rozmowy wszystkich, każdy się zaczął pytać co to jest za jeden ten który odważył się bronić wolności i pomyślności

kraju. Proces nareszcie wytoczony mu w roku 1636 dokończył jego sławy i zrobił go potężnym. Postępowanie jego w téj sprawie zyskało powszechne uznanie, jak mówi Clarendon, imie jego uczyniło sławnem w całem królestwie!

Pomimo protestacyi, petycyi i oppozycyi parlamentów, pomimo poważnego wystąpienia Hampdena nadużycia się nie zmniejszały i trudno było spodziewać się czyli kiedykolwiek ustaną. To położenie smutne kraju budziło w jednych zwątpienie a w drugich chęć do jego opuszczenia i szukania w nowym świecie swobodniejszego losu. Zwłaszcza w roku 1637 dowolność ze strony rządu doszła do najwyższego stopnia. Parlament przez 8 lat nie był zwołany, gwałcono prawo własności, nie szanowano bezpieczeństwa osobistego, w ogóle rozpaczliwy był stan kraju. Zwątpienie doszło nawet do nieugiętéj duszy Hampdena i postanowił on wraz z krewnym swym Kromwellem opuścić Anglią a przenieść się do Stanów Zjednoczonych. Lecz rozkaz Lauda wstrzymał okręt który miał unosić tych dwóch mężów, a z niemi złego geniusza familii Sztuartów. Z tego się pokazuje o ile wypadki są nieprzewidziane, kto wie czyliby rewolucya była wybuchła gdyby ci dwaj jéj naczelnicy byli opuścili Anglią? W każdym razie byłaby przybrała inny charakter i kierunek. W ówczesnem społeczeństwie dwie tylko były takie indywidualności jak Hampden i Kromwell, gdyż wielkich ludzi rzadko Opatrzność zsyła na świat, a skoro ich ześle to wkłada na nich pewną missyę którą koniecznie wypełnić muszą.

Po rozwiązaniu Parlamentu w roku 1640, naczelnicy ludowego stronnictwa zostali w Londynie w celu uorganizowania oppozycyi przeciwko królowi. Odtąd występują oni energicznie a zwłaszcza Hampden jeździ od hrabstwa do hrabstwa i namawia wszędzie elektorów jakich mają wybierać deputowanych. W skutek tych

zabiegów oppozycya zyskała większość w Izbie niższéj. Na dniu 3go listopada tegoż samego roku zebrał się ów sławny parlament znany pod nazwiskiem długiego, który przechodził najrozmaitsze koleje. Używał on najwyższéj władzy i najnikczemniejszéj uległości, sławy i hańby. Raz panował nad swym monarchą, a drugi raz był najpowolniejszem narzędziem w ręku uzurpatora.

Przy pierwszem zebraniu się Parlamentu widać było z fizyonomii członków, że oni nie napróżno się zebrali i że są gotowi do energicznego kroku. Clarendon mówi że ci sami ludzie którzy przed sześciu miesiącami byli umiarkowani i ze środkami łagodnemi, teraz zaczęli występować gwałtownie przeciwko królowi i ministrom i odgrażać się iż przybrać muszą inne stanowisko od ostatniego parlamentu.

Naród tak jakby przeczuwał iż parlament będzie sądem przed którym zacznie się toczyć jego sprawa i tronu, posłał do niego na członków ludzi najznakomitszych. Bezwątpienia sprawa ta wymagała zdatnych obrońców i znalazła ich w Falkladzie, Hydzie, Digbym, Youngu, Harrysie, Vanie, St- Johnie, Hollissie i Fiennesie.

We wszystkich rewolucyach są ludzie fatalni którzy dają hasło do boju, są to posłańcy ducha rewolucyjnego. Takim człowiekiem w obecnym parlamencie był Pym, który oskarżył o zdradę stanu Lauda i Strafforda. Od tego czasu parlament wstąpił na pochyłość bardzo ślizką po któréj spiesznie dążył do rewolucyi. Od tego czasu broń legalna jakiéj dotąd Hampden używał zaczęła się łamać i potrzeba było użyć ostrzejszéj i niebezpieczniejszéj. Jakkolwiek większa część parlamentu nie była rewolucyjną, jakkolwiek pragnęli oni ustalić monarchię konstytucyjną, to przecież przygotowywali wypadki których potem wstrzymać i owładnąć nie potrafili. Parlament chcąc dać uczuć królowi swą potęgę skazał Strafforda na śmierć i głową tego nie-

szczęśliwego ministra oddzielił się prawie na zawsze od tronu i uczynił późniejszą zgodę niepodobną. Karol I na gwałty parlamentu odpowiadał podobnemiż gwałtami. Kazał nietylko aresztować członków parlamentu, ale nawet sam zniżył się do téj roli, aż w końcu wywołał nieukontentowanie w mieszkańcach Londynu którzy stanęli po stronie parlamentu a on niewidząc się dosyć bezpiecznym opuścił stolicę i na prowincyi wywiesił chorągiew wojny domowéj. Na odgłos téj wojny Hampden jako naczelnik parlamentu i ruchu narodowego czując że właściwsze jest dla niego miejsce w obozie aniżeli w Izbie, pospieszył wraz z swemi przyjaciołmi uorganizować wojsko i wkrótce wystąpił na plac boju na który go król wczwał. Lecz Opatrzność niepozwoliła mu doczekać końca rewolucyi i zdaje się że uznała jego rolę za skończoną. W ostatnich chwilach zgonu swego Hampden również pokazał się wielkim jak i w całem swem życiu. Ostatnie jego słowa: „Boże przyjmij duszę moją, i zbaw moją ojczyznę.“ świadczą o głębokim jego patryotyzmie i o wielkiéj religijności. Ze śmiercią Hampdena legalność straciła najznakomitszego reprezentanta a rewolucya zyskała otwarte pole do działania. Lecz duch religijny i patryotyzm które Hampden wyobrażał, żył w całem jego stronnictwie i nareszcie doprowadził go do zwycięztwa.

Do tego czasu skreśliliśmy geograficzne niejako położenie rewolucyi, i wykazaliśmy główne punkta jakie parlament zajmował nim doszedł do ostateczności. — Nie jest celem naszym opowiadać szczegóły wojny domowéj. — Wiadome jej są smutne skutki. — W lat 4ry po jej rozpoczęciu nastąpiła pamiętna bitwa na równinach Naseby a w 4 lata późniéj tragiczna i niesprawiedliwa śmierć Karola Igo na placu Withall. —

W najrozmaitszych i najgwałtowniejszych objawach namiętności ludzkich panują pewne prawa; wówczas

nawet kiedy narody szaleją w swawoli ulegają pewnym koniecznym wpływom, z których utworzyć sobie można ogólną przynajmniéj teoryę ich aberracyi. — Znakomity naturalista francuzki Jouffroi St. Hilaire w potworach natury wykazał powszechne prawa rządzące światem fizycznym, dla czegóżby gwałtowne erupcye i wulkaniczne objawy namiętności ludów miały bydź czystym przypadkiem i niezrozumianym wyjątkiem w organizmie dziejów? — Zastanówmy się pokrótce nad rewolucyą angielską a może szukając jéj wewnętrznych sprężyn, znajdziemy zarazem ogólne prawa właściwe wszystkim rewolucyom. —

Powyżéj przytoczone fakta pokazują nam jak zwolna i nieśmiało naród angielski postępował nim wstąpił na drogę ostateczności. Blisko prawie przez lat 40 parlament zostawał w oppozycyi legalnéj i energicznéj przeciwko dowolności panujących nim uchwycił dyktaturę. Przez cały ten czas bronił on swych praw odważnie i wytrwale. — W roku 1640 ludzie umiarkowani jak Falkland Hyde i Culpeper znani pod nazwiskiem Rojalistów konstytucyjnych byli naczelnikami oppozycyi i głosowali za wnioskiem Pyma oskarżającym Lauda i Strafforda o zdradę stanu. —

Z wzrostem rewolucyjnego ducha władza przechodziła do coraz energiczniejszych i gwałtowniejszych naczelników. — Od monarchistów konstytucyjnych i umiarkowanych przeszła do Hampdena Koka i Seldena, a od nich do Pyma, Lilburna i Wana, aż nareszcie dostała się w ręce Kromwella. — Czegóż nas te fakta uczą? Z nich widzimy iż rewolucya angielska miała trzy główne periody. — W pierwszym nieukontentowanie powszechne w narodzie objawiało się przez długoletnie zażalenia, i petycye różnych parlamentów, które streściły i zformułowały rzetelne potrzeby czasu. Była to epoka przygotowania i legalnego oporu. — W drugim pe-

riodzie występują ludzie umiarkowani i półśrodkowi, którzy jakkolwiek postępują na drodze legalnéj — przecież doprowadzają do gwałtu i dają hasło do rewolucyi. — Nareszcie w trzecim periodzie panuje czysty duch rewolucyjny, który wyniósł Kromwella do steru rządu. We wszystkich niemal rewolucyach pokazuje się ten sam charakter. — Fizyonomie ich są różne lecz prawa ich rozwoju są też same. — Każda z nich miała jakąś podstawę legalną. — Każda miała swych Żyrondistów, i każda swych dyktatorów i uzurpatorów. — Lecz dla czegóż wszystkie rewolucye kończą i muszą skończyć na téj fatalnéj ostateczności? Na to pytanie znajdziemy również odpowiedź w rewolucyi angielskiéj, skoro bliżéj poznamy jéj pierwiastki i obliczymy jéj siły. —

Przy otwarciu długiego parlamentu dnia 3go listopada 1640 r. Izba niższa liczyła 506 członków, w roku zaś 1649 po scięciu króla i ogłoszeniu rzeczypospolitéj zaledwo ich 100 było. — Mniejszość ta przyszła gwałtem do władzy, a niemając żadnéj podstawy i sympatyi w kraju musiała znaleść haniebny koniec. — Jakkolwiek ta garstka szczerych republikanów stała na przemocy, nie chciała przecież uznać głównéj jéj podpory, jaką miała w wojsku i nareszcie przez nie rozpędzoną została. — Już przy ogłoszeniu rzeczypospolitéj pokazują się dwa elementa sobie nieprzyjazne; z jednéj strony oligarchia cywilna, słaba i rozbita na rozmaite koterye, a z drugiéj wojsko okryte chwałą, czujące swą potęgę, i kierowane przez szczęśliwego generała i genialnego zarazem polityka. —

Po śmierci Hampdena Kromwell został naczelnikiem rewolucyi a droga zwycięztw doprowadziła go do najwyższéj władzy. Wystąpił bardzo późno na scenę życia publicznego, lecz zaraz w początkach odznaczał się energią i chęcią czynu. — Mając lat 18 z powodu śmierci ojca swego zmuszony był po rocznym pobycie opu-

ścić uniwersytet Cambridge i nieść pomoc matce i sześciu swym siostrom. — Mając lat 21 ożenił się w Huntigdon trudniąc się gospodarstwem pędził życie w sposób taki, który obok zatrudnień wiele pozostawia czasu do rozmyślań. — Będąc szanowanym od sąsiadów a kochanym od familii żył spokojnie i nieznany od świata, czasami tylko miewał gwałtowne napady. — Często, mówi Warwick w swych pamiętnikach, kazał on o północy przywoływać doktora Sinscott i sądząc się bliskim śmierci rozpowiadał mu o swéj hypokondryi i o swych urojeniach z powodu krzyża w mieście. — Krzyż więc papiezki trapił jego duszę. — Skoro nasłuchał się kaznodziejów okolicznych, naczytał Biblii, narozmyślał o Bogu i człowieku, o życiu i śmierci wówczas przychodziły mu do głowy myśli najdziwaczniejsze. — Usposobienia te Kromwella zaświadczają iż od młodości bardzo go zajmowały pytania religijne, i że miał żywą wyobraźnią która myśli jego przemieniała w kształty.— To są niemal najważniejsze szczegóły z jego młodych lat. —

Zostawszy członkiem parlamentu rzadko się odzywał a skoro wystąpił to albo oskarżając księży papistów, lub żądając jakiegoś postanowienia energicznego.— Mówił zawsze bardzo krótko, a z tego wnosićby można iż nie posiadał talentu oratorskiego, tymczasem późniéj talent ten jak i wiele innych w nim się odezwały. — Lecz skoro wojna wybuchła, Kromwell czemprędzéj organizuje milicyę w hrabstwach Norfolk, Lincoln, Essex, Cambridge i Herts, przywłaszcza sobie prawie władzę i rządzi niemi w imieniu parlamentu. — Po pierwszéj potyczce pod Edgehill widząc iż rzemieślnicy londyńscy i synowie kupców nie potrafią stawić stanowczego oporu szlachcie przyzwyczajonéj władać orężem, pomyślał zaradzić temu i uwagi swe zakomunikował Hampdenowi. — Ten na to powiedział: nasi nieprzyjaciele posia-

dają stary honor—a na to odpowiedział Kromwell: a więc naprzeciw honoru trzeba postawić religię. — I w istocie pomysł jego był znakomity: religia zwyciężyła honor.— Kromwell pierwszy potrafił za pośrednictwem fanatyzmu zaprowadzić w wojsku posłuszeństwo i dyscyplinę. — Uorganizowawszy raz fanatyków, na ich czele pokonał wszelki opór i idąc od zwycięztw do zwycięztw doszedł aż do najwyższéj władzy. — Villemain bardzo słusznie mówi iż zdaje się jakgdyby w Kromwellu ukryte były rozmaite talenta których on stósownie do okoliczności i potrzeby używał. — Odgrywał najróżnorodniejsze role, występował jako teolog, polityk, prawodawca, naczelnik stronnictw, wódz i panujący. — Do 42 roku życia nie zatrudniał się wojskowością lecz skoro pokazała się potrzeba walki wszystkie talenta i przymioty wojskowe w nim się znalazły. Początkowo zasiadając w parlamencie prawie gadać nie umiał, lecz jak został naczelnikiem rządu mówił bardzo długo, bez przygotowania a niekiedy nawet świetnie. — Ten sam człowiek który przed kilkunastu laty uderzał wszystkich prostotą swego ubioru i gburowatością wieśniaka, skoro mu potrzeba było działać na wyobraźnią mass, umiał otoczyć się przepychem i okazałością. Jakkolwiek szczery w swych przekonaniach jednakże umiał być chytrym aż do subtelności. Czuły w stosunkach familijnych był okrutnym i nieubłaganym skoro polityka tego wymagała. — Wystąpiwszy raz na scenę świata szczęście nie przestało mu się uśmiechać i doprowadziło go do zaszczytów i sławy. Będąc jeszcze młodym, wierzył że Opatrzność kieruje losami ludzkiemi, lecz skoro późniéj dopełnił wiele czynów świetnych i niespodziewanych, tem silniéj zaczął widzieć palec boży zawieszony nad jego głową. Po każdem niemal zwycięztwie, przy każdem poważniejszem wystąpieniu powtarzał: „Bogu jednemu przynależy się sława, ja jestem jéj słabém i niegodném narzędziem.“

Bardzo słusznie mówi Philarete Chasles iż Kromwell nosił Biblią w sercu a Kalwina w głowie. Purytanizm i fatalizm nie zaciemniał w tym genialnym człowieku zdrowego rozsądku, owszem, można powiedzieć iż on był jego żywém i najdoskonalszém uosobistnieniem. — W każdym kroku jego życia widać zmysł praktyczny, czy to w rozmowach z fanatykami, czy z sekciarzami politycznemi, czy w działaniu publicznem, doskonale on odróżniał utopię od praktyki, marzenia fantastyczne od prawdy.

Skoro przyszedł do steru rządu zmysł ten praktyczny został u niego geniuszem politycznym. Dokładnie widział że rzeczpospolita już niepodobna w Anglii i że z kilkudziesięcioma utopistami religijno politycznemi trudno krajem rządzić. — Kilka następujących zdań posłużyć może na dowód czerstwości i praktyczności jego rozumu. „Bez ducha porządku i dyscypliny, może tylko istnieć duch djabelski, demoniczny i pochodzący z głębi szatana.“ — „Nie uczyłem się mówił on w parlamencie sztuki wymowy, nie jestem w wielkiéj zażyłości z retorami i z frymarką ich słów. Tak panowie, lecz celem naszym jest mówić rzeczy (speak things). Opatrzność która czuwa nad nami wymaga tego po nas.— Pierwszy przedmiot o którym chcę mówić jest *zbawienie* kraju, prawo bytu, prawo natury. Potrzeba zbawi kraj lecz jakże go zbawiemy, jak egzystować będziemy.“—„Każdy rząd musi się opierać na czemś fundamentalném, na jakiejś Magna Charta stałéj i niezmiennéj.“ Do fanatyków i utopistów których idee nazywał *czysto seraficznemi* marzeniami bez wartości i znaczenia, przemawiał: „Skoro wy rządzić będziecie Anglia zgubioną będzie gdyż wy nie rządzicie.“ —

Po ogłoszeniu rzeczypospolitéj rządy Anglii przeszły w ręce koteryi oligarchicznéj, która jakkolwiek posiadała ludzi z talentem i gorącą miłością ojczyzny prze-

cież przemocą tylko przyszła do władzy i zostawała na łasce wojska. Rzeczpospolita była przeciwną zwyczajom i wyobrażeniom narodu. Lord-Maire Londynu Reynoldson niechciał ogłosić proklamacyi urzędowéj znoszącéj monarchią. — W całym kraju panowało wielkie nieukontentowanie i tylko żelazna wola mogła go utrzymać w porządku. — Naród angielski, parlamenty, znakomici i uczciwi ludzie pragnęli tylko uprawnienia swobód zabezpieczających własność i niepodległość osób. — O te to prawa *wrodzone*, *nieulegające przedawnieniu*, o tę *spuściznę po przodkach* dopominały się parlamenta. Do tych praw przed sądem samowolnym odzywał się Lord Capell, bohater i najszlachetniejszy obrońca sprawy królewskiéj i fanatyk dziwaczny a wytrwały Lilburn.— Republikanie sami widzieli niepodobieństwo utrzymania się rzeczypospolitéj. „Trudno mówił Saint-John, aby w tym narodzie zaprowadzić można inną formę rządu od monarchicznéj, bez zachwiania fundamentalnych praw i zniszczenia swobód ludowych.“ —

Prawem konieczności rządzącém wszystkiemi rewolucyami Kromwell przyszedł do władzy. Wśród różnych partyj, opinij i pretensyj osobistych obrał on rolę mówiąc jego językiem *wielkiego konstabla* i zapewnił krajowi spokój i porządek. Napoleon w podobnem położeniu powiedział: „Rewolucya jest książką którą założyłem wstążeczką, po śmierci mojéj, późniejsze generacye otworzą ją tam gdzie ją naznaczyłem.“ Kromwell posiadając władzę absolutną, nie zniszczył ducha legalnego w narodzie angielskim owszem dał mu uczuć głębszą jego potrzebę. Poskromił on anarchię i rządził tylko potęgą swego geniuszu. Całe jego postępowanie dowodzi że ani rzeczpospolita ani absolutyzm militarny nie mogły się utrzymać długo w Anglii. Kromwell używał wszelkich kombinacyj możliwych aby ustalić porządek legalny. W tym celu tworzył najróżnorodniejsze

parlamenta, które ciągle stawiały mu oppozycye a które on ciągle rozwiązywał. Utrzymywał się tylko przy sterze rządu potęgą swego imienia lecz z jego śmiercią zakończył się stan rzeczy przez niego zaprowadzony, gdyż nie miał żadnéj podstawy i sympatyi w narodzie. Po śmierci Kromwella restauracya nastąpiła sama przez się a Karol II dziwiąc się nad spontaneicznością ruchu narodowego, słusznie stawiał pytanie: dla czegóż wcześniéj nie zająłem należnego mi tronu? —

Każda rewolucya spożywa się we własnéj anarchii i gwałcie. W narodach w których życie obiega czerstwo i dzielnie w chwilach jego wulkanicznych wstrząśnień występują ludzie genialni którzy uwalniają go od anarchii i zdobią je sławą. — W narodach zaś wątłych sił i zachwianéj moralności chytrość i podstęp tryumfują.—

Michał Słomczewski.

JEDNA Z TYSIĄCA NOCY RZYMSKICH.

List drugi do księdza Jana Ostapowicza *).

Di quella Roma onde Cristo è Romano.
Dante, Purg. CXXXII.

Słońce, największy malarz włoski, penzlem z promieni we mgle i parach różnobarwnych umaczanym, maluje piękności ideału na tle gór rozciągających się łańcuchem, gdyby długie płótno, od jednéj do drugiéj kończyny italskiego półwyspu. W wieczór, gdy milkną wszystkie głosy i szumy, gdy morze Śródziemne ucicha i fale swoje nucąc usypia jak dzieci na lazurowém łonie, gmachy miast włoskich, cuda jeniuszu ludzkiego, przyglądają się w ciszy wieczornego zachwytu pięknościom, jakie ręka Boża ucudowawszy niemi włoską przyrodę wystawia codziennie na Apeninach; tym snom światłości od gasnącego słońca wymarzonym i podanym nocy już się zbliżającéj, aby o nich śniła miesięcznemi wspomnieniami. Ten poemat słoneczny, te nieszporne

---

*) Patrz Tom I, str. 399.

światła piękności co wieczór się tutaj powtarzające na niebie i na ziemi, są jakoby nieskończonym na jawie ideałem, któremu dosyć ramy przydać, aby w nich obrazem stanął, dosyć nutę doń przystroić, aby cały się wyśpiewał, piórem go przepisać, aby się w rytmy zamienił. Słońce, największy malarz włoski, było nauczycielem wielkich włoskich mistrzów: od niego to się uczyli jak rozrabiać farby, jak je stapiać, stopniować i zdmuchiwać po płótnie; jak je rozemglać, uprzezraczać i w malowane powietrze obracać; dusza ich była paletą, na któréj słońce ich ojczyste składało tajemnice barw, które penzlem powtarzali za słońcem, jak dzieci słowa za matką powtarzające. Muzycy uczyli się od niego tajemnic harmonii, i znajdowali wszelkie dźwięków zlewania się i przejścia w téj gamie kolorów codziennie od słońca przebieganéj i wydającéj nieskończone odcieniów tony. Poeci pożyczali przenośnie u słońca przenoszącego barwę kwiatów i klejnotów na gór wierzchołki, kwitnienie błoni na chmury, lazur nieba na falę, a mienienie się fali na mgłę pływającą, jak piana po Apeninach, olbrzymich wałach nieruchomego morza; — u światła składającego co wieczór góry i niebo w jeden błękit, jako dwa wiersze w rym jeden, i całą przyrodę idealizującego taką barw apoteozą i ziemi wniebowstąpieniem. Poezyi bowiem nie tworzysz pod takiém słońcem: ona cię sama otacza, okrąża i bierze w siebie jak wiatr eolijską harfę; poemat napisany w koło ciebie, gotów w powietrzu którém oddychasz, w powietrzu namiękłém ideałem jak wonią pomarańcz: toć nieraz i myśl i mowa twoja tym oddychalnym ideałem namiękają i trącą jak szaty wychodzącego z pełnéj wonności izby. Jeśli chcesz być nazwanym poetą u ludzi, pisz tutaj za okiem twojém, pisz za słonecznym promieniem, obrazuj za światłem, chwytaj już przeniesione od niego przenośnie, tocz okresy po grawalnym zarysie posągów, śpie-

waj myśl i skanduj wiersz na miarę rytmicznych świątyń rozmiarów: świat będzie mniemał żeś twórczy i twórczości twojéj poklaskiwać będzie, niewiedząc iż nie masz więcéj zasługi nad dziecię zgłoskujące za nauczycielem.

Księżyc, czarodziej włoski, wszystko co słońce rozpiękniło czaruje; światło miesięczne wplata swe ustępy w nieskończony słoneczny poemat; jest ono dalszym nocnym ciągiem jego dziennéj treści, posrebrzeniem złotego dziennego światła, ostygłém słońcem, dniem nocnym; rzekłbyś iż dzień tu na noc osiąka w błękicie, i wciąż jasny przez błękit przegląda jak przez szafir przejrzysty, iż światło się wylało z wywróconéj czary niebios, ale nie przestaje za nią się palić i z po za niéj świecić, wybladłe tylko od błękitnego cienia którym zaszło, wybielałe od sinéj przezroczystości, którą podbite. Księżyc na północném niebie zda się być niejako wwianym w tło niebieskie; na południowém zaś wydziela się z lazurowéj głębi i wisi w powietrzu jak rosa u gałązki skroplona i już już spadająca; jednako czarowny czy to na nowiu, gdy jak łódka światłości szybuje po ciekłym lapisie z jego srebrem przetopionym i ściętym przezroczystością, lub gdy się półkolem zniża za Palatyn, jak ognisty rąbek spuszczonego oka Rzymianki; czy to w pełni, gdy jak kielich lilii wodnéj pływa i unosi się nad powierzchnią wód niebieskich. Światło auzońskiego miesiąca ma miękkość łabędziego puchu, tajemniczość alabastrowéj lampy, dymnistość kadzidła i kolorytu Coreggia. Gwiazdy nie ćmią się i nie toną w takiém świetle: drżą w niém jak krople rosy, mienią się jak karbunkuły; wszystkie okiem pozbierasz jak pył brylantowy pod srebrną miesięczną gazą przez którą przesiany, jak perłowe muszle w Sorenckiego morza kryształach. Góry Sabińskie i wzgórza Tuskulańskie w téj poświacie prószącéj i mżącéj srebrem i błękitem jak

gdyby niebo motylim się pyłkiem osypywało, odmuchują się z zarysów, powietrznieją, zdają się być jeno cieniem swoim, odbiciem jakiéjś zaświatowéj przezroczystości na widnokrężném przezroczu, lub samego nieba ustoinami i gąszczém nieroztajałym jeszcze w płynniejsze lazury.

Noc miesięczna jest właściwym dniem staréj Romy, jéj gmachów, jéj posągów. Ta jasność która wykrada rumieniec z oblicza dziewic a dodaje bladości paryjskim marmurom, która świetląc i cieniąc to co słońce jedynie oświeca, ciągnie za sobą cienie jako smętne siostrzyce, jest przyrodzoném oświetleniem onéj cieniów ojczyzny, onych Pól Elizejskich na rzeczywistości. Wstępując w to niedojrzałe do pełni słonecznéj, w to obumarłe światło, które będąc w przestrzeni czém wspomnienie jest w czasie, może się nazwać wspomnieniem minionego słońca na dalekim świecie odbitém, Roma zdaje się wstępować w przeszłość będącą także odbiciem słońc umarłych w pamięci człowieczéj. Cisza, towarzyszka księżyca, który jest myślą i milczeniem światła, jak słońce jest jego mową, dziwnie się zegrywa z grobową Romy ciszą; karta niebieskiéj przestrzeni zapisana gwiazdami, i karta rzymskiéj kampanii nagrobki i wodociągi mająca za napis, czytane jednocześnie od niemego miesiąca, niewymownie do siebie milczą. Przy nim gmachy rzymskie wywięzują się z oprawy architektonicznych zarysów, wracają do zamętu idealnego w którym pływały w duchu budownika, do nieokreślenia idei, któréj byt zawdzięczają; a zbliżone w taki sposób do źródła zkąd wyszły, zbliżają do nas epokę co je utworzyła: przeszłość wyczarowana senném nieruchomém księżyca światłem, występuje na powierzchnią marmuru jak wyraz myśli na oblicze snem znieruchomione. To światło, którém zaszłe słońce z otchłani stworzenia ciemną księżycową bryłę okrasza i jak snycerz kształtuje, cudnie się

ześwieca z myślą wypadłą z ducha zmarłego Fidjasza lub Praxitela, i z dali wieków jak z odległości niebieskiéj świecącą jako zewnętrzna dusza na posągowych odłamkach. *Parii lapides, spirantia signa*, które się greckiém nieśmiertelnią pięknem z pod prochu rzymskiego forum.

Patrzałem nieraz jak księżyc w pełni wschodził między trzema pozostałemi kolumnami Graecostasis, gmachu w którym podejmowano posłów do Rzymu przybywających, i jak wyrastał z korynckiego kapitelu by blady owoc wiecznie liściastego akantu *baccus semper frondentis acanthi* [1]), potrząsając forum tym szronem żywych pereł, o którym Tasso śpiewa:

E già spargea rai luminosi e gelo
Di vive perle la sorgente luna.

W głębi parowu — bowiem rozkopano dzisiejszy poziom aby dostać się do starożytnego — rozkrywał on drogę świętą, która wyczołgawszy się niby płaz skamieniały z pod nagromadzonego rumu i żwiru, wdzierała się na zgrzybiały kapitol i jego ramię okręcała zawrotem, pomna jeszcze, choć świątyni Jowiszowéj nie stało, aby nieomylić zwycięzców powracających do niéj. Wklęsłe płyty jéj pomostu, jak klawisze uderzone akordem światowładnéj potęgi, już się nie podniosły odkąd je werżnął w ziemię rydwan Cezarów ładowny zwycięstwy, i wyżłobiło koło Fortuny, która się tędy toczyła do swéj świątyni, na to, aby w Romie wytchnąć już na wieki, *ita Romam intravit, ut mansura* [2]). Sieroty kolumny, co je świątynie odumarły, stały nad drogą świętą z jednym bokiem obnażonym od księżyca, z dru-

[1]) Georg. III.
[2]) Plutarch. *De fort. rom.* II, 317.

gim wlokącym jeszcze długą cienia żałobę obszytą białemi marmury, i trzymając się między sobą wyglądały azali Cezar nie wraca. Przez głębokie bruzdy co widne były na nich jak na wypłakanych jagodach wdowy, jasność księżycowa łzami zdała się sączyć. Inne czekaniem znużone położyły się na *Via sacra* całując ślady tryumfatorów; spadłe korony kapitelów daleko się potoczyły od nich, i walały swe korynckie liście i jonickie zwoje w wielkości rzymskiéj obróconéj w popiół pokutny; albo stawszy się rosy i dżdżu łzawnicami, topiły w sobie miesięczne promienie. Na obleciałych fryzach podsieni księżyc odświeżał lekkie festony do marmuru przywiane i puszczające listki cienia jako wykwit nocny, i ożywiał połamane posągi martwością poświaty swojéj. Pewnego wieczora spostrzegłem jeden, który do połowy odgrzebano; przy świetle miesięczném, w miesięcznéj bieli, zdawał się postacią zwolna zmartwychwstającą. Głowy mu niedostawało; ale po cudnie rzeźbionéj piersi, którą ręka charyt greckich czy gracyi łacińskich przysłoniła powiewnym marmurowym rąbkiem, poznać było niewiastę, zakopaną westalkę, którą kochanka Endymiona budziła promieniem. Pomyślałem iż pierś taka kochać musiała, kiedy ją samę przeżyła w marmurze i nieśmiertelność wyprosiła dla niéj. Głębokie milczenie oczarowało przebudzoną i jéj przebudzenia godzinę, która wybiła przed chwilą na kapitolskim zegarze, a któréj ponure tętno mierzące wiecznie wieczność Romy tonęło zwolna w ciszy rozlanéj jako Martwe morze nad zwaliskami pani narodów; głucho było na rostrach od dwudziestowiecznego milczenia Cycerona; głucho w koło łuku Sewera, gdzie skrzydlate wiktorye trąbiły bez głosu nad wyszczerbionym obłękiem; tylko żebrak siedzący pod świątynią Fortuny mruczał *De profundis*, i pacholę z pomiędzy gruzów przedrzeźniało puszczyka nucącego swą elegią na Jowiszo-

wym ganku. Trzeba stanąć na forum, aby mieć wyobrażenie o nieskończoném rozpadnieniu się największéj w świecie jedności; o streszczeniu na garść perzyny dziejów, którym świat cały był za ciasną widownią. Każda tam taczka przewozi skrzypiąc okruchy wieków i proch pokoleń; każde podniesienie motyki podnosi tam wieki chwały i przewiewa jak plewę popioły mocarzów i ludów, spopielałą wieczność Romy. To napatrzywszy się na te zwaliska, na te gruzy, na te popioły, na ten proch, podnieś oczy ku krzyżowi stojącemu na kapitolskiéj wieży w aureoli miesiąca, a pojmiesz siłę od któréj granitowa pierś Romy prysnęła w takie atomy rozsadzona, rozkochana; promień oparty na dziejowym smętarzu największego między ludami będzie ci prostą drogą do krzyża, co wyciągnioném ramieniem zda się pisać na tarczy miesięcznéj: *Ego sum resurrectio et vita; qui credit in me, etiam si mortuus fuerit, vivet* [3]).

Którzy byli w Rzymie znają te nocy, co to je znakomity pisarz włoski hrabia Verri na poemat przerobił i użył za tło srebrolite po którém przesuwa cienie starych Rzymian, te nocy do *Tysiąca i jednéj* czarem należące, gdy w amfiteatrze Flawiuszowym, rozpadłym zasklepie zkąd się wykłuła i wzleciała wieczna Miłość, która się skrzydli na kapitolu ramionami krzyża, kosisty księżyc wschodzi i rogiem się wysuwa z boku olbrzyma, nakształt tych lampek wmurowanych w głębi katakumb przy grobach męczenników, i gdy promieniem niepewnym jak jąkające usta, spija powierzchnią cienia, którym Kolosseum wezbrało po ścian swoich brzegi; lub kiedy ocierając zolbrzymiałą tarczę swéj pełni z krwawych par co ją zapociły o mech i powoje, sędziwą brodę olbrzyma, zmartwychwstaje powoli z rozbitego sarkofagu jego zwalisk i podnosi się w zwierciadlanéj przezroczystości,

---

[3]) Joan., c. XI, 25.

aby zawisnąć nad krzyżem stojącym pośród cyrku, jak podniesiona śnieżna hostya nad głową kapłana, u ołtarza tych ścian w których najwięcéj krwi się ofiarnéj przelało. Wówczas, za uderzeniem prostopadłego promienia, rozwidnienie miesięczne jak koło na wodzie coraz się szerzy na piaskowni, którą śniegiem poświaty swojéj potrząsa; a cień zwolna rozgarniony jak czarny włos na bladém czole podwójnym się wałem zwęża coraz ku ścianom; bliższe arkady naprzód występują okrawając się srebrem po guzowatym zarysie, a dalsze zdają się we własną głąb uciekać i wtajemniczać się we własne wnętrze u jednych już światłem przymglone, u drugich czarne jeszcze od zgęstniałego cienia. Spadłe bryły marmuru, kolumny o złamanéj kibici tulące się do arkad co nad niemi długim powojem płaczą, na razie z ciemności przebudzone, od czarnego tła odświecone, występują z krużganków, z womitoriów i z łuków, gdyby westalki w białéj żałobie Dyanny, wlokąc za sobą podarte od miesiąca cienie po murach podartych wyłomami, w których tam i sam światełka się gwiazd naprzemian zapalają i zdmuchują pod przewiewającym bluszczem. Jednocześnie z gwiazdami, któremi noc wysadza próżnie amfiteatru, wschodzi nad areną i coraz jaśniéj ustaje się we zmroku wieniec światełek zatlonych przed stacyami krzyżowéj drogi, i drżących jak krople jasności w koło rozwalonego *podium*. Te poziome ledwo rozświtłe konstellacye cyrku są jak niebieskie dla żeglarzy drogoskazami na polu męczeństwa, i oznaczają popasy wiecznéj Miłości na krzyżowéj boleści drodze. Za każdém światełkiem cierpienie odnawia się i zmienia jak podwoda wędrowca; za każdém następuje wypoczynek,—to jest mdłość i pod krzyżem upadek; a po wypoczynku znowu się cierpienie roznieca ku dalszéj pielgrzymce jak płomyk każdéj z tych lampek. Wlecze się żywot Zbawiciela od miejsca do miejsca przygasły,

konający, aż dochodzi do śmierci, do krzyża, który stojąc w całunie miesięcznéj bieli ściele na arenie kiry swego cienia i za obiegiem księżyca cieniem ją żegna dokoła.

A jednak te sklepienia poświatą teraz pobielane bieliły się niegdyś marmurem z Parosu, Karrary i Luny, te resztki łuków na których księżyc rzeźbi teraz festony bluszczu posiwiałe od jego spojrzenia i krepą cienia podwiane, niegdyś stokrotnym wytryskiem swojego obłęku powtarzały ludowi rzymskiemu okrągłość jego świata; te zabluszczone krużganki, te zielskiem spływające stopnie, spływały niegdyś wzorzystemi kotary, mieniły się odzwierciedloną w marmurze purpurą *velarium*, olbrzymiéj zasłony, którą za pomocą lin okrętowych rozciągano nad całym cyrkiem, aby widzów ochłodzić od skwaru i spieki. Z womitoriów, drzwi któremi się wchodziło na galerye, a które dzisiaj się stały upustami cienia lub ujściami miesiąca, wyuzdywał się z szumem głosów i łoskotem oklasków potok stutysięcznego ludu; obżarty sportulą, strawnem co mu patrycyusze u progu swego wyrzucali, leciał on na wszystkie piątra cyrku krwią się jeszcze upić, po *panem, circenses!* wołając; od góry do dołu w zapienioném rozkiełzaniu jak żyjąca kaskada; wściekał się rozkoszą i zataczał pijany od mordu i wszechmocy całém amfiteatru zakolem; albo téż jak jeden człowiek powstawał, gdy go woźny oczarował słowem: Cezar! Pan Romy wchodził do amfiteatru przez ukrytą galeryą z pałacem połączoną; posuwisty i lekki jak Apollo grecki kroczył on po nad falą tłumów w ciszę jego imieniem zaklętą i opadającą pokłonem aż po jego stopy; lutnie poetów oddzwaniały stąpanie jego po marmurach; blask złotego wieku tłem się jego postaci imał; podołek jego latiklawu zamiatał czoła ludu-króla zwiewającego niewolniczym oddechem proch z jego obuwia; sami bogowie tak zbóstwionego prze-

ciągali ku sobie przedzgonną apoteozą, i już mu sączyli do śmiertelnego żywota nektar boskości i wieczności swojéj: *divus, aeternus* Cezar, nad pochylonemi w trofea pękami liktorów, pod skrzydłami orłów Romy, co mu pioruny Zeusa paliły w koło oblicza, w laurze wiecznie zielonym od jego wieczności, co świata okrąg zwęził mu na skronie, w majestacie Romy ze wdziękiem Hellady gibał się ukłonem do ludu; i teraźniejsza cisza jedném gromu uderzeniem odgrzmiewała Cezarowi: *Dominus es! primus es! ab aevo vinces!* [4]) Tyś pan, tyś pierwszy, zwyciężysz na wieki! I w tém wniebogłośném ludowém pozdrowieniu w nawałnicę rozhukaném i wirującém wszystkiemi cyrku kręgami, słychać było ryk zgłodniałych lwów, śmiech rozkosznic z lupanaru, brzęk lutni płatnych wieszczów, i zgrzytanie tygrysich szponów o kraty *vivarium;* a Bóg Abrahamów rozeznawał w niém i słyszał ciche modły chrześcian czekających na męczeństwo w ciemnym korytarzu; jak widzi drobne perły pod burzą Oceanu. I jak łoskot gromowy konając zda się huczyć pod ziemią, tak pozdrowienie ludu konało witaniem podziemno dobywającém się z piersi gladiatorów: *Morituri te salutant, Caesar!* Synowie germańskich borów i czarnomorskich stepów pamiętali jeszcze wolność; rodzinny wodospad Renu albo progi Dniestru, niezagłuszone temi okrzyki na cześć Cezara, głośniéj od takowych szumiały dotąd w ich duszy; oblicze przyglądającéj im się Romy w zwierciedle wzniesionéj ich stali już śmiertelnéj nabierało bladości, i z głębi nadchodzącego wieku już się rozlegał tętent kopyt Attyli.... Rozjadała się szermierka; razy się podwajały; miecze w ręku wśród puszcz i pustyń wyrosłém niemogąc jeszcze ugodzić w serce Romy i odpruć od jéj czoła korony amfiteatru, co granitowym obręczem ściskała

---

[4]) Dio. lib. LXXII.

karki brańców, siekły powietrze którém oddychali ciemiężyciele; mściły się wzajemnie na własnéj braci pospolitéj niedoli i niewoli, i z całym pośpiechem błyskawic swoich leciały przeciąć ostatni ciała węzeł, którym Roma jeszcze pętała nieujarzmionego ducha. Rozliczni szermierze rozlicznym walczyli obyczajem: *laquearii* zwani, dla łacniejszego zwycięstwa starali się nacierając zarzucić węzeł niewodu na szyję *sekutorów* uzbrojonych tylko kończerzem i tarczą, a *retiarii* ująć ich w sieć zręcznie miotaną i przeszyć trójzębem. *Dimachaeri* zaś podwójnym mieczem na ostre gonili z Trakami, brańcami z zimnych Orfeuszowego Hemusa dolin [5]), których poznać było po zakrzywionéj szabli *harpes* jakoby harfą rzeczonéj, może na pamiątkę Rodopejskiego wieszcza. *Mirmillonowie* z Gallii rodem, odznaczali się spiżową rybą na hełmie, a upadając pod ciężarem zbroi często walkę przedłużali na klęczkach z *Samnitami* w pióra strojnymi, co dumnie na nich następując jedyném nogi obuwiem, i cios wymierzając z pod srebrzystego puklerza, wołali: Nie w ciebie Gallu, ale w rybę godzę [6]). Marcialis powiada, iż widział także w amfiteatrze Sarmatów końskiego mięsa za pokarm używających:

Venit et epoto Sarmata pastus equo [7]).

Wśród rdzawego obłoku wzbitego z kłębów zwiru i ze krwi wyziewów, w którym zgiełk, świst, ryk, wycie, jęk konających i klask wiwatny widzów, cała wszechpotęga Romy grzmiała wszystkiemi bezimiennemi nawałnicy tonami, pod gradem oklasków sypiących się na

---

[5]) Gelidis in vallibus Haemi. Virg. *Georg.* l. III.

[6]) Non te peto: piscem peto; quid me fugis, Galle? Fest., Auson. *Technopaegnio.*, Sueton., Martial. *de Spectaculis*, Macrob. *Saturnalia.*

[7]) *Spectac.* III, 1.

przeciwnika co mu miecz wytrącił, na śmiertelném tarczy posłaniu twardém jak wieko grobowe, z kawałkiem powrozu u szyi, którym Roma chciała spętać niw jego bezmiary i koło jego widnokręgu ściągnąć mu na karku w obróżę niewoli, leżał pośród cyrku umierający Słowianin. Bryła marmuru jedna wówczas poczuła tę ostateczną jego chwilę i ulitowała się jéj wielkości; i jedyna mścicielka gladiatora obraz jego uchwyciwszy na wieki jako płód swoich kamiennych wnętrzności i zekształciwszy go z sobą, dotąd go niema dzierży i namścić się nim nie może nad niewolą Romy. Zgonny dreszcz najeżył jeden po drugim włos konającego zlepiony potem znoju i boju; dłoń jego rozbrojona, skrzepła wpiła się po omacku pożegnalnym uściskiem w garść piasku jéj podaną zamiast bratniéj dłoni; upuścił on ciężkie jak ołów spojrzenie w kałużę własnéj krwi toczącéj się z przebitego boku, i wzroku jeszcze nie gasił, aby wyśledzić przy onego dogorywaniu jak ziemia upiorowemi usty ssała rozlane jego życie. Ach! to nie ojczysta rola, któràby ku złotym plonom użyzniło, na którejby weszło rumieńcem w jagody zawsze szumiących lasów; to jałowy tylko piasek, cudzy jak niewola; to łono Romy przeklęte wiecznie spragnioną niepłodnością, rozdeptane od Cezara na służebne atomy, łono w którém *fatum* bije zamiast serca, i na którém świat się cały musi położyć podłością, poddaństwem i konaniem, by zapaść się w nie nicestwem!... I od życia jego kroplą po kropli zachodzącego w ziemię od bita łuna gorzkiego uśmiechu broczyła usta Słowianina, bledniejąc coraz od śmierci, która jego źrenicę, już mgliła sinością fali Dnieprowéj; i zdało mu się wskróś tumanów zgonu i kurzawy, w śmiertelnym zawrocie głowy już się na łono staczającéj, iż Roma w miarę jak je tracił życiem się jego upijając, w około wychylonéj do dna piersi taniec wirem zawodziła.... Ale dla pragnie-

nia Romy rana gladiatora jeszcze za ciasna i krew za leniwo toczy dla niecierpliwych jéj nudów. Już obwieszczono, iż cios śmiertelny odebrał, zwykłym okrzykiem: *hoc habet!* A jednak przywłaszczyciel własnéj duszy czyż hasła tego niesłyszał, że się z nią zapomina i niepamięta, iż ona jest tylko Rzeczypospolitéj rzeczą u niewolniczych jego członków do czasu zastawioną, pod straszliwą przysięgą iż się oddają Romie, do wyboru pańskiego, na palenie, wiązanie, chłosty i zamordowanie żelazem: *uri*, *vinciri*, *verberari*, *ferroque necari*.... *et quidquid aliud jussisset*.... *domino corpora animasque religiosissime addicimus* [8])? Bramę *sandapalaria* otworzono oddawna; czernieje w niéj *libitina* [9]), mary dla gladiatora; a za niemi płomień niecierpliwie się strzępi z pogrzebowych pochodni i sarka iskrami; a przed niemi trąby żałobne już się po kilkakroć odezwały... Ale przebóg wiarołomca Słowianin urąga długością zgonu wieczności Cezara, ale niechce się poddać Romie, gardła odrazu nadstawiać, a potem trupem paść ze wdziękiem na skinienie westalek.:. z nieśmiertelną wolnością na czole, jak go marmur kapitolski objawia, dźwigając się ostatnim wysiłkiem na skośniałéj prawicy, odpycha nią jeszcze ziemię niewoli, znienawidzoną ziemię, by ostatniego tchnienia o nią nie skalać... Więc znieważona Roma cała się obrusza przeciw rokoszaninowi, i cała się miota na jednego jednym żyjącym lodozwałem, pod którym drżą sklepienia amfiteatru, a zakrzyczane echo olbrzyma jak spracowana pierś ustaje. Stutysięczne prawice śmierć nań wymierzyły skinieniem; stutysięczne głosy wyrokiem śmierci jak jednym ugodziły weń pociskiem. *Repete!* wołano wśród oklasków z podium i z galeryi, z dolnych i z najwyższych stopni do waha-

---

8) **Rota pozysięgi gladiatorów. Petron. Arbit. c. 117.**

9) **Lamprid. Quintil. *Declamat.***

jącego się zwycięzcy; a do zwyciężonego Słowianina wśród rzęsistych pogwizdów: *Recipe ferrum!* Przyjm cios! I niewolnik Sarmata zaprzysiężone Romie życie pod miecz oddający, by je wykupić ściętą śmiercią od hańby śmierci krzyżowéj, niewidział konając jak drzewo niewolników stanęło pośród roztrzaskanego cyrku na arenie, na któréj umierał, i niewidział klęczących przed niém polskich pokoleń.... Drgającego jeszcze, aby nie wadził innym zapaśnikom, spiesznie na haku wleczono do *spoliarium*, pospolitegó na trupy śmietniska, zkąd je grabarze przerzucali na mary i wynosili za miasto. A krwawe ślady któremi ciało gladiatora zasępiło piaskownię, wnet przed okiem Cezara zasypywano miałkim cynobrem lub chryzokalem, do którego nieraz przymieszane były opiłki z drogich kamieni [10]); i aby swędy krwi niewolniczéj niezachmurzyły czoła wypogodzonego w cieniu wawrzynów, niewidome sikawki wnet krzyżowały nad areną rosę balsamu i szafranu, i z misternych rur buchały na nię obłoki roztworzonych w kadzilną parę aromatów, które okadzając bóstwo Cezara, poiły rozkoszą i wonią zmysły widzów jeszcze z mordu niewytrzeźwione.... A gdy za zmianą widowiska w komiczne przedstawienie, małpy i niedźwiedzie w stroju matron rzymskich nabawiły lud do woli mizdrzeniem się niewieściém [11]), lub udanemi w prawniczéj todze cycerońskiemi ruchami [12]); kiedy przez jednomyślną uchwałę senatu i ludu udarowano wolnością lwa ze złoconemi pazurami i z grzywą klejnotami przeplataną, za to, iż zgrabnie służył i nosił królika w paszczy [13]), a

---

[10]) Sueton. *de Cajo Calig.* c. XVIII.
[11]) Apul. *Asin.* c. XII.
[12]) Panv. *de Lud. Circens.* c. III.
[13]) Martial. *Epigram.* l. I cv. 14.

nawet wspaniałomyślnie odesłano go na pustynię kiedy słonie za biesiadników obojéj płci poprzebierane siedząc u stołu ze słoniowéj kości, wzniosły zdrowie Cezara, a potem idąc w pląsy niby rzymskie tanecznice zarzuciły widzów kwiatami, albo się powywracały od Falernu, z dziecinną radością ludu-króla, który nadewszystko smakował w rzezi niewolników i pojeniu słoniów [14]); po odegranéj nareszcie sztucznéj scenie, w któréj cała piaskownia pękać się zdała, i wyrastały z niéj w okamgnieniu drzewa z pozłocistemi owocami naśladujące ogród Hesperydów, a Orfeusz wychodząc z lutnią pociągał je za sobą, aż go rozerwały źwierzęta z gęstwiny wypadłe [15]); po zużyciu wszystkich wystaw, jakiemi tylko tyraństwo przez ówczesną sztukę schlebiać ludowi i gardzić nim mogło; gdy niebo już bledniało jak twarz gladiatora nad widzami zabawionymi na całodziennych igrzyskach; wówczas dawała im się czuć potrzeba wznowienia gwałtownych wrażeń i zaostrzenia zmysłów przytępionych ziewającym już śmiechem. Lud ten straszny i potworny w krotochwilnych rozrywkach, był wyszukanym i wykwintnym mordercą; urozmaicał wedle przepisów estetyki jednostajność mężobójstwa, i z kunsztowną źwierzęcością umiał stopniować *patos* widowisk; dziki jak *fatum* Romy, jeżli się dał ukołysać na chwilę złotym snom helleńskim, któremi piękna matka mytów [16]) przesypiała swą niewolę, to rychło rozkazywał służebnym piaskom Libijskim, aby mu zawiodły pieśń budzoną rykiem lwów swoich, uczniów *samunu;* i dla wytrzeźwienia się z marzeń namiętniejszem upojeniem, znowu kłem źwierząt krwi sobie nataczał z przydatnych na to jedno ciał bluźnierców, co to boską cześć odda-

---

[14]) Buling. *de Venation. circ.* c. XX.

[15]) Calpurn. *Eglog.* VII, v. Martial. *Spect.* XXI, 1.

[16]) *Ελλας μυθοτόκος.*

wali Galilejczykowi, którego Poncyusz Pilatus, starosta prześwietnéj Rzeczypospolitéj w Judei, wskazał był na niewolników stracenie. I tak amfiteatr Flawiusza Wespaziana Cezara był w ówczas powszechném krwi ściekowiskiem dymiącém nieustannie jak czasza z ofiarną posoką w ręku augura sprawiającego taurobolium; cokolwiek jest lotnego, kadzilnego w duchu naszym z kolosseum, z męczeństwa się ulotniło: krew dymiła ideałem. Przedtém ludzkość jedynie stąpała przedziwnemi miary i kształty piękna greckiego: polot jéj z amfiteatru rodem. Pierwotna karta dziejów chrześciańskiej krwią zaszła i popisana błyskawicami miłości: przy nich bledniały już gromy Zeusa na zachodzie rzymskiéj potęgi, i przy róży męczeńskiéj purpura już bledniała i wiotszała niewidomie na barkach Cezarów; a śmiertelnym wyrokiem dla Romy i jéj świata był ów wyrok siłą stutysięcznego wołania ciśniony na arenę: Śmierć chrześcianom! lwy na chrześcian! lwom zaś aby je rozwścieklić i wypędzić z podziemnéj jaskini na piaskownię, przyczepiono do grzywy tlejące zarzewia, drażniono je wodą, ostremi bodźcami, w ogniu rozpalonemi płytami. I przy pokładzinnéj pieśni zaryczanéj od nich ze wtorem niestworniejszego jeszcze wołania ludukróla, Roma, rozemdlona pod larwą wszechmocy, coraz głębiéj jak nienawistna oblubienica zapadała w objęcie wiecznéj Miłości.... Wtedy zaczynało się widowisko, którego aniołowie i ludzie byli widzami. W tych ciasnych szrankach cyrku już nie skoczki i niewolnicy, lecz Roma sama po raz ostatni występowała do walki, Roma cezarów i bogów, silna tą siłą, która się utożsamiła z jéj imieniem, wieczna tą wiecznością, któréj symboliczne koło zdało się obracać na kapitolu, osi świata streszczonego w gród wieczny, i zaokrąglać się w Panteonie w który się Olimp streścił; Roma rozpierająca się na siedmiu pagórkach łupami ze wszech lądów w jéj ogrom ukształ-

towanemi i zaludnionemi ludem posągów, który aby się ożywić wyczerpał wszystkę twórczość ludzkiéj piersi; wdrożona w tryumfy gościńcami swemi, które prawem własności tryumfalnemi się zwały, jakoby zwycięztwo płynąć nie śmiało, jeno łuków rzymskich korytem; — a w Romę wcielona, jak ateńska Pallas coby wstąpiła napowrót w głowę kapitolskiego Jowisza, jaśniała w cyrku Hellada, owa słoneczna światłem na wskróś przejęta Hellada, która promienie Feba swojego zamieniła mu we struny, i na téj ze światła lutni Apollinowéj rozśpiewała się całemi dziejami i całą się istotą rozpiękniłła aż do boskości; która tyle światła przejęła wewnątrz od Heliosa stojącego wiecznem południem nad Partenonem, iż nawet zamknąwszy oczy widno jéj było śpiewać ze ślepym Homerem i w niebo patrzeć uśpionéj boskiemi sny Platona. — Owoż przeciw téj Romie i téj Grecyi spieszyli jacyś nieznajomi odarci ze wszystkiego odziani w nagość, rozpłomienieni miłością; „tułający się po puszczach, po górach i jamach, i w jaskiniach ziemi;“ „błąkający się w owczych i kozich skórach, opuszczeni, uciśnieni, utrapieni, których nie był godzien świat [17]);“ ci którzy teraz stoją „przed stolicą i przed oblicznością baranka, przyobleczeni w szaty białe a palmy w ręku ich [18])“ Natchnienie i przyszłość gorzały im na skroniach zapalone u lampy grobowéj. Zkąd przyszli? — „Przyszli z ucisku wielkiego [19]).“ Pielgrzymi i przechodniowie, oblicze ich było idących do Jerozolimy; doczesność była im tylko gościną, z któréj wychodzili wrotami amfiteatru. Straszliwe ich zastępy, niezliczone jak gwiazdy nieba, leciały ogromniejszym i lotniejszym od lotu rzymskich orłów pochodem z kata-

---

[17]) Ś. Paweł, list do Żydów, r. XI, — 38 — 37.
[18]) Objaw. ś. Jana. r. VII, 9.
[19]) Ibid. r. VII, 14.

kumb — przez amfiteatr do nieśmiertelności. Rodem z pod ziemi i ze śmierci, ożywieni na wiarę ostatniém tchnieniem braci, wypiastowani na ustach grobów przymkniętych jak do pocałunku nad stosami zamordowanych co je przepełniały, pogrobowcy oni piękni byli jak oblubieniec oblubienicy Salomonowéj, kiedy z pieczar swoich bili błyskawicą na powierzchnią ziemi, kiedy się podnosili jak widziadła wśród igrzysk, oświaty, i rozkoszy Romy, i stawali na arenie przed Cezarem, senatem i ludem, na uroczyste świadectwo Galilejczykowi! Dla tych mieszkańców nocy ciemną była świetność rzymska rozpromieniona w kole amfiteatru, i ciemném samo to słońce którem italski się lazur palił przy świetle co nosili w duszy! Aby go naczerpać w siebie żywcem zstępowali w groby, powracali w łono matki ziemi, tam gdzie korzenie ssące żywot wieszają się u jéj czarnéj piersi, gdzie ziarna by ożyć obumierają, gdzie wszystkie kształty przyrody zwinięte jeszcze w senne zarodki i w ciemność spowite, spoczywają jak niewdziana dotąd szata, milczą jak nieprzeczytana księga w koło serca bezpośrednio kołacącego do pana; z pod wieka poziomu, z pod ciemności spadających zasłoną między nimi a widownią świata, z piersi własnego ciała stojącego chmurą między nimi a ich słońcem, wydzierali się wszystko targającym zachwytem ku Światłości, która w ciemnościach świeci a ciemności jéj nie ogarnęły; przez dno grobu wyparte ich ustami widzieli bezdenność wieczności, widzieli jak przez wyłom to niebo które ziemskiém zasłania się niebem, to słońce, które stworzonemi się słońcy zacienia jako mgły kroplami; i tam gdzie życie ustaje, gdzie schną powiędłe już kwiaty, oni przy tém słońcu rozkwitający jak łąki, rozklęczeni po za życiem na saméj kończynie śmierci, zapatrzeni całą istotą w Piękność nad pięknościami, zalewali się nadmiarem rozkoszy i potokiem uwielbionéj

radości w podaném sobie ponad grób objęciu Umiłowanego, który im serce z piersi a wzrok z oczu wyczarował blaskiem uśmiechu swego i zielenią palmy co nie więdnie. W tych zachwytnych niewysłowionych uściskach kochanka i Boga śmiertelność ścierała się z ich ducha jak bladość z zmartwychwstającego czoła. Wśród tych bezpożądliwych żarów, spokojnych uniesień, trzeźwego upojenia, wśród tych przepaści szczęścia i światła załamujących się w ich duszę przez zatęchłe lochów sklepienia, odchodzili prawie od siebie, a już całymi sobą odejść do Oblubieńca pragnęli i wzdychali. A że władze nasze i dzielność duchowa dowiedzione do zachwytu, spotęgowane do twórczości, są już wyraźniejszym cieniem Słowa, które się stało ciałem, i przeto wcielić się usiłują, to i pragnienie ich także przesiągnąwszy pod ziemią wysokość na któréj ogień błyskawicą, a światło staje się słońcem, przepalało się i wcielało w uczute kształty i obrazy, i obrazami, godłami, pisali płomienie swoje na zimnym grobów marmurze. Łza ci się w oku kręci kiedy się wczytujesz — w pieczarach, przy pochodni, — w te przenośnie z serca na marmur po za świat podsłoneczny przeniesione, w ten szeroki jak katakumby poemat o nieśmiertelności, którego każde grobowe wieko jest kartą i śpiewem. Człowiek odrodzony w nowym Adamie, jak to maluje w katakumbach symboliczna postać Orfeusza, nie wyszedłszy dotąd z ciemności w których się był na nowo począł, już uderzał po omacku w lutnię stworzenia od starego Adama rozstrojoną; a wszystkie twory Boże wracając do pierwotnéj stworności z człowiekiem, jak na Orfeuszowe granie, już się doń posłuszne zbiegały pod ziemię, i myśli, czucia, pragnienia swego pana a wieszcza podawały w symbolach swoich kształtów pospolitemu Stworzycielowi. Od nich to się dowiesz, że te wiernych żądze miały pęd żagli wiatrem gnanych, szyb-

kość lotu gołąbki, przesłanki pogody, wracającéj do arki z oliwną nowiną; upalenie spragnionego jelenia bieżącego do źródła wody żywej wytryskającéj do żywota wiecznego; że jak Mojżesz zdejmujący obuwie aby przystąpić do gorejącego krzaka, tak oni pragnęli rozwiązać duszę swoją z obuwia tego ciała, aby zjąć się płomień z płomieniem z Oblubieńcem niebieskim. Skończony człowiek nie może całego stworzenia napełnić bytem swoim, ale może je całe miłością ogarnąć i przejąć; oni całe stworzenie nie tylko ziemię, ale i niebo z jego gwiazdami nosili w swojém sercu jak obraz tego Oblubieńca, oni go całą ziemią, całém gwiazdzistém niebem kochali: dotąd dają się widzieć wyryte na grobach męczenników tajemnicze serca gwiazd pełne. — Wszechświat był dla nich jednym żyjącym symbolem, skróconém słowem Słowa, zasłoną ze światła i błękitu prześwieconą od wiekuistéj Piękności, ale zasutą dotąd węzłem ich własnego ciała; aby spojrzeć twarzą w twarz Piękności takiéj, która się ćmiła ziemskiém południem a odzwierciadlała jeno w ciemni pieczar, trzeba było rozdziergnąć ten węzeł, — i widziano niezliczone tłumy porwane zawrotem męczeństwa, bieżące po to do amfiteatru! — Nic one niechciały, jeno nieba bez ziemi, wieczności w kochaniu: „Pozwólcie, proszę, abym umarł!“ wołał stary biskup Antiocheński Ignacy spieszący na śmierć z Azyi do Kolosseum. O nic Romy nie modliły jeno o zęby zwierząt i nie bały się jak tylko tygrysiéj lub rzymskiéj litości: „Jeśli zostanę rozszarpany i pożarty od lwów i tygrysów, pisał męczennik ten do Rzymian, będzie to znakiem waszéj życzliwości ku mnie; lecz jeśli żyć będę zmuszon, pomyślę, że mię uwolniono przez nienawiść, jaką macie do mnie“. W szeregach tych gwałtowników nieba byli ludzie różnego stanu, płci i wieku: starcy, których posiwiała mądrość wstąpiła do krypt egipskich i weszła na gwiazd obroty;

dziatki zaledwo odsadzone od mléka macierzyńskiego; panny, których nieskazitelne dziewictwo wystarczyłoby na białość liliom wszystkich téj ziemi padołów. Starożytność nie zmyślała o charytach gdy o nich mówiła, ani o nektarze i ambrozyi gdy się upajała ich czarem; świat rozkochany wznosił im posągi, aby cień ich przynajmniéj nieprzemijał z niemi; Roma podawała im na klęczkach spodlenie cesarskiego łoża i apoteozę bogów; jedna szczypta kadzidła z ich ręki byłaby zatrzymała te bogi już uchodzące z Olimpu.... W Chrystusa wierzym! wołały wywracając kadzielnicę panienki święte, których oblicze gasiło piękność greckich marmurów. I oddawały lilię swego ciała za męczeńską różę, świat i Olimp za jeden kwiat wieczniejszy od wieczności Romy. — W Chrystusa wierzym! powtarzały wielkim głosem nieprzebrane hufce chrześcian okute tą wiarą, która z nicestwa jak z matki płodzi cuda i rzeczywistości, i ziemię obiecaną wciela w oczy wierzących. I w miarę jak ich czoło podnosząc się nad przyrodzenie ludzkie i nad bóle katuszy, dorastało chwały wiecznéj, wyniezmiertelniało się, w miarę jak im wieniec męczeński nasuwał się na skronie, twarz ich jak słońce na zachodzie mieniła się pogodnym Boga żywego majestatem. Przy połyskach uwieczniającego się już życia bijących z oblicza tych nieboszczyków między żywymi, widziałbyś gdyby w rozdarciu błyskawicy jak już bladość strupieszałości przeczołgiwała się przez lice Romy i jéj Cezara. Świata pogromcy, wyciągali oni w niebo prawice swoje na nieodparte świadectwo Jezusowi Chrystusowi, a dłoń ich dzierżąca w swéj próżni straszliwą moc cudów już o wieki odległości rozwiewała skinieniem w proch poziomy tę niebotyczną Romę, którą rozwianą widzisz. Niewinne baranki wybielone we krwi barankowéj [20]),

---

[20]) Objaw. ś. Jana, r. VII, 14.

zostawiali oni swe runo paszczom zwierząt gdyby cierniom przydróżnym; członki ich mełły się pod dzikiego zwierza zębami jako zboże Chrystusowe [21]); żyły ich rwały się jak struny pękając hymnem zwycięztwa; odarci do duszy, promienni z ciała wystający by miecze na pół dobyte z pochew, jeszcze wlekli przez arenę to zranione, zbroczone i na samym duchu wiszące ciało, aż jak podartą chorągiew zatknęli je konając pośrodku amfiteatru Flawiusza Wespazyana, i tak już rozwinąwszy ten swój znak wygranéj nad ubieżaną ze światem Romą, oddalali się z pobojowiska do nieśmiertelności. I panienki święte padały mdlejące więcéj z miłości niżli z konania, i umierały z niedokończoném w piersi cierpieniem, bo się przerwało anielską melodyą znagła usłyszaną, z oczyma miłośnie wniebowziętemi, z zachwytnym uśmiechem, którym ich dusza wyrywając się z ciała w objęcia Umiłowanego musnęła ich usta w przelocie. — I gdy z nadchodzącym wieczorem wszedł nad amfiteatrem księżyc dziś tak czarodziejską poświatą oblewający jego zwaliska, te same miesięczne promienie koiły się nad dziewiczemi ich kształty od lwów rozrzuconemi, i spływały srebrne i opadziste jak skrzydła aniołów strzegących częstokroć wśród nocnéj ciszy zwłok swoich sióstr umęczonych. Woń ich panieńskiéj czystości i palm które uszczknęły zapach, pozostały dotąd ziołom kwitnącym zagonami po rozpadłych krużgankach; a rzewność i jękliwość anielskiéj psalmodyi nieraz słyszanéj od pierwotnych chrześcian nad nieżywemi dziewicami, przeszła w głos słowików, które pod długim bluszczem arkad wzdychają do miesiąca.

I gdy amfiteatr wypróżnił się z widzów i nocne go cienie objęły, natenczas pokazywało się światełko w bra-

---

[21]) **Słowa ś. Ignacego bisk. Antioch.**

mie sandapalaryi; inne jedno po drugiém wypływały z ciemności i łączyły się do niego, i wciąż migocąc, i wciąż ku ziemi przypadając, zdążały trwożliwie na piaskownię. Za niemi widać było liczne stopniowo się wyświecające postacie w długie szaty obwinięte i schylone jak ci co szukają straty swojéj. Byli to chrześcianie rozpoznający przy blasku latarni szczątki swoich sióstr i braci, i zbierający z troskliwością niedojadki zwierząt, — kości świętych i krew za Chrystusa przelaną, którą za pomocą gąbek w szklanne naczynia wyciskali. Pobożna drużyna obarczona zwłokami męczenników, przechodząc pośród przekupionéj straży cyrku, spieszyła z temi kośćmi z kości swoich, z temi pierwocinami ludzkiego odrodzenia i nasieniem nieskazitelności, ku najbliższym katakumbom Kalixta i Sebastjana na drodze Appii, lub Felixa, Cyriaki i Zenona za bramą Ostyjską. U wnijścia podziemi witały wracających nigdy dotąd nad ziemią niesłyszane śpiewy tryumfu, weselne pozdrowienia trupów, hymny dziękczynne za śmierć i męczeństwo, któremi katakumby napełniały się do razu jako pierś bezdenna, i śpiewały z całéj głębi swych niezliczonych kurytarzów jak organy dmące wszystkiemi miechami. Roma się zdumiewać musiała gdy spoczywając na kościaném łożu słyszała pod sobą te ponocne pienia niepojęte jak przeczucie i trapiące jak zmora:

„Wędzidło młodych nieujeżdżonych rumaków, skrzydło nieobłędnego ptactwa, pewny dzieciństwa sterze, królewskich pasterzu baranków!

„Słowo nieprzestanne, bezbrzeżna wieczności, nieskończona światłości, źródło miłosierdzia, sprawco wszelkiéj cnoty, nieposzlakowany żywocie chwalców Bożych!

„Bądź im przewodnikiem, o pasterzu owiec duchowych! o święty! bądź im przewodnikiem, królu niepo-

kalanéj dziatwy! Ślady Chrystusa są drogą do niebios [22]).“

Wierni których następnego ranka czekały gody męczeńskie, zanim poszli na nie układali do snu błogosławionych w onéj wielkiéj podziemnéj *sypialni* [23]) młodszych pierworodnego z umarłych a starszych swoich braci, i jego a swoje miłe młode siostrzyczki, i na wieku ich grobowém z treściwością właściwą tym, którzy czasu żyć niemają a wiele kochają, ryli pod wieńcem i palmą, rycerskim klejnotem męczennika, przy jego imieniu, te proste wyrazy: Najszczęśliwszy.... najsłodsza.... śpi w pokoju, mieszka w pokoju, żyje w Bogu; lub jeszcze krócéj: brat w pokoju; żyj siostro; najszczęśliwszy: *frater in pace*, *soror*, *vivas; felicissimus.* Siwobrody pasterz zamieniając grób takowy w ołtarz sprawował przenajświętszą ofiarę nad ofiar zwłokami; piersi, które samą śmierć przekochały stawały się po śmierci posłaniem zmartwychwstałéj Miłości, godowém łożem, na którém rajski Oblubieniec wstępował z żyjącą jeszcze bracią w tajemnicze zrękowiny Chleba anielskiego, i dawał żywym na grobie zmarłych zadatek nieśmiertelności; grób jeden gdzieś w bezpowietrznéj pieczarze stawał się ogniwem nieba, ziemi i samego Boga! Ofiarnik otwierał na nim księgę przyszłości i czytał głośno przy pochodni pogrzebowéj ustęp z przyszłych dziejów rzymskich jak je w niebie pisano; a tłumy w ciemnościach rozklęczone słuchały wyroku śmierci czytanego Romie i jéj Cezarowi, nie na ziemi, która jeszcze cała była ich służebnicą, ale z pod ziemi, z grobu tych, których przed chwilą zamordowali w amfiteatrze:

---

[22]) Pieśń Chrześcian w katakumbach przytoczona od ś. Klemensa Aleksandryjskiego w księdze ὁ παιδαγόγος.

[23]) To bowiem znaczy grecki wyraz χοιμελήιρον, *dormitorium*, smętarz.

„I (Anioł) zaniósł mię w duchu na puszczę. I widziałem niewiastę siedzącą na czerwonéj bestyi, pełnéj imion bluźnierstwa, która miała siedm głów i rogów dziesięć.... Te siedm głów są siedm gór na których niewiasta siedzi.... A na czele swojém imie napisane: Tajemnica: Babilonia wielka, matka wszeteczeństw i brzydliwości ziemi. I widziałem niewiastę onę pijaną krwią świętych i krwią męczenników Jezusowych.... I podniósł jeden Anioł mocny kamień jakoby młyński wielki, i w rzucił w morze mówiąc: Takim pędem wrzucona będzie Babilonia miasto ono wielkie: i już daléj niebędzie naleziona.... I głos lutnistów, i śpiewaków, i piszczków, i trębaczów daléj w tobie słyszan nie będzie.... I światłość lampy nie będzie się daléj świeciła w tobie, i głos oblubieńca i oblubienicy nie będzie daléj słyszan w tobie, iż kupcy twoi byli książęta ziemscy, iż czarami twemi były pomamione wszystkie narody. Potymem słyszał jako głos rzeszy wielkich na niebie mówiących: Alleluja. Chwała i cześć i moc Bogu naszemu jest: iż prawdziwe są i sprawiedliwe sądy jego, który sądził wszetecznicę onę wielką, która psowała ziemię wszeteczeństwem swém, i pomścił się krwi sług swoich z rąk jéj: A powtóre rzekli: Alleluja. A dym jéj wstąpił na wieki wieków [24])."

Już się stało słowo Janowe: ślady tego dymu, wedle przepowiedni Apostoła, przeszły wieki i dziś jeszcze widne na kolumnach forum czarnych dotąd od pożogi Alaryka. Z onéj cało-marmurowéj Romy, która ogromem swoim przenosiła wszystkie miasta ziemi, zaledwo kilka kolumn ocalało, aby uwiecznić dym gniewu Bożego, i niemo w przyszłości apostołować pokazując go mijającym pokoleniom..... Bożém zaiste musi być to słowo, które wołających kamieni [25]), „matki wszeteczeństw"

[24]) Objaw. ś. Jana, r. XVII, XVIII, XIX.

[25]) Lapides clamabunt. Luc. c. XIX, 40.

za świadków używa, i każe im dotąd świadczyć ogorzeliną prorokowi o prawdzie, któréj prorok i męczennicy krwią swoją świadczyli. Ale wówczas nad katakumbami, gdzie wierni już śpiewali z duchami Apokalipsy radośne alleluja nad upadkiem Babilonii wielkiéj, lud także prorokował swojemu Cezarowi, i odprowadziwszy go na Palatyn długo jeszcze w nocy powtarzał zasypiającemu: Ab aevo vinces! zwyciężysz na wieki!— I gdzież jest dziś to wieczne zwycięztwo Cezara? Niech odpowie ludowy amfiteatr, niech świadczy proroctwu ludu-króla tak jak filary świątyń dziś Janowemu świadczą!— Patrz, oto krzyż Chrystusów wydarł Cezarowi zwycięstwo i wieczność, i stanął z niemi na arenie, i wyciągnąwszy ramiona jak ostatni z gladiatorów, zda się wyzywać przeciwnika i czekać na niego. Ale nikt nie przychodzi; przeczekany amfiteatr wali się w koło krzyża; arkady jego rwą się jak nici pod wiecznym ciężarem chwały Galilejczyka: *aeternum gloriae pondus;* i tylko miesiąc z góry jak zadumane oblicze proroka nachyla się i milczy nad nim..... A jednak jak wieczność pogańskiéj Romy była usymbolizowana w świątyni Jowisza kapitolskiego, i powszechnie mniemano, jak wspomina Tacyt, iż jednocześnie z jéj upadkiem upadek państwa rzymskiego miał nastąpić [26]), tak późniéj urosło mniemanie, iż kolosseum wieczne i że z niém wieczność chrześciańskiéj Romy stożsamiona. Za czasów wielebnego Bedy przeszło to było w przysłowie u ludu: „Póki stoi kolosseum, stoi i Rzym; kiedy upadnie kolosseum, upadnie i Rzym; kiedy upadnie Rzym, upadnie i świat [27]). „Dziwna, iż takowe przysłowie dotąd przetrwało i sam je słyszałem z ust

---

[26]) Ita ut eo exusto finis imperii esse crederetur. Tac. *Hist.* IV, 54.—

[27]) Vener. Bed. in *Collectan.* c. III.

ludu rzymskiego: Roma swojéj wieczności nie może zapomnieć. Ale kto wié? może amfiteatr wystawiony przez jeńców żydowskich uprowadzonych od Tytusa po zburzeniu Jerozolimy, dzieli przeznaczenie narodu, wiecznego tułacza, który olbrzymie jego kształty na barkach swoich dźwignął ku obłokom, a którego wędrówki, wielkość i rozprószenie zapisane na piaskach Egipskich piramidami Faraonów, a na pustkowiu Romy cyrkiem Flawiusza Wespazyana; może Tytan narodów, naznaczający epoki swéj niewoli budowanemi górami, które wznosił, aby się dostać do nieba zkąd go wygnano, i Olbrzym gmachów, jedyny potomek onéj wielkiéj jak świat Romy, któremu zostawiła wieczność swoją w spuściznie, może lud bez kraju i gmach bez ludu, mają jako zaklęte bliźnięta, *conjurati coelum rescindere fratres*, zostawać do końca czasów wiekuistą nieupadającą ruiną na dalsze po męczennikach świadectwo Ukrzyżowanemu, wielkiemi pochylonemi karyatydami jego chwały!

Władysław Kulczycki.

Z DALEKA I Z BLISKA.

Z DALEKA.

Czerwono a ogniście zapadało słońce po za szarzejące lasy w oddali. Bliżéj w dolinie wioska, niby ogród Chwały Bożéj — zielona — wesoła.

Szło wzgórzem ciągnącém się nad tą wioską dwóch wędrowców, i dumali coś widno, bo szli nie mówiąc słowa.

Jeden był kobziarz — góral od Tatrów. Koszula z grubego płótna wysmarowana słoniną, obcisłe sukienne spodnie spinane na koniki aż po kostkę nóg bosych, bura sukmana na ramionach, szeroki kapelusz na głowie, — oto ubranie górala. Wysoki, chudy, cienki, „o nogach bocianich“, jak powiadają mieszkańcy równin. Przez ramię torba — jedyne mienie wędrownego górala, na plecach kobza z dudami pod pachą — jedyne jego utrzymanie, w ręku kij nabijany ćwiekami — jedyny jego towarzysz i obrona. Twarzy bladéj, smagławéj, pocią-

głéj, wychudłéj; włosów długich, kołtuniastych; ciała kościstego, a jednak krzepkiego; człowiek ten szedł sobie obojętnie i miarowo, — snadź zaraz, kraina ta nie jego — swoi daleko gdzieś jeszcze.

Inny był drugi. Człowiek nie wiedzieć, czy młody, czy stary, jak to bywa z wynędzniałym, lub schorowanym. Wyciągniętego nosa, kończatéj brody, wyskocznych kości policzkowych; a jednak, kiedyś, twarz ta musiała być pełną — rysy nie ostre — wyraz nie przykry. W szaréj sukmanie, widocznie nie jego, bo za długiéj, — stan jéj był mu prawie na brzuchu, kieszenie na zgięciu kolan. A poły jéj podgiął on sobie w pas, jak to zwykli czynić żołnierze w pochodzie, żeby im długie ich płaszcze nie utrudniały kroku. Na długiéj, chudéj, wygolonéj szyi miał on przetarty halsztuch sukienny, z którego wyłaziła szczecina. Na głowie włosy obstrzyżone przy skórze saméj — co razem z wychudzeniem twarzy robiło mu uszy za długie — przykrywał sobie na bakier starą furażerką żołnierską z wypustką czerwoną do koła. Takież spodnie i z takąż wypustką wpuszczone w bóty, o cholewach nie poczernionych, bez podeszew już prawie, z wyłażącą tu i owdzie słomą, dopełniały jego ubrania. Brakowało mu jednéj ręki — prawéj. Natomiast w pustym rękawie, wiszącym od ramienia, związanym u dołu, pełno było czegoś, co go wypychało w różne nierówności. Może bielizna, może bóty, może ubranie jakie. Pozostałą mu ręką trzymał na ramieniu kij sękaty, z którego zwieszały się szczątki zasmolonego kożuszka i worek płócienny, brudny i połatany, w którym było coś ciężkiego i twardego. Chudy jakiś, szarawy, mały psina, mocno brzydki, powichrzonéj sierści, pochamranéj jakiejś postaci, wąsaty, brodaty, faworytowaty, oślich, kosmatych uszu, obrosły do najwyższego stopnia, nieledwie nawet na źrenicach ócz i końcu nosa, — szedł za swoim panem, powolnie, z wywieszonym ozorem,

i spoglądając na niego wzrokiem, w którym więcéj widać było rozumu, jakby się po jego powierzchowności spodziewać można.

Szedł kobziarz, trzymając się prosto, choć o kiju, jak człowiek który wyraźnie długą jeszcze drogę ma przed sobą; przeciwnie towarzysz jego zdawał się tylko powłóczyć drżące nogi, coraz bardziéj zostawał w tyle a tylko wyższą częścią ciała podaną naprzód, jakby usiłował nadłatać opóźnienie. Widocznie serce w tym człowieku wyprzedzało nogi. I ktoby był widział w téj chwili tę postać poczciwie od stóp do głów głupowatą, ręczę, iż powiedziałby sobie w duchu że widział coś pociesznie smutnego. Chuda, brudna i spalona szyja, wyciągnięta z rozpiętéj i oblatującéj w tył, jakby do ścięcia, sukmany, z pod któréj widać było również rozmamaną i zgniecioną niemiłosiernie koszulę, w czerwone niegdyś paski z sinem, — oczy głęboko wpadłe, w téj chwili wysadzone prawie na wierzch, — brwi podniesione w sposób jakiś jakby przestraszony, — dziwne jakieś skrzywienie rysów idących od nosa ku ustom i od oczu ku policzkom, — otwarte usta, a jednak w kątach swoich ściągnięte na tył, ku uszom, — wszystko to razem wyglądało niby na uśmiech i niby na boleść, — śmieszno było patrzeć na to — ale śmieszno z płaczem na poły. I zdawało się, że więcéj niż oczyma wpatruje się w krajobraz wioski w dolinie, że więcéj niż ciałem bieży w jéj stronę.

Naraz zatrzymał się jakby mu sił zabrakło.

— Posłysz brat, postoj ty troszku — rzekł ochrypłym, gardłowym jakimś głosem.

Stanąwszy, obcierał sobie pot z czoła zbyt długim rękawem sukmany, i łykał ślinę jakby mu sucho było na języku. Towarzysz jego zatrzymał się także.

— Siandźmy my sobie 'wot tu — mówił daléj biédak, tym dziwnym językiem, zdradzającym zapomnienie swojéj

a nienauczenie się rosyjskiéj mowy, jakim mówią wszyscy wieśniacy polscy pobrani do wojska, — postoj, postoj ty moj brat kochany, niech ja usiandę troszku — ta i pojdziem dalej. Już niedaleczko — wot tam.

To powiedziawszy, siadał na jakimś kamieniu pomagając sobie ręką, drżącą jak i on cały. Góral nie usiadł tylko wsparł się na kiju, wpatrując się w towarzysza z wyrazem prostodusznego politowania. Pies usiadł także i zamyślił się głęboko.

— Tak mi serdce kołata — mówił daléj były żołnierz — trza odpoczynąć. Napijem się z manierki — ta i pomoże.

Dobył manierki z rękawa i łyknął sporo, poczém podał ją towarzyszowi, ale ten odmówił.

— Po co mnie to. Jeszcze mnie nie do swoich.

— Kak sobie chcesz moj brat miły. A! zaraz i lepiej człeku. Kak tam prekrasne złote słoneczko! Takie same było kiedy mię pędzili, — tylko że wstawało wtedy. Piatnaście lat temu — no!

— I zostawiliście tam kogo?

— A kakże? Wziali człeka od żonki. Piać miesianców kak się pobralim. Diewucha była pracowna a gospodarna — co to — choć nie zasiej — w ręku jej urośnie. Sierota była — ta ja wział ją bez niczegój. Ale co to; — były ładnieńsze — ładne — a ta nie, — a wszystko taki ja ją wział, bo mi się przygodziła z całego światu choćby. A bywało i nierozgniewa się, ani gada dużo, kak to drugie.

— To w waszym kraju od żon bierają?

— Nie mielim jeszcze dzieci — ta i wziali. Tylko od dzieci nie biorą.

— A żyje ona?

— A jaż wiém? Wot mogiłki — tam — het oto — kole boru. Może ona tam. Tak przyjdzie tylko pomolić się — i dalej — w świat! Bo nie ma u mnie ani ojca, ani matki, ani rodziny żadnéj — tylko ona jedna.

Zatrzymał się i obcierał sobie oczy; ale że miał rękaw za długi, zakasywał go sobie śmiesznie do téj czynności.

— Ale nie — ciągnął daléj po chwili kręcąc głową — ona żywie. Mnie to mówi owe kołatanie tam — we serdcu. Bożeż moj! A jaż jej i bez tego nie widział może nieraz pokak spał — czy co? Żeby ona umarła, toby mi się pokazała w białéj koszuli i blada.

— Tak wam się pokazywała we śnie, jakeście o niej w dzień myśleli.

— Zażby prawda? Ale nie — nie. Toż ja co dnia molił się Naświantszej naszej Matce Czenstochowskiej, — a Pan Bóg wszystko taki nie głuchy przecię. Taż ja chyba zapomniałby świętego pacirza. Prędzéj człeku języka w giębie kak westchnienia zapomnieć. Tak ja co dnia mowił: pod Twoję obronę uciekajem się Swianta...

— Uciekamy się, mówi się po naszemu.

— Da, da. Uciekamy się. Kak ty nauczył się prędko po naszemu, brat kochany! Da, da, uciekamy się — mowi się. Co prawda — to nie grech. A dawno ty w naszym kraju?

— Trzy lata.

— Try lat był u nas — ta i nauczył się, — a ja piatnaście nie był — ta i zabył. Ha! co i robić. Pryuczy się znowu, i będzie. A molić się Panu Bogu, tak choćby nie wiada po kakiemu tam, byle nie po lutersku, wszystko taki Pan Bóg zrozumie. Da, da, ja molił się. Tylko że nie miał za co świeczek dawać pred ołtarz, choć chciał nie raz, Bóg widzi, — ta to może i źle. Ta bo u nas bieda strasznaja była.

Zamyślił się i spuścił głowę na piersi.

— Nie tak było, kak ja był jeszcze parobek — a potem gospodarz, — tęgi chłopak, — a pracował, a śpiwał, — dziś zabył i śpiwania — ta i do pracy ja już

nie ten co dawnieńszy. Wtedy miał ja dwie ręki zdrowe, — dziś — jedna oto tylko.

— A gdzieżeście wy ją stracili?

— Kak raz spadł z masztu. Ta bo ja służył we flocie, na moru. Tak ja spadł, brat moj, gorzej kak z drugiego piantra — gdzie! — dobrze co karku człek nie skręcił k' czortu, — nawet powiedali, co ja już umrę. Dwa roki leżał, — tak, tak, dwa roki — aż się wylizał, — a potem poszedł w inwalidy, — ta po dziesięci pozwolili wrócić się. Panu Bogu dziankować za spadnięcie i Matce Przenaświantszej — inaczej nie wracałby ja do swojego śmiecia.

I wzrokiem utonął w krajobraz wioski rodzinnéj, a góral patrzał w niego, jak on w wioskę. I przybliżył się do niego, i położył mu rękę na ramieniu — jakby zbudzić go chcąc.

— Słuchajcie — rzekł mu drżącym głosem — a gdybyście wy téż nie zastali nikogo? — i to bywa.

Biedak drgnął i wykrzywił się boleśnie.

— Ta chodźmy już — chodźmy — mówił prędko, jakby niedosłyszawszy, czy téż zagadując może.

I zaczął zbierać swoje manatki, pośpiesznie bardzo, a wszystko z ręki mu wypadało. Potém wstał, ale znów usiadł napowrót.

— Ta jeszcze raz z manierki — jakośbo zimno człeku, — rzekł jakby do siebie.

Łyknął, pogłaskał się po brzuchu, i nie wstawał.

— No chodźmy — rzekł kobziarz — słonko tylko co na schowaniu.

Towarzysz jego wyciągnął szyję, i schyliwszy się, obcierał sobie pot z czoła połą od sukmany.

— Pomiłuj brat — postoj ty jeszcze — troszku tylko — niedługutko. To blisko, zajdziem prędko — abaczysz.

— Wam blisko, ale mnie daleko.

— A u was co?

— Też, żona miła — a matka — a ojciec stary — a dziatki drobne.

— A u mnie ani dzieci, ani rodnich — jedno ona jedna. Ale taka jedna stanie za wszystkich rodnich. Ta i dzieci da Pan Bóg.

— I cóż wy myślicie robić między swojemi?

— Ta pracować po staremu. Przypomnię ja sobie i będzie się żyło kak dawniej.

Zamyślił się.

— A ty brat kochany, dawno ty z domu?

— Trzy lata, mówiłem wam już.

— A! prawda — zabył. Ty już wprzód powiedział. Try lat — oho! — a ja — piatnaście! Tylko — że ja musiał, a ty — że chciał.

— I ja musiałem. Cóż robić. Nie wyżyć u nas z ziemi. Kraj lichy — ledwie że owies nędzny, a ziemniaki, — pastwiska tylko nie brak. Ale za chlebem trza daleko w równiny na zarobek. A jak się uzbiera grosz jaki — to i z powrotem; a nie zawsze zastaje się wszystkich drogich sercu. Chodźcie — chodźcie — och! mnie bo pilno, mnie duszno w waszéj równinie. Gdybyście wy znali kraj nasz. Biedny — to prawda — ale góry, ale zielone pastwiska, ale rzeki błękitne, rwiste strumienie, skały nasze omszałe lub nagie, ale obłoki po pochyłościach, śniegi po wierzchołach i rozpadlinach, przepaście pod nogami, — a bory nasze, a połoniny.

Płakał jak dziecko łkając głośno.

— No, no, biedny brat mój — zajdziesz ty do swoich. A i da Pan Bóg najdziesz wszystko kak i ostawił. Dawniéj ja wyszedł od ciebie, a taki wracam.

W téj chwili, z wieżyczki od kościoła, zadźwięczał dzwonek wieczornéj modlitwy, przerywanie, miarowo, — niby bicie pobożnego serca ku niebu. Na ten dźwięk znany tak dobrze, przypomniany tak w porę, biedak nastawił uszu, zdawał się nasłuchiwać z lubością; oczy

stanęły mu kołem, a usta otworem, jakby wszystkiemi zmysłami swojemi pochłaniał coś nieujętego — widzenie jakieś mgliste, zdolne pierzchnąć za lada poruszeniem.

— Posłysz — posłysz — mówił niby śmiejąc się z radości, a łzy jak groch duże, ścigały się po jego chudych policzkach. — Słyszysz ty to brateczek mój najlubszy? Och! Bożeż ty swianty nasz!

Zasłonił sobie twarz ręką i płakał.

— Da, da, ten samy — co lat piatnaście temu. Dla pacirza we wieczór — kołokolczyk — ten — przecię — dzw — dzwonek — Bożeż mój — Bożeż mój! —

Wstał drżący, ukląkł na oba kolana, i oparty na jedynéj swojéj ręce, całował ziemię, płacząc aż się zanosił.

— Moja ty ziemia rodnia kochana — mój dzwonek serdeczny — moja dusza — Bożeż mój! —

Goral zdjął kapelusz, ukląkł także, i dobywszy szkaplerza, szeptał z cicha „Anioł Pański.“

— Ta ty masz szkapler? — Pokaż mnie brat jedyny! Ja miał także — ale podarł się. Da, da, Naświantszaja Matka Czenstochowskaja. W Imię Wojca, i Syna, i Ducha Świantego — Amin. Anioł Pański zwiastował... Da ja pamiantam tu modlitwu. —

Zdjął furażerkę, pocałował szkaplerz, potarł nim sobie czoło i policzki, i modlił się głośno, bijąc pokłony, i żegnając się z ruska. Kiedy skończył, wstał, wciągnął na kij kożuszek i worek, i zarzucił to sobie na plecy, jak wprzódy.

— Ta i pójdziem tera. Już lżéj człeku.

— A jeśli nie zastaniem nikogo?...

— Ha; wola Boża. Pan Bóg dał — Pan Bóg wziałta, dziéj się, co Jemu ugodno. Obaczym.

— No — to chodźmy.

— Postój ty jeszcze brat najmilejszy. Ta może jeszcze zaczekaćby troszku?

— I na cóż czekać? Nie przeczekasz złego jeśli się stało. Co się odwlecze, to nie uciecze. Chodźmy — Bóg z nami. —

— Ta bo ty mówił, co — nie zastaniem może...

— Czyliż się to nie zdarza? Prędzéj tak, jak nie. Trzeba być przygotowanym na wszystko. —

— Da, da, przygotowanym — ja jestem przygotowany. —

— No — to chodźmy. —

— Wsiej czas — zaraz —

Obtarł sobie czoło z potu, i znowu dobył manierki, i znowu pociągnął niezgorzéj.

— No — już idę —

Szedł jakby ostatka sił dobywał — pies włókł się za nim. —

— Ta po co ty mnie brat mój mówisz ciangle, co — co ja jéj nie zastanę? Serdce boli od tego. Nie gadaj ty tak.

— Lepiéj się nie spodziewać, jak spodziewać. Zastaniesz — to tak, jakbyś znalazł; nie zastaniesz — to tak, jakeś się spodziewał. Lat piętnaście — to kawał czasu, a wyście zanadto pewni. A nuż nieszczęście....

— Ta Pan Bóg nie da tego. Ona tam czeka pewno — moja kobieta. Mieliśmy gospodarstwo. Ta — wołów parę — krowy try — konia — a i porządki różne — dostatek był. Bo i ja, choć sierota a taki miał kawałek grosza po stryju, a i przyrobił trochu. —

Góral kręcił głową z niedowierzaniem.

— Bywa, że i dostatek ludzie rozdrapią. A potem — mówię ja to wam dla tego — bo — czego Boże nie daj — jak wam przyjdzie pójść daléj — pójdzcie wy ze mną, do moich — będzie wam dobrze. Znajdzie się u mnie

i łyżka strawy i przytulisko głowy w kącie, i kawałek dachu od słoty.

— Da — nie, nie — ty ostaniesz u mnie brat kochany — obaczysz. Ja cię nie puszczę, ty u mnie ostaniesz się. Co tobie szkodzi?

— A moi?

— Da, da, prawda. No, to ty pójdziesz, ale nie prędzéj, kak po tygodniu. Ja cię ugoszczę — ta i w drogę, z Bogiem ty —.

Oddychał ciężko choć nie pod górę szli, ale z góry. I wpatrywał się w niego kobziarz, myśląc: czy mu się nie mięsza w głowie? Ale on wzrok miał spokojny, chciwie tylko wytężony przed siebie, — a w rysach jego twarzy, widać było wiarę w to, co mówił. Tak weszli w wieś. Biedny mańkut co krok zatrzymywał się, i miał jakieś wspomnienia.

Tu grusza, z któréj, chłopakiem będąc jeszcze, obijał nieraz owoc zielony, — tam łąka, na któréj pasał woły stryjowskie, — tu chałupa jakaś znajoma, — tam ogród ekonomski, — tu pole młynarskie, — tu dawniéj stała chata, która widno spaliła się, — tam nowa, na miejscu staréj — tu był krzyż którego już niema — tu płot, zastąpiony parkanem — owdzie ogród rozrósł się do niepoznania. Dużo — dużo odmian!

— Piatnaście lat! piatnaście lat! — powtarzał sobie biedak, kręcąc głową — ta to i kawał czasu bo!

— A wasza chata gdzie?

— Wot tam — prawie w końcu sioła — taka, kak i była za mnie.

— Słuchajcie — a gdyby się zapytać po drodze...

— O co się tu pytać, kohda ja wiem sam. Jażby zabył drogi do samego siebie!

— Ale — o waszą kobietę...

— Nie, nie — mówił, uparty jak dziecko, któremu się zdaje, że ma słuszność — nie treba. Ja samże pój-

dę — będzie jéj niespodziewanka. Czy też mnie pozna? tak dawny czas! Odmienił ja się, odmienił, nie ma gadania, bo — wiesz ty brat — ja był świeży chłopak, zuch, krew z mlekiem, napirwszy w siele, jedyny do tańca. Dziś nie znać — nieprawda?

Śmiał się boleśnie jakoś, wyszczerzając zęby i kiwając głową. Rzeczywiście w ustach tego człowieka, ta pochwała jego przeszłości , dziwnie zdawała się zakrawać na samochwalstwo. Ze wszystkiego, to tylko co powiedział na końcu, wyglądało na prawdę. A jednak nieraz i łachman leżący na śmieciu, mógł być kiedyś adamaszkiem.

Obcierał pot z czoła, i zdawał się zmęczony, właśnie jakby odbył kilka mil drogi, biegnąc na wyścigi. Przechodzili wtedy koło karczmy. Stanął, oparł się na słupku, i dychał ciężko.

— Da wiesz ty co brat — rzekł wreszcie — możeby odpoczynąć trochu. Kak ty dumajesz? Ta i wypijem po miarce — tu dobra wódka — będzie raźniéj. Ta wstąpmy, wstąpmy druh mój, co tobie szkodzi, co tam! zimno oto...

Wieczór był letni, — ciepły, po dniu gorącym.

— Zimno zaś? mnie nie zimno.

— Nie zimno? dziwnie! — a mnie zimno coś, — ta i w gardle sucho i na języku. Wstąpmy — ta po miarce tylko — po jednéj —

Weszli i siedli za stołem. Nieznany jakiś karczmarz, żyd rudy, w sajetowym świątecznym hałacie, w czapce z futrem z uszami na głowie, piastując brudnego i poczochranego bahura, i paląc śmierdzący tytuń z krótkiéj fajeczki, chodził sobie po alkierzu pełnym betów. Stara żydowica w czerwoném czółku, kołysała inne jakieś pimperle, a trzecie jeszcze, usmarkane po pas, wrzeszczało w niebogłosy, trzymając się sukni karczmarki, nalewającéj chłopom gorzałkę, i szwargoczącéj po

żydowsku z posługaczką mocno zapierzonéj głowy, która słuchała z krwią najzimniejszą, drapiąc się w brzuch całą garścią. Sobota była. Skrzypak ciął od ucha — a młodzież miała się do tańca. Wędrowcowi wszyscy byli jakoś nieznani. Wszystko młode — nowe pokolenie, które wzrosło lub porodziło się w jego nieobecności. Znalazł i kilku starszych, ale żaden nie poznał go, a i on nie dał się im poznać, nie chcąc rozgłosu. I była sobie ochota serdeczna. Młodzież a dziewki — pusto, wesoło, — jak było za dawnych czasów — jak będzie i późniéj. I dziwował się tylko duch biedaka sam w sobie, że jemu chłodniéj jeszcze od tej ich zabawy, jak wprzódy było. Zęby szczękały mu, drżał sam nie wiedział czemu? A zimno było tylko w nim samym. A świat śmiał się w koło niego — mógł się był i on rozśmiać. Tylko że świat jest śmieszny, a człowiek — nie zawsze do świata i do śmiechu. —

Z BLISKA.

Jestto obraz z żywych osób; — obejrzyjmy go sobie powierzchownie. Izba chaty wiejskiéj. Schludno a biało wszędy — znać rządny duch gospodyni. Ściany wybielone i czyste — na pułkach naczynia, choć się w nich przejrzyj. Na ścianach obrazy świętych — palma pod jednym z nich. Jedyne ale szerokie łoże na tarczanie, kołyska, skrzyń parę i ława u ściany. — Kilka osób zaludnia w téj chwili izbę. Najgłówniejszą z nich jest kobieta, nie młoda już i nie ładna. Twarz jéj mocno zeszpecona ospą, zdaje się nie mieć żadnego wyrazu. Tylko oczy, z których, jak powiadają, przegląda dusza — oczy téj kobiety — dziwnie łagodne jakieś, może nawet i piękne. Ubrana jest czysto, choć to sobota. Siedząc na ławie, u obnażonej piersi ma tłuste, czerwo-

ne, widocznie nie dawno urodzone dziecko, które ssie chciwie, ani się troszcząc co się tam dzieje na świecie. A jednak matka jego płacze gorzko, — i nie wie niemowlę, że z pokramem matczynym, wysysa też i łzy jéj serca, gdyż łzy jéj z serca idą. Mężczyzna siedzący na tarczanie jest mężem téj kobiety; — rzecz dziwna— mógłby być jéj synem. Twarz to z rodzaju owych wiecznie młodych, — spojrzawszy nań, anibyś się dał przekonać, że to nie jest chłopak, ale ojciec kilkorga już dzieci. Czerwony, pucołowaty, jasnych jak len włosów; nie wielkiego wzrostu, ale zwięzły i krzepki. Zaciśniętą pięść trzyma na kolanie, a drugą ręką drapie się w głowę. Zakłopotanie, czy téż gniew, widać na téj pyzatéj twarzy. Wielkiemi, jasno niebieskiemi, dość baraniego wyrazu oczyma, spogląda on, to na żonę, to na drugą jeszcze osobę. A ta druga osoba, to znajomy nam już wędrowny żołnierz. Mała dziewczyna w koszulinie, siedzi ta tarczanie, tyłem oparta o ramię ojca, i bawi się grzechotką, robiąc hałas niemiłosierny. Drugi dzieciak, uwiązawszy na sznurku kawałek drewna, włóczy go za sobą, udając że wiezie z pola owies pański. A trzeci jeszcze siedząc na ziemi, z całéj siły wbija kawałkiem cegły kołek jakiś w podłogę, śpiewając przy tém aż w uszach wierci. Pies żołnierza uwalony w kącie pod ławą, nie widząc sposobu zaśnięcia, niedbale spogląda na tę robotę, rozmyślając zapewne na cò też tyle hałasu dla rzeczy, która mu się nawet na budę nie zdała! A znajomy nasz, ma się w postawie stojącéj — jakby do odejścia. I zbiera swoje liche manatki, które widocznie porzucił był zaraz z wejścia, będąc pewny, że wchodzi do swego własnego domu, z któregoby już nie wyszedł nigdzie daléj.

I nadziewa je znowu na swój kij wędrowny, zarzucił na ramię, i — nie pozostaje mu już jak tylko odejść, — a jednak nie odchodzi. I pogląda w około,

po ścianach, po stropie, po podłodze, wszędzie, — jakby witał wszystko, i ze wszystkiem się żegnał. A najwięcéj pogląda na kobietę płaczącą. A sam nie płacze, ani mu się nawet na płacz zbiera — przynajmniéj tak się zdaje. Tylko że za każdą razą, jak co wymówi, mimowolnie jakieś jakby drżenie, skurcza mu fibry twarzy. Niby w zepsutym automacie człowieka, kiedy go nakręcono byle jak; — nie dbając zresztą, że maszynerya działająca na serce, przez omyłkę, twarzą poruszać może. I zaniedbano też wyprostować zapadniętą skórę oblicza, przez co, przebijają przez nią sprężynki i kółka, działające wprzódy w skrytości. Lekka czerwoność pokrywa nos tego człowieka i kraj policzków ku oczom, — a oczy mają blask jakiś niezwykły, niby nie swój, ale pożyczony. Widocznie wypił dużo — dla odwagi. A z reszty twarzy jego i z mowy, widać jednak, że niechby był wlał w siebie i morze gorzałki, — nie podobnaby mu było upić się, choćby na rozweselenie— na pogodę czoła; bo smutnemu — to powiadają — nie w głowę idzie, lecz w serce.

Otóż i obraz cały. A nie ma w nim górala, towarzysza żołnierzowego; on wejść nie chciał — czeka przed chatą.

— A! to ty taka? poszłaś za drugiego — mówił były żołnierz do kobiety.

— Jak mi Bóg miły — jak pragnę Boga w skonaniu — tak przyszły papiery do wójta, żeście wy umarli Łukaszu.

— Kakże ja umarł? taż ja przecię nie umarły — cóż znowuż! taż przyszełem —

— A kto cię tam wié — może ty nie jesteś ty — mówił dobrodusznie człowiek od tarczana.

— Jej Bogu — ta — jak Boga kocham — przysiangam panu Bogu, tak to ja — zaklinał się jeszcze dobrodu-

szniéj, bijąc się w piersi pięścią. były żołnierz — Ta ty mnie poznajesz, moja żona —

— Ja już nie twoja żona.

— Nie moja? nie moja? tak czyjaż?

— Jego.

— Nie prawda. Ty — moja.

— Nie prawda — wrzeszczał krępy chłopak bijąc pięścią w kolano, i zaciskając zęby — ona moja!

— Kakim sposobem?

— Takim sposobem, że ja — Tomek Odziewadło — ożeniłem się ze wdową Łukaszową.

— Kakże ze wdową — kohda ja żywię?

— Mnie nic do tego. Ksiądz ślub dał — tak ja jéj mąż, i koniec.

— „Tak ja jéj mąż, i koniec — Ksiandz ślub dał“ — powtarzał sobie nieszczęśliwy, jakby usiłując zrozumieć znaczenie tych wyrazów, i nie mogąc tego dokazać —

Myślał, myślał, nareszcie uderzył się pięścią w czoło:

— Aha! to to dla tego — rzekł na pół z płaczem, jakby mu się udało nareszcie odkryć wytłumaczenie dziwnego swego położenia — to dla tego ty tak zrobiła, że ja stracił rękę, co pierścionek tobie dała, a związana była od księdza u ślubu razem z twoją, w kościele świantym. Da, da, to dobrze, zrób ty tak, a mnie śmierć zadaj, — ta bo mnie nie ma życia bez ciebie. Lat piatnaście ja czekał — ta i wyczekał pięknie — no! A ja myślał sobie: niechno przyńdę — to ja zastanę ją, da pan Bóg, w życiu — bo i ona takoż czeka. A choć ona i nie żywa: — tak zawsze moja — w mogile choć —

Kobieta płakała głośno.

— Ja szedł wosiem miesioncow, aże od Czarnego Mora, — a w drodze taki i nogi schodził nieraz, a wlókł się na ręku — byle prędzéj. A głodu przymarł, ta i żebrał — a szedł. A kak zachorzał, tak nie o zdrowie pro-

sił pana Boga, a wszystko taki tylko, żeby mi dał choć skonać przy tobie...

— Skonasz ty przy niéj — skonasz — jak ci kości połamę — mruczał mąż Łukaszowéj.

— A pamiątkaż mnie po tobie — pamiątka bo! Mój ty Boże! Bożeż ty mój! Taż ja całował, i całował, aż wycałował w szmatki, — a molił się bo molił!... Rozerwawszy u koszuli na piersiach zaszewkę jakąś niezgrabnie czworograniastą, dobywał z niéj, kawałek po kawałku, szczątki szkaplerza, rozsypanego w proch prawie.

— A to, przy odejściu całe było — kak i ja był cały szczanśliwy wtedy — a dziś — szmaty tylko. Ta bo i ja dziś — szmata stara, i szczanście moje — stara szmata, i wszystko... Bożeż mój, Boże! Co się to ze mnie zrobiło?.

Kobieta płakała rzewnemi łzami.

— O Łukaszu! Łukaszu! biedni wy bardzo! —

On kucnął w kącie i zasłonił sobie twarz ręką; usiłował płakać, bo mu wezbrało w głębi jakby na pęknięcie piersi, — ale krzywił się tylko do płaczu, a łzy nie szły. Znagła się zerwał, i rozmyślał czas jakiś.

— Posłysz ty żoneczko moja najkochańsza — ty nie możesz być jego. Podź ty ze mną.

— Od niego?

— Ta podź ze mną.

— Od dzieci?

On się zamyślił znowu.

— Ta zabierz i dzieci ze sobą.

— Dzieci — moje, i ona, moja! — Masz iść, to sobie sam ruszaj na złamanie karku; a co moje tego ja niedam nikomu.

— Ha! kohda tak — to ja sobie pójdę na kraj świata, — mówił biedak w dobréj wierze, w sposób śmie-

szny, w jaki się to mówi dzieciom; chcąc by prosiły żeby zostać.

— A idź — do djabła nawet choćby, a nam daj pokój.

— Niech ona mnie to powie — nie ty. Ja chcę coby ona mnie to powiedziała. Kak ona to wymówi, tak ja pójdę, a ani się namyślę.

Kobieta milczała.

— No, powiedz ty mnie to, żona moja.

— I cóż ja wam powiem Łukaszu —

Biedak pocierał sobie czoło — zdawał się marzyć. Rozglądał się do koła i kiwał głową:

— W mojéj własnéj chałupie — ja obcy! Na mojem własném śmieciu, ta mnie i nie usieść nawet, i nie spocząć!

— Siądźcie i spocznijcie — mówiła kobieta łkając.

— Tak. Coby potem w świat — daléj —

Ona milczała.

— Ostawim wam co wasze — rzekła po chwili — a sami — pójdziem —

— Tu wszystko moje.

— Prawda. Wszystko. Tu nie ma nic naszego...

— Ta z czemże wy wyjdziecie?

— Z niczem. Pójdziemy się dorabiać...

— Pójdziemy! Tak ty zawsze z nim?

— A jakżeż? On mąż mój!

— A jaż nie? No. Tak ty żona dwóch. Ty, moja i jego razem. Dobrze. A nie możesz być — tylko jednego. Tak co będzie?

— O nieszczęśliwa moja dola? o mój Boże! mój Boże! Żona dwóch razem! O! ja nieszczęśliwa! — wołała kobieta zanosząc się od płaczu.

— Posłysz ty brat kochany — pomiłuj — puść ty ją, niech ona ze mną. Ja tobie ostawię wszystko: — Sady-

bę — a dobytek, a porządki, — całe — całe gospodarstwo. Weź ty — posłuchaj mię — a ostaw ją —

— Nie, to ty sobie zabierz wszystko, kiedy twoje, — a ją zostaw mnie.

— Posłuchaj — ty nic nie masz — ja wiem; to wszystko gospodarstwo — moje. Podumaj ty nad tém — ta to majątek — jakie kilkadziesięć rubli — będziesz gospodarz —

— Nie chcę.

— Posłysz — ty masz dzieci, — dla dzieci ty to zrób. Ta co chcesz — powiedz. Ja dam tobie co sam zechcesz.

— Nic nie chcę.

— Czy chcesz ty, coby ja był sługa u ciebie? Daj mnie ty tylko kąt w twoim chlewie — weź mię za psa, coby ja tobie pilnował domu; — a niech ona — moja. Ja będę pracował dzień i noc bez snu, kak tylko zimno, albo deszcz będzie. Ta — chcesz? — ja się zapracuję w śmierć, na nikogoj, tylko na ciebie i twoje dzieci...

— Ty? pracować? Gdzie tobie do pracy. Nie masz ręki biedaku...

— Ta co tobie do tego — wrzeszczał rozżarty człowiek — ja będę pracował zębami, nogami, — będę robił ostałą ręką; za dziesięciu, za stu. — A taki ty nie pytaj sia. No — no — nie gniewajsia brateczek mój — rzekł znowu czemprędzéj zniżając głos i przepraszając, jakby to właśnie nie jego urażono, tylko on obraził, — pomiłuj — daruj mnie, — ta ja sam już nie wiem co i gadać. Ta bo widzisz bez niéj, nie ma mnie szczańścia w świecie.

— A i mnie téż.

Biedak ocierał sobie pot z czoła — nie pot już ale znój raczéj.

— Ha! ciężko z tobą. Ta żeby ja u żyda żebrał — to-

by wyżebrał już. A i ona... porzuciła mię — porzuciła. Dobrze. — Niech ja umrę — dawno mnie już życie przykre. Tylko że ja myślał, co mam jeszcze kogo na świecie. Ale kak nie mam, tak i żyć nie warto...

Mąż kobiety zdawał się wzruszony. On się stawił w położeniu biedaka, i naraz, żal mu go się zrobiło serdecznie.

— Posłuchajcie Łukaszu. Żal mnie was — ale co tu i gadać. Wam źle bez niéj, a i mnie to samo,— a dwóch z nią żyć nie może. Tak niech ona wybierze:

— Dobrze, niech wybierze.

Pochylił się do kobiety i szeptał jéj:

— Da pamiantaj żoneczka, co ty moja. Ta my bralim ślub przecię — w kościołku — wot tam — w świantym,— a ty mnie dała na odejściu szkapler — a i prysiangała czekać. Ta pamiantaj ty to — pomiłuj.

A mąż jej, nie mówił do niéj ani słowa, tylko czekał spoglądając na nią z pewnym wyrazem obawy.

Były żołnierz ukląkł, i całował brzeg sukni kobiety,— a ona zalewała się łzami, obcierając je fartuchem.

— Posłuchajcie Łukaszu — rzekła na wpół ze łkaniem — przysięgam wam na Rany Chrystusowe, że ja niewinna temu wszystkiemu. Jak przyszły papiery, żeście spadli — (bodaj czy nie z dziesiątego piętra — bo już ciężko było i wierzyć), i zabili się, — oj Bożeż mój! — samemu Niebu tylko wiadomo, co ja nie napłakałam. Ha! dziéj się wola Boska! A wszystko coś mi mówiło jednak: „może to nieprawda?“— Tak, jakoś uspokoiwszy się w żalu — znowu ja do pracy. Pracowałam i pracowałam, rok i drugi,— aż tu mnie smutno jakoś na duszy. I myślę ja sobie: „po co mnie zabiegać?— on już nie wróci — nie dla niego to. Ani mnie dla męża, ani dla dzieci, ani dla rodziców kochanych, ani dla krewnych — sierocie, jak ja. Obraza tylko Boska troszczyć się około wiela dla siebie jednéj, — albo

to człowiek zabierze z sobą? A tylko obojętni rozedrą i jeszcze kłótnia, a tam — prawowanie, na zgrozę próżną jedynie.“— I zaczęło mi być życie niemiłe, nie mając już nikogo swojego na świecie, i zaczęłam niedbać. I jedno rozchodziło się, drugie się marnowało,— bo się już i niedopatrzyło, a kradli. Przychodzili do mnie w zaloty, a ja myślałam: „albo to dla mnie? dla mienia mego — nic więcéj.“ I nie wierzyłam, tylko waszéj pamięci Łukaszu,— boście wy mię wzięli biédną — tylko dla mnie saméj. A czas schodził. I mówili mi: „wybierz jednego — niech się nie bałamucimy próżnie.“ A ja mówiłam „czekajcie;“— bo myślałam sobie: „ma iść na poniewierkę — niech lepiéj idzie na pożytek ludzki, a na chwałę Boską. Wybiorę który najuczciwszy a ubogi,— a niech on ma po mnie mienie człowieka uczciwego — będzie za to spokój jego duszy w Niebie.“ Bom ja zawsze myślała o was Łukaszu. A mówiłam im też: „czekajcie“— bo mi się zawsze zdawało, żeście wy może nie umarli.

Zatrzymała się chwilkę, i obcierała się fartuchem jakby już płakać nie miała,— a płakała znowu.

— Spytajcie się jego — mówiła daléj wskazując na męża — pięć lat jeszcze zwlekałam, z roku na rok. Bo wybrałam nareszcie. On był parobkiem u mnie, wszystko było na jego głowie. Biedny — jak chciałam; sierota — jak i ja — uczciwy, pracowity. —

— Nieprawda — zawołał młody chłop z wyrazem prostackiéj poczciwości — ja byłem znajdek, próżniak, pijak, paliwoda,— a ona powiedziała sobie „wezmę go i przygarnę, bo go szkoda, a zrobię z niego człowieka,“ i zrobiła. Byłem gałgan, a teraz gospodarz jestem uczciwy,— ot co prawda....

— At, gadanie,— mówiła kobieta.— Pan Bóg to zrobił, nikt inny. A potem, żebyś nie był uczciwy wprzódy— nie byłbyś i teraz. Otóż — ciągnęła daléj, zwracając mowę do drugiego,— poszłam za niego....

Zatrzymała się i znowu wybuchnęła płaczem:

— Posłuchajcie Łukaszu — on mnie ślubował wiarę i opiekę. I był dobry i wierny, i widzi Bóg, nie było mi z nim już więcéj krzywdy od ludzi, jak wprzódy, kiedym była sama. Jeszcze nie był mój, i ani się spodziewał tego, a już i wtedy szanował dobro moje, by swoje własne. I ja ślubowałam mu nieprzymuszona i z dobréj woli, i zagrodziłam mu los — bo byłby się może ożenił z inną do tego czasu;— mogęż ja go teraz opuścić? —

— A mnie ty nie ślubowała? A jaż tobie nie ślubował także? A jaż był nieuczciwy — czy co? To dopiruj!—

— Z wami ja nie miałam dzieci,— a tu — patrzcie — godziż się mnie opuścić drobiazg taki? godziż się mnie porzucić ojca moich własnych dzieci?

— Nie możesz jego — a możesz mnie?— mówił były żołnierz żaląc się jak uparte dziecko, i nie chcąc wchodzić w żadne powody, — ta to dziwna recz!— dziwna recz! Da co ja tobie zrobił, co ty mię nie chcesz? Cóż ja sobaka? żeby ty mię nogą odtrącała?

Potem porwał się za głowę i czochrał sobie włosy.—

— Ach! mój Boże! mój Boże!— oszaleć tylko człeku — nic więcéj....

I jakby nie chcąc już gadać więcéj z kobietą, przybliżył się do człowieka siedzącego na tarczanie, i prosił znowu, wykrzywiając się błagalnie, przyczem nadstawiał też rękę, jakby do żebraniny:

— Ta posłysz brat mój — ty mnie tego nie zrobisz — ja wiem,— ty człowiek uczciwy. Ta to przeklęstwo mieć cudzą żonę — a taki ona moja; tak ty by przeklęty był u Boga — podumaj ty nad tem. Posłysz — ty nic nie masz — ty hołysz — tak weź ty wszystko moje, i idż sobie w świat, a nas ostaw; — albo ostań sobie tu, a ją puść ze mną.... co tobie po tem....

— At, żebyście mi dali góry złote,— jeszcze wy mi jéj nie zapłacicie.

— Da nie żartuj ty brat mój — ja wiem — to żarty,— mówił biedak usiłując śmiać się, jak człowiek który się zna na żartach, i nie obraża się niemi — Co ty chcesz — ja biedak, ja nic nie mam, tylko ją jedną. Ta pomiłuj.—

— Nie chcę.

— Da mój ukochany jedyny, da mój najmilejszy. —

Całował go w łokcie, w kolana, obejmował za nogi.

— Nie chcę. Dajcie mi pokój.

— Da mój królu, da złocisty mój, da serdeczny brateczku, bądźże ty miłosierdny.—

Włóczył mu się u nóg, a tamten wyrywał wierzgając niemi.

— Nie chcę. Puście mię. Ona wybrała sama. Żeby była was wolała, to ja byłbym nie powiedział ani słowa, tylko wziął wasz kij, i poszedł sobie w świat szeroki. Ale jak wybrała mnie, tak wy zróbcie tak,— nie macie tu co długo popasać.

Były żołnierz pomyślał chwilę,— i zaczerwienił się z lekka.

— Ach ty gałganie — zawołał zrywając się z nagła,— kohda tak — tak ja ją gwałtem wezmę —

— Spróbuj.—

— Ja ciebie zapozwę do sędziego — mówił trzęsąc się z gniewu — i zgubię cię. Ja pójdę do Cysarza samego — taż jest u niego Senat — on mnie wysłucha, a ciebie pośle w katorżne — obaczysz. Cóż to — myślisz, co to tak można? A! jest i sprawiedliwość świanta, i karanie. Poczekaj ty sobaka — poczekaj — dam ja tobie duchu —

Mówił to wygrażając pięścią i kijem. Pies widząc pana w gniewie, zaczął także szczekać i przyskakiwać do zagrożonego, chwytając się zębami jego sukmany.

Przestraszyło się dziecko siedzące na tarczanie przy ojcu, i przeraźliwie krzyczeć zaczęło, tuląc się do niego. Chłop odwrócił się i kopnął psa z całéj siły. Wtedy były żołnierz zadrżał, i posiniał z wściekłości.

— Ach ty łajdaku — zawołał, a aż mu zatykało w gardle,— nie dość, że ty mnie żonu wział, jeszcze ty sobaku mojego tyrajesz — mojego pryjaciela jedynego? Da cóż on tobie winien? powiedz. Niech ja — ale on!

— No no nie łajdakujcie tam tak znowu — bo was wyrzucę precz z chałupy.

— Ty? mnie? z chałupy? z mojéj własnéj? Ach!— dam ja tobie.—

I rzucił się z zajadłością na swojego przeciwnika. I znagła człowiek ten, wynędzniały, upadający prawie, jednoręki, stał się straszliwym, olbrzymio-silnym, olbrzymio-zręcznym. Kolanami na piersiach swojéj ofiary, jedyną swoją ręką ujął ją za gardło. A kolana te zdawały się ciężarem góry całéj, a ściśnięcie za gardło — ściśnięciem kleszczy żelaznych. I ów chłop młody, zwięzły, silny zda się za czterech, niespodzianie na wznak rzucony, niespodzianie zaskoczony mocą, któréj ani się domyślał,— wił się tylko, tarzał, szamotał, i dyszał ciężko, nie chcąc krzyczeć z zajadłości, tylko rozpacznie pracując rękami i nogami, a pracując na próżno. Jego dwie silne, żylaste ręce, ani były w stanie oderwać téj jednéj tylko, dławiącéj go za gardło, ani wzajemnie dosięgnąć gardła przeciwnika, bo on się trzymał przezornie, prosto i daleko;— więc zajadle tylko szarpał na nim odzienie, mając pełno szmat jego w rękach, a głowę wykręcał rozmaicie, usiłując kąsać ręce przeciwnika. I próżno też pracował nogami — nogi natrafiały jedynie powietrze lub podłogę;— więc odsadzał się tylko niemi od ścian, od skrzyń, od podłogi — gdzie natrafił,— myśląc, że mu to co pomoże. I próżno także całem ciałem

rzucał się w górę, w bok, niespodzianie, z wysileniem,— przeciwnik był zawsze na nim, uczepiony jak pantera na uciekającéj antylopie, dusząc go po drodze— jak i tamta. Ten co na wierzchu — blady, zapieniony zielonawo, poczochrany, z oczyma krwią zaszłemi, z otwartemi usty, w których konwulsyjnie szczękały zęby, białe jak wilcze, krwi chciwe; — ten co u spodu, potargany, fijoletowo czerwony, z oczyma wylazłemi na wierzch, z posiniałemi usty,— okropni oba.

Wszystko to trwało tyle ile błysk. Kobieta na widok walki straciła przytomność, zaczęła biegać jak szalona tu i owdzie, potem rozbijać się po podłodze, i rwać włosy. Potem chciała wołać ratunku, ale głos uwiązł jéj w piersi. Potem wybiegła garnąc dzieci, sama nie wiedząc co robi.

— Puszczaj ty kajdaniarzu!

— A co? niech ona będzie moja.—

— Nie.

— No, to ja cię zaduszę w śmierć.

— Zaduś — to pójdziesz do prochowni,— to ona i tak nie będzie twoja....

— Ale i nie twoja także.

I znów się szamotali,— czyli raczéj dusił ten, co na wierzchu, i kąsał ten, co pod spodem; i znów przestali na chwilę.

— Słuchaj — rzekł nareszcie chrapliwym głosem ostatni— nic tobie z mojéj śmierci. Choćbyś mię i zabił,— choćbyś i do prochowni nie poszedł za to — to i tak ona nie będzie twoja.

— Dla czego?

— Bo ona ciebie nie chce. Bo ona woli mnie.

— A! to ty zgiń — choćby i mnie przepadnąć z tobą.

To powiedziawszy rzucił się z nową siłą. Tamten poczerwieniał jeszcze mocniéj, oczy wylazły mu bardziéj

jeszcze, okropnie otworzył usta, wywiesił język, i już naprawdę zaczął dusić się, — kiedy w tém, wbiegł góral towarzysz wędrownego żołnierza, a za nim gromada ludzi, zwabionych czy hałasem, czy też krzykiem kobiety. Kilku z nich rzuciło się natychmiast na zapalczywego dusiciela, i wydarli mu jego ofiarę, już tylko że nie zdławioną, — potem zabrali się koło niego samego, ale zdziwili się niepomału, znalazłszy u niego jedną tylko rękę do związania, i to jeszcze pokąsaną okropnie.—

— Do zastępcy! do zastępcy z nim!— wołano jednozgodnie.

Napastnik leżał skrępowany, posiniały i milczący. Po ustąpieniu jakiejś nadprzyrodzonéj siły co go ożywiała czas jakiś — zdawał się więcéj jeszcze złamany jak był przed tem.

— Do zastępcy? — Co to — zastępca — zapytał cichym głosem najbliżéj stojącego przy sobie, nie wiedząc znaczenia tego wyrazu.

— Dowiesz się ty — dowiesz — nie bój się, — będzie ci ciepło. Zastępca to taki sędzia.

— Nu tak dobrze. Tak zaprowadźcie mię do sędziego — a ja taki znajdę moje prawo, — chybaby nie było Boga w Niebie.

Z DALEKA I Z BLISKA.

I.

I oto znowu obrazek z żywych osób. Któż nie zna choć jednéj z owych izb pisarskich, chrzczonych nazwiskiem kancellaryi: — gdzie podłoga wiecznie brudna, zapluta, zabłocona i zabryzgana atramentem, równie jak

i kawałek ściany przy biórku. A biórko owe — koniecznie o starem, pokrajanem scyzorykiem, a zasypanem piaskiem suknie, niegdyś zielonem, — z nieuchronnym kałamarzem drewnianym na wierzchu, — pieczątką, zawsze bez rączki, — lakiem, zawsze kończącym się, — oblepioną świecą łojową w butelce, — i poduszeczkami od tuszu. Kalendarz na gwoździu — na sznurkach księgi jakieś kwitowe — na ścianie zegar zawsze zepsuty — szczątki gazet gubernialnych tu i owdzie — mnóstwo papierów po kątach. Oprócz niby-biórka, jest tu także i para niby-stołków o wyłażącéj słomie, i także niby-łóżko, niby-zasłane, nad którem nieodbicie strzelba z torbą świętéj pamięci, haftowaną w psy podobne do prosiąt, i w myśliwców prawdziwie wymyślonych, — oraz kapciuch, także haftowany ogniście, i w który szkoda kłaść tytuniu, bo powiadają — i właściciel jego nie zapiera się — że jest od kochanki. Ma on mieć także i pulares od kochanki, i piórko od zębów z perełkami, — zresztą ma nadzieję, że mu zrobią i czapkę, a nawet mówi już coś i o pantoflach. Tyle to mieści się zarozumiałości miłosnéj, w téj brudnéj, wiecznie śmierdzącéj izdebczynie, gdzie okna przestały już być przezroczyste, piec zapomniał być ciepły, a ludzie oduczyć się powinni nałogu, siadania na czemkolwiek innem, prócz na ziemi. Zawsze — ma tu być jeszcze więcéj sprzętów, — albo też te, mają być zastąpione całkiem innemi, nowemi, — tylko że „ten bestya Żyd stolarz jak co weźmie robić, nigdy się doczekać nie można.“ I nie pozostaje, jak wierzyć temu w zupełności: bo raz, że to mówi osoba ze wszech miar godna wiary, — a powtóre, że smutna prawda zewsząd w oczy bije. Podobny opis niech nie gorszy nikogo. Mieszkaniec téj izby nie jest jeszcze całą gębą wójtem — ale dopiero zastępcą wójta. Wyobraźcie sobie młodzieńca parafialnego, zalotnego z professyi — owego to zdobywcę serc: umiejącego grać na gi-

tarze, śpiewać różne, bezwątpienia miejskie pieśni, o kawalerskim stanie, i wyklejać pudełka; który czytał Muszkieterów Dumasa, był raz w Warszawie, i na imieniny panien dworskich posyła im malowane bilety z amorkami, strzałami i sercami na kawałkach gazy w wykrojonym środku. Ubiera on się — jak powiadają — modnie, wszakże moda ta polega jedynie na tem, że ma głowę zawsze uczesaną, — a nawet więcéj niż uczesaną, bo i przygładzoną, — a nawet więcéj jeszcze niż przygładzoną, bo i jakby przylizaną. A włosy te, błyszczące od sadła, krótkie są z tyłu, tylko długie na przodzie — jak noszono Bóg wie już kiedy — żeby wystarczało na loki, a nie brudziło kołnierza. Wszakże widocznie nie przewidziano niebezpieczeństwa tego ze strony szyi, gdyż ta najwyraźniéj przygotowana jest pod zasiew rzepy. Kiedy raz, wygadana jakaś Warszawianka, za nic sobie mając lwa wiejskiego, zapytała go z przekąsem: dla czego zapuszcza sobie brud na szyi i uszach? — odpowiedział zmieszawszy się nieco, ale z umizgiem: „że to nic nie szkodzi, i że tego nie widać, bo to w tyle“. Chciał zapewne powiedzieć, że on tego nie widzi. Jednakże, co bezpiecznie mógłby widzieć, a jednak zaniedbywa — to ręce, którym słusznie toż samo zarzucić można, co szyi i uszom. Ale tak jest wielki dar podobania się w panu Zastępcy, że dla tego jednego, resztę przebaczyć mu łatwo. Pan Zastępca nie nosi również żadnych a żadnych kołnierzyków ani mankietków, i często wyłazi mu półkoszulek, dozwalając widzieć pod spodem brudną i grubą koszulę, — a rękawy jego tużurka zaledwie sięgają niżéj łokci; — ale on umie zaradzić temu, wpychając nazad przeniewierczy półkoszulek i naciągając rękawy. A tużurek jego jest tak krótki, jak nie posiada podobnie krótkiego, nawet gorzelany, sławny elegant, — a spodnie obcisłe i ogromnie wyciągnięte na strzemiączkach — więcéj nawet daleko, jak spodnie

nauczyciela szkółki. A buty jego są tak samo ucięte, jak buty lokaja dworskiego, który jak wiadomo chodzi w pańskich,— tylko że nie tak błyszczące— co przypisać należy temu, że tamtego szuwaks nic nie kosztuje. Pan Zastępca czuje się wyższym od Nauczyciela szkółki, pogardza Gorzelanym, który mu jest niebezpiecznym rywalem; syna pańskiego nazywa dumnym i głupcem, dla tego że się z nim zbytecznie nie wdaje; z księdzem proboszczem jest za pan brat, a na pisarza prowentowego patrzeć nie chce, choć utrzymują dobrze zawiadomieni, że z nikim tylko z nim jednym lubi grywać w billard, ile razy jest w miasteczku, a nawet nie rzadko robi mu zaszczyt pić z nim razem piwo, a jak złośliwi mówią — i gorzałkę. A względem płci pięknéj, ten całkiem wylany dla niéj młodzieniec, ma dwie całkiem odrębne fizyognomie. Dla dziewcząt wiejskich, które mają szczęście podobać mu się, jest groźnym wójtem, mającym w ręku władzę, nawet przymusu w razie oporu;— i w istocie, jeżli dać wiarę jego słowom, człowiek ten potężny, kto wie czy nie posiada nawet władzy życia i śmierci. Za to z pannami dworskiemi, straszliwy ten władzca, jest barankiem potulnym poświęconym na najdrobniejsze ich przysługi,— bardzo grzecznym, jak powiadają jedne,— dobrze wychowanym, jak drugie,— elegantem, jak powiadają nieprzyjaciołki Gorzelanego,— bałamutem, jak mówią te, co się w nim kochają! Rzecz dziwna — jak to wielkość nagiąć się umie,— jaka to rzecz elastyczna! W starożytności, Wenus ujarzmiła Marsa, Omfala oprzędła Herkulesa,— coś podobnego i dziś z panem Zastępcą. Tylko że on nie robi wyboru jak tamci głupcy. Dla niego, im więcéj, tem lepiéj, on to nazywa „romansować.“ I wszystkie panny dworskie nie nazywają go inaczej, jak tylko poufale „panem Franciszkiem.“ Widzieć go trzeba w tych okolicznościach, nader pewnego siebie,—jak sobie sie-

dzi przewieszony przez poręcz, — jak sobie przebiera we włosach palcami, z których na jednym nosi sygnet podejrzanego złota ale z krwawnikiem w środku, — jak mówi dobierając wyrazów, — jak się chwali, niby się ganiąc, — jak drugim młodym ludziom pozwala zpoufalać się z sobą do pewnego stopnia, — do pewnego tylko mówimy, gdyż to jest człowiek, mocno przytem dbający o swoją powagę, i umiejący niekiedy dać uczuć wyższość swoję tym, którymby to przypadkiem wyszło z pamięci. —

Takim jest pan Zastępca.

Drugą, równie ważną osobą w tym obrazie, jest znajomy nam już z karczmy żyd rudy, karczmarz. Ktoby chciał z jego wielce ścisłych stosunków z panem Zastępcą — spuściwszy się mianowicie na zdanie ludzi — wyciągnąć jeden jakiś pewny wniosek, mógłby nigdy nie dojść do ładu. Chłopi nazywają go złodziejem i pijawką, drudzy żydzi powiadają o nim że jest przyjacielem pana Gminowego, a sam pan Gminowy nie mówi do niego inaczéj jak tylko: „oj ty, ty, szachraju“ — ale ze słodkim uśmiechem — jak to, kiedy jemu samemu mówią: „oj ty, ty, bałamucie“. Właściwie zaś, każdy ma słuszność. Przezorny hebrajczyk, choć niewierna dusza, pozwala sobie jednak niepospolicie chrzcić gorzałkę; a z chłopów ile tylko może wysysa: kury, cielęta, siano, gęsi, owies, kartofle — co się wreszcie zdarzy, — a jak się przypnie, to nie tak łatwo puści jakby się zdawało — i dla tego słusznie nazywają go: złodziejem i pijawką. Że go zaś pan wójt żartem nazywa szachrajem, to i to nie dziwi nikogo, bo powiadają że pan wójt lubi wiele rzeczy w żart obracać. A że Szaja chodzi w łapserdaku, że mu wolno nosić brodę, pejsy i krymkę, że przychodzi do pana Zastępcy kiedy mu się podoba, że mu nakłada fajkę, że mu się opiera łokciami na stole, że mu patrzy przez ramię kiedy on co pi-

sze, że się wtrąca do każdéj jego rozmowy, wié wszystkie jego sekreta, i że z nim gada poufale, — „nu, co się tu dziwić“ — mówią żydzi w miasteczku — „taż on w przyjaźni z panem Gminowym“. I zapewne! Dziwna chłopu wątroba! Przyjaźnił się przecie i Damon z Pyladesem, i pachciarz ze szklarzem, i Łysek z burą suką na folwarku, — a dla tego nikogo to w oczy nie kłuło.

Nasz wędrownik stoi przy drzwiach. Na rozkaz pana Zastępcy rozwiązano go do zeznań, i tylko dwóch silnych chłopów ma go między sobą nie spuszczając z oka. Dziwny jest wyraz twarzy tego człowieka. Kiedy mu powiedziano że go prowadzą do sędziego, on przez drogę wyobrażał sobie że ujrzy szanownego jakiego starca, z brodą siwą po pas, siedzącego na wysokim stołku. Wszedłszy i obejrzawszy się po izbie, pomyślał sobie że to pewnie dopiero przedpokój sprawiedliwości. W tém jeden z tych tam panów kazał go rozwiązać. „Ha! to już i samże sędzia, — ale który? — bo ich dwóch. Jeden z brodą — to prawda — ale to żyd z karczmy, gdzieżby jemu sędzią być? Pewnie drugi. Ale drugi takoż ani sposób! Młody, a tam fircyk! — pewnie to tylko pisarz sędziego. Ale żeby pisarz, takby nie śmiał palić fajki; a sędzia siedziałby znowu — nie stał — jak ten drugi.“ I znowu patrzał na żyda. „Czy licho? Może to nie on? Może tylko podobny? Ale gdzież! z pejsami, w krymce, tfu! czyż już żydzi teraz sędziami? A tamten drugi — siedzi; tak pewnie on, sędzia. Ale nie, nie może być, taki kusy! — gdzieżby!“ — „Gdzie tu sędzia? — gdzie tu sędzia?“ — zapytywał sam siebie.

I patrzał śmiesznie, ciekawo, głupowato, to na tego, to znów na owego. To do tego przymierzy z ukosa, to do drugiego. — „Dziwnie! który tu sędzia?“ — Kiedy go rozwiązano, on nieumiejąc zrobić wyboru, pokłonił się obom do kolan. Wtedy ten co siedzi na stołku ni-

by nie uważał, a chłopi śmieli się. „Czego oni się śmieli? co tu śmiesznego? A taki dziej się co chce — jeden z nich sędzia.“

I stoi nasz waleczny dusiciel w poszarpanéj swojéj sukmaninie; jedyną swoją pokąsaną rękę, którą obwinął brudną jakąś przesiąkającą krew szmatą, wetknął sobie za pazuchę, skrzywił się jakby patrzył pod słońce, i dziwuje się, i sili się zgadnąć — i nie udaje mu się jakoś. Zdaje się że w téj chwili nie zajmuje go nic więcéj nad to tylko: który tu z tych dwóch jest sędzia?

A ci którym on został powierzony, nie spuszczają z niego oka ani na chwilę. I zdają się myśleć sobie: „ki djabeł taka siła w mańkucie? I to niby zdechlaczyna co powiedziałbyś: trąć palcem, to się nogami nakryje. Nawojowało się to tam po morzu, nabiedowało, anibyś poznał, a to i siłę ma i jeszcze mu się żąda do żony. A ten drugi — taki niby silny zdawało się!“ — I przypatrują się dobrodusznie obom, i zdają się skłaniać na stronę swego więźnia, jakby mówili: „Ale, zuch! o mało go nie zadławił! A! żonę mu swoją chciał odebrać — prawo za nim! Tylko że gadali że on umarł. Taka moc w człowieku zabiedowanym! — może djabeł w nim?“ — I od podziwu przechodzą znów do przestrachu, i w duszy żegnają się, a spoglądają na pana Zastępcę — jak téż to się jemu wyda? —

A ów tylko co nie uduszony stoi przy drzwiach po drugiéj stronie. Drapie się w głowę i wpada na te same myśli przestrachu co tamci. Ślubuje sobie że będzie pościł w soboty, bo go widocznie tylko Najświętsza Panna wybawiła od śmierci. Rozmaicie pasuje się z sobą: „Możeby już i ustąpić do licha? — ale gdzie jemu znaleść drugą taką kobietę! — ani sposób! on, żeby mu przyszło pójść tylko z torbą i z kijem — to ją jednak wziąść z sobą musi.“ — I znów żal go bierze biedaka:

„Tyle lat czekał, i zastaje żonę swoją innego. Ale — sam sobie winien — po cóż umarł?“ — I znów ciarki go przechodzą. „Eh — myśli sobie znów po chwili — toż to doprawdy niebłogosławieństwo Boże — lepiejby, ot — porzucić.“ — I znów nie chce za nic w świecie — i znów radby — i tak w kółko ciągle.

Pan Szaja chodzi sobie boczkiem po cichu, spluwa w kąty, a ręce ma w tyle, — a pań Zastępca siedzi przy biórku, pali drajkenig z długiego cybucha (bo krótkich używają tylko ludzie małoważni), przewraca w papierach, — umaczał pióro, otrząsł je i założył za ucho.

— Jak się nazywasz? — odezwał się do byłego żołnierza patrząc sobie na paznogcie.

Żyd pochylił mu się do ucha.

— Ny, na co tu protokół panie gminowy, — to wcale nie wielga rzec, (a trzeba wiedzieć że miał na pieńku z Tomkiem o jakieś konopie) — ja znom tego cłowieka, ja ręcie za niego — to ućciwe cłowiek, — on pił dziś u mnie przed godzino nawięcy — to ućciwe cłowiek z kościamy. On się nazywo Łukas Baran — ten som, co to go wzieni w rekruty — gdzie! — dawno juz — jesce za tamtygo wójta starygo.

— Czegóż on chce — ten baran? — rzekł pan Zastępca wesoło, mocno rad ze swego dowcipu.

— No, Łukasu, powiecie panu Gminowemu co chcecie, — nie bójcie się — on bardzo dobry pon — bardzo dobry pon.

Były żołnierz chciał zacząć gadać, ale z niespodziewania zaląkł się ogromnie i bełkotał tylko coś, co nawet nie było podobne do wyrazów.

— Wyraźni mówcie Łukasu, bo pon Gminowy nie rozumi.

— No, czego chcesz durniu! gadaj — albo idź sobie do djabła. To baran prawdziwy.

Żołnierz spojrzał wołowemi oczyma i pokłonił się naprzód żydowi, potém panu Zastępcy.

— A to — wasze błahorodie — ja chcę coby on mnie żonku moju oddał.

— A to oddaj mu jego żonę ośle. Cóż ty chcesz mieć aż dwie żony?

— Kiedy z przeproszeniem wielmożnego pana Zastępcy — rzekł chłop kłaniając się czapką — kiedy to tylko jedna.

— Jakto — jedna?

— A tak — bo on mnie chce wziąść moją własną.

— Jakto do djabła? któryż któremu chce zabierać żonę?

— A to — dopraszam się łaski wielmożnego pana Zastępcy — oto tak: jak on poszedł w rekruty, tak przyszły papiéry że on umarł. Tak pan Wójt pisał tam i pisał różnie, — jaż nareście powiedział jego kobicie, co ona wdowa i co może sobie póńść za mąż jeśli jéj się spodoba. Tak wtedy ja się z nią ożeniłem.

— A, kiedy tak, to ją sobie trzymaj — rzecz skończona, — rzekł pan Zastępca poważnie, wstając.

— Kakże można — kohda ona moja żona?

— Ale kiedyś ty umarł.

— Kakże umarł? — mówił biedak macając się machinalnie — taż ja żyję!..

— A mnie co do tego, dość żeś ty umarł. Są papiery.

— Wyście umarli — nie ma gadania.

— Kakże umarł? Wy żartujecie, a taki mnie już i boli od tego żartowania. Mnie powiedali co ja idę do Sędziego, taki i pryszełem — a tož wasza sprawiedliwość taka, żartować sobie z biednego?

— Milcz gałganie jakiś! Co ty mnie tu będziesz rezonował! — zawołał pan Zastępca w gniewie, uderzając w stół pięścią.

— Dajcie pokój Łukasu — pan Zastępca nie lubi żeby jemu rezonować.

Ale Łukasz naraz zmienił się do niepoznania. Ani się uląkł odgłosu pięści, ani usłuchał przychylnéj rady.

— Paszoł ty won jewrej k' czortu! — rzekł obruszając się nad wszelkie spodziewanie i dowiedziawszy się który z nich sędzia, — ja z tobą nie mam reczy — nie wtrącaj sia! —

Splunął i zwrócił się do pana Zastępcy:

— Cóż ja mam małczyć? Ja nie będę małczał...

— Panie gminowy — szepnął żyd urażony — ja miślę, coby lepi może spisać protokół — co on nie chce słuchać....

— Ja nie będę małczał — mówił swoje były żołnierz zaczerwieniony z gniewu, — co ja mam małczać że mnie moje dobro zabierajuć? — Tak ja pokłaniam się oto Cysarowi — ciągnął daléj kłaniając się przed popiersiem cesarskiém stojącém na szafie — a kak pokłaniam się tera pred jego obrazem, tak i pojdę, choćby do niego samego, a taki będę poszukiwał mojej krywdy. Ta zobaczycie!

Mówił to wszystko a raczéj wykrzykiwał, wygrażając pięścią i z coraz mocniéj wzrastającém podniesieniem głosu, tak, że słusznie można było mieć obawę, iż jeśli dłużéj jeszcze pogada, będzie mógł dojść do grzmotu.

Tedy pan Zastępca oburzony zbyt słusznie, nie znając miary w gniewie, porwał się i pięścią silny policzek wymierzył na twarzy byłego żołnierza. Ten pobladł, zachwiał się na nogach, i popatrzał dziwnym jakimś — szklannym wzrokiem.

— Widzicie — szepnął mu żyd zacierając ręce, rad niewymownie, — ja wam mówiłem: nie gadajcie tak głośno, bo pan Wójt nie głuchy i nie lubi tego.

Kłamał najwierutniéj, bo bynajmniéj o tém mowy nie było.

— Małczy — ty głupi jewrej.

— Ny, co to — małczy? — jaki mi waspon — obdrapaniec tam jakiś? Panie gminowy — niech pon go przyharesztuje, — to jest włóczęga — ja jego znom, to pewnie on ukradł te konie Bartkowe.

Były żołnierz kiwnął głową sam do siebie i zwrócił się do pana Zastępcy:

— Ach! to wy takie? — odezwał się głucho — to taka wasza sprawiedliwość? — takie wy sędzie? —

Pan Zastępca chodził właśnie po izbie, nieuspokojony jeszcze po swojém wzburzeniu, niemiłosiernie dymiąc z fajki. Usłyszawszy te wyrazy, przyskoczył, i w zapomnieniu zamierzył się cybuchem, a fajka źle przykręcona na końcu,

Jak oderwana gwiazda, przez niebiosa
Leci, z długiego żary trzęsąc włosa,

zerwała się ku powale, i uderzywszy się tam z całéj siły, spadła napowrót, ale już tylko w kształcie drobnych kawałków, niedopałków tytuniu i żarzącego się jeszcze popiołu, — jedyna i doskonale już wypalona fajka pana Zastępcy! — Zdarzenie to słusznie oburzyło go mocniéj jeszcze aniżeli nawet miał zamiar. Posiniały ze złości, wrzasnął grzmiącym głosem aż mu w gardle zatykało:

— Słuchaj — ty — ty — ty — wisssielcze — ty zzzdechlaku — ja ciebie nauczę rozumu.

Obrócił się do chłopów:

— Związać go! — skuć w dyby! — ja tobie tu pokażę...

Chłopi nie śpieszyli się jakoś.

— Związać go! Czy słyszycie durnie? — Związać tego włóczęgę! pójdzie do powiatu.

— Ale proszę łaski pana Zastępcy, kiedy on nie włóczęga żaden, — my go znamy.

— Cóż to? mnie wiązać? mnie? starego żołnierza? — odezwał się ochrzypłym głosem były żołnierz, ośmielony poparciem swojéj sprawy, — toż to się tak należy? czy co? — Cóż ja zrobił takiego? — ja nie włóczęga — ja uczciwy człowiek. Co ja zabił kogo? co ja ukradł co? Ja służył cysarowi — ja dla niego rękę stracił — ja mam świantego Georgia. Za co mnie wianzać? za co bić?

Mówiąc to biedak bił się w piersi jedyną swoją ręką, a gadanie jego magiczny zdawało się wpływ wywierać na rozjedzenie się pana Zastępcy.

— Tyś — włóczęga! — wołał pan Zastępca grzmiąco jeszcze, ale już nie tyle co wprzódy.

— Kakto ja włóczęga? — taż ja mam papiéry. Jest u mnie i bumaga z odstawką, i praszport, i wszystko kak należy się. Ja nie włóczęga żaden...

Mówiąc to, wyciągał z czapki zatłuszczone jakieś szpargały, prawie już przyrośnięte do podszewki.

— Wot tut oreł cysarski — a i pieczęć. A o! podpisano kak należy się, w admiralicyi, a i u policmajstra.

— Ja cię skuję w dyby — ja cię zgubię — mruczał przez zęby pan Zastępca jakby dla formalności jeszcze.

— Da zrobcie tak — to i sami zginiecie. Tut stoi napisano: coby mnie pomoc dawać po całym kraju, a także i kak człowiek wyglądaje, żeby nie było pomyłki. Da ja to wiem, choć nie piśmienny — nie można mnie krywdy zrobić. Wy mnie oto sprawiedliwość zrobcie — taż wy od tego, — a kak nie zrobicie — tak ja jéj poszukam dalej — otże i będzie.

Pan Zastępca wyrwał mu z rąk papiery, i trzęsąc się ze złości przeglądał je bacznie, — ale na nieszczęście, nie było się o co zaczepić.

— A to kara boska z temi durniami, — rzekł rad nie rad siadając, gdyż czuł że z nagła traci całą swoją po-

wagę. I cóż ty chcesz? ośle! niedołęgo! — mówił daléj, jakby mając się dopiero dowiedzieć po raz pierwszy w życiu.

— Ja chcę — coby mi sprawiedliwość zrobić.

— No więc czego chcesz głupcze? — to dopiero bydlę!

— Taż ja już powiedział. Ja chcę, coby on mnie żonku moju oddał.

— To oddaj mu — i dajcie mi święty pokój. A! to straszna rzecz!

— Dopraszam się łaski wielmożnego pana Zastępcy — rzekł chłop kłaniając się do ziemi — niech wielmożny pan Zastępca sam powie, czy ja mogę? ona była wdowa...

— Kakże wdowa? — kohda ja żyję — jej mąż...

— Proszę łaski wielmożnego pana Zastępcy — niech on mnie nie przerywa, aż ja skończę. Tak — ona mnie sobie wybrała, — żylim ze sobą wie go Bóg jak długo, — dzieci mielim, — ksiądz ślub dał...

— A i mnie ksiandz ślub dawał...

— Cichojcie. Tak dopraszam się łaski wielmożnego pana Zastępcy, — ja jéj nie mogę oddać — na żaden żywy sposób nie mogę. Kobiéta dobra, spokojna, gospodarna. Gdzie ja znajdę taką drugą? —

— A to miéj ją sobie — i idź do djabła.

— Kakże można? — ja tego nie chcę. Ja piatnaście lat tłukł się po świecie, a wszystko taki bez przestania myślał tylko o tém, kak ja ją obaczę, choć raz jeszcze w życiu. Ta bo u mnie nie t', ani matki, ani bat'ka, ani nikogój, — tak ja prywianzał się do niej jednej, za wszystkich rodnich...

Pan Zastępca porwał się za boki:

— Ha! ha! ha! przywiązał się. Może powiesz jeszcze żeś ją kochał?

— Da juściże i prawda, co kochał. Bo nie było u mnie

większego skarbu — ta i nie ma do dzisia; kak te szmatki szkaplera, co ja dostał od niej na rozstaniu, co ja mam na piersi u koszuli zaszyte. A taki ja by był duszę dał sobie wzianć, i skórę z mojego ciała, i głowę z karku, i serdce sobie wyrwać za żywa, — a tego byłby nie dał, choćby i gienierałem miał zostać za to. Tak ja czekał — czekał, — dzień do dnia składał — rok do roku — a piatnaście takich było! — tak i molił się, i płakał, aż już i wypłakał do ostatka, — a potem szedł, szedł, — tak i nieraz o mało nie zmarniał, — a wszystko, byle bliżej coraz; — tak i Panu Bogu dziankować prychodzę zdrowo oto, — a taki znachodzę moje kochanie — innego? Ta to Pan Bóg tego sam nie zechce! —

Biedak mówił to wykrzywiając się niemiłosiernie i głosem wrzaskliwym — co wszystko razem zdolne było przyprawić o kolki śmiertelne pierwszego lepszego cudzoziemca nie rozumiejącego o co chodzi. — Pan Zastępca słuchał ze stósowném roztargnieniem, łapiąc muchy dla rozerwania nudów.

— Ale posłuchajcie Łukaszu — odezwał się przeciwnik byłego żołnierza wzruszony niepomału — sami oto powiedzcie czy ja temu co winien? —

— Da ty mnie żonku moju oddaj.

— Nie oddam. To dopiero! Wyście już byli w wojsku, to wam z tém dobrze...

— Coż mnie dobrego? Że rękę stracił? Że żonku stracił?..

— No, nie mówię wedle tego. Ale że was już drugi raz do wojska nie wezmą. A mnie — co innego. Mnie wezmą, jak nie będę już żonaty. Widzicie, — to ja oto dla tego nie mogę jéj oddać.

— Jakiś ty głupi — rzekł pan Zastępca, wyskrobując sobie piórem brud z za paznogci, — przecięż masz dzieci małe. Już to samo cię uwalnia.

Chłop poskrobał się w głowę, widząc że mu się i ten wybieg nie udał.

— To ja i tak nie chcę — rzekł znowu kręcąc głową — proszę wielmożnego pana Zastępcy, nie mogę na żaden żywy sposób. Proszę łaski wielmożnego pana Zastępcy, — ja byłem paliwoda, pijaczyna, gałgan, na ten przykład, — a tera oto, gospodarz jestem porządny — nie bez co innego — tylo bez nią. Tak ja tedy nie mogę żebym ją oddał, bobym znowuż się wrócił do dawnego. Jak ja sobie tak w rozumie moim pomyślę, to na żaden żywy sposób nie mogę. Nie, nie mogę. A to, dopraszam się łaski wielmożnego pana Zastępcy; pamiętam jakiem się z nią żenił, myślałem sobie: „at wezmę sobie babę dla grosiwa — będzie o czém hulać czas jaki“, — bo ja byłem gałgan — nie ma gadania. Aż tu potém, to ja ją — nie wiada nawet jak — tak straśnie polubiłem, że nie ma rady — gdzie! „Kto się ożeni to się odmieni“ — gadają starzy. Ona mi mówiła co dnia: „idź na robotę Tomku“ — a ja swoje do karczmy. A w niedzielę znowuż: „idź do kościoła Tomku“ — ja swoje do karczmy. Ona się modli, daje na msze do Przemienienia Pańskiego, do świętego Antoniego, — ja w karczmie. Ona pracuje, zabiega, — ja w karczmie dzień cały. A jak wracałem z wieczora, to ona żeby choć słówko, jak to drugie — nic. Tylko nazajutrz znowu tak samo. Ja byłem breweryjant oto; — bywało, jak zapruszyłem pałkę, tak niewiada czemu, przyszedłszy do chałupy, biję moją kobiétę...

Były żołnierz porwał się do opowiadającego, ale go przytrzymali towarzysze:

— Ach ty sobaka! ta ty bił ją!...

— Tak przez urazy Wielmożnego Pana Zastępcy — ciągnął daléj Tomek, — bywało — ja biję ją, — a ona żeby się choć broniła, albo wymyślała, albo wrzeszczała, albo tam co — nic; — tylko płakała i mówiła: bij,

bij, ale popraw się.“ Tak ja za trzeźwa, to czułem, że mi to jéj płakanie — to jakby ołów roztopiony na sercu. Tak dopiero włóczyłem się jéj u nóg, i zaprzysięgałem się — wie go Bóg tam co. A zawsze jeszcze djabeł ciągnął do karczmy. Ale bywało już jak idę, to coraz, to coś jakby odciąga znów nazad. A tak coraz więcéj, coraz więcéj, — aż i odciągnęło ze wszystkiem. Tak potem dziwowali się ludzie, co się ze mnie zrobiło, że jakby inny całkiem nie do poznania. To dopiero jakiem wracał z roboty — tak jak dawniéj z karczmy — to — to — z przeproszeniem pana Zastępcy—to ja zmiatałem proch z przed niéj, i całowałem tam gdzie ona stąpała, i żeby nie obrazá pana Boga, to byłbym się modlił do niéj jak do świętéj. Tak ona mnie mówiła: „wstydź się oto Tomku, to łaska Boska przemieniła złe, to święty Antoni odszukał zgubę, a nie tam grzesznica zaś taka, jak ja. Trza dawać na mszę świętą, i panu Bogu wszechmocnemu dziękować, i Matce Przenajświętszéj.“ Proszę ja pana Zastępcy — to jest kobieta! Ona, to i z książki umie czytać co tam stoi napisane, i w kościele to modli się z książki, jak mi Bóg miły.

Przez cały czas tego rozwlekłego Tomkowego gadania, wędrowny żołnierz nie spuszczał oka z mówiącego, roztwartemi ustami zdawał się łapczywie połykać każdy wyraz jego mowy, a oczami mrugał, jakby mu się na płacz zbierało z rozrzewnienia. Naraz obtarł sobie oczy krajem sukmany, niewiedzieć nawet dlá czego, bo ani jedna łza z nich nie poszła, i zamyślony szepnął sobie z cicha, jakby na swój własny tylko użytek:

— Da, da, ta ona ta sama zawsze — ta sama..,

A pan Zastępca słuchał z roztargnieniem, a może i nie słuchał wcale, gdyż nie łatwo robić dwie rzeczy razem. A dość już było z niego, że się ciągle przeglądał w zwierciadełku swojéj szczoteczki, i to w sposób dziwny zaprawdę. To sobie nos oglądał szczegółowo, —

to przypatrywał się zębom swoim, wyszczerzywszy je jak tylko mógł najdokładniéj, — to znów wywieszał język, i przyglądał mu się w rozmaitych położeniach, trudno zgadnąć dla czego? —

— Otóż — dopraszam się łaski Wielmożnego Pana Zastępcy — kończył swoje Tomek, kłaniając się czapką, — gdzie mnie znajść drugą taką kobietę? — jakże mnie ją oddać drugiemu? —

— No, więc tedy — rzekł na to z roztargnieniem pan Zastępca, nie wiedząc jeszcze co mówi, — Ośle jakiś! — odezwał się znagła odwracając się bez roztargnienia, i wiedząc już co mówi, czego mię nudzisz? czego chcesz?

— Dopraszam się łaski Wielmożnego Pana Zastępcy, ja nie pragnę jego własności, — niech on sobie weźmie dobytek, i chałupę i wszystko co jego, i z przyrobkiem, a kobiety mojéj mu nie dam —

— Da ja nie chcę — co mnie po tém! — mówił były żołnierz, żaląc się jak dziecię rozgrymaszone, — ja chcę jéj tylko — nic więcéj. Da to ty sobie zabierz wszystko. Niech mnie powiedzą: ty żebrak — stupaj w świat szyroki gdzie oczy poniesuć, ale niech ona będzie ze mną, — tak ja wyciangnę tę ostatnią wot ręke, choć nigdy nie żebrał, a taki pójdę, i dobrze mnie będzie.

— Ale posłuchajcie Łukaszu, przyrobiło się drugie tyle — to dostatek nie lada. Są cztery woły...

— Paszoł ty won k' czortu z twojemi wołami, — ta bez niéj nie ma mnie szczańścia na świecie!...

Pan Zastępca uczuł że się zaczyna bawić i roześmiał się dobrotliwie.

— To bydło gada o miłości! Słyszane też to rzeczy?...

A i żyd śmiał się sobie także na bok.

— He! te! te! Jakie to głupie te chłopy. Taż to gospodarstwo — to kawał pieniądza...

— Pan Zastępca zwrócił się do Tomka:

— Słuchaj głupcze — miejże rozum. Ona starsza od ciebie — co ci po niéj; możesz dostać młodszéj.

— Przez urazy pana Zastępcy, cóż to z tego — kiedy ja ją sobie upodobał, że stateczna nad drugie...

Pan Zastępca z kolei zwrócił się do Łukasza:

— Ależ durniu co tobie po żonie? Dość spojrzyć na ciebie, — trzy ćwierci ci do śmierci zdechlaku...

— Co mnie po żonie? — zawołał biedak głosem płaczliwym, — co mnie po niéj? — ta co tu i gadać, — taż i mnie należy się kawałek szczańścia na tym świecie. Coż ja gorszy od drugich? czy co? Taż to ja darmo wycierpiał, żeby mnie jeszcze nie można odpoczynąć między swemi, — ta bo ona jedyne moje na świecie! Co mnie po niéj! Ta i cóż komu po dniu białym, albo tam po powietrzu? — ta to i gadanie, no!

— Co za osioł! — mówił spluwając lubownik płci pięknéj, któremu to żadną miarą w głowie zmieścić się nie chciało, — babsko brzydkie i stare — jabym jéj nie chciał nawet za miliony...

— Cóż mnie, co ona nie ładna? — taż ona taka sama była kak ja ją brał. Jeżeli jemu ona brzydka — to niech mnie ją odda...

— Nie oddam, choćby nawet za tysiąc złotych!

Pan Zastępca splunął zniecierpliwiony:

— I mają się tu głupcy o co spierać! O jednę babę, starą i brzydką! Idźcie do djabła i róbcie sobie jak sami chcecie.

— Z przeproszeniem łaski pana Zastępcy, kiéj my tu właśnie przyśli żeby nas pan Zastępca rozsądził.

Pan Zastępca poczochrał się po głowie:

— To cóż ja wam tu wysądzę cymbały? — słuchaj ty stary ośle, powinieneś mieć rozum za siebie i za niego. Przypatrz się sobie. Jesteś stary, niedołęga, do stworzenia boskiego niepodobny — kaleka...

— Da coż to komu zawadzaje, co ja kalika?..

— Jeszcze żeby choć miał prawą rękę, mówił wzruszając ramionami Tomek do swoich towarzyszy, — to mógłby może pracować od biedy, ale o jednéj, lewéj tylko — gdzie jemu!...

— Coż oni się uwziali z tą ręką, krzyczał były żołnierz w szalonym gniewie — cały świat o niczem nie gadaje, tylko o tem...

— ... I spojrzyj na niego ciągnął daléj swoje pan Zastępca wskazując na Tomka, chłop w sile wieku, krzepki, zdrów jak ryba...

Były żołnierz spoglądał cielęcym wzrokiem, to przypatrując się swojéj własnéj sukmanie i butom, to znowu z kolei przeciwnikowi swojemu od stóp do głów.

— ... I tak jak jesteście tu — razem — obadwa, — idźcie do baby. Niech ona sama wybierze. Jak ona wybierze — tak ja rozsądzę.

— A to dopraszam się Wielmożnego pana Zastępcy, ona już wybrała mnie. —

— A no! baba nie głupia! Byłem tego pewny..

Były żołnierz z kolejnego przeglądu przeszedł w jakiś stan rozmyślania; zapewne porównywał jedno z drugiém. Potem szklisto spojrzał na pana Zastępcę — raz zapewne probując, czy on nie żartuje, — potem, drugi raz, zapewne dziwiąc się jego przenikliwości, — potem spuścił głowę na piersi: —

— To ona jego woli, co on młodszy... wyszeptał głucho.

— A no! widzisz durniu. Co się tu nawet i dziwić!

Biedak pokiwał głową i obtarł sobie twarz sukmaną.

— No, nie bydlęta to—niech mi kto powie, — mówił pan Zastępca, krzyżując ręce w sposób traiczny i jakby wyzywając liczną jakąś publiczność, — godzinę całą nudzili mię osły, na to tylko, żeby skończyć na tém, od czego zacząć byli powinni. To tylko... kija z nich nie zdejmować! To tylko... świętéj cierpliwości—ja powiadam. —

Splunął i siadłszy przy stoliku, umaczał pióro, zabierając się do pisania:

— A teraz, do rzeczy — o pobicie —

Chłop się poskrobał w głowę, a potem skłonił się panu Zastępcy do kolan.

— Dopraszam się łaski Wielmożnego pana Zastępcy oto — ja już nie chcę dochodzić mojéj krzywdy —

— Więc idźcie do miliona djabłów! Czas tylko zabierają cymbały. Poszli won! —

II.

Wyszedł biedak z domu Zastępcy i postąpiwszy kilka kroków, zatrzymał się zamyślony, jakby nie wiedząc dokąd się udać. I zdawał się nie wiedzieć nawet co się dzieje w koło niego. A jednak, znajdował się przy nim i towarzysz jego góral wędrowny, który czekał na niego za drzwiami i pies jego, który podobnież go się doczekawszy, szczekał teraz uradowany w koło niego; a nawet i jego współzawodnik, któremu ciężko było na sercu że wygrał sprawę, a raczéj, że ją jego przeciwnik przegrał. Góral milczał, wpatrując się tylko w swojego towarzysza z wyrazem politowania, nie pytał o nic bo już dawno przewidział był naprzód. Pies skomlał nie mogąc zrozumieć obojętności swojego pana, a może téż i podzielając jego smutek — i zwierzęta miewają swoje przeczucia i zrozumienia. Tomek miał głowę spuszczoną, jakby wstyd go było, i jakby żal mu było, i jakto bywa człowiek nie wiedzący co począć.

— Da chodźmy — odezwał się wreszcie były żołnierz, coż tut wyczekamy?

Szli wszyscy razem.

— Kak on nazywaje się, ten, co my u niego byli?

— Zastępca.

— Ta to inaczéj kak było. Dawniéj, to człek szeł do wójta.

— Widzicie Łukaszu — to tak samo jak było wprzódy, — bo zastępca to zastępuje wójta.

Tak zwany Łukasz zatrzymał się i popatrzał na mówiącego.

— A ja myślał — co on sędzia.

— Juści, że on sędzia. Wójt—to chłopski sędzia.

Były żołnierz pomyślał chwilę i kiwnął głową:

— A wszystko taki są i sędzie nad niego jeszcze. A pan Bóg, to jeszcze sędzia nawiększy, nad wszystkie drugie.

I znowu kiwnął głową.

— Ale niech tak już i będzie — kak ona ciebie woli co ty młodszy... Tylko — że ona taka dobra była zawsze — gdzieżby...

Gadał to wszystko jakby sam do siebie.

— Da, da, kak ona sama mnie nie chce — to i trudno. No, prawda — ja stary, zmizerowany.

Obrócił się do swego przeciwnika i podał mu rękę.

— Pasłysz brat — nie gniewajsia ty na mnie. Cóż ty chcesz? Wot widzisz — ja sam na świecie — nie ma mnie oto nikogoj, — a ja piatnaście lat myślał, co tak nie będzie. Ale bywa u Pana Boga, że człeku nie należy się mieć szczańścia, — da co i robić; nie gniewaj sia ty na mnie, ta to i pies ukąsi, kak jemu kość wydzierając...

Chłop miał łzy w oczach.

— Uspokójcie się Łukaszu. Co się stało — to się nie odstanie. Co tam! Wola Boska!... Pójdźcie oto do karczmy, napijewa się wódki na zgodę...

— Nie, nie chcę. Ta bo widzisz — mnieby taka wódka gardło spaliła, a nie przeszłaby; — a kakby i przeszła, to serdce by wypaliła na wieczne czasy. Idź ty sobie w swoją stronę. Daj mnie ty pokój z twoją wódką. — Pódź ze mną sobaczka moja kochana, a i ty

druch mój ze mną — ta pójdziem razem. Ta ja ciebie zapraszał wprzódy, a tera potrebuje oto sam. —

Pies spoglądał w twarz swojego pana; i skakał w koło niego skomląc, i usiłując polizać mu rękę, a ogon miał spuszczony;— patrzał i góral w twarz swojego towarzysza, i w piersiach robiło mu się niedobrze jakoś, bo myślał sobie w duszy:

— A gdyby też i mnie tak?...

III.

Jakkolwiek radzibyśmy zrobić z siebie wszystko co tylko można, niepodobna nam jednak przyznać, ażeby karczmarz Szaja zbyt lubił oświetlać gościnną izbę, mianowicie zaś o spóźnionéj godzinie, jak właśnie w téj oto chwili, gdyż w każdem miejscu i czasie gotowi jesteśmy śmiało utrzymywać, że jedyna smarkatka łojowa, przygwożdżona do ściany, pozostawia wiele do życzenia. Oświetlenie takie jest zaledwie Rembrantowskie. Nie przypuszczając zaś w panu Szai upodobania do Rembrantostwa, skłaniamy się raczéj wierzyć, że on przyjął ten zwyczaj w widokach czysto oszczędniczych. Jakoż, jeżeli szczupłego towarzystwa, znajdującego się w téj chwili w izbie, w żaden sposób nie podobna nazwać jaśnie oświeconém; z drugiéj znowu strony, nie sposób jest nie przyznać, że nie jest tam znowu tak zbyt ciemno, żeby się aż godziło zanieść przez omyłkę do ucha, to co najwyraźniéj przeznaczono dla użytku gardła. Zresztą podług stawu grobla. Zdarza się przecież u pana Szai, że się buzuje na kominie dla użytku całéj powszechności, a prócz tego osobno jeszcze, swkarzy się naiwna jakaś lampka na szynkwasie, ktora może nawet i więcéj kosztuje od saméj szabasówki, bo włazi w nią niesłychana moc much i persaków, które późniéj z nie-

małym żalem wyrzucać przychodzi, choć są nasiąknięte olejem; — wszakże wtedy nie żal jest być rozrzutnym, bo przy ogniu, za jednym zachodem, pietrasi się w skorupinie chuda jakaś zupka, na kolacyę dla całéj familii karczmarza, a w szynkwasie odchodzi wtedy tyle gorzałki z wodą, że po pewnym czasie, można śmiało zacząć dawać wodę z gorzałką, a mało już kto spostrzeże się na zmianie. Mówimy: „mało kto:" — bo juści zdarzało się już i przeciwnie. Towarzystwo bowiem zbierające się w karczmie, jak na złość, dzieli się na dwie części. Jedni są tacy co piją dziesięciu za jednego, — a drudzy — co jeden za dziesięciu. Tych ostatnich, każdy rozsądny szynkarz, miewa w tak grubym szacunku, że po pewnym, sobie tylko wiadomym czasie, nie podobna mu już przewieść na sobie, żeby nie miał, choćby tylko w rachunku na ich cześć pisanym, użyć liczby podwójnéj, a niekiedy i mnogiéj — jak się to robi z osobami wielkiego znaczenia. Co się zaś tyczy pierwszych to ci znowu mają dość często nieszczęście, natrafiać na chwilową jakąś głuchotę, roztargnienie albo téż brak czasu ze strony karczmarza, tak dalece że nieraz dziesięć razy przychodzi im dopraszać się, choć to za swoje własne pieniądze, o lichy półkwaterek wódki, lub kwartę piwa, dziesięć razy powiadam, a gdyby chcieć dobrze rachować, nieraz znalazłoby się może nawet i jedenaście. Ale wróćmy sobie do naszéj izby. Jeżeli tedy o późnéj godzinie, w któréj czas już bez ratunku utonąć w betach, w szynkwasie pana Szai, przygnieciona do ściany, pali się, choć niekoniecznie jasno, maczana łojówka; raz na zawsze weźcie sobie na zasadę, że musi być do tego ważny jakiś powód. Cierpliwości! zaraz o tem pogadamy.

Obrazek składa się w téj chwili z trzech osób. Zostawmy pierwszeństwo karczmarzowi, żeby go sobie nie narazić przypadkiem. Pan Szaja chodzi po izbie w przy-

deptanych pantoflach, klapiąc od pięt wyłażących mu z pończóch, i od czasu do czasu nawijając sobie pejsy na palec. Ma tylko na sobie kaftan, z wielką ilością wiszących tasiemek, dyndających rozmaicie, a na głowie krymkę, na któréj jest bardzo dużo brudu, błyszczącego tak zupełnie jak tłustość. Chodzi tam i nazad, widocznie myśląc o czemś ważném, i jakby mając chęć mówić, i zarazem jakby nie wiedział od czego zacząć. Kobziarz siedzi na ławie za stołem, brodę ma opartą na kiju, i wpatrzył się przed siebie zamyślony, a kobza leży przed nim na stole. A nasz były marynarz siedzi obok niego, a zamiast kobzy stoi przed nim półkwaterek pełny, a jak tylko zrobi się niepełny, zaraz go zastępuje drugi za pośrednictwem pana Szai. I nasz znajomy, zarumieniony jest jakoś chorowito, dziwnie rozrzewniony także, rozpłakany nawet, zkąd przychodzimy do tego przekonania, że kto już jak on, płakać nie może, niech się tylko upije, a pewnie łzy swoje odszuka. I gorąco mu też, czy coś takiego, bo się rozebrał jakby do ochoty. W rubaszce tylko czerwonéj, w spodniach parcianych wpuszczonych w buty, a na głowie ma furażerkę, jakby się obawiał, że inaczéj nie znać będzie że on żołnierz. Liczyliśmy poprzednio trzy tylko osoby, czas się poprawić — bośmy zapomnieli o czwartéj. A jest nią pies wędrownego żołnierza, którego on trzyma sobie na kolanach z całéj siły przyciskając do piersi, i przez zbytek pieszczoty dusząc niemiłosiernie, że ten aż skowyczy z bólu.

— Moja sobaczka serdeczna — sobaczunia moja — da to my dopiruj pryjaciele!

— Pójdźcie spać Łukaszu — mówi kobziarz — późno już. Jutro równo ze switem trza w drogę.

— Da wy nie wiecie — mówił swoje tamten — skąd ja wział toju moju sobaczku. Ta to było tego lata — co to — Newa — takaja reka — czy tam more — no! — tak ta

woda narosła aże strach! Tak ja był we Kronsztadzie wtedy. Da patrzę ja — chłopak niesie sobaczku mału. Tak ja pytam jego: „a gdzie ty z nim?“ — a ón powiada: „utopić.“ — „Daj mnie go to ja sobie go wezmę.“ — „Tak dajcie mnie grywiennik“ — a ja nie miał ani kopiéjki.

— „Ach ty podłaja dusza“ — ja mówię — „taż ty by bez grywiennika zgubił stworenie Boskie! Oddaj mnie jego tak, bez wszystkiego. — On nie chciał. Tak ja jego za łeb, i wydzierał mu sobaczkę. A sobaczka kąsał, to mnie, to jego, ta bo on go dusił w ręku. Tak ja wybił chłopaka i wział sobaczku. Ta bo ja myślał sobie: „jest co jeść dla mnie, ta będzie i dla niego, — a kak mnie przymrzeć kiedy głodu, tak będzie przynamnie towarysz.“ Da i był i jest, kak nie ma drugiego...

— Taki brzydki pies! — jaby nie dał za niego i trzy grosze — odezwał się żyd.

— Cóż on brzydki? on ładniejszy od ciebie, ty Jewrej, niewiarna dusza. Da ty sam nie wart trzy grosza —...

— No, o co się tu gniewać Łukasu. Ja tylko chciał powiedzieć, co on nie patrzy na taką wielgą wartość...

— Tak ty patrzaj swojego nosa — ta i koniec...

— Jakże on się nazywa? — odezwał się góral, chcąc przerwać nieprzyjemny zwrot rozmowy.

— Sobaczka on nazywaje się.Ja jego inaczéj nie nazwał. Toż tobie i dziwno brat? Ja tak chciał — no! — Taż o człowieku takżeby nie mówić inaczy, kak tylko człowiek, — to i dosyć. Bo cóż z tego że człek nazywaje się Łukasz — Jan — albo tam jak, taż u Pana Boga nie będzie ani Łukasz, ani Tomek, ani tam Zastępca — tylko wszystko równo.

Kiwnął głową i umilkł zapieczętowawszy tak dziwną loiką. Potem znów objął psa za szyję, i zaczął go całować rozrzewniony na nowo:

— Da ja sobaczku tego mojego — jaby jego nie oddał za — za nic...

— A umie on aportować, albo warować, albo bez kij skakać? — spytał żyd.

Wyraźnie nieszczęście jakieś uwzięło się dziś na niego; co się z czem wyrwał, choćby bez najmniejszéj złéj chęci, — zawsze to było niewczesne.

Były żołnierz uderzył w stół pięścią z całéj siły, i rzekł z gniewem zapluwając się po brodzie:

— Da ty nie gadaj mnie nic, — ty Jewrey — głupi — ja tobie powiedam. Dawaj oto półkwaterek pełny — to twoja recz; a nie wtrącajsia do niczegój.

Obrócił się do niego tyłem i rzekł do swego towarzysza:

— Tak ja tobie powiedam brat — rzadko takiéj mądréj sobaki! Ta to — kak ja wandrował oto — tutaj, — da miał po co i wandrować! — tak bywało nie jeden raz — jeść się chce — a tut nie ma za co. Tak ja jemu mówię tylko: „sobaczka! jeść się chce!“ Tak on dopiruj — kakby to właśnie stworenie rozumiało co się gada, ham — ham — i het gdzieś, — aż niedługutko powracaje się, a oto w gięḃie u niego chleb, albo tam kawał mięsa, albo kość choćby — nigdy próżno, — czort jego wie zkąd on to brał — a wszystko taki brał. Tak my jedli razem bywało — Jéj Bohu...

Utarł sobie nos w palce i mówił daléj:

— Ta bo człeku kraść, choć i z głodu, ta to występek zawsze, widzisz brat — a sobace to ujdzie. Wybiją kijem, a taki nie odbiorą przecie, — ta bo ktoby tam jadł po sobace! — tak i ostanie się; a człeku to odbierą i tam jeszcze do tiurmy, albo w aresztanckie roty zaszlą...

Zbliżył sobie półkwaterek do ust, i jednym łykiem zapił dziwne swoje rozumowanie. Potem znów się do łez rozrzewnił:

— A i w mrozie—tak ja przy nim ogrzewał się bywało — albo raz?

Zamyślił się i rzekł po chwili:

— Ta ja tobie powiem brateczek ukochany, co ja dzisia jeszcze więcéj polubił — mojego sobaczka. Ta bo ja widzę tera, co my do siebie podobni—kakby jeden. Ja sobie myślał nieraz: „Sobaka—ta to podłaja dusza, odpychajesz go — nogą kopniesz — a on wszystko taki potem lizie do ciebie po dawnemu.“ — Tak ja samże dzisia oto, — ta i cóż? — tak ona także odpychała kak sobaku, a ja taki swoje. Wot my i podobni sobie jeden do drugiego.

— No chodźcie lepiéj spać oto — co to warto siedzieć w nocy — będzie czas jeszcze pogadać...

— Zaraz — poczekaj brat — ta ja sobie jeszcze pomyślę trochu...

Myślał — myślał — potem rozpłakał się rzewnemi łzami:

— Bożeż moj swianty! — da cóż mnie robić będzie na świecie, kak on mnie zdechnie, mój sobaczka jedyny!...

I znowu całował psa swojego, i ściskał go, aż mu gnaty trzeszczały, — a pewnie nie chciał mu zrobić krzywdy, tylko tak mu się to już robiło samo, czy z przywiązania zbytecznego, czy też z nadmiaru gorzałki. A pies skowyczał i wydzierał się, z czego się pokazuje, że zbytek przywiązania wyradza wstręt, podobnie jak i nienawiść.

— Nie bójcie się Łukasu, — a może to wy umrzecie prędzy od niego, — mówił żyd dla pocieszenia, chcąc koniecznie przyjść do słowa.

Ale biedak spuścił głowę na piersi i siedział tak długo — długo — nie mówiąc już ani słowa, ani się nawet ruszając. I pomyślał sobie góral, że on zasnął. Więc wyciągnął się na ławie, położył sobie torbę pod głowę,

i nakrył się burką. A żyd chodził ciągle jak wprzódy, myśląc o swojem. Naraz przybliżył się do byłego żołnierza i poruszył go po ramieniu:

— Posłuchajcie no Łukasu — wy idziecie prec, a tu ostaje wase gospodarstwo całe, — taz wy tego nie weźmiecie ze sobom, ja wim — tak musicie sprzedać. Oto, wicie co? — sprzedajcie mnie, ja wom dam pieniądze dobre...

Łukasz spojrzał na niego zabielonym — rozbebranym wzrokiem:

— Kakoje gospodarstwo? — ja nie mam gospodarstwa...

— No, co tu gadać. Ten wszystek dobytek co je u Tomka: — chałupa — woły — świnie — wszyćko. —

— Ta ja to jemu ostawił — niech sobie ma.

— Toście głupstwo zrobili, — powinniście odebrać— macie prawo. Ja wam zapłacę dobrze — obacycie. —

— Nie chcę odbierać. Niech tam ostanie się. To nie dla niego—tylko dla niéj. Kak ona woli jego — tak ja już niczegój nie chcę. Żeby i duszy kto chciał ze mnie, tak dałby i duszę jeszcze. Kak jéj nie ma — tak nic nie ma, wot tobie i masz. Ja — ja nie potrebuję...

I znów się zamyślił po dawnemu. Żyd chodził znowu, i po pewnym czasie przybliżył się znowu.

— Posłuchajcie wy mnie tylko Łukaszu — nie będziecie żałowali. Ten Tomek to gałgan osobliwy — to złodziéj — ja jemu mogę hambaras zrobić — ja mam różne kawałki na niego. Ja jemu mogę zrobić tak, co jego jaż w sołdaty wezmą. Tak wtedy wasa żona będzie wasa. —

— Zagadnięty podniósł ociężałą głowę, wyciągnął rękę, — i całą garścią odgarnął od siebie swojego kusiciela:

— Tak ty by chciał, coby ona nieszczańśliwa była? Paszół won, ty — sobaka!...

Ale zaledwie wymówił ten wyraz ostatni — naraz, jakby mu się niedobrze zrobiło, wykrzywił się boleśnie, rozczulił na nowo, i znów chwycił nieszczęśliwego psa za szyję, ściskając go bez pomiarkowania.

— Da cóż ja i gadam — Bożeż mój świanty! Ta to żwieru mojemu ukochanemu, żeby ja taku krywdu robił! Oj; ukara mnie Boh za to, ukara! Oj będzie mnie będzie za to! Ta co ja i zrobię, kak mnie sobaczka moja ta jedyna — zdechnie, — ta moja — ta ukochana! —

I płakał, i kiwał się z boku na bok, aż się przewalił z psem swoim na ławę, a i to jeszcze nie poskromiło jego boleści. I próżno starał się żyd, chcący koniecznie skorzystać z okoliczności, wszelkiemi sposobami dojść z nim dó ładu, próżno, jak komar niepozbyty niezrażając się niczem wytrwale brzęczał mu swoje, to w jedno to w drugie ucho; on przewracał się tylko z boku na bok, zapłakany, zaśliniony, zamazany, zdawał się nic nie słyszeć, nic nie rozumieć, o nic nie dbać, i uparcie powtarzał tylko bez końca:

— Da coż ja zrobię nieszczaśliwy—kak mnie moja sobaczka zdechnie?! Zdawaćby się mogło, że człowiek ten, dziwnym wypadkiem, trafił na jakieś słowo magiczne, które naraz jakby zagwoździło wszystkie jakie bądź inne pojęcia w jego mózgu, albo że dno ostatniego półkwaterka który on wypił, znagła pokazało się być kołem jakiemś czarnoksięzkiem, po za obręb którego, nie godziło mu się wyjść ani na jotę. Co do nas, skłaniamy się do tego ostatniego domysłu. —

ZNOWU Z DALEKA.

Jeźli ciekawi jesteście dowiedzieć się, jakim sposobem wychodzi się nareszcie z czarnoksięzkiego koła, stanowiącego dno w półkwaterku, przypatrzcie się oto

w téj chwili właśnie oczarowanemu naszemu wczorajszemu, (gdyż to jest już dzisiaj), który wraz ze swoim towarzyszem idzie drogą od wioski. Nie ma on już na sobie dostatniéj swojéj sukmany, ani owego worka z zagadkowemi jakiemiś twardościami na kiju; tylko po prostu zasmolony, krótki swój kożuszek, który już znamy— za całe ubranie. Ma wprawdzie jeszcze ten człowiek i kij swój podróżny, po któryby się i żebrak nie schylił, gdyby go widział leżącym na drodze, i buty swoje te same co wprzódy, z których wyłazi słoma, a natomiast pakuje się błoto, — i głowę swoją własną, na swoim własnym karku — tylko spuszczoną ku ziemi, nie tak wcale jak wprzódy, kiedy jeszcze patrzała przed siebie, uparcie spodziewając się czegoś, póki to *coś* było zdaleka, — i idzie za nim także i pies jego ukochany, za któregoby jednak i największy rozrzutnik na świecie trzech groszy dać nie chciał; — ale cóż to wszystko w porównaniu z tem, co mogło było zostać jak wprzódy, a co jednak nie zostało bynajmniéj. A tym, który go odczarował w sposób niniejszy, nie jest nikt inny, tylko dobry znajomy nasz pan Szaja, — i ktoby się to spodziewał po nim czegoś podobnego. Stało się zaś to, jak utrzymują dobrze zawiadomieni, na skutek niezliczonéj liczby wypitych aż do dna samego półkwaterków, których nasz wędrowiec nie znalazł czem opłacić. A pan Szaja był nawet tyle wspaniały, (zkąd ośmielamy się podać do wiadomości, że jeźli wspaniałość zaginie kiedy na świecie — nic łatwiejszego jak odszukać ją w karczmie), — tak tedy był wspaniałym powiadam, że dłużnikowi swojemu, dał nawet do wyboru, co woli sobie zostawić na drogę, czy kożuszek, czy sukmanę?— w skutek czego tenże, po dostatecznéj rozwadze, wybrał raczéj kożuszek, przewidując w przyszłości zimę, i potrzebę stosownego od niéj zaopatrzenia się. Idzie tedy nasz wędrowiec, stósownie wprawdzie zaopatrzony od

Zimy, a jednak pocąc się niepospolicie, ponieważ nieszczęście mieć chciało, że to jest jeszcze lato. Ale jest to tylko moc nieprzyzwyczajenia, podobnie, jak w skutek mocy przyzwyczajenia znowu, mogą nosić źwierzęta toż samo futro w lecie, które noszą w zimie. I nie mając już co nieść na kiju, posługuje się nim w sposób najwłaściwszy kijowi, a jednak powłóczy nogi, tak samo jak to było i wprzódy, kiedy nieużywał téj pomocy, — z czego niech mi wolno będzie domyślać się, że oczekiwanie, równie odbiera siły, jak i zła pewność. A kobziarz idzie także ze spuszczoną głową, milczący i zamyślony. A i pies idzie także nic niemówiąc, i zamyślając się głęboko, — tak samo jak pan jego, i jak góral towarzysz jego pana.

Przechodzili koło smętarza. Były żołnierz stanął i zatrzymał swojego towarzysza.

— Powiedz ty brat mój, kak ty nazywajesz się? — ta to dziwno, co ja ciebie dotąd niespytał. —

— Maksym.

— Tak Maksym ty mój ukochany — bądź ty mnie zdrów. Żeby tobie Boh Nawyższy wynagrodził, co ty nie pogardził mnie biedaka.

— A gdzież wy chcecie iść?

— Wrot tut na mogiłki. Tak ja tam pozdrowię moich Rodzicieli — pomolę się za nich — a taki potem i świat!

— Pójdę i ja z wami — pomodlim się razem.

Kiedy wychodzili z smętarza, rzekł góral do swojego towarzysza:

— Wiecie co Łukaszu, — chcecie iść w świat, tak wam wszystko równo — dokąd? Oto — chodźcie wy ze mną — do moich. Toż nie samym tylko chlebem żyje człek, ale i słowem dobrem. Za biedakiem przyjętym w gościnę, ciągnie błogosławieństwo na chatę — toż i przez to samo już wart jest kawałka chleba powszę-

dniego, — a i znowuż chleb powszedni, dar to Boży — nie należy nim gardzić. W chacie naszéj miejsca dość; a ciepło tam, i od ogniska, i od serc poczciwych, — a jak zechcecie położyć głowę, to zawsze na czyjéjś piersi, — a do tego dach jeszcze będzie nad wami, od Nieba, co wam jest nieprzychylne....

— Były żołnierz pomyślał chwilę — czas jakiś popatrzał jeszcze na wioskę będącą już po za niemi, potem westchnął i rzekł:

— Ha! tak ja i pójdę z tobą — cóż mnie robić innego!....

Wzięli się tedy iść, a wioska coraz więcéj zostawała w tyle. —

Góral szedł raźno, patrząc przed siebie, — pogoda była w koło niego — pogoda i w nim samym. Naraz zatrzymał się, i mając uśmiech na ustach a łzy w oczach z wyrazem osobliwszéj radości, wskazał na widnokrąg:

— Patrzcie Łukaszu — widzicie wy — o! tam! —

— Da cóż takiego? Niebo pogodne — tak ani chmurki. —

— Ale tam! o!...

— Da cóż? Nic nie widzę. —

— Och! ale niepodobna — tam! o! góry nasze! Boże mój!...

— Da u mnie przecię oko dobre — a ja wytrzeszczaju, co ledwie z głowy nie wyłazi, — a wszystko taki nic nie ma. Zdaje się tobie brat. Tam nic nie widno.

— To dziwno. Może to dla tego, że to nie wasz kraj Łukaszu, — ale ja — widzę — widzę wyraźnie — jak na dłoni — toż się przecię nie mylę. Góry nasze — o! — z białemi wierzchołami — zębate! och! jak wy je zobaczycie z blizka, serce wam się rozrośnie, i odetchniecie tak, jakoście jeszcze ani razu nie odetchnęli w życiu. To nie na waszéj zapadlinie dusznéj, gdzie światu Bożego nie obejrzysz, — my mięszkamy w chmu-

rach, jak orły — bliżéj pana Boga, niż wy. Och! wy nie wiecie co to nasza kraina kochana. Ona jest pod Niebem — tak jak wasza przy ziemi!...

Prawił ze łzami w oczach — zarumieniony — szczęśliwy. A im więcéj mówił, tem ciężéj smutniało oblicze jego towarzysza — tem więcéj zostawał on w tyle. Znagła zatrzymał się dysząc ciężko — ze zmęczenia pewno. —

— Kak ty prędko idziesz brat — rzekł kwaśno — ja tak niemogę. Odpoczyńmy trochu.

Siedli i odpoczywali.

— Ta to i dziwno; — wyraźnie kakby nogi pryrastali do mieńsca. —

— Bo nie oglądajcie się po za siebie. To, co tam zostało — w tył was odciąga.

— Da ja już i nie oglądaju się — jaby rad już kak nadaléj, — a to wszystko taki nie można coś. Coś kakby zatrymuje w mieńscu. Ta to bo swoja ziemia rodnia tak do stopy prylegaje...

Siedział czas jakiś milcząc, potem znowu ujął kij i wstał.

— Da choćmy już, kak nie można inaczéj.

A w drodze znów Góral roił swoje — jak wprzódy.

— A chata nasza stara! mówił marząc z uniesieniem — toż mnie ztąd już pachnie dym jéj komina. Jak wy zobaczycie naszą chatę.... stara ona — osiadła ku ziemi — tak jak tysiące takich na świecie, — a ja, nie mieniałbym jéj za pałace, — jabym nawet nie chciał nowéj, choć i na tem samem miejscu. Jabym wolał — jak ona ma runąć kiedy — żeby mi się ona na głowę zwaliła, i grobem moim była, — niech sobie dzieci postawią nową.... Biednie jest w chacie górala — bo góral sam nic nie ma, — nie dał mu Pan Bóg, ani chleba waszego, ani różnych waszych zysków, — dał mu tylko zawsze młodo w duszy — błogosławieństwo w chacie —

dużo drogich sercu; — obaczycie wy szczęście nasze z blizka — takiego nie znają u was....

Towarzysz jego zdawał się słuchać bacznie, a jednak smutny był czegoś i zamyślony.

— No coż — odezwał się wreszcie, czy zamawiając, czy też nie wiedząc nawet, co tamten gadał, — no cóż? — powiedz brat — nie przepowiedziałże ja tobie, co ona żywie? To ja ją widział nie jeden raz we śnie, bo co dnia molił się o to Panu Bogu; — jedno że zapomniał, co ona może być żywa — a taki nie być moja. Ja tylko molił się, coby ona żywa była — tak też Boh i dał....

— Co tam! porzućcie myśleć już o tem. To za wami już. A lepsze to, co przed wami oto. Moi zastąpią wam waszych — żywi zmarłych — a dobrze życzliwi tych, co was odepchnęli. Toż i niewarto już myśleć o tem, co przeszło. Obaczycie wy moich — dość wam obaczyć ich, a przylgniecie jak do swoich rodzonych...

Biedak krzywił się, jakby mu się nie dobrze robiło. Szmatki lekkiego rumieńca wykrawały mu się na zapadłych policzkach, a ukradkiem spoglądał niekiedy na swojego towarzysza, wzrokiem, w którym wyraźnie widać było, czy gniew, czy niecierpliwość.

— Toż i dziwno — mówił znowu swoje — kak to Pan Bóg uporiadkował. Taż ja był *jéj* pred Panem Bogiem, a taki ona zgubiła mnie, co nie miała ze mną dzieci, — a drugiego, co się jéj nie należało go mieć, tak wybawiła od nieszczańścia, co dzieci z nim miała. Tak to i dziwno: co dobre niby, a szkodzi swoim; a taki cudzym, to pomagaje...

— Słuchajcie Łukaszu — jak wy nie przestaniecie myśleć o tem — to wam zginąć marnie od samego żalu. A sami powiedzcie, czy to warto jedno drugiego? Czy warta ona, żebyście wy sobie życie truli dla niéj, kiedy ona was odepchnęła biednego, co nie macie ni-

kogo na świecie, tylko ją jedną? U nas nie tak wcale. Obaczycie jak was przyjmą moi. Dość mnie powiedzieć, żeście wy brat mojego serca, a wnetże żona moja, i bracia, i siostra, przyjmą was jak swego rodzonego — a stare Rodzice gołębie siwe, pobłogosławią razem ze synem, co im wraca z końca światu — Panu Bogu Wszechmocnemu dzięki — zdrowo i cało. —

Były żołnierz dyszał ciężko, a głowę miał spuszczoną. Na ostatnie wyrazy skrzywił się znowu boleśnie, konwulsyjnie jakoś zaciął zęby, i naraz zatrzymał towarzysza swojego za rękę:

— A-kak oni — tak kak i moi — na mogiłkach? — odezwał się głucho — albo i żona twoja — kak moja — umarła za żywa? — ta ty o tem nie pomyślał brat...

Góral stanął jak przykuty — popatrzał na mówiącego — zbladł — uczuł zimny dreszcz w swoich żyłach — przeżegnał się i machinalnie szeptać zaczął cichą jakąś modlitwę. — A tamtemu tymczasem dziwna gra wybiła na lica. Z początku wyglądało, jakby się ucieszył niejako wrażeniem słów swoich, — potem znagła, zdawał się żałować już tego co się stało. I gra ta była przykra do widzenia; — bo usta tego człowieka widocznie ściągnęły się do uśmiechu, co przy wyrazie boleści jego twarzy, ułożyło tak dziwne przeciwieństwo, że przypominało szatana, radującego się, z przywiedzenia kogoś do zguby. Ale znagła wrażenie to znikło, jakby przytrzymane na uczynku, i w sam czas powściągnięte. Zdawało się, jakby złe uczucie, wywoławszy następnie dobre, natrafiło na środek równowagi, który jakby niejako, stał się zarazem i środkiem dobroczynnym, na ranę zbolałéj duszy biedaka. I dla tego twarz jego przybrała zwolna wyraz spokoju, i jakby pociechy nawet, którego nie było na niéj aż dotąd.

— Ta ty mnie brat nie gadaj tak dużo o swoich, — odezwał się po chwili smutno i z cicha, — ta bo mnie

boli od tego. Tak to nie wiesz, ani ja sam nie wiem, czemu?— a taki boli, powiadam ja tobie. Kak ty mnie mówisz o twoich— tak mnie może zdaje się, kakby ty chciał mnie wytykać, co ja nie mam nikogoj — może to to? — czy ja wiem? — dość że boli. Da ty mnie daruj to—ja samże już i nie wiem, co gadam. Także ja już i nie wiem, co mnie jest; — a taki powiadam tobie— dziwno we mnie coś...

I szli daléj milczący oba i smutni. I zamierało serce w piersiach górala, a łzy cisnęły mu się do oczu. I wziął on kobzę swoją, i zadął na fletni przeciągłą pieśń góralską, żeby mu rozweseliła duszę, przypominając jéj rodzinną jéj krainę:— góry wybiegłe w niebo— zielone polany — i wioski, jako jaskułcze gniazda, w powietrzu gdzieś. Ale wszystko było próżno. Bywa w człowieku, gdy wygląda czego gorąco, że jak mucha niepozbyta naprzykrza mu się przeczucie złego, które on spędza z siebie uparcie, biorąc je za jedno z tęsknotą, — ale niech wtedy słowo jedno czyje, złowróżbnie spokrewnionym dźwiękiem, trąci w tę strunę ciągle naciągniętą,— zdarza się, że struna ta, pokazuje się być naraz, środkową fibrą serca, na któréj grywa także, albo radość zupełna, albo nieszczęście skończone...

Naraz góral przerwał sobie pieśń swoją w samym środku, i rozpłakał się zawodząc głośno:

— Oj Łukaszu! Łukaszu! coście wy mnie zrobili najlepszego! Toż ja ani nawet widzę więcéj mojego kraju przedemną,— jak wprzód było! Toż od jednego słowa waszego, pociemniało mi w oczach,— a świat Boży zamierzchł w koło mnie, dziwnie jakoś, jakby już było po zmroku.

Płakał góral i szedł,— a jak nie płakał, to był smutny i milczący, zupełnie tak samo, jak był jego towarzysz przedtem. A towarzysz jego, ani go pocieszał, ani go martwił więcéj,— bo była już między niemi równo-

waga, którój on sobie życzył widocznie, ponieważ ją wywołał sam. I trudno wiedzieć — co mu było po téj równowadze? — Przekonywamy się tylko jasno, że obawa nieszczęścia, i nieszczęście już wycierpiane, spotykają się z sobą na samym środku drogi — choć niby idąc od przeciwnych biegunów. —

ZNÓW Z BLISKA.

I.

Bywa, że kiedy się człowiek, po długiem rozłączeniu, zbliża nareszcie do miejsc, lub osób sobie drogich, — im mocniéj się spieszy, tem mu pilniéj — im więcéj się zbliża, tem mu tęschniéj; — tak dalece, że kiedy nareszcie drżącą nogą przestępuje próg rodzinnéj chaty, zdaje mu się koniecznie, że na ten krok jeden, wytężył on już wszystkie swoje siły ostatnie. I dla tego też mówimy sobie wtedy zwykle:

— „To szczególna — jak też to w samą porę Pan Bóg zdarzył; — inaczéj — nie pojmuję — jakby można było dłużéj wytrzymać!“ — I rzecz dziwna, — każdy — ale to każdy bez wyjątku, ma siebie za jedyny wyjątek w takim razie. Ale nie jest to nic więcéj, jak tylko prosty wyrób naszéj wyobraźni, — bo od stworzenia świata, aż po dzień dzisiejszy, każdemu, w podobnem będącemu położeniu, zdarzało się to w samą porę, i to równie po roku, jak i po stu, i więcéj latach, — który to drugi wypadek — ostrzegam — odnosić raczéj należy do wieków Matuzalowych — bez potrzeby zadawania mi próżno kłamstwa. W takiem samem tedy usposobieniu, znalazł się i nasz góral wędrowny, czując się coraz bliżéj domowego ogniska. A jakkolwiekby kto szedł

nie wiem z jak daleka — z za morza nawet — jeźli tylko można przyjść z zamorza — z warunkiem przecię, żeby dusza także wytrwale trzymała się ciała, — nieochybnie zajść kiedyś musi. Tak i nasz wędrowiec zbliżył się nareszcie tak, że już i nie mógł być bliżéj. — A teraz kiedyśmy sobie już powiedzieli to i owo, co wyznam nawet, niekoniecznie jest potrzebnem, a czego jednak żal mi przekreślić, dla tego jedynie, że już raz napisane, — spojrzyjmy sobie na nowy obrazek przedstawiający się naszym oczom, a nie zabawi to długo, bo składają go dwie osoby, wyłączywszy od opisu znajomą nam już sobaczkę, która w niczem nie przyda wrażenia — jako osoba nie wiedząca nawet o co chodzi w tym razie.

Rzecz odbywa się na wzgórzu, z którego widok na dolinę, — a na téj dolinie wioska — nie wioska — ale raczéj przypuszczać należy, że była tam kiedyś wioska; tylko że dziś: chaty jedne zrównane z ziemią, drugie jakby poskręcane na miejscu, innym brakuje dachów, z innych — kilka tylko potrzaskanych dylów, a gdzieniegdzie same znowuż dachy na ziemi, albo raczéj kupy poszycia, poprzebijane na wylot sterczącemi z nich krokwiami, poprzywalane belkami; indziéj znowu kupy belek, lub pojedyncze belki leżące samotnie. Okolica jest naga jakby na dłoni, — w oddaleniu las widocznie poczochrany, a i bliżéj, mnóstwo drzew to potrzaskanych, to pokładzionych wraz z korzeniem. A tam, gdzie wioska — pełno jest życia; — tylko że życie to, smutne jest do widzenia, podobnie jakby taniec na smętarzu. Kręci się tam, roi, jak w ulu. Jedni grzebią w gruzach, drudzy siedzą na nich z załamanemi rękoma, niemi, zadumani. Inni dźwigają co się jeszcze przyda dźwignąć, inni stawiają na nowo. A tu i owdzie — nędzne szałasy, posplatane — to z gałęzi drzew połamanych — to z całych, pobranych jak były wyrwane z korzeniem, pou-

kładanych w poprzek, ponabijanych ziemią,— to z resztek chat dawnych, gdzie się dało wybrać jakie resztki przydatne. I któżby się nie domyślił: że to jest wioska— dzisiejsza, na mogile wczorajszéj... Taki to widok mają wędrowcy nasi ze wzgórza! I gdyby zamiast śpieszyć bez tchu prawie, rozpytali się byli po drodze, byliby się dowiedzieli: że przeszła tędy potęga Boża, w postaci trąby wietrznéj i oberwanéj chmury, — a mniéj tu jeszcze zrobiła złego, jak daléj w górze, bo na spokojną dolinę, osłonioną zewsząd, przyszło już wysilenie ostatnie. Ale góral, skoro raz nogą wstąpił w swoje góry rodzinne, już mu nie było rady. Jemu się zdawało, że duch jego skrzydeł dostał, a tęschnota nie dawała mu ani snu, ani spoczynku, — tylko pędziła przed siebie. Aż z owego pędzenia, przyszło mu naraz niespodzianie wrosnąć w ziemię. Bo oto — stoi on w téj chwili niemy, bez ruchu, podobniejszy do widziadła, jak do człowieka. Blady jest jak koszula śmiertelna,— ręce ma załamane, a raczéj skręcone konwulsyjnie, — posiniały mu usta,— a twarz jego przedstawia układ kurczu fibr podskurnych, jaki natrafić można, u osób rażonych piorunem. Bo wyobraźmy sobie naprzykład, człowieka chroniącego się pod drzewo, w czasie gwałtownéj burzy. Juściż naturalnym stanem jego w takim razie musi być przestrach. W tem ugadza go grom!... błysk jeden — i koniec! I oto pozostaje w trupie, wyraz twarzy, jaki schwytano na uczynku, — tylko że w tedy, była tam jeszcze dusza, zdolna lada chwila wywołać przemianę,— a tu, nie ma już duszy, nie będzie i przemiany. Jestto, jakby — chwila uwieczniona.... Otóż, podobny wyraz, ma w téj chwili twarz naszego wędrowca. On także został jakby rażony gromem. Oczy jego, jakby magnetycznem jakiemś działaniem przybite do jedynego tylko przedmiotu na świecie — do onéj niegdyś wioski w dolinie,— wytężone, szklanne, nieruchome,— zdaje się jak-

by wszystkie siły jego ducha zbiegły mu się do oczu,— wyszłe na wierzch — jakby nie mogące się już zmieścić w oprawie — a powieka, ani się na nie nasuwa, jak powinna; ani nie zjawia się tam nic wilgotnego, coby mogło łzy zwiastować. A teraz, przyjrzyjmy się twarzy jego towarzysza. Rzecz dziwna, jak to z twarzy ludzkiéj, czytać można jak z książki. Były żołnierz patrzy także,— ale więcéj ciekawo, chciwie nawet powiedziłbym raczéj,— jak w jakimkolwiek bądź względzie smutno. I spogląda on rozmaicie, i to systematycznie bardzo,— bo kolejno: — to na swego towarzysza, — to w przestrzeń, w którą tenże wzrok utopił. I zdaje się porównywać widok i wrażenie, robić wnioski, i zgadywać wszystko. I widno z tego, że trzeba mu się domyślać samemu, jako nie mającemu żadnego objaśnienia. Pewnie góral zobaczywszy co się święci, nie wydał żadnego krzyku, nie wymówił ani jednego słowa,— tylko odrazu stanął, przygwożdżony do miejsca, tak jak teraz stoi;— i dla tego współwędrowiec, nie może wiedzieć jasno, o co właściwie chodzi, i dopiero domyślać się musi. A na twarzy jego, przyjrzawszy się bacznie, odkrywamy grę dziwną zaprawdę — radość nieledwie. Radość z cudzego nieszczęścia!..... Któż zgłębił kiedy tajnie duszy ludzkiéj? Zresztą, któż zaręczy — że się nie mylimy?— Może to wewnętrzna rozkosz gotowości do współudziału, opromienia tę twarz, podobnież zbiedzoną nieszczęściem?— trudno zgadnąć. Bądź co bądź, najwyraźniéj uśmiech błąka się po tych ustach bladych, odwykłych od uśmiechu. I zdaje się, jakby go powstrzymywano od czasu do czasu,— a jednak daremnie;— uśmiech wraca znowu — uparty — niepozbyty — wyraźnie nie zbędny, z jakichś pobudek wewnętrznych. I na reszcie twarzy tego człowieka, nie ma sprzeczności z jego uśmiechem, — jest tam dziwna jakaś pogoda,

jakiéj nie było aż dotąd,— jakieś jakby nawet ożywienie, z rodzaju tych, co to dodają sił nowych. I pogoda taka na téj twarzy, wygląda tak zupełnie, jak to bywa w jesieni, po kilku dniach deszczu ciągłego, naraz dzień jakiś bez deszczu wprawdzie, ale też i bez słońca, i bez nieba, bo pochmurny całkiem;— z którego rozwesela się jednak dusza w człowieku,— chociaż wpośród promiennych dni lata, dzień taki byłby niepogodą i osmuceniem duszy.— Osobliwszy też to dramat, prowadzony stosownie i nareszcie skończony całkowicie, — w którym autor i działacze, są jedną i tą samą osobą,— po którym nie pozostaje, jak tylko klasnąć, i zawołać po nazwiskach, a działacze wzdrygną się znagła i ockną do rzeczywistości. A i promienny, wesoły dzień letni, pozłaca zewsząd tę niemą scenę,— wesoły i promienny, zapewne dla widzów tylko,— bo działaczom smutnych dramatów, świat malowany przedstawia strony odwrotne: — zgrzebny łachman, w miejscu obłoków nieba,— nagwazdane kwaczem plamy niekształtne, w miejscu uroczych widoków przyszłości, — dyle i niezgrabne drabiny — tam gdzie jest droga życia. Ale i to jest czyste przywidzenie, bo świat jest zawsze jednaki,— tylko że smutnemu zdaje się, niewiedzieć dla czego — zapewne przez wrodzone samolubstwo człowieka, że w koło niego zmienia się i posępnieje;— a tymczasem smutek, jest tylko w nim samym — nigdzie więcéj. I jak mającemu żółtaczkę, wszystko na co spojrzy, żółtem się przedstawia, tak i w tym razie, złudzenie tylko — nic więcej. Bo zresztą, cóż za przyczyna, żeby miał posmutnieć świat cały, dla tego tylko, że tam komuś na nim smutno?....

Wpatrzył się były żołnierz w twarz swojego towarzysza, aż napatrzył się do sytości, i wtedy rzucił mu się na szyję, a łzy obficie z oczu mu się puściły.

— Biedny ty! — wyrzekł głucho łkając — da ty tera brat mój prawdziwy. Da ty stracił wszystko — kak i ja... —

Kiedy schodzili w dolinę, napotkała ich dziewczyna góralska, idąca z dzbankiem do źródła:

— Bóg z wami! Ach! to wy Maksymie! rzekła obcierając się fartuchem — oj! mój Boże! nieszczęścież nam, nieszczęście bo! Ręka Boska przeszła tędy, a nie zostało źdźbło przy źdźble, jak było...

— A moi? — wyjąkał góral ponuro. Było to pierwsze słowo, które wyrzekł, od chwili niespodziewanego swojego zjawiska, — i zdawało się, że w dźwięku tego słowa jednego, zbiegło się wszystko życie, które jeszcze w nim pozostało.

— Wasi — tam! — odrzekła wskazując ku zwaliskom wioski — tam, ot, jak ta szatra pod borem...

— Wszyscy?...

— Zdrowo wszyscy i cało. Panu Bogu dziękować, mało kto zginął. Tylko stary Jow co nie chciał porzucić chaty ojców, — tak i mogiła jemu w niéj. A i Prakseda Kowalicha, co to nie wstawała już od lat pięciu, — nie było czasu wynieśc ją; a jeszcze i dziecko Maryi Kuźmowéj — małe, w kolebce, — szczęśliwa duszyczka w niebie dziś...

Ale góral nie słyszał już nic więcéj nad pierwsze wyrazy. On odetchnął tylko głęboko, jakby góra cała ustąpiła mu z piersi. I rzecz dziwna — w chwili téj jednéj — w dwóch naszych wędrowcach nastąpiła tak nagła zmiana, że powiedziećby można, niby za wrażeniem czarnoksiężkiego jakiegoś wyrazu, pozamieniali oni swoje role. Jeden, z rażonego gromem stał się pełen życia i szczęścia, — drugi z ożywionego niby chwilowo, znagła sposępniał, spuścił głowę na piersi, a w oczach pociemniało mu, jak pewnie zrobiło się i w duszy. I porwał się góral, i biegł — jakby bliżéj było na pośpiech,

jak na powolność, — a towarzysz jego szedł za nim z daleka, wolno, posiłkując się kijem, a raczéj wlókł się jak człowiek, któremu nie ma się po co spieszyć. I zaszedł tak samo jak i tamten, bo czy spieszy się człowiek, czy wolno idzie — przecież zawsze zajść musi... choćby to nawet było i do mogiły.—

II.

Opisywać radość człowieka, który zostawiwszy po za sobą wszystko co miał drogiego, dobrowolnie skazawszy się na wygnanie, przez lat kilka tułał się bez spoczynku po ziemiach cudzych, trawiony tęschnotą do swoich, i orzeźwiając się tylko nadzieją powrotu do nich kiedyś,— który stanąwszy wreszcie u progu rodzinnéj zagrody, pewny był że mu już nic nie zostało na świecie, i naraz przekonywa się przeciwnie,—opisywać przyjęcie go przez swoich, — opisywać jak on znowu witał wszystkich i wszystko,—jak się śmiał i płakał w jednéj i téj saméj chwili,—jak ze zbytku radości gadał bez związku i znowu ze związkiem,—jak nie mogąc zrobić wyboru ściskał wszystkich razem,—jak potém znowu każdego z osobna, ale jeszcze bez wyboru,—jak znowu potém każdego z osobna, ale już z wyborem, — jak nikt nie mógł pierwszy przyjść do słowa, — jak potém naraz przyszli wszyscy razem, — o czém oni gadali naprzód, o czém potém; — wszystkiego tego tedy opisywać ani nas korci, ani téż się podejmujemy. Gdyż zdarzyćby się mogło, żeby nam przyszło w tym razie utknąć w sposób nieszczęśliwy, na podobieństwo owych malarzy niezupełnie Rafaelów, co to nieumiejąc wytłumaczyć swojéj myśli za pomocą jedynie wyrazów twarzy i postaw osób namalowanych przez nich na płótnie, wypisują z ust ich stósowne objaśnienie, idące w powietrze, — co przypo-

mina zmarznięte owe słowa przestrogi, które znalazł w dolinie wdów bez wyjścia, pątnik, opowiadający dziwa w komedyi mięsopustnéj. Żona ukochana — dziatki wszystko troje — ojciec stary gołąb — matka sędziwa — brat — siostra — są wszyscy — nikt nie zginął — wszyscy — jak i byli — ha! Chwała Bogu!..

Góral padł na kolana przed ocalonym z gruzów obrazem świętym, i modlił się długo, gorąco, — a wszyscy poklękali wieńcem koło niego i modlili się z nim razem. Potém znów się witali i znów radowali, jakby po raz pierwszy. Naraz Maksym przypomniał sobie towarzysza. Obejrzał się — nie było go między niemi. Wybiegł przed szałas, a biedak stał tam opodal, oparty na kiju, z głową spuszczoną ku ziemi, zamyślony i smutny.

— Chodźcie — chodźcie Łukaszu. Ręka Boska czuwała nademną — będzie z tego i dla was.

Były żołnierz posmutniał mocniéj jeszcze.

— Tak nie brakuje wam nikogój z waszych? — wyrzekł ponuro.

— Nikogo. Bóg strzegł. Chodźcie — będzie wam jakby wśród waszych własnych.

Tamten wziął go za rękę:

— A — mienie wasze?..

Mówił to, jakby oczekując z tego stósownego jakiegoś wrażenia; a z oczu, które bacznie utopił w twarzy swego towarzysza, patrzała jakby jeszcze ostatnia jakaś nadzieja.

— Mienie? — odpowiedział góral wesoło — o! Bogu dziękować, że przepadło mienie, które wróci znowu, dziś, jutro, — jeśli tylko niema zguby z niczego takiego czegoby odzyskać nie można. A i cóż nawet mienie górala? Bo u górala nie ma bogactwa ani w chacie, ani w polu, — to i nie wielka szkoda. Chata tylko!.. toż my ją odbudujem na miejscu dawnéj, i będzie jak było — wy pomożecie? — wszak prawda?..

Były żołnierz za całą odpowiedź kiwnął tylko głową, potém spuścił ją na piersi i westchnął.

ANI Z DALEKA, ANI Z BLISKA.

I.

I budowali chatę, i wydźwignęli ją tak jako była i wprzódy, — na tém samém miejscu co dawniéj, — z tych samych bierwion, ile się tylko dało użyć, byle było jak najwięcéj z dawnego, — bo człowiek wiąże się nietylko do miejsca, ale i do przedmiotów co otaczają miejsca drogich jemu wspomnień. A pomagał do tego i były żołnierz, ile go tylko jeszcze stać było na to. A jak stanęła chata, wrócił znów i dawny spokój w dusze prostacze, i gromadzono się w koło ogniska jak i dawniéj — cała rodzina górala — trzy pokolenia; — tylko że rodzinie téj przybył jeszcze jeden członek — przychodzień z daleka — nieszczęśliwy, będący w niezgodzie z niebem — towarzysz wędrówki Maksyma — a którego przyjęto jak swego, przygarniając tym sposobem, według wiary staréj — błogosławieństwo w chatę. I zdawał się biedak odżywać życiem tych ludzi szczęśliwych. I bywało — wieczorem — kiedy przy trzeszczącym ogniu na kominie, stary dziad, jak to zwykli starzy, z upodobaniem nieraz prawić rozpoczął o starych czasach, (a widziałci on i czasy różne, i kraje rozmaite, służywszy długo u Francuza pod Napoleonem) — bywało, że występował rumieniec na blade lica byłego żołnierza — żywiéj uderzało mu serce w piersi, i wnet rozwiązywał mu się język, a i daléjże dokładać znowu co swego — boć i on widział także nie mało w życiu swojém — bywalec po rozmaitych stronach świata. Tak, powoli,

zdawał się on przywykać do nowego swego położenia; i myśleć nawet było można, że stopniowo zaciera się w jego skołatanym umyśle pamięć niepowrotnéj przeszłości pod dobroczynném działaniem owego prostego i cichego a jednak zupełnego szczęścia góralskiéj rodziny. I prawda, że pod wpływem dziennych zajęć gospodarskich i życia tego rodzinnego, ulegał on nieraz mimowolnemu pociągowi; — to czynne i wspólne życie rozrywało go bez jego wiedzy nawet, przeszkadzało mu myśleć odrębnie, zmuszało go niejako przestać być sobą samym; — ale za to ile razy został sam z sobą tylko — dziwno, jak to człowiek co innego myśli sam z sobą — co innego z drugimi. Jemu wtedy stawały na oczach najdrobniejsze szczegóły owego szczęścia domowego które go otaczało zewsząd. Każda pieszczota — każde przychylne słowo od dzieci, żony, od rodziców starych — każda drobna radość pomiędzy niemi. I przyrównywał on to wszystko do siebie, i znajdował, że szczęście podobne w koło niego, który nie ma nikogo na świecie, którego nikt nie wygląda, nikt nie żałuje — to tylko, jakby urąganie żywe. I w głębi uczuwał on coś podobnego do wrażenia, jakieby miał człowiek głodny, gdyby zamiast mu jeść dać, oprowadzano go tylko po sali biesiadnéj, pokazując mu jak to smacznie ludzie jadają na świecie. I wtedy dziwne myśli przychodziły mu do głowy:

— Dla czego oni są szczęśliwi — mówił sobie — a ja tylko jeden pomiędzy niemi szczęśliwy nie jestem? Albo dla czego raczéj oni nie są nieszczęśliwi, a ja szczęśliwy? — czyliż ja gorszy od drugich?..

I wtedy czepiała go się zazdrość — a z zazdrości przechodził do zawiści — z zawiści do oburzenia. Bo wyobraźmy sobie tylko człowieka, w położeniu, o jakiém mówiliśmy wyżéj. Czyliż głodnemu, któremu jeść nie dadzą, i któremu pozwolą tylko patrzeć na jedzących,—

powiedzcie mi — czyliż takiemu z przyrodzonego zaraz popędu nie przyjdzie samo na usta: „bodaj wam w pożytek nie poszło! — bodaj wam kością w gardle stanęło!“ — lub coś podobnego temu? — Człowiek jest samolubem w szczęściu, — jakże chcieć żeby nim nie był w niedoli?..

W takich myślach nieraz noc całą przewracał się nieszczęśliwy z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Czy to niedola jego własna tak mu sen odbierała? Nie — to szczęście drugich.

I myśli te coraz więcéj nim owładały, i stopniowo: — to co w nim z początku smutek tylko obudzało, z wolna stawało mu się coraz dotkliwszém. To — jakby niesprawiedliwość względem niego — jakby przymówka — jakby wyrzut — jakby szyderstwo nareszcie. I wszelki najniewinniejszy objaw szczęścia domowego w rodzinie zaczął mu dokuczać nieznośnie — zaczął go boleć — jakby dotknięcie rany żywéj.

I bez końca coś zdawało się szeptać mu w głębi:

— Patrz! on ma ojca — matkę; — on ma żonę — dzieci; — oni mają jego; — a ty — ty nie masz nikogo — nikt ciebie nie ma...

I znów sposępniał jak dawniéj było, i próżno już poczciwi ludzie wysilali się pocieszyć go. Wieczorami nie siadał on już nawet przy ognisku jak dawniéj, tylko w kącie na ławie — smutny — zamyślony — z zwieszoną głową, — jakby niechcąc nawet spojrzeć w koło siebie; i siedział przy nim tylko pies jego, którego on głaskał czasem roztargniony — może i nie wiedząc że to robi. A starzy poglądając na niego, ruszali tylko głowami, jakby mówić chcieli:

— Nie ma jemu lekarstwa — nie ma! Kiedy dusza chora w człeku, to ją tylko Pan Bóg wyleczyć może — ale na to trzeba żeby chciał!...

Jednego razu zadumał się biedak więcéj jak zwykle, a nazajutrz rzekł do Maksyma gdy zostali sami:

— Wiesz co brat — ja widzę — co mnie niema rady. Ja myślał co mnie dosyć na stare lata dachu oto nad głową a i chleba kawałek — a tu — wszystko taki — mało tego. Tak ja już nie mogę dłużéj z wami, — trzeba mnie pojść od was — nie ma rady.

— Ale gdzież wy pójdziecie?..

— A jaż wim? W świat!.. i tyle.

— To wam źle między nami?

— Pasłysz brat — ta to i bida, i dziwno, — a wszystko taki ja powiem tobie — mnie oto boli od waszego szczańścia...

Góral zadumał się i spuścił głowę.

— Oj! biedniście wy Łukaszu — biedni bardzo! Ale choć i pójdziecie od nas — to czy zdaje się wam że wam lepiéj będzie? —

— Dla czego?

— At. Złe siedzi w was samych, nie gdzie indziéj. To gdzież wam uciec przed samym sobą?..

Biedak zamyślił się przez chwilę.

— Tak czemuż ty mnie tego wprzódy nie powiedział?

— Wprzódy tak samo nie było na to rady jak i teraz...

— Da, da, tak samo, nie ma gadania — mówił znowu smutno biedak wpadając w zamyślenie.

Góral miał łzy w oczach.

— Posłuchajcie mnie Łukaszu — odezwał się biorąc go za rękę — gdyby wam tęschnota do swoich, gdyby do kraju waszego, gdyby choć do czegośkolwiek cobyście jeszcze mieli swojego na świecie — nie mówiłbym. Chcecie iść — nie zatrzymywalibyśmy, — bo chcieć zatrzymać ciało — to choć ciało zostanie, dusza wyleci, a pójdzie jednak tam gdzie ją ciągnie. Więc opatrzylibyśmy

na drogę czém tylko serce bogate — pobłogosławilibyśmy jak tylko stać na to grzeszne dusze nasze przed Bogiem — i poszlibyście od nas, uweseleni, i z dobrém słowem w koło waszéj głowy, ażbyście ją nie przyłożyli tam, gdzieby był jéj spokój żądany. Ale tak, jak jesteście teraz — gdzie wam się obrócić? — gdzie wam iść? — dokąd? Porzucicie spokój i serce życzliwe co wam łaska Boska zdarzyła na drodze, a pójdziecie szukać niepokoju i chłodu na świecie — bo zdarzyć się mogą ludzie co was nie zrozumieją i odepchną...

— Da ja tobie powiedział już brat — mówił biedak swoje, pogrążony w zamyśleniu — co mnie ból jest od waszego szczaścia...

— Ha! źle wam z nami Łukaszu — próbójcie lepiéj. Może Bóg zdarzy że wrócicie jeszcze...

Były żołnierz smutno pokręcił głową, potém wziął górala za rękę:

— Da ja tobie powiem prawdu brat serdeczny — cóż mnie skrywać? Da ty dobry dla mnie i twoi wszyscy, — a taki ja, powiem tobie, nie wart tego. Czort we mnie siedzi, powiadam ja tobie — czy co? Da ja sam już i nie wiem. Da ty prypomnisz sobie wprzódy, kak ty mnie dużo mówił o swoich — tak mnie już bolało i wtedy. Tak potem, kak ty płakał — tak mnie radość była — sam nie wiem z czego. I znowuż, co to ty obaczył z góry, i kakby w ziemię wrósł, — tak samo. I ja sam nie wiem co mnie było, a taki wyraźnie, radość niby — nie ma rady. Ta bo ja myślał sobie, co dwóch nas takich na świecie będzie, samych jednych, kak ja — takby weselej mnie było. To i dziwno, bo ja nigdy nie miał złego serdca, a taki wtedy, tak ja nieledwie molił się Panu Bogu, coby ty nie miał nikogo — takby my poszlim razem w świat — dwóch takich. A potem, kak ty znalazł wszystkich twoich, tak mnie znowuż smutno kakby zrobiło się, — a taki miał jeszcze

nadzieję, co ty choć mienie stracił. A kak i to nie, tak już i niema rady. Taki to wszystko greszne myśli, ja wiem, życzyć źle drugiemu, — a coż i zrobić, kak nic tobie nie pomoże. Da jaby chciał — chciał — a taki ani rady — wszystko jakoś inaczej dzieje się we mnie — tak to już i złe siedzi w człeku. Tak mnie dziś i sobaczka moja żywa, i spokój świanty człek ma oto — a wszystko taki za nic to. Jakoś niby wszystko kusi: a to zazdrosno człeku, — a to znowuż, co się to tak nie należy żeby jednym było wszystko a drugim nic, — a to już tam Bóg wie co nie kręci się po głowie. Dla tegoż to ja i mowię: co mnie boli od waszego szczańścia...

Góral słuchał w milczeniu, patrząc w bladą twarz swojego towarzysza — a łzy jak groch duże ścigały się po jego policzkach.

II.

Jednego razu wyszedł żołnierz wędrowny z chaty góralskiéj, i nie powrócił aż dotąd. Czekali na niego długo, ale nie doczekali się ani dnia tego, ani następnych. Wtedy smutno rzekł Maksym do swoich:

— Poszedł od nas — ale da Bóg wróci on jeszcze, bo nigdzie nie będzie mu lepiéj.

III.

Zostawmy poczciwego Maksyma w tém jego poczciwém mniemaniu, a sami, którzy wszędzie nos wetknąć musimy, pójdźmy za wędrownym naszym bohatyrem, żeby się dowiedzieć: czy mogło mu być źle tam dokąd poszedł, i czy ztamtąd wrócić może? Nie było naten-

czas nikogo w chacie, kiedy z niéj wyszedł były żołnierz. Wziął on z sobą kij swój podróżny, nie chcąc się rozstawać ze starym towarzyszem, i pogroziwszy psu który się za nim iść napierał, a nawet kopnąwszy go parę razy nogą i zwaliwszy kijem, ponieważ uparcie chciał dopiąć swego, starannie zaparł drzwi chaty, chcąc mu zagrodzić wszelkie sposoby pójścia za swoim panem. Ale zaledwie uszedł kroków kilka, usłyszał po za sobą brzęk szyb wybitych, a jednocześnie prawie z tym brzękiem pies jego był już przy nim, skacząc mu do ręki i liżąc ją, choć miał ogon spuszczony, i chociaż od czasu do czasu roztropnie uskakiwał na bok, z obawą spoglądając na kij żeby mu się znów nie dał we znaki. Ale pan jego ani już myślał skarcić go za ten nowy dowód jego uporu. On stanął tylko, popatrzał na niego, rysy twarzy skrzywiły mu się jak do płaczu, a powieki zaczęły drgać nad suchemi dotąd oczyma jego, jak to bywa kiedy łzy z pod nich wytrysnąć mają. Aż rozpłakał się biedak, na podobieństwo owego rozrzewnienia w karczmie po pijanemu. On w téj chwili zdawał się być pijany szczęściem swojém, tak jak był wtedy gorzałką. I porwał psa swojego, i okrywał go pocałunkami, pieszczotą — oblewał łzami. Dziwnie, jak to mało nieraz potrzeba do szczęścia. Bo rzeczywiście, wrażenie téj jednéj chwili zdawało się naraz goić wszystkie najboleśniejsze rany duszy tego człowieka. Kiedy po jego nędznéj, zbiedzonéj, znękanéj twarzy przeszły już wreszcie łzy, co jak rosa ożywcza, jak deszcz jakiś dobroczynny długo oczekiwany, zdawały się być niezbędną, upragnioną potrzebą; naraz — jakby pogoda po deszczu — wystąpiła na nią radość, pociecha wewnętrzna, co mimo swojéj woli i wiedzy wydobywa się na zewnątrz. I nie była to radość z rzędu tych jakie już na téj twarzy widywaliśmy wprzódy: z poszeptów złego, radość z nieszczęścia drugich, na zrównoważenie swoich

własnych. Tam były sprzeczności — uśmiech na ustach, a ponurość w oczach. Ale radość z rodzaju tych czystych uciech, których objawy są zgodą ogólną — co to opromieniają lica najmniéj stworzone do promieni — co uszlachetniają rysy najpospolitsze — upiękniają najbrzydsze nawet. Była to najzupełniejsza jak tylko być może zgodność. Uśmiech na ustach, spokój w oczach, pogoda na czole. I porwał się biedak czemprędzéj iść daléj, jakby obawiając się żeby się nie cofnął przypadkiem, bo on przeczuciem już zgadywał, że lepiéj człowiekowi korzystać z chwili uszczęśliwienia, jak działać pod wpływem rozpaczy. I szedł on krokiem pewnym, jakim nie szedł już dawno, — tym krokiem, jakim się to wytrwale idzie, tylko przed siebie, wiedząc dobrze dokąd się idzie, i że się już ztamtąd wrócić nie myśli. Kiedy doszedł aż tam, gdzie z pomiędzy skał zaciśniętych bystry potok z szumem przewalał wiry zagadkowych swoich otchłani — zatrzymał się — usiadł na złomku głazu, i spojrzawszy w spienioną głębię, nie zadrżał, ani nie zbladł — rzecz dziwna — tylko odetchnął pełno jakoś, zupełnie, tak jak nie pamiętał jeszcze ani razu w życiu. Potém obejrzał się po świecie Bożym, i — znowu rzecz dziwna — ale nic a nic mu jakoś żal nie było. Potém wyciągnął rękę i ze łzami raz jeszcze przygarnął do piersi psa swojego.

— Tak ty nie chcesz porzucić mię sobaczka moja — rzekł spokojnym głosem — ha! widno już wola Boska taka. Niech i ty ze mną. Da ja chciał iść sam — żeby nikogój nie ciangnął za sobą — a taki ty widno pryjaciel mnie i w życiu i w śmierci. Tak nam nie preżyć jednemu drugiego. Tož widno Panu Bogu podobaje się, coby ja zabrał ze sobą ostatek jeszcze co mojego.

Kiwnął głową i zamyślił się:

— U drugich jest żona, rodzicy, dzieci; u mnie nic, tylko sobaczka oto moja jedyna. Tak coż? Sobaczka

zdechnie... wotże mnie i wszystko zdechło z nią razem, i ja ostał się sam kak palec na świecie — kak i drugiego takiego nie znańdzie. Tak i nie warto mnie żyć, żeby doczekał ostatniego złego. Da i prawda co mnie śmierć nie ucieknie — a wszystko taki ja nie mogę już dłużej — nie ma rady — cóż i robić? Nieszczańśliwemu tak wszystko tylko duszno, a tęschno tam — choć ucie-kaj na koniec światu. A taki świat może i nie ma końca? Da i prawda, co człowiekowi zdaje się tylko żeby go odciągało od drugich — byle dalej. A tu złe w tobie samym, — tak rada tylko człeku, żeby uciekł od siebie samego. A od siebie — tak już chyba tylko do Pana Boga. Wotże i nie ma rady; — a i śpieszno. Czem bo prędzej ucieka człek — tem prędzej wolny. Tak i w drogę!..

Ukląkł i przez chwilę modlił się jak umiał. Bo w chwili podobnéj, człowiek nie modli się, ani wyrazami pacierza, ani nawet może jakiemibądź wyrazami, — dość tylko, żeby westchnął — a już w westchnienie to jedno, zbiega się cała działalność całego życia przeszłego, począwszy od kolebki aż do chwili obecnéj — cała umiejętność, wszystkie zdolności, wszystkie władze duszy, stojącéj na krańcu między przeszłością a przyszłością, przysposobionéj do drogi, będącéj już na wylocie. Ostatnia myśl przed śmiercią! to jakby przeczucie pojęć, które zrozumiemy za grobem dopiero. To jakby klucz do odgadnięcia, co jest teraźniejszość — owo tajemnicze ziarno wieczności, która nie ma ani chwil przeszłych za sobą, ani przed sobą chwil przyszłych; a która, (to jest obecność), dla nas śmiertelnych, jest tylko niczem nieujętym przedziałem, pomiędzy skończonością minioną, a skończonością przyjść mającą dopiero. Spada człowiek z dachu — przypuśćmy. Błysk jeden. A jednak w téj jednéj chwili, nim jeszcze doleciał do ziemi, — staje mu naraz przed oczy całe jego życie przeszłe z naj-

drobniejszemi szczegółami, jednocześnie ma on i poję-
cie obecnego swego położenia, i jeszcze prócz tego, ma
czas pomyśleć i o tem, co się z nim stanie, gdy spa-
dnie. Rzecz dziwna, a jednak prawdziwa! I próżnoby
sobie łamał kto głowę, nad zrozumieniem tego dziwu.
Cierpliwości! dowiemy się wszystkiego za grobem...

Kiedy biedak skończył swoją modlitwę, — obrócił się
w stronę chaty poczciwych górali, przeżegnał ją, — po-
tem spojrzał w stronę swojéj wioski rodzinnéj i we-
stchnął. Byłoto jakby rozporządzenie ostatniéj jego woli,
co kto ma, tem rozporządza. A on nie miał nic innego,
nad to tylko jedno, skąd oszczędziło się spadkobiercom,
kłótni i ciągania się po sądach — jak to bywa w ra-
zach przeciwnych. Bodajto zostawiać po sobie spadek
podobny! bo niech zostaje choć tylko kość ogryziona
zawszeć jest sobie co więcéj wydzierać, jak słowo do-
bre. Potem spojrzał w niebo, potem objął psa swojego
i ucałował go po raz ostatni, potem przeżegnał się raz
jeszcze i skoczył.

Na chwilę rozstąpiła się z pluskiem spieniona powie-
rzchnia potoku, — potem bryzgnęło w górę, potem za-
bełkotało — snadź ruch jakiś dział się w głębi. Potem
rozeszły się już tylko koła, coraz szersze, coraz mniéj
wybitne, — a i te, wprędce uniosła z sobą fala, któréj
spieszno bywa płynąć dalej. Aż tam, gdzie wir żarło-
czny spienionym lejkiem się okręca, raz jeszcze, jakby
mimowolnie wyplute w górę, ukazało się przez chwilę
jedną, ciało człowieka trzymającego psa w objęciu. Wi-
dno zwierz rozjuszony bronił się zaciekle, — bo twarz
człowieka pokąsana była do niepoznania. I targał się
jeszcze pies, któremu się umierać nie chciało, — pazu-
rami łap przednich szarpał szyję swojego pana, — tyl-
nemi potargał mu odzienie na piersiach, i broczył je,
robiąc sobie na nich punkt oparcia, a zębami kąsając

tu i owdzie, żeby się uwolnić z śmiertelnego uścisku;— z czego widzimy jasno: że tam, gdzie idzie o życie,— pies nawet tak samo staje się samolubem, jak człowiek. Ale obraz ten trwał tylko jedno mgnienie oka. A w drugiém mgnieniu,— oba te walczące ciała, zakręciły się w kółko, niby tańcem jakimś opętanym, potem znagła jakby je coś wessało w sam środek lejka, — potem — ponad niemi już wzdęło się jeszcze przez chwilę, — zabulkotało bąblami, — i ucichło...

I myślicie: że wtedy była burza jaka szalona, wyrywająca dęby? — noc jakaś przestraszająca, ciemna, z puszczykami, z smętarzem, z ognikami błędnemi? — lub chociaż dzień jesienny, pochmurny, dżdżysty, z błotem po kolana? — lub przynajmniéj zima smutna — albo północ uroczysta? — bynajmniéj. Nawet, ani się słońce zaćmiło, ani księżyc się spóźnił, ani, żeby choć jedna gwiazda spadła z nieba, nic wcale! Południe, grało na górach całém swojem ciepłem ożywczem, — promienie z upodobaniem zdawały się odstrzeliwać od ruchomego wód zwierciadła, a wietrzyk świeżo wracający z łąk pachnących, wyraźnie wesoło igrał z ciepłem i światłem. Ciepło przemieniał w chłód rozkoszny, wonny — fale w smugi i koła, czem świetne kąpiele promieni słonecznych, roztapiały się w miliony iskier, grających wszystkiemi barwami tęczy. I krople co bryznęły od wód, pochłaniających dwa życia — orzeźwiły nie jeden kwiat nadbrzeżny, zemdlony skwarem południa...

A w wiosce góralskiéj mówiono także dnia tego, tak jak i poprzednich: „jutro — zrobimy to i owo.“ A dziewczęta sięgały nawet daléj jeszcze, — bo aż do niedzieli, która jest marzeniem dziewcząt, równie góralskich jak i niegóralskich. I rzeczywiście po dniu tym— było jeszcze nie jedno jutro, i niejedna niedziela, — jak

bezwątpienia i będzie jeszcze aż do skończenia świata; byle tylko nie skończył się świat przed jutrem, coby było tém bardziéj, przed niedzielą. —

CZY Z DALEKA? CZY Z BLISKA?

A teraz, pozwólcie mi się zapytać moi państwo (dobrodziejstwo, ma się rozumieć), — co wybieracie z dwojga złego: czy z daleka? — czy z bliska? Przypuśćmy, że według sensu, téj, acz nie koniecznie z sensem powiastki, z daleka — znaczy nadzieję, z bliska — pewność. Co tedy wam się wydaje lepszém? — czy oczekiwanie? czy spełnienie? Macie wolną wolę — macie wóz i przewóz — wybierajcie. Co do mnie — możem już i wybrał, a jednak nie spodziewajcie się, żebym was objaśnił w tym względzie. Niech każdy mądrzeje własnem doświadczeniem.

Ale, ale, jeszcze słówko. Przypomniało mi się właśnie w téj chwili, jak w młodości mojéj, (ale wtedy nie miałem jeszcze ani za pół grosza doświadczenia), zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu, być zmuszonym do podobnego wyboru. Tylkoż nie myślcie znowu, żeby to, com zrobił wtedy, miało mię zobowiązać na całe życie. Wybierałem ja późniéj nie raz jeszcze: to to: to owo, — rozmaicie, — aż wybrałem ostatecznie to, — o czem wam nie powiem. Było to tedy jeszcze, w czasie pamiętnego pobytu mego, na dworze króla żołędnego. Żenił się Tuz, ulubieniec królowéj, z kralką ulubienicą króla; gdyż wiecie zapewne, że istnieją ulubieńcy i w krajach żołędnych. Na balu tedy, danym z onego powodu, stoję ja sobie przy słupie, rozmyślając nad tem czy suknia któréjś tam z dam dworskich, jest krepowa? czy też balzarynowa? kiedy w tém — a

tańczono właśnie mazura, podskakuje do mnie pamfil czerwienny, bardzo salonowy młodzieniec, (dziwnie lubiący *gadać* o uczuciach), prowadząc za ręce dwie damy; do wyboru w figurze. Powiada ich przezwiska. Jedna — jak dziś pamiętam, nazywała się nadzieja, druga — pewność. Ciekawy choć raz w życiu zobaczyć, jak wygląda nadzieja, wybieram ją co prędzéj. Wyobraźcie sobie moje zadziwienie: była to dama — chudą — straszliwie chuda! Co do drugiéj, — byłto nie kto inny — tylko dama pikowa, owa dobra niegdyś znajoma Puszkina, która biednemu Hermanowi pomięszała klepki w głowie, tem tylko jedném że spojrzała na niego przymrużywszy lewe oko, wtedy, kiedy już leżała na katafalku... —

F. Medard.

ŚMIERC ŻOŁNIERZA

W SZPITALU.

1.

Braliśmy biedną trumnę ze szpitalu
Do żebraczego chcieli rzucić dołu;
Ani łzy jednéj matczynego żalu,
Ani grobowca nad garstką popiołu.
Wczoraj był pełny młodości i siły,
Jutro nie będzie nawet — i mogiły!

2.

Gdyby przynajmniéj przy rycerskiéj śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski,
Ten sam karabin w którym na panewce
Kurzy się jeszcze wystrzał bohaterski —
Gdyby miecz w piersiach, lub śmiertelna kula...
Lecz nie! szpitalne łoże i koszula!

3.

Czy on pomyślał — téj nocy świetlanéj
Kiedy młódź dziarska w stare kordy brzękła—
Gdy leżał w trumnie żyw — zamurowany,
A trumna w chwili zmartwychwstalnéj pękła:
Gdy swój karabin przyciskał do łona —
Czy on pomyślał wtenczas że tak skona!

4.

Dziś, przyszedł chciwy jałmużny odźwierny,
I przyszły wiedmy, które trupów strzegą;
I otworzyli nam dom miłosierny,
I rzekli: „Brata poznajcie waszego.
„Czy ten sam, który wczora się po świecie
„Kołatał z wami? — Czy go poznajecie?“ —

5.

Szpitalną płachtę z oblicza mu zdjęto
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną,
Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą.
Więceśmy rzekli wiedmom, by zawarły
Trumnę — bo to jest nasz brat, ten umarły.

6.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,
A jeden młodszy spytał: „Gdzież go złożą?“
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
„W święconéj ziemi, gdzie przez miłość Bożą
„Kładziemy poczet nasz cierpiących tłumny —
„W jeden ogromny dół, na trumnach, trumny.“

7.

Więc ów młodzieniec czując męki szczére
Wydobył jeden złoty pieniądz drobny,
I rzekł: „Zaśpiewać nad nim *Miserere!*
Niechaj ogródek ma, i krzyż osobny."
Zamilkł — a drudzy pochylili głowy
Łzy i grosz sypiąc na talerz cynowy.

8.

Niech ma ogródek, i niech się przed Panem
Zasłoni tém, co krzyż na grobie gada:
Że był mężnego pułku kapitanem,
Że go słuchała ginących gromada,
A dziś krajowi jest niczem nie dłużny,
Chociaż osobny ma kurhan —z jałmużny.

9.

Ale ty Boże, który tak w ciemności
Wytracasz wierne twéj sprawy obrońce —
Błagamy ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniéj na śmierć naszą słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnéj niebios bramy—
Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy! —

JULIUSZ SŁOWACKI.

BEDUIN I WĄŻ.

(Bajka Arabska.)

Beduin zbrojny kopią jechał sobie piaskiem,
Noc była — w tem na stepie mignęło coś blaskiem....
Więc pocisnąwszy konia dotarł w okamnieniu;
I ujrzał — jak wąż srogi zwijał się w płomieniu,
Chciałby wyleść — niemoże, bo zewsząd go piecze.

— Ratuj mię Beduinie! dam co chcesz! — wąż rzecze.
Na to Arab: złośnika ratować się boję;
Nuż ukąsisz?
— Przenigdy na sumienie moje!

Wzruszon Arab, uzdeczkę zawiesił na dzidzie,
I podał mu przez płomień, — wąż do góry idzie,
A sunąc się po drzewcu, przypełzał nieznacznie
I skoczywszy na szyję, jeźdzca dusić zacznie.
— Co robisz?! krzyknął Arab.
— Duszę.

— Och! i za co?
— Taki zwyczaj; tu zawsze za dobre złem płacą.
— Pofolguj! — rzeknie Arab — zwłoka niezaszkodzi,
Póki się na to zdanie trzech sędziów niezgodzi.
— Mniejsza o to — gad rzecze — sfolguję na razie.
I, jechali pustynią, póki na oazie
Nieujrzeli wiatrami palmy kołysanéj.
— Słuchaj Palmo! rzekł Arab — ten gad uwiązany
U méj szyi, winien mi swoje ocalenie,
A teraz chce mię dusić! i gdzież tu sumienie
Utrzymywać że dobre zawsze złém się płaci?!

Palma na to: ma słuszność, a ty niemasz racyi.
Mój los niech ci dowiedzie — wszak co dzień przez wieki
Pielgrzyma liściem mojem zasłaniam od spieki,
Grzeję w zimno, owocem karmię go obficie,
A jednak on toporem odbiera mi życie.

Na te słowa wąż silniéj pocisnął za szyję....

Jadą daléj, gdzie źródło z pod opoki bije.
Arab rzecz opowiedział —; a źródło, po chwili
Odmruknęło: mój człecze! ten wąż się niemyli.
Patrz na mnie: odkąd z głębi wylewam zdrój śklany
Pragnienie tu przychodzą gasić karawany;
A kiedy się napiją i ludzie i stada,
Wiész co robią? Ot każdy brud swój we mnie składa!

Dwóch sędziów się zgodziło; wąż z radości bryknął,
I tak ścisnął pierścienie, że Arab aż krzyknął. —
Lecz jeszcze sędzia trzeci nie wydał wyroku....
W tém spostrzegają lisa: myszkował na boku,
I już, już się wynosił, gdy oni: Stój bracie!
Na pół słówka prosimy!
— Z daleka, co macie

Mówcie do mnie — nie głuchym! — rzekł i stanął w dali;
A oni mu o sprawie swéj opowiadali.
Gdy skończyli, frant główką pokiwał wątpliwie
I rzekł: Oczom nie wierzę, dlatego się dziwię,
Więc ażebym zrozumiał, pokażcie mi przecie
Jak to było? —
A oni: rzecz najprostsza w świecie!
I Arab znów przywiązał uzdę u kopii,
A gad po drzewcu na dół spuścił się ze szyi....
— Łap zdrajcę!! — krzyknął lisek. I wąż siedział w matni
Gdzie niewdzięcznik był zduszon. Szkoda! nie ostatni....—

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Jedną z cech chwilowych literatury naszéj, jest pewien zwrot ku poezyi, o czem się łatwo przekonać wszedłszy do pierwszéj lepszéj księgarni, gdzie znajdziesz nieszczupły hufiec różnéj miary i objętości poematów i wierszy drukowanych to we Lwowie, to w Poznaniu, Warszawie i Wilnie.

Taki ruch rymotwórczy niemoże być bez współudziału publiczności, która jeźliby obojętnie przyjmowała te płody Muzy, to i księgarze nierobiliby nakładów na nie; bo to prawda już uznana, że wszelki nakładca, nieliczy nic a nic na potomność, tylko na chwilę bieżącą. Najuczeńsze dzieło co leży, mniéj u niego znaczy niż najlichsza ramota mająca wziętość choćby tylko dwadzieście cztery godzin. Habent sua fata libelli! —

Jeżeli tedy publiczność czytająca, jak wnosić mogę, zasmakowała w rymowanéj szacie utworów, mógłbym ztąd drugi wyprowadzić wniosek, że cała literatura powieściowa zaczyna ją mniéj już bawić niż dawniéj. Mieliżby się nasi romansopisarze wyczerpać? Niesądzę: kto miał

prawdziwy fundusz serca, wyobraźni i studiów, ten zawsze potrafi powiedzieć coś nowego i zainteresować. Tacy zawsze będą czytani; dorywcze tylko pióra, a takich najwięcéj, prędko szwankują, i w usiłowaniach niedołężnéj a ciągłéj produkcyi, przyprawiają jeszcze o dyskredyt pisarzy górujących w tym rodzaju. Zawsze jednak prozą pisana powieść ponętniejszą będzie dla zwykłych czytelników, niż wszelka poezya, która wymagając większego natężenia myśli, silniejszéj pracy wewnętrznéj, tém samém odstręcza tych, co szukają łatwéj tylko rozrywki.

Dla tych powodów pytanie, tyczące się utworów poetycznych mających dziś tyle czytelników, a więc wziętość, nieprzestało być dla mnie niewytłumaczoném, gdym szukał rozwiązania onego w dyskredycie jaki dotknął powieść i romans. Rzuciłem się przeto myślą w inną stronę i zastanawiając się nad przymiotami romansu, doszedłem téj prawdy, niestety! nie nowéj, że największą zaletą powieści lub romansu jest także poezya, czyli ta potęga która stwarza, ogrzewa życiem, ubarwia pryzmami uczuć, że bez niéj utwory powieściowe stają się albo nudnemi kopiami innych powieści wyszłych z pod pióra prawdziwych talentów, albo też kalkami drobiazgowych kółek społeczeńskich, exploatacyą wyjątkowego skandalu, i portretowaniem w karykaturze wszystkiego, co się spotyka codzień, i na co każdy może patrzeć bez pośrednictwa autora.

Powieść spadłszy po większéj części do téj niskiéj skali dowodzi tém samém że główne źródło z którego się zasilała ideą, przestało bić dla niéj, bo co było do wzięcia już mniéj więcéj wziętem zostało ze skarbca naszych poetów. Niewiem czy publiczność czytająca poznała się na téj zwietrzałości, czy też poszła za instynktem ciągnącym ku wyższemu i zacniejszemu, dość że co niebywało nigdy, uczuła pociąg do poetycznych two-

rów, z których zaczęło wiać ożywcze tchnienie przyobleczone w świeższą i barwniejszą szatę fantazyi. Jest to w pewnym względzie oddziaływanie przeciw goryczom i niesmakom które wyalembikowane ze schorzałych cząstek społeczeństwa, podawane były w wielkich i małych dozach, jako kordyał mający to społeczeństwo uleczyć. Tymczasem jad, zawsze jadem; może niekiedy uzdrowić, ale źle zaaplikowany zabije. Pokazało się że zaaplikowany przez niektórych pisarzy romansów nieosiągał właściwego skutku, i jeśli niezabijał, to przynajmniéj sprawiał nudności, bo jakkolwiek umiano zajmować przyborami figur, scenami ułożonemi na efekt, awanturami tak osobliwemi że mogły się raz zdarzyć, ale niepowtórzyć w świecie rzeczywistym, jednakowoż najczęściéj wszystko to wirowało około jednéj lub dwóch idei społecznych, bardzo wątpliwéj zasady, które każdy podług swego widzimisie obrabiał i uważał.

Jestto uznanem posłannictwem poezyi, pojętéj w najlepszém jéj znaczeniu, że ona pierwsza odgaduje te niewysłowione jeszcze tajemne pragnienia i kierunki które pojawiają się tu owdzie pomiędzy ludźmi, zanim w ogólny symptomat społeczeński, w tak zwany charakter epoki, przejść będą mogły. Poezyja zbiera tu pierwszy, najwonniejszy kwiat uczuć, i ożywia nim słowo, które nazwano wieszczem słowem, choć ono jest tylko jasnowidzącem. Owoż ten kwiat poezyi, kwiat odurzającéj mocy i woni służy na długi czas do zaprawy wszelkich płodów wyobraźni, zupełnie jak kwiat herbaciany zaprawia mniéj wonne listki i korzonki zebrane na łodydze téj rośliny.

Niewiem czyli dość jasno wytłumaczyłem się z tego, co mi się zdało wróżyć nowy zwrot w piśmiennictwie naszém. Jeżeli naraz uderzono w tyle gęśli, jeżeli gęślarzom na słuchaczach niebraknie, dowód wyraźny, że ogół potrzebuje aby mu to wyśpiewano co mu się

mglisto i tajemnie roi; odczytano, co błyskawicami miga w głębi duszy. — Czy zaś wszystkie te pieśni trafiają do serca, do przekonania, czy przywięzują i unoszą ze sobą? — to inne pytanie, które tylko dałoby się rozstrzygnąć gdybyśmy każdy z utworów tego rodzaju rozbierać chcieli, a zarazem mogli przewidzieć jak długa czeka go przyszłość.

Gdy zaś, jak wiadomo, nie każdy rymowany utwór, nosi znamie prawdziwéj poezyi, nie każdy staje na wysokości zadania, przeto nieprzesądzając o wartości tych płodów Muzy, zastanowiłem się tylko nad życiem jakie w téj gałęzi literatury obudziło się temi czasy.

Najgłośniéj i najczęściéj brzmiące na stronicach dzienników imie Syrokomli, tego litewskiego słowika — (a trzeba wiedzieć że Litwini mają to przekonanie że tylko w litewskich borach najlepiej śpiewają słowiki) — zwróciło naprzód uwagę moją gdym przebierał w stosie różnych zbiorów wierszy i poematów tylko co nadesłanych do księgarni — jakoż położyłem rękę na dwóch najświeższych jego utworach, chociaż w chwili kiedy to piszę, mogą już być nienajświeższe. Tymczasem dla nas w Krakowie mają one cały wdzięk i świeżość, która w niczem tak niepopłaca jak w poezyi, jeżeli poezyja umie go sobie przyswoić na lata i wieki. —

Dwa te utwory były: *Wielki Czwartek*, Obraz wioskowy i *Janko Cmentarnik*, Gawęda ludowa. — To coś ze świata naszego ludu! — pomyślałem sobie. A że nie znam litewskiego wieśniaka jak znam wieśniaków innych prowincyi, więc cieszyłem się niepomału że poznam go skreślonego ręką poety, wystudiowanego na miejscu z charakterystyczną fizyonomią, uczuciami i wyobrażeniami właściwemi Litwinom, co podobnie jak Baskowie śród Romańskich, oni śród Słowiańskich znaleźli się szczepów, i mimo wiekowéj zażyłości i mięszania się z niemi, niestracili jednak cechy swéj rodowéj.

Dzisiejszy czas może się nazwać bardzo sprawiedliwie epoką wskrzeszania tradycyj narodowo-ludowych. Co 18 wiek usiłował zmazać z czoła każdego ludu, aby poddać go jednostajnej myśli i uczuciom uznanym za obowiązujące względem abstrakcyjnego bożyszcza zwanego ludzkością — to obecny przywraca. Ze wszystkich przyczyn ktore sprowadziły powszechne wyziębienie w poezyi przez ciąg ubiegłego stólecia, ta jest najrzetelniejsza; bo kiedy język i dowcipy filozofów francuskich przewodziły światu umysłowemu od bieguna do bieguna, natenczas niemogło być ani mowy o téj prawdziwéj poezyi wyrosłéj na słońcu pod gołem niebem, ciągnącéj soki z rodzinnéj ziemi, a użyźniającą wilgoć i ciepło od wpływów otaczającéj ją rzeczywistości. Taka poezyja nosząca zazwyczaj jakby znamie tych miejsc gdzie się zrodziła, znamie wieśniaczéj prostoty, jakże pokazaćby się mogła w świecie formułek filozoficznych i wykwintów elegancyi! Przeciw temu stanowi rzeczy prędzéj lub później musiało nastąpić oddziaływanie. Geniusz ludów Germańskich najpierwéj otrząsł się z tego ucisku w świecie poezyi i szczęśliwie zwalczył wpływy sztucznéj literatury trwające zbyt długo.

Nieśmialbym jednakże twierdzić żeby źródło natchnienia ubiegłego stólecia zupełnie już wyschło. Czasami odzywa się ono głośniejszym szmerem w tym prądzie wyobrażeń racyonalnych coby chciały każde indywiduum utopić w państwie a każdy naród i lud w ludzkości; wszakże obok tego można dostrzedz prąd całkiem przeciwny pędzący zapomniane nawet narodowości do odgrzebywania swoich historycznych tradycyi, i do wyrobienia sobie odrębnéj fizyognomii stósownéj do charakteru i obyczaju. Podwójny ten prąd w przeciwnych sobie kierunkach, przedstawia niezmiernie ciekawe zjawisko w świecie dzisiejszym. Tam jakaś dążność do jedności powszechnéj, tu znowu dziecięce przywiązanie do bogów

domowych; tam uroszczenia zimnych utopistów pragnących zatrzeć wyobrażenie ojczyzny i rodziny dla jakiegoś bożyszcza ochrzczonego przez nich ludzkością, a tu uporne obstawanie przy tradycyach poczytanych już za umarłe...

Widzieliśmy jak z tego ostatniego kierunku wszędzie prawie wyszła literatura narodowa, będąca wymowną protestacyą przeciw pierwszemu kierunkowi. Lecz niedość na tém że się uczucie plemienności ocknęło w wielkich rodzinach ludów, ten prąd poszedł daléj, bo wzięto się studiować i malować osobne klassy z właściwą im fizyonomią, obyczajami i odrębnym bytem. Mówię tu o klassie wieśniaczéj, któréj pieśni, bajki, podania, przesądy, zabobony, zwyczaje, zbierane skrzętnie, pozwoliły poznać ją bliżéj, a poznawszy, wpuścić ten zaniedbany strumień do głównego koryta literatury narodu. Czy to się odbyło ze świadomością, czy bez świadomości, a tylko instynktem pisarzy — niewchodzę, zawsze to ważny fakt w dziejach piśmiennictwa. Wprawdzie ci co się rzucili w tę kopalnią gminnych zabytków niezawsze mieli na celu same studya, lub tylko odświeżenie nowym żywiołem poetycznym, zwietrzałéj już literatury narodu. — Jeżeli inny cel tam prowadził, to zawsze chybiony: — pochlebiać ludowi, stwarzać demokratyczną literaturę, aby nią smagać klasy historyczne, jedno jest, co lud nasz obdzierać z przyrodzonych cech, co go wciągać w świat racyonalnych kierunków ośmnastego wieku, przeciw którym właśnie nastąpiło oddziaływanie. Przeciwnie, malować wieśniaka téj lub owéj prowincyi, wystawiać jego obyczaj, opowiadać podania i dzieje tego życia tak blisko zetkniętego z naturą, a opowiadać z ścisłą rzeczywistością, jedno jest, co iść tym prądem jaki wszędzie zmierza do silnego związania plemion z tradycyami ziemi na któréj siedzą, i spełniać to samo co spełniają erudyci których prace

wskrzesiły zamarłe języki, wykazały powinowactwa jednoplemienne i najdawniejsze siedziby.

Tego rodzaju dzieła czy wierszem czy prozą, jeżeli mają czystą intencyą, obudzają zarówno interes historyczny, jak wyobraźni przynoszą zupełnie świeży pokarm; niechże aby kropla jakiéj obcéj tendencyi się wmięsza w taki utwór, zaraz koszlawieje, choćby go podpierało największe artystostwo.

Wpadłem na te uwagi o poezyi gminnéj i o studyach nad ludem, z tego powodu że przy tytułach dwóch poematów Syrokomli odczytałem napisy, *Obraz wioskowy* i *Gawęda ludowa*, a więc jako rzeczy należące do wielkiéj grupy literatury zajmującéj się malowaniem ludu, powinny być uważane na miarę tego, co tak u nas jak gdzieindziéj dokonano w téj gałęzi.

Zaczynam od poemaciku: *Wielki Czwartek*. Poeta maluje poranek marcowy — zebrani wieśniacy przed kościołem rozmawiają o przyszłości swoich prac gospodarskich, bo to właśnie ta chwila w któréj wszystko niepewne, a tylko w Bogu nadzieja. W tem zabrzękły klucze w ręku organisty i dzwi się otwarły do kościoła. Wnętrze wiejskiego przybytku poświęconego Panu skreślone z tą prawdą która cechuje wszystkie kościołki wiejskie:

Kościół ubogi — w ołtarzu po prostu
W ciemnych lichtarzach cztery żółte świeczki,
I stary obraz wiejskiego pokostu,
Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
We dwóch ołtarzach na prawo i lewo,
Jest Matka Boska i święty Antoni;
Anioł uklęka przed najświętszą Dziewą,
A patron święty ma biblią w dłoni,
Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
Na szorskich rękach małe dziecię niańczy.

Tuż przy ambonie dwa konfessyonały;
Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
I w czarnych ramach obraz wypłowiały,
Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
Cztery chorągwie, a każda podarta,
U skromnych ławek utkwione na boku:
Tam święty Michał pokonywa czarta,
Tam święty Jerzy pastwi się na smoku,
Wojciech odbiera palmę od anioła,
I śmierć do tańca wszystkie stany woła.

Ponieważ to dzień spowiedzi wielkanocnéj więc się lud ciśnie do konfessyonału gdzie proboszcz słucha grzechów wieśniaczych. Zazwyczaj każdy odprawuje się prędko —

Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?

Pyta poeta i z całą naiwnością sielankową wylicza te grzechy:

Jeden do pana odezwał się śmieléj,
Drugi swe żyto może przedał drogo,
Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
Albo na bratnią gospodarkę siąda,
Albo pokosił granicę sąsiada. —
Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym a krwawym mozole
Złamał niedzielę i pracował jeszcze,
Lub się ze skargą na Opatrzność miota:
Oto są grzechy kmiecego żywota.

Śliczny świat! jeżeli tylko prawdziwy, jeżeli jest rzeczywistem odbiciem się wiosek litewskich, to go warto

w ramki i za szkło oprawić a obnosić po świecie dla pokazania że sielankowość nie jest urojeniem —jeżeli zaś na wsi litewskiéj są ludzie i źli i dobrzy jak wszędzie to znowu niewidzę powodu do fałszowania barwy, chyba w téj myśli że grzechu siedlisko jest li tylko w żywocie innych stanów.

Dość że ludek spowiadający się bardzo krótko, bo niema z czego, zaczął się niepomału dziwić gdy jakieś młode, niewinnego wejrzenia dziewcze spowiada się przeszło godzinę — a w końcu niedostaje rozgrzeszenia!— To samo spotyka sędziwego starca który długą odbywszy spowiedź także bez absolucyi odchodzi! — Skończyło się nabożeństwo — lud się rozszedł, a dwoje tych nierozgrzeszonych po długich jeszcze modłach w kościele, poszło nareszcie każde w swoją drogę. Gdy zaś niejedna droga prowadzi do celu, więc i oni — to jest dziewczyna i starzec, znaleźli się u mogiły jakiegoś potępieńca; nietylko niebyło na niéj krzyża, ale i drzewiny posadzonéj ręką pamięci.

Któż spoczywa pod tą tajemniczą mogiłą? — Oto syn biednéj wdowy — snać poeta, muzyk za życia, bo piosnki składał i grywał na skrzypcach, przytem rozpowiadał dziwne dumki usnute w jego głowie, których nikt nierozumiał. — Razu pewnego zniknął gdzieś — przez cały rok nie widziano go na wsi — lecz powrócił:

Pijał sam jeden bez końca i miary —

Błądził po polach i lasach i moczarach, zawsze wyśpiewując i zalewając się trunkiem — widocznie z rozpaczy, bo wołał:

że go boli,
Że serce drze się, że puls coraz prędszy,
Że z piersi oddech wybucha gorętszy. —

Chciano wezwać do niego lekarzy, ale on odrzucił ich rady, mówiąc:

że żaden ulgi nieprzyniesie,
Że mu najlepiéj gdy błąka się w lesie
Kiedy o dumkach i pieśniach rozmarzy
O *lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,*
Gdzie ani dworu, ni gospody niéma,
Gdzie młode dziewcze nieigra z sercami i t. d.

Zapił się nareszcie — i pochowano go w polu..... W kilka dni potém zjechało śledztwo i kazało przysięgać wszystkim, że syn wdowy umarł z puchliny....

Oto jest historya tego zapaleńca. O przyczynach jego rozpaczy i pijaństwa dowiadujemy się z rozmowy dziewczyny i starca, tych dwojga nierozgrzeszonych.— Nieboszczyk kochał się w niéj, i ona go kochała, lecz gdy poszedł w świat za zarobkiem, a długo go niewidać, uprzykszyło się dziewczęciu i zaczęła szczerzyć ząbki do różnych chłopców — (jest to rys zdjęty z najrzeczywistszéj rzeczywistości sielskiéj). Wracający kochanek wziął tę zalotność zbyt na seryo i oddał się rozpaczy, z któréj znowu chcąc go wyleczyć jego przyjaciel staruszek, doradził mu iść za przysłowiem: Dobry trunek na frasunek. — Otóż dwoje tych, zalotna dziewczyna i staruszek, przyjaciel kieliszka — zgubiło duszę młodzieńca, za co niedostali rozgrzeszenia...

Musiałem skreślić osnowę téj powieści, aby pokazać że prócz kilku drobnych widoczków zbliżonych do rzeczywistości, nic a nic niemaluje w niéj nietylko litewskiego, ale żadnego ludu — jest to poprostu świat sentymentalny wymyślony przez poetę na tle życia wiejskiego, tak samo jak go sobie wymyślał Gesner, Floryan i inni z téj szkoły, marzący o pastuszkach Arkadyi. Z Wiesławem Brodzińskiego niemoże również wy-

trzymać porównania, bo w tych czasach kiedy Brodziński swoją sielankę pisał, a więc łamał się z reminiscencyami klassycznemi, już czuł potrzebę zachowania rysów studiowanych z ludu; każdy też pozna tam krakowskich chłopków upięknionych wprawdzie, lecz zatrzymujących właściwą sobie fizionomię i charakter.

Szkoda że Syrokomla niepospolity talent i uczucie poetyczne marnuje na podobnych utworach, które mogą mieć chwilową wziętość, ale literatury niebogacą. Jeżel; zamierzył sobie przez takie zidealizowanie chłopków poruszyć dla nich serca, postawić ich na równi, co do wartości wewnętrznéj, z najucywilizowańszymi klasami, to przecież byłby tego łatwiéj, a raczéj właściwiéj dopiął, gdyby chciał treść do poematów czérpać z rzeczywistego życia i dać im wszystkie rysy i cechy chłopków, tak odmienne w każdéj prowincyi, a tak dla nas zajmujące, cobyśmy radzi wniknąć w ducha i uczucia gminu. Tak jak dotychczas obchodzi się z światem wioskowym, możnaby go pomawiać, że obserwuje go z okien pańskiego dworu, unosi się nad pejzażem, podziwia dziewicę nabierającą wody, chłopaka przegrywającego na fletni pasącym się krówkom i barankom, ale niezagląda pod strzechę, niepodsłuchuje rozmów przy ognisku, na polu, w karczmie — prosty dyletantyzm służący raczéj do popisania się z popularnością, a nie właściwe i szczere zajęcie się ludem, i chęć poznania go takim, jakim jest. Pomijam inne już niestósowności, jak ową figurę Szymona w któréj nikt wiejskiego parobka niepozna, ale jakiegoś pokojowego marzyciela co się naczytał tyle socyalnych ramot, że tylko łazi po lasach, a nic robić niechce — pomijam to, jako utwór fantazyi, ale sam język włożony w usta tych chłopków jakże pocieszny, kiedy się zaklinają w imie koleżeństwa i w imię *ludzkości!* — a wykrzykują:

Niech żyje ludzkość! niech żyje kobieta!

Przypuszczałem że w tym jest coś allegorycznego, — lecz odwyknąwszy od klasycznéj allegoryi, nieumiem się jeszcze na romantycznéj poznać; jak z drugiéj strony niepotrafię wmówić w siebie admiracyi, dla tych Szymonów, Tarasów, Mart, które zastąpiły spłoszonych z pola prawdziwej poezyi Nemorynów, Dametów, Lindory i t. p.

Taki zwrót w poezyi, gdyby się stał zaraźliwym, kazałby obawiać się o przyszłość literatury. Tymczasem Syrokomla w drugim swoim poemacie: *Janko Cmentarnik*, lubo także jest *Gawędą ludową*, obronniejszą wyszedł ręką niż w poprzedzającym, a to z prostéj przyczyny że przedmiotem opiewanym przez siebie potrącił o inny świat, wielki, historyczny, że się niewdawał w malowanie sentymentów, o których lud niewie, a tylko postawił jeden charakter Janka walczący między przywiązaniem do rodzinnéj wioski, a przywiązaniem do swego pana, z którym dzielił przygody wypraw wojennych za Napoleona, i któremu służył wiernie do śmierci.

Tęsknota za rodzinną strzechą gra główną rolę w poemacie, i jest téż oddana z wzruszającą prawdą — bo Syrokomla umie ślicznie malować delikatne i piękne wzruszenia serca, byle je nie wkładał w usta chłopów, którzy cale odrębny mają sposób do objawiania ich, co każdemu wiadomo kto bliżéj starał się poznać z ludem. Przeto i tęsknota Janka Cmentarnika téj jest natury, iż każdy, co tęskni za rodzinną stroną, choćby z najwykwintniejszego towarzystwa, jeżli tylko serce ma na swojém miejscu, przyznałby się do takiéj tęsknoty. I tak, kiedy Janko ów dzielny parobczak swojéj wioski, co to czy w pracy, czy przy zabawie, czy bijatyce, wszędzie jest pierwszym — bo jego wyższość płynącą z ducha każdy rad uznaje — wzięty jest przez pana

na hajduka dworskiego w województwo krakowskie, i tam znowu dosługuje się pierwszeństwa między strzelcami — a potém zaciągnąwszy się ze swoim panem pod sztandar Legionów, odbywa Napoleońskie wyprawy, tęskniąc zawsze i wszędy do rodzinnéj wioski, a mimo tego pełniąc powinność sługi i żołnierza, kiedy Janko wkracza z półkiem na Litwę i roi sobie że jego droga obróci się na rodzinne sioło, że swoich jeszcze zobaczy! — jakżeż żywemi i prawdziwemi rysami uczucie to oddał poeta! Kto się znajdował w podobném położeniu podziękuje Syrokomli za tę prześliczną chwilę w jego poemacie, którą umyślnie przytaczam, bo nie można dość powtórzyć tego co prawdziwie piękne:

Niemen przebyli — przyszli do Kowna.
Już miota Jankiem radość gwałtowna
Zdaje się serce w piersiach nie mieści:
„Już mi do domu mil ze dwadzieści...
„Dwadzieści tylko, och! jak to mało!
„Toż mię tysiące mil przedzielało
„Od moich miłych.... gdybyż być w przodzie!“
I znowu konia ostrogą bodzie;
Ale hamuje chętkę swawolną,
Bo się z szeregu wymknąć niewolno.....
. . . .
Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
Nad głową Janka tęskność mogilna
Chmurno powisła — szepce kryjomu:
„Tylko mil osiem do mego domu....
„Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?
„Kędy obróci wojenne marsze?
„W prawo? czy w lewo?... Ależ broń Boże!
„Pułk naszéj wioski minąć nie może:
„Wioska na lewo — tamtędy droga...“
Ale myśl władzców, to jak myśl Boga

Nieodgadniona, nieprzeniknięta,
Słowo ich prawem, wola ich święta.
Więc drżący Janek ileżto razy
Pytał u pana: jakie rozkazy
Z głównéj kwatery? — lecz pan nie zgadnie,
Którędy pułkom ruszyć wypadnie.
Przyszła nakoniec karta złowroga:
„Dla konnych pułków na prawo droga;
„Za dwie godziny wojsko wyruszy.“
Co się tam działo w Jankowéj duszy,
Trudno wysłowić.....
Od swojéj niwy
Znów los odpycha nielitościwy!
Onaż tak blisko być się zdawała,
I znowu lata, lub wieczność cała
Przedzieli może nieszczęśliwego
Od miejsc do których wciąż dumki biegą!...
Chciał już uciekać — lecz honor drogi,
Wojskowa karność ma swe nałogi;
Kto tych przekonań raz pójdzie drogą,
Już go pokusy zachwiać nie mogą;
Pęknie mu serce, w oczach się ściemni,
Lecz nie postąpi jako nikczemni;
Janko niezdolny postąpić podle,
Spuścił jak martwy ręce na siodle,
Spojrzał na lewo, gdzie jego niwa, —
Myśl pożegnalna, myśl rozpaczliwa
Pobiegła z wiatrem aż ku domowi:
„Zostańcie żywi! bywajcie zdrowi!“

I Janko poszedł daléj, daleko w głąb Moskwy, gdzie po walkach stoczonych, znajdował się w pamiętnym odwrocie nie odstępując na krok swego pana, już kalekę, i tak doprowadził go aż do karpackiego zamku, gdzie na poły tęskniąc za Litwą, a na poły pielęgnując scho-

rzałego i skaleczałego pana, którego nie miał odwagi odstąpić, przeżył w téj służbie pełnéj poświęcenia się lat trzydzieści, póki nie zamknął oczu staremu inwalidowi. — Oswobodzonemu od wszystkich obowiązków serca Jankowi znowu silniéj zagrały wspomnienia rodzinnéj wioski — bierze kij podróżny i rusza w drogę — na Litwę. — Otóż i wioska jego, przedmiot kilkudziesięcioletniéj tęsknicy! — ale czas bieży i wszystko z sobą unosi — nikt go nie poznał, i on nie poznał nikogo — rodzice, krewni, znajomi — wymarli!... Janko w rozpaczy chodził odtąd na cmentarz gdzie spoczywała jego przeszłość młodzieńcza, i tam wywołując nieboszczyków... przepijał do nich zdrowiem i rozpił się na śmierć! —

Ci bohaterowie zwykle u Syrokomli kończą pijaństwem; miałażby to być forma ludowéj rozpaczy? — Może i tak jest — nie przeczę. Ale czyż nie można znaleść dla nich lepszego końca?, albo czy chciałby nas przekonać że pijaństwo u ludu jest tylko wynikiem rozpaczy? To ostatnie psychologiczne postrzeżenie, nie ze wszystkiém praktyka stwierdza. — Ale co tu pomoże przywodzić postrzeżenia z rzeczywistości czerpane, przeciw sielankowym argumentom, kiedy Syrokomla wziął sobie, jak uważam, za stałą zasadę idealizować lud wiejski, nie w ten sposób, żeby z niego wyprowadzał niektóre dobre przymioty moralne i obyczajowe w formie w jakiéj się objawiają, i przybierał je w rysy dopatrzone w bliskiém z nim obcowaniu, ale w sposób przeniewierzający się prawdzie poetycznéj, bo ubiera cnoty i uczucia szlachcica w chłopską siermiengę i wzdycha do lepszego świata, *gdzieby nie było ani dworu*, *ani gospody*, *tylko kmiotkowie sami!*

Takie pojmowanie i wystawianie wiejskiego ludu mogło uchodzić, kiedy go nieznano bliżéj, tylko z jego piosnek, powiastek, obrzędowych ceremonij, kiedy wreszcie przymierzano doń formułkę Russa o doskonałym czło-

wieku natury téj cząstce przyszłego bóstwa Ludzkości; lecz dziś, kiedy te dwie utopije filozoficzne: Człowiek natury i Ludzkość, pokazały się pustobrzmiącemi frazesami, którym kłam zadawała rzeczywistość - toż i zmyślenie poetyczne na tym gruncie oparte, podwójném staje się zmyśleniem.

Dla tego w poematach Syrokomli pomimo wysokiego talentu poetycznego w oddaniu uczuć i wrażeń sielskich, pomimo całéj rzewności lirycznéj, zawsze prawie pomysl główny, a mianowicie wprowadzone postacie grzeszą nieprawdą. Podobnie sentymentalnych chłopów nikt jeszcze niespotkał chyba w balladach i sielankach zbyt romantycznych, albo zbyt klassycznych, ale nigdy w ścisłem znaczeniu ludowych, czyli takich, jak lud jest w rzeczywistości.

Maniera ta, bo już się stała manierą, dowodzi pewnego opóźnienia wyobrażeń, a zarazem odbieżenia od tego zwrotu, jaki wskazałem na początku — zwrotu, ku sumiennym studiom nad ludami i cząstkami ludów, nietylko co się tycze zabytków starożytnych przechowanych w ich mowie, wyobrażeniach, tradycyach, zwyczajach, ale nawet codzienne życie wieśniacze, charaktery, namiętności, sposoby widzenia, cnoty, występki i śmieszność ludu, są już badane z skrupulatną prawdą psychologiczną i plastyczną. Co dla flamandów zrobił Conscience, dla Niemców Czarnego lasu Auerbach, dla Szwajcarów Gotthelf, a u nas szuka w tym kierunku Gregorowicz, — to jest właściwą cechą studjów ludowych, a byłoby i poezyi ludowéj, gdyby Syrokomla rozbratał się z tym wioskowym konwencyonalizmem, a przeszedł na rzetelną drogę. — Jakkolwiek bądź rodzaj ten graniczy z różnemi niebezpieczeństwy i potrzebuje ścisłego roztrząsania i sądu, który niepowinien uchylać czoła choćby przed największym poetycznym talentem— tak znowu jeżeli natchnienie z czystego wytryska źró-

dła, utwory takie mogą przynieść najzbawienniejsze skutki, czy będą prostem odbiciem się nagiéj rzeczywistości, czy fikcyą poetyczną, z téj rzeczywistości wysnutą.

Że ten zwrot ku studiom ludowym jakim poszli niektórzy pisarze w Europie, zaczyna się i u nas objawiać w najlepszych warunkach, lubo jeszcze na mniejszą skalę, dowód mamy w *Obrazkach z obyczajów ludu wiejskiego*, które skreślił Walery Wielogłowski. Dotąd trzy wyszło książeczki: *Leniwy Bartek*, *Kuba Jarmarczny* i *Franek pijanica*. Są to zdramatyzowane wady i przywary zwykłe włościanom, jednakże w tem ich zaleta i wyższość nad zwykłą gadaninę moralną, że autor niebawi się w kaznodzieję, ale pacyenta swego przeprowadza przez różne przypadki i koleje życia, w których niema żadnych nadzwyczajności tylko sceny przytrafiające się codzień pod strzechą, w karczmie, na jarmarku, we dworze. Ciemne fatum przywiązane do wady lub występku odgrywa tu swoją rolę z nieubłaganemi następstwami, i tylko wtenczas przestaje ścigać, kiedy pacient ma dość odwagi i woli złamać swój nałóg. Prowadzenie tych drobnych dramatów wiejskiego życia, choć o żadnéj sceneryi ani architektonice niema mowy, jest przytem tak zajmujące, że od pierwszego momentu ciekawość twoja troszczy się o koniec téj ofiary lenistwa, włóczęgi, szachrajstwa lub opilstwa.... Jeżeli te obrazki robią takie wrażenie na osobach, które wiele naczytały się w życiu, tedy nierównie większe mogą sprawić na wieśniakach, nieznających innéj książki prócz do nabożeństwa. Ważną tu rzeczą jest język ludu krakowskiego z niesłychanym talentem pochwycony, tak w zwrotach jak wyrażeniach, lubo zdaniem mojem autor strzedz się powinien wprowadzenia fałszywych czyli poprzekręcanych wyrazów, jak *gdowa*, zamiast wdowa, *notareusz*, *harendarz*, *lumer* (numer) i t. p. jeżeli bowiem

wieśniak czytać to będzie, utwierdzi się tylko w zepsutem wymawianiu, które owszem kazi a nieozdobi jego języka mającego tyle zwrotów i sposobów mówienia, szczęśliwych, jędrnych i prawdziwie polskich, że nieraz zalatuje z nich jakby woń Zygmuntowskich pisarzy.

Lucyan Siemieński.

MOSKWA I RZYM.

Gdyby w roku przeszłym, w chwili gdy bataliony francuzkie biegły do szturmu Małachowy, przesunęła się była przed ich oczami panorama, jaką stolica Carów w roku następnym, data w datę przedstawiać miała; gdyby z grzmotem bateryj sebastopolskich, pomięszał się był głos tysiącznych dzwonów dziękczynne w metropoli rosyjskiéj bijących kuranty; gdyby z rotowym ogniem zdobywców i obrońców krymskich warowni, zlały się były echa niezliczonych wiwatów towarzyszących następcy Piotra Wielkiego wjeżdżającego w progi starego Kremlina; gdyby w pośród tumanów dymu i kurzawy krwawéj walki, wzniosły się były słupy wonnych kadzideł otaczających Cesarza Wszech Rossyj przywdziewającego koronę w takiéj świetności i blasku, jakich dawniejsze wieki nie znały; gdyby nareszcie w tym olbrzymim obrazie ukazała się była Europa łącząca swe głosy z okrzykami, swe wonie z kadzidłami, swój zachodni przepych ze wschodnim zbytkiem, dorzucająca swe hołdy

przez książąt krwi i najznakomitszych reprezentantów wszystkich mocarstw z posłem francuzkim na czele, do czci i uwielbień składanych przez ludy od morza Kaspijskiego do Baltyku, od morza Czarnego do nieznanych stref lodów wieczystych — widok ten byłby może zatrzymał nieustraszonych Mac-Mahona zuawów, wprowadził ich w osłupienie i sprawił to czego bomby, granaty i kartacze małachowskie dokazać nie zdołały... Może téż rozgrzana i szałem bitwy uniesiona wyobraźnia byłaby im przedstawiła ową milionowym ogniem kagańców, pochodni i świateł pałającą Moskwę, ów siedmdziesięcio-tysiączny gwardyi pod stolicą rozłożony obóz, jakby jakiś obraz przeszłości, jakieś wspomnienie wysłane przez poległych w r. 1812 bohaterskich ich poprzedników dla podniesienia jeszcze męztwa w następcach; może wszystko resztę biorąc za złudzenie, z większym jeszcze zapałem rzuciliby się byli na okopy ziejące śmierć i zniszczenie... Bo najbliższa rzeczywistość może się wydawać jeszcze niepodobieństwem w poprzedniéj chwili, bo przyszłość jutra jest jeszcze dla wszystkich zakryta — i zuawy nie czynią wyjątku.

Któż zresztą powiedzieć zdoła, czyli nie potrzeba było owego szturmu aby urzeczywistnić obraz który się w owej chwili fikcyą mógł wydawać? Któż twierdzić się ośmieli, że gdyby warownia Małachowy nie była wpadła w ręce Francuzów, i nie była im otworzyła bram południowéj części Sebastopola, czy cała sprawa wschodnia nie byłaby wzięła innego obrotu? Możnaż przewidzieć żeby w ówczas koronacya w Moskwie w tych samych co dziś dokonała się była warunkach?... Z politycznego zapatrując się stanowiska, zuawy powinny były mieć na uroczystościach moskiewskich swego reprezentanta.

Od wzięcia Sebastopola Rosya zmieniła swą politykę, to jest uczyniła pewne ustąpienia w kierunku w jakim

od Piotra W. niezachwianie postępowała. Uznała niektóre interesa jako europejskie, przypuściła do trybunału rozstrzygającego niektóre sprawy inne mocarstwa, tam gdzie się dotąd za najwyższego i jedynego ogłaszała sędziego, cofnęła swe potężne ramię od morza Czarnego i Stambułu. Wszystko to uczyniła nie dla tego aby ulegać miała przemocy, bo na zdobycie Sebastopola odpowiedziała wzięciem Karsu, lecz że wymagać po niéj tego się zdawały cywilizacyjne dążności Europy, które pełnomocnicy rosyjscy zasiadający na kongresie paryzkim głośno i wyraźnie popierali. Manifest cesarski stanowisko to Rosyi jeszcze wybitniejszém po zawarciu pokoju uczynił. W onych słowach wyrzeczonych przez Aleksandra II do swych poddanych, Europa upatrzyła zapowiedź nowéj dla Rosyi ery, zmianę polityki nie tylko na zewnątrz ale i na wewnątrz. Zdało jéj się widzieć, jakby przekonanie monarszemi usty wypowiedziane, że Rosya odtąd postępować musi w kierunku zgodnym z innemi europejskiemi państwami, że przyjąć winna środki uznane powszechnie za cywilizacyjne, zespolić się z ruchem ogólnym; — Europa wnosiła, że nie długo czekać jéj przyjdzie na ziszczenie wszystkich domysłów i nadziei, które od wstąpienia na tron następcy Cesarza Mikołaja do osoby jego przywiązywała, — słowem, manifest rzeczony wydawał się jakby ów głos trąby przed którym zniknąć miał przedział broniący przystępu do Rosyi reszcie Europy, jak niegdyś waliły się mury Jerychońskie przed wojenną surmą wybranego ludu.

Uroczystość koronacyi dziwnie sprzyjała temu usposobieniu i opinii publicznéj i polityce europejskiéj, które tym razem znalazły się w zgodzie. Mógł to być zarazem i naturalny koniec przeszłości i świetny przyszłości początek; trzeba przeto było dać poznać, że pierwsza zapomniana, a druga z upragnieniem wyglądana. Wysłała też Europa swych książąt i reprezentantów, z całą

pompą i przepychem godnym tak przeważnéj chwili, aby uczcić nowego Cesarza „staréj Rosyi“ którą żegnała, i otoczyć go blaskiem odpowiednim jutrzence „nowéj Rosyi“ którą chciała powitać.

Zaiste, gdyby tak być miało, gdyby koronacya w bieżącym miesiącu w Moskwie odbyta, stała się zorzą wschodzącéj nowéj dla Rosyi epoki, a wywołanéj wypadkami lat ostatnich, nikt nie miałby prawa utrzymywać że skutki sprawy wschodniéj nie dopisały łożonym usiłowaniom, przelanéj krwi, poniesionym kosztom. Połączenie rzeczywiste, polityczne i moralne, to jest społeczne, tak ogromnego państwa z resztą Europy, wynagrodziłoby sowicie wszelkie poświęcenia i ofiary. Czyli takowe nastąpi i kiedy, jak dalece życzenia europejskie i przewidzenia się ziszczą — przesądzać nie można. Zmiany takowe w każdem państwie a niedopieroż w tak ogromném mocarstwie jak Rosya, wymagają wiele czasu, zależne są od wielu okoliczności. Najlepsze nawet chęci niekiedy nie wystarczą; zbyteczny pośpiech wewnątrz zagraża rewolucyą, zbyteczne parcie zewnątrz sprowadzić może wojnę. Opinia publiczna może *wyglądać* „nowéj Rosyi“, ale chcieć ją już koniecznie dziś *widzieć* nie powinna. Atoli tak nie jest. Opinia publiczna europejska przyzwyczajona uważać wolę monarchy w Rosyi za ostateczny wyraz tego co być może lub nie może, stawia codzień nowe i najśmielsze programmata reform, i spodziewa się codzień widzieć takowe jednym pociągiem pióra, jednym ukazem w czyn zamienione. Przypuściwszy nawet, że opinia trafia w ducha kierunku polityki nowego władcy, zapomina wszakże iż nawet wola Cara ograniczona jest naturą rzeczy; a właśnie dla tego, iż postępując w nowym kierunku ma do walczenia z tradycyą, zwyczajami i dawnemi prawami, wola ta traci na sile, i traci tém więcej im bardziéj się od nich oddala.

Do rzędu najśmielszych dla Rosyi stawianych pomysłów, policzyć wypada pytanie przewyższające śmiałością i projekta usamowolnienia włościan, i zamiary oddania kolei żelaznych i telegrafów prywatnym towarzystwom, i wszystkie inne których tyle codzień naczytać się można, pytanie wywołane także owym pokojowym manifestem Cesarza Aleksandra, rzucone Europie przed samą koronacyą, stawiające Rzym w obec Moskwy, pytanie: „czyli Rosya będzie katolicką?“...

Pytanie to w téj chwili nie jest bynajmniéj nadzwyczajnym zwrotem, ani téż dziwić nie może nikogo. Jakkolwiek na religijném polu, ma ono swoje i bardzo wielkie polityczne znaczenie. Czyliż uroczystość koronacyi nie miała także téj podwójnéj cechy? Żegnały się ludy rosyjskie w Moskwie gdy przejeżdżał Car, znakiem krzyża cześć oddawały naczelnikowi religii prawosławnéj. Komuż w Moskwie na widok uginających się kolan przed następcą Piotra Wielkiego, nie stanął na myśli Rzym, gdzie lud podobny hołd oddaje następcy Piotra Świętego? Kiedyż prawda mocniéj uderza jak na widok błędu? Gdzież ów przedział między Rosyą a Zachodem dobitniéj się maluje jak w tym obrazie? Komuż przystęp do Rosyi surowiéj wzbroniony jak właśnie temu państwu duchownemu którego stolicą jest Rzym, a widomym naczelnikiem Pius IX? Jakież silniejsze żywioły w owym przedziale „staréj Rosyi“ nad ową sprzeczność między Rzymem a Moskwą, między katolicyzmem a schizmą? Jeżeli zaś ów przedział ma zniknąć, jeżeli nowa era dla Rosyi ma się rozpocząć, i z Europą połączyć tak społecznie jak była z nią dotąd dyplomatycznie połączona, któryż z monarchów większe z tego przeobrażenia i połączenia rokować może dla świata nadzieje jak monarcha który jest oraz głową Kościoła powszechnego?....

Lecz chociaż widoczną jest rzeczą, że polityka silnie tu bardzo z kwestyą religijną związana, zawsze jednak, pytanie tak postawione: „czyli Rosya będzie katolicką?“ wygląda na paradoks lub na polityczną utopię. Bezwzględnie téż traktować go nie można, bo któżby w takich rzeczach ośmielił się być prorokiem? Chciał nim być niegdyś Tertulian dla Cesarzów Rzymskich i wyrzekł: *Caesares christiani esse non possunt, quia Caesares.* Omyliła jak wiadomo przepowiednia — za panowania Konstantyna Wielkiego. I na nic się nie przyda tu przypominać i rozdział cesarstwa rzymskiego i upadek jego dwóch części. Gibbon który tym sposobem chciał uratować przepowiednię Tertuliana, nie dokazał tego i w grube popadł błędy, co wykazywać dzisiaj byłoby zbytecznêm. Dość powiedzieć, że Cesarze rzymscy upadli nie dla tego iż byli Chrześcianami, ale właśnie dla tego że nimi w duchu Chrystusa nie byli.

Słusznie zresztą bardzo zauważał autor broszury *), w któréj pytanie: „czyli Rosya będzie katolicką?“ z niezwykłym talentem i śmiałością w oczach Europy postawił, że nie istnieje podobny przedział między Moskwą a Rzymem, jaki istniał między państwem Cezarów a Chrześciaństwem. W rzeczy samėj, lubo słyszeć nieraz można sparodyowaną przepowiednię tertulianową: „że Carowie gdyby się połączyli z Rzymem, przestaliby być Carami“, nikt atoli zaprzeczyć nie zdoła, aby dla tego nie mieli pozostać Cesarzami Rosyjskiemi. Analogia jest tu tylko pozorna i rozbioru nie wytrzymuje.

Lubo więc kwestya ta nie może być żadną miarą traktowana bezwzględnie, wszelako bliższy jéj rozbiór zasługuje na uwagę, nie tylko z powodu ważności i znaczenia rzeczy religijnych tak dziś dla wszystkich widocznego, nie

*) *La Russie sera-t-elle catholique, par le P. J. Gagarin, de la Compagnie de Jésus. Paris, Charles Douniol, libraire, 1856.*

tylko z powodu że dotyka wielu spraw chwilowych, politycznych, ale nadto jeszcze z powodu osobistości tego, który wspomnioną broszurą stał się niejako przed Europą sprawy téj tłumaczem a nawet gorliwym rzecznikiem.

Autor téj rozprawy, należący do świetnego rodu książąt Gagarynów w Rosyi, sam więc Rosyanin i dawniéj wyznający religię prawosławną — a dziś katolik i kapłan w zakonie Jezusowym, zdaje się ze wszech miar gruntownie obeznany z przedmiotem o jakim pisze, i wtajemniczony we wszystkie okoliczności i następstwa sprawy którą przedstawia. Jan książe Gagaryn, odebrawszy staranne i wzorowe wychowanie, wszedł w młodym wieku do zawodu dyplomatycznego, gdzie przez niepospolite zdolności ściągnął na siebie uwagę zwierzchników. Hrabia Nesselrode wielkie na nim budował nadzieje; wszystko dlań zdawało się rokować bardzo szybkie i wysokie powodzenie w rozpoczętéj karierze. W ostatnich czasach, przed swojém nawróceniem, znajdował się w Paryżu w roku podobno 1841 jako sekretarz przy tameczném poselstwie rosyjskiém. Wówczas miał sposobność uczęszczać na kazania i nauki religijne, tak zwane konferencye, sławnych kaznodziei a mianowicie Ojców Ravignana i Lacordaira; rozpoznać i przekonać się o odwiecznych prawdach wiary katolickiéj, i stósownie do tego przekonania został katolikiem. Powróciwszy z Rosyi, dokąd się był udał dla załatwienia swoich interesów, wkrótce stanowisko świetne jakie zajmował w świecie zamienił na skromne życie w zakonie Jezuitów. Dzisiaj O. Gagaryn, liczący tylko czterdzieści kilka lat wieku, będący w całéj czerstwości ciała i umysłu, chwale Bożéj poświęcony, pobożnością i nauką zaszczytnie się w zgromadzeniu odznacza.

Po tym krótkim zarysie żywota autora nasuwa się pytanie: co mogło mu być pobudką do ogłoszenia teraz rze-

czonéj rozprawy? Odpowiedź znajdujemy w przedmowie. O. Gagaryn pobudzony był do tego kroku pięknemi, jak się wyraża, słowami kończącemi manifest Cesarza Aleksandra z 31 marca r. b.: „Nakoniec — a jest to „nasze najgorętsze życzenie — oby światło naszéj zba„wiającéj wiary, oświecając umysły i wzmacniając serca, „coraz więcéj przenikało i podnosiło obyczaje spółeczne, „tę najpewniejszą rękojmię porządku i szczęścia“.

Ten program nowego panowania, mówi O. Gagaryn, zastał mnie na wygnaniu. Lecz wygnanie nie zrywa węzła który łączy serce z ziemią ojczystą. Poruszony aż do głębi duszy mojéj, tą piękną i wzniosłą mową, zapytałem siebie samego: „cóż uczynić zdołam aby na nią odpowiedzieć?“..

Myśl która mnie wyłącznie od młodości mojéj zajmuje, a któréj poświęciłem całe życie, stanęła przed moim umysłem żywotniejsza i piękniejsza niż kiedykolwiek. Zdawało mi się że chwila w któréj się ma urzeczywistnić zbliża się, kiedy monarcha, któremu Opatrzność powierzyła losy kraju swego, wynurza uczucia i życzenia, w zupełnéj z nią będące harmonii, i w niéj jednéj tylko mogące znaleść swe uzupełnienie......

Rzeczywiście, wszystko w porządku spółecznym opiera się na religii, jak to i słowa Cesarza Aleksandra ogłaszają. A zatém w obrębie religijnym układ wolny i rozumny między wymaganiami sprawiedliwemi cywilizacyi powszechnéj a duchem narodowym, naprzód nastąpić powinien. Od wieków kościół Rosyjski jest w wojnie ze Stolicą Apostolską, trzeba aby pokój nastąpił, ale pokój zaszczytny i korzystny dla wszystkich. Zachowując swoje poszanowania godne obrządki, swoją starodawną karność, swoją narodową liturgię i właściwą postać, kościół rosyjski może wrócić do zgody z kościołem powszechnym, może się na nowo skojarzyć związek który niegdyś łączył Wschód z Zachodem. Dzieło to pojednania jest trudném; wiele przesądów stoi mu na zawadzie; ale nie jest ono niepodobném, bo nie nadweręża żadnego istotnego i ważnego interesu. Prędzéj czy późniéj musi to nastąpić, bo wojna nie może trwać zawsze, bo pokój korzystnym jest dla wszystkich. Aby to nastąpiło, zgodność trzech woli wystarczy. Skoro Papież, Cesarz rosyjski i kościół rosyjski reprezentowany przez swoich biskupów lub przez swój Synod porozumią się z sobą — któż przeszkodzić zdoła aby pojednanie nie przyszło do skutku?

Owóż, nigdy może więcéj okoliczności ku temu nie sprzyjały. Najwyższy kapłan, zasiadający obecnie na Stolicy Piotra Śgo. ożywiony jest dla Wschodu skłonnościami nader pojednawczemi. Biskupi rosyjscy sprzyjają silnéj reakcyi przeciw dążnościom protestanckim i febroniańskim, jaka się około nich rozwija. Nakoniec w jakiejże epoce widziano na tronie rosyjskim Monarchę lepiéj usposobionego aby to przedsięwzięcie pomyślnie przeprowadzić? Ten, co zakończył bój z którego dopiero co wyszliśmy, ten co podpisał traktat paryzki i manifest z 31 marca, może lepiéj niż ktokolwiek obudzić i wywołać negocyacye między duchowieństwem rosyjskiem a Stolicą rzymską; zebrać kongres duchowny i przyłożyć swój podpis na traktat pokoju religijny, któryby stanowił i otworzył nową erę dla Rosyi i świata całego.

Ustęp powyższy z przedmowy do wzmiankowanéj broszury przytoczony, maluje lepiéj niż wszelkie opisy i osobistość autora i jego życzenia. Książe Gagaryn zostawszy Jezuitą nieprzestał być Rosyaninem: zakaz powrotu do kraju uważa on za „wygnanie gdzie go zastał ogłoszony manifest“. Lecz wygnanie, powiada on, nie zrywa węzła, który łączy serce z ojczystą ziemią; nowe powołanie niewymazało z jego serca narodowego uczucia. Poświęcenie kosmopolityczne jakiego powołanie to po nim wymaga, nie jest wcale poświęceniem egoistyczném; O. Gagaryn gotów jest zapewne wszędzie być misyonarzem gdziekolwiek by go posłano, ale „myśl która go wyłącznie zajmuje, któréj całe życie poświęcił,“ ściąga się do jego kraju. W całym też wykładzie téj myśli zachowuje cechę Rosyanina. Nic dziwnego że życzenia jego są gorące, że czasem w wyszukiwaniu okoliczności spełnienie ich prawdopodobnem czyniących idzie może daléj niż zimna rzeczywistość; zawsze jednak znajomość gruntowna przedmiotu, głęboka nauka, niezwykły talent i to właśnie jego wyłączne stanowisko czynią dzieło jego ważnem, i za takie też przez Europę zostało ono osądzonem. Nie od rzeczy będzie przebiedz takowe w treści i w niektórych ustępach.

Postawiwszy kwestyę bardzo jasno w przedmowie, to jest pojednanie kościoła rosyjskiego z rzymskim, i wskazawszy środek który ma do tego celu prowadzić, to jest porozumienie się trzech władz duchownych: Papieża, Cara, i Synodu między sobą, autor przeprowadza rzecz całą w czterech rozdziałach, z których trzy pierwsze: *Obrządek Wschodni*, *Kościół i Państwo*, *Duchowieństwo rosyjskie*, obejmują stronę religijną kwestyi, czwarty zaś i ostatni pod napisem: *Katolicyzm lub rewolucya*, stronę jéj polityczną. W tym wykładzie nauką i dokumentami poparty udawadnia, że niezachodzi żadna istotna sprzeczność, żadna nieprzezwyciężona trudność lub przeszkoda, aby połączenie obu kościołów nastąpiło; daléj wykazuje, jakie ogromne i błogie skutki z takiego pojednania wyniknąć niechybnie by musiały pod względem moralnego i religijnego odrodzenia się całego Państwa, a nawet pod względem nowo nabytéj siły wewnętrznéj i politycznéj, jakąby ztąd Monarcha rosyjski pozyskał; następnie że ta siła sowicie by wynagrodziła zrzeczenie się zwierzchnictwa, które piastuje jako głowa Kościoła, zwierzchnictwa które jeżeli nie zupełnie niszczy, to przynajmniéj mocno paraliżuje zbawienne działanie jakie religia, we właściwym swoim zakresie wywierać tylko jest zdolna. Nakoniec wyświeca, jakie niebezpieczeństwa grożą Rosyi i władzy monarszéj jeżeli kościół rosyjski pozostanie nadal w niemocy, w jakiéj go władza trzyma skrępowanym, i z któréj bez szwanku i niebezpieczeństwa wydobyć się zdoła jedynie przez zjednoczenie się z kościołem powszechnym.

W pierwszym rozdziale poświęconym obrządkowi wschodniemu, autor opierając się na dokumentach kościelnych i dziejowych, zbija jeden z przesądów stawiający największy opór przeciw połączeniu się kościoła greckiego z kościołem powszechnym. Zasadza on się mianowicie na fałszywem mniemaniu jakoby skutkiem

takiego połączenia obrządek Wschodni miał być koniecznie zastąpiony przez obrządek łaciński. Mniemanie to powszechnie rozszerzone między Rosyanami, bywa w pewnych widokach starannie utrzymywane przez tych, którzy w rozdwojeniu obu kościołów interes swój upatrują. Przeto, gdy kwestya obrządku wschodniego pierwsze niemal zajmuje miejsce w uprzedzeniach wielu Rosyan, od niéj autor rzecz poczyna:

Jakkolwiek połączenie to — mówi on — najeżone jest rozmaitemi a nawet ogromnemi trudnościami, wszelako trudności te nie są tak wielkie, aby ich przezwyciężyć nie można; więcéj powiem, nie są one tak znaczne jak się zdawać mogą, lub jak niektórzy przedstawić je usiłują.

W istocie, o cóż idzie? czyli o zburzenie całéj organizacyi religijnéj w Rosyi w celu ustanowienia nowéj wiary, nowego obrządku i nowego duchowieństwa? Bynajmniéj.

W oczach Rzymu biskupi rosyjscy są rzeczywistymi biskupami, księża rosyjscy rzeczywistymi księżmi, którzy na ołtarzach rzeczywiście poświęcają w ofierze ciało i krew Jezusa Chrystusa. Katechizm kościoła rosyjskiego zawiera w sobie raczéj przerwy i opuszczenia aniżeli błędy, i to co w nim jest niedostatecznego i ułomnego znajduje swoje uzupełnienie i poprawę w samem nabożeństwie i obrządku wschodnim. To samo powiedzieć można o karności (*disciplina*) kościoła rosyjskiego. Godzi się ubolewać nad nowością kilku w nim wprowadzonych przekształceń, a pochodzących z niewłaściwéj interwencyi władzy świeckiéj. Atoli krom tego, kościół rzymski dalekim jest, aby naganiał różnicom jakie zachodzą między wschodnią a zachodnią karnością. Wszakże były czasy, kiedy pomimo wszystkich tych różnic w obrządkach i karności, Wschód i Zachód tworzyły jeden tylko kościół, którego dzieci łączył między sobą jeden węzeł wiary i miłości: Do tych to czasów powrócić wzdychamy; nie idzie więc bynajmniéj o absorbcyę kościoła rosyjskiego w kościele łacińskim, chodzi tylko głównie i jedynie o ich pojednanie.

Obrządek wschodni który kościół grecko-unicki, zachował, uważanym był zawsze jako środek mogący służyć do pojednania schizmy z kościołem; słusznie przeto używa go i O. Gagaryn, i tem większą do niego przywięzuje wagę, im lepiéj zna przywiązanie Rosyan do obrządku

tego, im bardziéj jest przekonany, że wiara w Rosyi skoncentrowała się w formie, przywiązała się do litery. Wszelako w rozumowaniach jego nie wypada spuszczać z uwagi stanowiska jakie zajął, że jest Rosyaninem i pisze dla Rosyan. Życząc sobie gorąco zgody, wydobywa o ile być może punkta wspólne i do niéj wiodące, pomija różnice skoro tylko wypowiedzieć takowe niekoniecznie mu wskazuje obowiązek jego duchownego charakteru. I tak, Rzym uważa w rzeczy saméj biskupów rosyjskich za biskupów jak to pisze O. Gagaryn, ale z zastrzeżeniem zawsze nieprzerwanéj filiacyi w hierarchii. Wprawdzie, w razie pojednania, łatwoby Rzymowi téj przerwie zaradzić, mianując biskupów i święcąc księży. Owe *niedostatki* w katechizmie rosyjskim, o których jeszcze daléj będzie mowa, mogą być przez Rosyan uważane za *przerwy* lub *opuszczenia;* w oczach Rosyan połączenie się z kościołem powszechnym mogłoby uchodzić za *uzupełnienie* wyznania wiary.

Powyższe rozumowania o obrządku wschodnim popiera autor dowodami, a mianowicie Bullą Benedykta XIV ogłoszoną 26 lipca 1755, poczynającą się od wyrazów: *Allatae sunt.* W niéj uczony ten i w przedmiotach kościoła wschodniego wielce obeznany Papież, wspominając o misyonarzach poświęcających się wielkiemu dziełu pojednania obu kościołów, przepisuje im w treści wszystkie ich obowiązki w dwóch następujących paragrafach:

§. 1. Starać się wykorzenić z serc ludów wschodnich wszystkie te błędy które przodkowie ich przyjęli, aby mieć pozór do odłączenia się od środkowego punktu jedności i wyłamać się z pod władzy najwyższego kapłana rzymskiego. Aby dojść ku temu misyonarze opierać się szczególniéj powinni na powadze dawnych Ojców kościoła greckiego, którzy w zupełnéj pozostają zgodzie w rzeczach dogmatów, z Ojcami kościoła łacińskiego i którzy wraz z nimi wszystkie nowożytne błędy potępiają.

§. 2. Aby nawrócić wyznawców kościoła Wschodniego, nie po-

trzeba bynajmniéj nadwerężać lub obrażać w czemkolwiek ich obrządków, co też nigdy nie było zamiarem Stolicy Apostolskiéj. Przeciwnie, pracując nad pojednaniem tych ludów, z największą starannością unikać wypada wszelkich namów dążących do przyjęcia obrządku łacińskiego; bo Stolica Święta wyprawia do nich misyonarzy, jedynie dla nawrócenia ich do jedności katolickiéj, a bynajmnéj w celu zaprowadzenia zmian w ich obrządkach.

Z tego już pokazuje się jak ważną jest rzeczona bulla w sprawie pojednania kościoła wschodniego z zachodnim, a nadto Benedykt XIV nie ogranicza się na wyrażeniu tych zasad, ale stwierdza je licznemi bardzo faktami z dziejów kościoła wyjętemi. Między niemi O. Gagaryn wymienia te które mu sią zdawały wydatniejsze i mające bezpośredni stósunek z kościołem rosyjskim.

I tak w XIII wieku, z powodu negocyacyj jakie zaszły w celu zjednoczenia kościoła Ruskiego ze Stolicą świętą, między Inocentym IV a Danielem księciem Halickim, Papież ten wyraźnie oświadcza, iż zezwala aby Biskupi i księża ruscy używali chleba kwaszonego przy poświęceniu Ofiary Śtéj i zachowali nietknięte wszystkie inne obrządki, które nie są w sprzeczności z wiarą katolicką.

Istnieją dwie konstytucye Papieżów Leona X i Klemensa VII w których oba ci najwyżsi kapłani strofują Łacinników pozwalających sobie naganiać Grekom zachowanie zwyczajów i obrządków dozwolonych im obszernemi przepisami Soboru Florenckiego, jako to używania chleba kwaszonego do mszy, brania żony przed wyświęceniem, zachowania tejże po wyświęceniu, rozdawania komunii pod dwiema postaciami i udzielania jéj dzieciom.

W roku 1596 pod rządami Klemensa VIII, biskupi ruscy pod panowaniem w ówczas Króla Polskiego zostający, wrócili do jedności ze Stolicą świętą. Czcigodny Kardynał Baronius, który przechował nam opis tego ważnego zdarzenia przytacza także dekret Arcybiskupów i Biskupów ruskich wracających do jedności zawierający następujące zastrzeżenie: „zastrzegając sobie zachowanie obrządków „ceremonii, mianowicie udzielanie Sakramentów ŚŚ. i odbywanie „obrzędów świętych sposobem i według zwyczajów Wschodniego „kościoła, przyzwalamy na poprawkę tych tylko artykułów któreby „zjednoczeniu temu stać mogły na zawadzie, tak aby wszystko odbywało się jak za czasów pierwszéj Unii.“

Oprócz powyższéj jakby mimochodem wzmianki o unii

1596 r. za rządów dawnéj Polski, nigdzie więcéj autor nie wspomniał o ważności tego uroczystego aktu. Jakie kolwiek powody skłonić go mogły do pominięcia wpływu tak stanowczéj karty w usiłowaniach połączenia kościoła Wschodniego z Rzymem, żałować tego wypada. Unia z 1596 r. ma oczywiście ścisły związek ze sprawą którą tak świetnie i zręcznie O. Gagaryn traktuje; jest ona i pozostanie dziełem wielkiem w którem kościół Wschodni znaleść zawsze może najlepszy przykład, wzór i ustaloną od parę wieków praktykę, w jaki sposób pojednanie jego z Rzymem nastąpićby mogło, bez nadwerężenia wczemkolwiek wiary powszechnéj i istotnych warunków starodawnych jego obrządków.

Opuszczając inne fakta wskazane w dziele O. Gagaryna, dość jest powyższych na przekonanie, że Stolica Święta pracując zawsze nad przywróceniem jedności z kościołem Wschodnim, walczyła przeciw błędom wyznawców pozostających w sprzeczności z wiarą katolicką, ale zawsze szanując obrządek wschodni, który Benedykt XIV w bulli swojéj zowie *venerabilis orientalis ritus*. Nieosobliwe powodzenie jakiego w poprzednich czasach usiłowania jéj doznały, nie zniechęciło jéj bynajmniéj; nie przestaje téż ciągle na téj postępować drodze ku osiągnięciu tak wielkiego dzieła. Za dni naszych Pius IX rozpoczął rządy kościelne odzywając się do wyznawców kościoła wschodniego w liście swoim z dnia 6 stycznia r. 1848, skreślonym w tym samym duchu co bulla *Allatae sunt* na którą się powoływa.

Z resztą, dodaje autor, Papieże pragnąc przywrócić jedność z kościołem wschodnim, przy zachowaniu właściwych mu obrządków, stósowali się w tem do przepisanego postępowania, tak uroczyście ogłoszonego na Soborze Florenckim; a Sobór Florencki sam nic nowego w tem nie utworzył, i opierał się tylko w swojem ogłoszeniu na zasadach jakiemi od najdawniejszych czasów kościół Śty się rządził i postępował. Tak niezachwiana i stała tradycya Kościoła uroczyście zatwierdzona przez Sobór Florencki, z taką powagą wy-

święcona przez Benedykta XIV, która dzisiaj ożywia serce Piusa IX, czyliż wystarczyć nie powinna, aby wszystkich przekonać i wszelkim przeciwnym uprzedzeniom stanowczo tamę położyć?

Wykazawszy tak jasno stanowisko Rzymu co do obrządku wschodniego, O. Gagaryn aby żadnéj nie zostawić wątpliwości w tak ważnéj kwestyi, odpiera zarzuty czynione misyonarzom łacińskim, iż jakiekolwiek bydź mogły oświadczenia i intencye Papieżów, oni w sprzeczności się z temi okazywali zasadami; że kościół rzymski rościł sobie zawsze pretensye aby ludom wyznania greckiego, które do jedności wracały, obrządek łaciński narzucić. Przyznaje fakta że w państwie Otomańskiem z wyjątkiem Greków Melchitów wszyscy inni Grecy którzy są katolicy przyjęli obrządek łaciński, że w Polsce obrządek łaciński został przyjęty przez wiele rodzin które dawniéj należały do obrządku greckiego, ale utrzymuje i słusznie że one nic przeciw Rzymowi nie dowodzą. Wszakże, gdy nie na wszystkie rozumowania z historyi czerpane, a zwłaszcza nie na wszystkie wnioski autora któremi te fakta tłómaczy, zgodzićby się można, a polemika nie jest w cale zamiarem obecnéj pracy i odprowadziłaby od przedmiotu, tem więcéj że tu raczéj idzie o działanie Misyonarzy w przeszłości aniżeli o kwestyą pojednania dwóch kościołów w przyszłości którą przedstawia broszura O. Gagaryna, przeto pomijając dyskusyę wypada tylko jeszcze przytoczyć ostatni ustęp rozdziału reasumujący myśl autora:

Nakoniec z jakiejkolwiek strony zapatrywać się będziemy na tę kwestyę, zawsze dojdziemy do téj saméj konkluzyi, to jest że ze wszystkich przesądów które sprzeciwiają się aby Rosya została katolicką, nie ma żadnéj któraby wywierała tak zgubny wpływ na umysły Rosyan, jak to zamięszanie, czyli wzięcie katolicyzmu za jego obrządek. Od dnia w którym Rosyanie przeświadczeni będą że mogą zostać katolikami niezrzekając się przyjmowania komunii pod dwiema postaciami, używania chleba kwaszonego w ofierze Mszy Stéj, pozostania przywłaściwéj liturgii z zachowaniem swego

duchowieństwa mogącego wejść w stan małżenski, odtąd zniknie jedna z największych przeszkód do pojednania kościoła Rosyjskiego ze Stolicą Śtą. Ale dopóki pozostaną w mniemaniu, że Rzym ma zamiar ukryty aby przywieść ich do obrządku łacińskiego — trwać oni będą w swojéj podejrzliwości i nic niezdoła ich nakłonić do zjednoczenia się ze Stolicą Apostolską.

Lecz usuwać przeszkody, to dopiero pierwsza część zadania w wielkiem dziele zjednoczenia obu kościołów. Drugą częścią niemniéj ważną jest wykazanie korzyści jakie stąd wypłynąć muszą dla kościoła rosyjskiego i zniewolenie go niejako tym sposobem do zgody. To też O. Gagaryn w drugim rozdziale „O kościele i Państwie" rozpoczyna rzecz następującém twierdzeniem:

Kościół rosyjski potrzebuje niepodległości: wie o tem, ale mniema że za pomocą własnych usiłowań zdoła oswobodzić się z więzów które go krępują; w tem właśnie się myli. Niema dla niego niepodległości, tylko w pojednaniu się ze Stolicą Świętą.

Aby tę prawdę przedstawić w całem świetle, autor po zastanowieniu się na czem polega istota religii objawionéj Chrześciańskiéj, i pod jakiemi warunkami wpływ swój skutecznie rozwijać może we właściwym sobie zakresie, dowodzi, że między niepodległością kościoła rosyjskiego a jego zjednoczeniem się z Rzymem najściślejszy związek zachodzi. Żałować należy iż zakres niniejszego rozbioru nie dozwala powtórzyć w całéj swojéj obszerności światłéj argumentacyi którą poparte powyższe założenie, i ogranicza do zebrania tylko treści trzymając się o ile można wątku a nawet wyrażeń, jakotéż do podania niektórych szczegółów tyczących się dziejów kościoła rosyjskiego.

Kościół — mówi autor — założony przez Chrystusa jest jeden i powszechny. To dwojakie znamie objawią się w nim od samego początku, to jest od dnia Zesłania Ducha Śgo w którym uczniowie Chrystusa napełnieni zostali wszyscy Duchem Śtym i poczęli rozmaitemi językami przemawiać. Apostołowie zebrani w wieczerniku two-

rzą tylko jedno ciało, i Duch Śty który widomie na nich zstąpił i wszystkich napełnił, jest jednym i tym samym Duchem, który ich wszystkich tem samem światłem oświeca, tym samym płomieniem ogrzewa, i przemawiając przez nich, kładzie w ich usta jednakową naukę. Takim sposobem od samego pierwszego dnia objawia się wspaniała jedność kościoła. Ale równocześnie okazaną nam jest jego powszechność czyli katolicyzm. Apostołowie nauczają w rozmaitych językach téj saméj prawdy i reprezentanci rozmaitych narodów świata, których Opatrzność zebrała w Jerozolimie aby byli obecnemi cudownemu temu opowiadaniu, wprawieni są w najwyższe zadziwienie słysząc ogłoszone Ewanielie, każden we własnym swoim języku lub narzeczu. (Act. II. 8.)

Zwolna Apostołowie rozchodzą się po całym świecie i te same nauki rozpoczęte w Jerozolimie ogłaszają aż do krańców świata i kościół poczynający wprowadzają w posiadłość téj *powszechności* która od dnia Zesłania Ducha Śgo przekazaną mu została. Rozszerzając się w ten sposób, kościół pozostaje zawsze jednym, bo nieprzestaje tworzyć jednego ciała którego Duch Święty jest duszą.

Prawda będąc jedną i powszechną, nie dziw zatem że jedność i powszechność stanowi główne znamiona społeczności przeznaczonéj aby dała poznać prawdę i zapewniła jéj panowanie nad rodzajem ludzkim. Lecz rodzaj ludzki jest głęboko rozdzielony mową, narodowością i innemi licznemi okolicznościami, a kościół w tem napotyka na potężne zawady. Atoli kościół nieprzyszedł niszczyć rozmaitości narodów i ich języków, lecz ustalić jedność wznioślejszą i doskonalszą, w któréj pomieścić się mogą wszystkie narodowości i wszystkie narzecza. Rozmaitość narodów trwa nietknięta w jedności kościoła byle tylko ta rozmaitość nienaruszała wielkiego prawa jedności.

Stoją tu w obec siebie dwie zasady, które acz nie są takie aby ich pogodzić nie można, mogą jednakże wejść z sobą w zapasy. Stać się nawet może, że duch narodowości przestąpiwszy wskazane mu granice, weźmie przewagę nad powszechnością, nad katolicyzmem, i w ostatnim wypadku rozerwie jedność kościoła.

Tu zatrzymać się wypada i przypatrzyć kościołowi z innéj strony. Niedość aby kościół był powszechnym, potrzeba jeszcze aby był niepodległym. Założyciel jego Chrystus, Pan nieba i ziemi, polecił mu wskazywać ludziom drogę zbawienia; ustanowił go nieomylnym tłumaczem Słowa i Zakonu swego; powierzył mu udzielanie Sakramentów świętych. Musi więc kościół wykonywać przekazane posłannictwo, musi orzekać z powagą niezaprzeczoną między prawdą a fałszem, między tém co prawe a nieprawe; kościół udziela Sa-

kramentów lub ich odmawia; stanowi prawa obowiązujące sumienie swoich dzieci, i strzeże aby te ustawy wykonywanemi były, a w razie potrzeby karci tych którzy je przekraczają. Jezus ustanawiając kościół, niepotrzebował szukać upoważnienia do tego u żadnéj władzy ziemskiéj, kościół od niego otrzymał wszelką swoją władzę, musi ją zatém wypełniać w całéj swojéj niepodległości.

Wszakże jak jedność kościoła nie przynosi żadnego nadwerężenia rozmaitościom narodowym, tak równie niepodległość jego nie przynosi żadnego uszczerbku prawom politycznym Państw i Rządów. Ale i tutaj stoją naprzeciw siebie dwie zasady i spór jest możebny, kiedy władza polityczna przestępując swoje granice, zagraża niepodległości kościoła. I tak, z jednéj strony kościół zagrożonym jest w swéj jedności przez zbytnią wybujałość ducha narodowego, z drugiéj w swojéj niepodległości przez nieprawne roszczenia i niewłaściwe wdzieranie się władzy świeckiéj. Oczywiście, że niepodległość kościoła i jego jedność nie są jedną i tą samą rzeczą; ale niemniéj jest prawdą, że w praktyce jedność i niepodległość wzajemnie się zabezpieczają. Kościół szczególny, jeżeli rozwalnia związki łączące go z kościołem powszechnym, tém samém naraża swą niepodległość, a kościół który utracił swoją niepodległość, niedługo potém ujrzy związki jedności zwątlone i nakoniec zerwane.

Wychodząc z tych ogólnych uwag i na nich się opierając, autor w głównych i śmiałych rysach kreśli historyą odszczepieństwa kościoła Wschodniego, który przez tyle wieków pozostawał w jedności ze stolicą rzymską; wykazuje jak w miarę jego zrywania z jednością i w miarę usiłowań aby się wydobyć z pod duchownéj powagi i władzy Rzymu, równocześnie utracał swoją niepodległość i coraz więcéj pogrążając się w stan zupełnie zawisły od woli świeckiéj, stał się nakoniec niemal tylko narzędziem téj woli, i jak w tém połączeniu władzy świeckiéj z duchowną, obiedwie znalazły swoje zwątlenie i upadek. Wpływ pod którym kościół Wschodni doszedł do tak nieszczęsnego przeistoczenia autor nazywa *Byzantysmem*, i wyraz ten w następujący sposób charakteryzuje:

Przeprowadzić w kościele wyłączny duch narodowości, aby go przeciwstawić duchowi katolickiemu; dążyć do skupienia rządów te-

go kościoła w ręce prałata lub zgromadzenia prałatów zupełnie powolnych wpływowi rządu politycznego; i równocześnie starać się coraz więcéj aby związki jakie łączyły ten kościół z kościołem powszechnym się rozwalniały, oto jest ogół dążności jakie się naprzód pojawiły w państwie Byzantyńskiém i które z tego powodu oznaczam wyrazem *Byzantysm*.

Byzantysm, który jak uważa O. Gagaryn nie jest bez pewnéj z febronianizmem analogii, acz nie od razu schizmę sprowadził i o wiele ją poprzedził, jednak utorował do niéj drogę:

Byzantysm — nie jest jeszcze schizmą, ale jest przyczyną która schizmę sprowadza, tak jak trucizna nie jest śmiercią, ale nakoniec śmierć zadaje. Zamiarem Byzantyzmu było wyniesienie do szczytu i tryumf greckiego kościoła, państwa greckiego i narodowości greckiéj; temu celowi poświęcił jedność kościoła i jego niepodległość. I jakież były skutki walki którą w téj mierze wzniecił? Upadek kościoła Greckiego i przez nią państwa i narodowości greckiéj.

Lecz według autora, Bóg niechcąc aby ten starodawny i świetny kościół zaginął, wzbudził naród nowy, któremu przekazał za posłannictwo przywrócić go do całéj swojéj dawnéj świetności. Tym narodem są Słowianie, z których trzy czwarte wyznają obrządek wschodni.

Niepodobna, mówi on, aby nie uderzała mocno sprzeczność jaka się przedstawia między gałęzią słowiańską wschodniego obrządku a gałęzią grecką tegóż obrządku: po jednéj stronie liczba, siła, czerstwość; po drugiéj wycieńczenie i słabość. Atoli po za obrębem wszelkich innych względów sama liczba namacalnie przekonywa o téj różnicy. Według najdokładniejszych wiadomości wszyscy Chrześcianie obrządku wschodniego Słowianie, Grecy, Mołdawianie, Wołochy, Gruzyanie i t. d wynoszą nieco nad 70 milionów; w téj liczbie jest 60 milionów Słowian, a gdy od pozostałych 12 milionów odejmiemy tych co nie są Grekami, okaże się na jak szczupłéj liczbie ogranicza się ludność grecka wyznania wschodniego.

Ponieważ większa część Słowian obrządku wschodniego zostaje pod berłem rosyjskiem, przeto O. Gagaryn

Rosyi przypisuje ową misyę odrodzenia kościoła wschodniego. Chociaż Rosya jak wiadomo przyjęła wiarę Chrystusową z Carogrodu a wraz z nią obrządek wschodni, i duchowieństwo jéj pierwsze było greckie, wszelako dla wielu przyczyn, które autor wymienia, mianowicie z powodu właściwych Rosyi miejscowości, jéj autonomii, oddalenia i niepodległości od Carogrodu, kościół rosyjski w początkach nie uległ wpływowi Byzantyzmu i zachował swoją niepodległość. Do czego wiele się przyczynić miało, że w onych odległych czasach książęta Ruscy przejęci byli najwyższem poszanowaniem dla kościoła, a zatem mało skłonnemi się okazywali do naruszania jego praw i swobód. Taki stan rzeczy z niektóremi mniéj znaczącemi wyjątkami, przetrwał aż do XIV wieku a nawet przeciągnął się aż do XVgo. Wówczas atoli duchowieństwo konstantynopolitańskie pragnąc nabyć większéj siły na któréj mu zbywało, rozpoczęło podżegać duchowieństwo rosyjskie przeciw Łacinnikom i usiłowało nienawiść swoją przeciw Rzymowi w nich zaszczepić. Z początku usiłowania te dość ozięble były przyjęte, lecz w końcu osiągnęły skutek skoro się połączyły z zamiarami samych W. książąt Moskiewskich chcących zniszczyć niepodległość kościoła rosyjskiego:

Historya walki tego kościoła, dodaje autor, odosobnionego od Zachodu, zawsze zdradzanego przez Patryarchów Carogrodzkich, naprzeciw ciągle wzrastającéj ambicyi W. książąt Moskwy nieznalazła dotąd swego opowiadacza. A jednakże historya ta może przekazać w sobie nie jedną piękną stronnicę, bo jeżeli ostatecznie kościół rosyjski uległ, nie stało się to bez walki i chwały.

Iwan III należał do sekty dążącéj do zwalenia Chrześciaństwa aby na jéj miejscu żydowską wiarę osadzić i miał po sobie ówczesnego metropolitę Moskwy zupełnie przychylnego swoim widokom, lecz pomimo tak przeważnych wpływów kościół rosyjski znalazł w sobie dość siły, aby zawyrokować potępienie nieczystych tych doktryn. Kiedy Iwan IV tąk zwany groźny przelewał strumieniami krew swoich poddanych, i deptał prawa i władzę kościoła. Filip metro-

polita Moskwy odezwał się śmiało do niego głosem apostolskim i krwią swoją przypieczętował czynione przedstawienia.

Wszelako co raz więcéj tracił kościół na swoich swobodach i schodził ze swego stanowiska, a kiedy Borys Godunów w r. 1588 zamienił dostojeństwo metropolity Moskwy na patryarchat, wyniesienie to, podług autora, nie miało w jego widokach innego celu, jak tylko aby nadać większą skuteczność powolnemu narzędziu pod władzą jego będącemu. Ruch narodowy 1612 r. zniweczył jego zamiary. Nowa dynastya osiadła na tronie i wybór narodu powołał do steru rządu młodego Michała Romanowa, szczególniéj ze względu na wysokie zasługi ojca jego Filareta, który też potem sam zasiadł jako patryarcha Moskwy. Wówczas władza patryarchy nabyła dość siły, aby niemal równoważyć władzę carską, i zabezpieczyć wolność kościoła. Atoli niema się przezto rozumieć, aby kościół rosyjski odzyskał od razu wszystkie prawa które był utracił; tylko że przez tę zmianę rzeczy nabył właściwych środków ku swojéj obronie i odzyskaniu praw mu należnych. Dzieło to rozpoczął patryarcha Nikon. Walka tego męża wytrwale i mężnie prowadzona przeciw Carowi Aleksemu była długą, i jak się wyraża O. Gagaryn, arcydramatyczną. W niéj jak zwykle patryarchowie Carogrodzcy za złoto sromotnie zdradzili kościół rosyjski, Nikon został zwyciężonym i wraz z nim upadła wolność i niepodległość kościoła rosyjskiego.

Od téj chwili — słowa są autora — walka dalsza stała się niepodobną i od dwóch wieków Rosya znosić musi i patrzeć na nieszczęśliwe rozwinięcie się skutków i tryumfu Byzantyzmu.

Zniesienie patryarchatu, ustanowienie na jego miejsce Synodu, wreszcie liczne rozporządzenia za pomocą których Piotr I obalił i zniszczył porządek kościoła, nadużycia Katarzyny II i wszystko to co rząd Rosyjski przedsiewziął przeciw prawom i niepodległości kościoła rosyjskiego — wszystko to mieściło się w zarodzie wyroku który skazał i potępił Nikona. Ale obok tego długiego pasma nie-

sprawiedlwości, ciągnie się także równolegle pasmo kar. Znikła dynastya która prześladowała Nikona i zniszczyła Patryarchat. Duchowieństwo i szlachta, wspólnicy i podżegacze tych niegodziwości odnieśli w swoim czasie bez wyjątku zasłużoną karę. I niejesteśmy jeszcze u końca. Niesprawiedliwość nie została dotąd ani zapartą ani powetowaną, kara więc nieskończyła się także.

Świadom jestem że w teraźniejszych czasach rozpoczęła się reakcya na korzyść niepodległości kościoła. Jest to nader szczęśliwa oznaka, którą z całego serca witam. Wszakże niedajmy się uwodzić pozornym illuzyom i miejmy odwagę wyrzec całą prawdę. Daleko do tego aby Byzantyzm miał być zwątlony, przeciwnie coraz więcéj się wzmaga. Jeżeli kilku członków duchowieństwa i kilku innych zwolenników niepodległości kościoła, półgębkiem za nią się odzywają, wynurzając życzenia niemogące się uskutecznić, niewypada spuścić z oka innych symptomatów przeciwnych. Owóż kościół i państwo, uczucia religijne i uczucia narodowe, coraz więcéj dążą do połączenia się z sobą i że tak powiem, do zlania się jedne w drugie. Nad tem zastanowić się wypadnie późniéj gdy mowa będzie o postępie żywiołów rewolucyjnych w Rosyi. Ale wprzódy wypada powiedzieć kilka słów o położeniu obecnem Duchowieństwa rosyjskiego i o postaci jakąby mogło przybrać, skoro kwestya pojednania się z Rzymem na seryo poruszoną zostanie.

Tak ukończywszy autor wraz z rozdziałem drugim stronę teoretyczną i historyczną sprawy o niepodległość kościoła rosyjskiego, przechodzi w trzecim rozdziale „o Duchowieństwie rosyjskiém“ do strony praktycznéj, nierównie jeszcze więcéj ciekawéj i zajmującéj.

Komuż — pyta on — nie jest wiadomym stan podległości, w jakim duchowieństwo rosyjskie względem władzy świeckiéj zostaje? Poniżenie to nie od wczoraj istnieje, ale obecnie poczyna być dotkliwszem niż pierwéj. Każden widzi nieszczęsne skutki podobnego położenia, wielu wyszukuje sposobu jakby temu zaradzić, niektórym się zdaje że go wynaleźli.

Ci ostatni marzą o zwołaniu Soboru Narodowego, któryby zasiadł na Kremlinie. Stolica Patryarchy pusta i kirem pokryta mogłaby wymownie przedstawić oczom wszystkich sieroctwo kościoła, a zgromadzony Sobór przystąpiłby do zawyrokowania upadku Synodu i do ogłoszenia usamowolnienia kościoła rosyjskiego. Poczem tenże Sobór wolnym wyborem postawiłby na czele kościoła patryarchę któremuby powierzył jego obronę i rządy.

Atoli jakiż umysł poważny zechce się uwodzić podobnem złudzeniem? Zaiste, snadno jest przydać jakiemu biskupowi tytuł Patryarchy Moskiewskiego; lecz taki patryarcha nie zdobyłby się na większy opór przeciw wymaganiom władzy świeckiéj jak teraźniejszy Synod, albo téż gdyby nad wszelkie spodziewanie inaczéj stać się miało, wówczas władza Cara rosyjskiego zostałaby pochłonięta przez władzę Cara duchownego. To samo rzec można o Soborze, ten byłby również giętkiem i posłusznym na wnioski jeneralnego Prokuratora jak uległym jest obecnie Synod — albowiem w razie przeciwnym zagraża niebezpieczeństwo, że taki Sobór mógłby się przeistoczyć w rodzaj Konwencyi, któraby w państwie rosyjskiem rozkiełznała rewolucyą z całym jéj orszakiem gwałtów i mordów.

Nie, jeden tylko pozostaje sposób ku usamowolnieniu kościoła rosyjskiego a tym jest pojednanie jego z Rzymem. Papież, kościół rosyjski i Cesarz rosyjski, oto trzy władze które winny roztrząsać i ustanowić warunki na jakich pojednanie to ma się uskutecznić. Papież zastrzeże warunki nieodbicie potrzebne dla jedności kościoła, a równoczesnie zagwarantuje prawa i swobody kościoła rosyjskiego oraz należyte i prawne władze Cesarza Wszech Rosyi. Kościół zaś rosyjski zawaruje sobie zachowanie starożytnych swoich obrządków i karności; znajdzie on tym sposobem w najwyższym Kapłanie żarliwego obrońcę przeciw niesłuszym roszczeniom władzy świeckiéj, a w Cesarzu rosyjskiem potężnego rzecznika w sprawie tyczącéj się dawnych jego zwyczajów. Nakoniec, Cesarz rosyjski przyzwalając na słuszny i dokładny rozdział wzajemnych praw między władzą duchowną a świecką, przywróci swojemu duchowieństwu tę miarę powagi i niepodległości, dla braku któréj duchowieństwo to zostaje w niemocy zadośćuczynienia obowiązkom swego powołania; w samym zaś Papieżu znajdzie czujną władzę, zawsze gotową do powściągnienia w biskupach i duchowieństwie wszelkich wybryków mogących się w niebezpieczeństwo przerodzić.

Tak więc Konkordat po należytem roztrząśnieniu i zgodzeniu się na niego przez te trzy władze, zabezpieczyłby prawa każdéj z nich i byłby postawiony w tak wysokiéj sferze, że niemógłby być narażonym na burze, namiętności lub dowolność pojedynczych osób.

W tem miejscu autor zadaje sobie pytanie, jaką postać przybrałoby duchowieństwo rosyjskie w razie gdyby te zamiary połączenia kościoła rosyjskiego miały się stać przedmiotem właściwych układów? Według niego, duchowieństwo rosyjskie lubo nie celuje doskonałością

a nawet wiele do życzenia zostawia, jednak pod względem nauk i moralności nie znajduje się na tak nizkim stopniu jak je okrzyczano. Zbywa mu zapewne na duchu poświęcenia się i téj nadprzyrodzonéj odwadze która serce wszystkich a szczególniéj duchownych głęboką wiarą przejętych ożywiać powinna. Ale — pyta O. Gagaryn — czyliż nie bywają takie okoliczności, w których wyniesienie się do heroizmu jest rzeczą tak dalece trudną, że omal niepodobną się staje? Wszakże, jego zdaniem, i w téj mierze zachodzi obecnie znaczne polepszenie. Dzieli on duchowieństwo rosyjskie na dwie części. Jedna, która w obojętności gnuśnieje niedbając o trudności jakie zachodzić mogą między kościołem a państwem, która się niezajmuje nauką pisma Śgo i kanonów, ale mając raczéj na widoku interes własny, powolną się okazuje wszelkim natchnieniom pochodzącym od osób szafujących nagrodami, godnościami i oznakami zaszczytów. Tę część duchowieństwa, do któréj najwięcéj należą duchowni po parafiach umieszczeni, nazywa niższem duchowieństwem.

Lecz daléj uważa, że nie całe duchowieństwo taką postępuje koleją. Są inni księża, mianowicie między biskupami i zakonnemi, którzy przeciwnemi odznaczają się dążnościami, poszanowaniem dla pism Ojców świętych, głęboką wiarą i żarliwością w rzeczach tyczących się tradycyi kościoła, i którzy nie odbiegli sprawy jego niepodległości. Ci ostatni w nowszych czasach zajęli się gorliwie naukami, jak tego najlepiéj dowodzą liczne pisma i dzieła, które nie przestają z pod ich pióra wychodzić. Tę drugą część duchowieństwa, która przodkuje innym a cnotą i nauką doszła największego wpływu, porównywa autor z wyższem klerem kościoła angielskiego, a nawet zdaje mu się, iżby w niem znaleźć można niektóre podobieństwa zbliżające go do puzeistów

angielskich, z zastrzeżeniem atoli całéj różnicy jaka rozłącza kościół angielski od kościoła rosyjskiego.

Gdyby, powiada daléj, można przekonać tę frakcyę duchowieństwa rosyjskiego, tak arcyczerstwą, najgodniejszą szacunku i najwięcéj oświeconą, że z powodu połączenia się z Rzymem obrządek wschodni nie ma się czego lękać, i że to właśnie połączenie byłoby zarazem najlepszą i jedyną rękojmią przyszłéj niepodległości kościoła rosyjskiego, natenczas wspomniana część duchowieństwa nieokazałaby się nieprzyjazną temu zjednoczeniu, ale owszem poparłaby je wszelkiemi siłami. W przekonaniu O. Gagaryna rzecz ta jest możebną. Środki jakie w tym celu podaje, wszakże sam uważa po części za przedwczesne, przeto nie ma potrzeby takowych przytaczać. Nie można atoli pominąć rozumowania, aczkolwiek nieco długiego którem kończy trzeci rożdział a z nim część religijną całéj kwestyi pojednania kościoła rosyjskiego z Rzymem.

Jakkolwiek było w przeszłości, już dzisiaj zaprzeczzyć nie można, że duchowieństwo rosyjskie znaczne uczyniło postępy w naukach duchownych i tradycyi kościoła. Atoli im większego nabrało światła, tem bardziéj jest zdolne uznać te wszystke korzyści, jakieby dlań wynikły z częstych i ścisłych stosunków z Zachodem, tem lepiéj pojmie, ile zyskać może, napawając się bez przeszkody i nie ufności, w obfitych źródłach jakie mu podaje głęboka nauka kościoła łacińskiego. A dla tego niepotrzebuje pozbywać się téj nauki, którą już z własnéj czerpie krynicy. Uzbrojone w naukę i niepodległość, duchowieństwo rosyjskie wyniosłoby się do wyższego znaczenia i poważania, a tem samem, mogłoby wywierać skuteczniejszy i dobroczynniejszy wpływ w rozległym obrębie jakiby się jego działalności otworzył. Przez połączenie się z Rzymem, nieutraciłoby nic, zachowałoby wszystko — a to coby zyskało, jest niezmierne.

Powie kto może: jakkolwiek znacznemi te korzyści być mogą, wszelako duchowieństwo rosyjskie nabyć ich nie może, jeżeli ma dla nich poświęcić dogmat, lub wchodzić o niego w układy. Prawda, alež daleki jestem abym co podobnego wnosił. Pod jakimbądź pozorem pokoju i miłości usiłowanoby pokryć układ mający na celu połączenie w jedno zgromadzenie duchowne ludzi niejedną i tę samą wiarę wyznających,

zawsze układ podobny byłby dziełem niecnem i potępienia godnem. Ludzie niezgodni w rzeczach wiary należeć nie mogą do tego samego kościoła.

Wypada zatem dochodzić, czyli między punktami jakie rozdzielają kościół rosyjski od kościoła rzymskiego, nie mieszczą się takie, które li saméj wiary dotyczą. Owóż każdemu wiadomo że dwa są takie, co przynajmniéj na pierwszy rzut oka, zdają się należeć do téj kategoryi: chcę mówić, o różnicy zachodzącéj we względzie pochodzenia Ducha Świętego i władzy Papieża nad kościołem powszechnym.

Nie wdając się w obszerną rozprawę teologiczną, którąby nas za daleko posunęła, uczynię tylko jedną uwagę, która jest tego rodzaju, że od każdego łacno pojętą będzie. Punkta w sporze będące między kościołem rosyjskim a kościołem rzymskim, nie zajmują równego stanowiska w wierze wyznawców obu tych kościołów. W oczach katolika, Papież z prawa Bożego posiada juryzdykcyę nad całym kościołem; Duch Śty pochodzi od Ojca i Syna; są to dwa artykuły wiary jak najwyraźniéj określone, którym nikt swego przyzwolenia i swéj uległości odmówić nie może, bo inaczéj przestałby należeć do kościoła katolickiego. Inaczéj się rzecz ma dla wyznawców kościoła rosyjskiego: w ich oczach punkta te niestały się przedmiotem żadnéj dogmatycznéj definicyi; skąd inąd uważane być nie mogą jako herezye przez kościół potępione; są to proste opinie, jakie każdemu wolno jest przyjąć lub odrzucić. Bliżéj się tłómaczę:

Oczywiście, że w kościele Wschodnim, odłączonym od wspólności ze Stolicą Apostolską, nie istnieje po za obrębem Soborów powszechnych (ekumenicznych) żadna władza lub powaga stanowić mogąca w rzeczach nauki duchownéj, i którąby była przyjętą za *nieomylną* przez swoich zwolenników. Kościół ten odmawia przywileju nieomylności wszelkim biskupom, jakimkolwiek bądź — Patryarsze konstantynopolitańskiemu równie jak wszystkim innym. Kościół wschodni nie upominał się nawet nigdy o ten przywiléj dla Synodu petersburgskiego, zachowując go wyłącznie Soborowi ekumenicznemu czyli powszechnemu. Atoli, byłże jaki Sobor ekumeniczny któryby potępił artykuły wiary kościoła rzymskiego? Czyliż wyszukiwać go należy pomiędzy siedmiu pierwszemi soborami, które jedynie uznane zostały przez Kościół Wschodni? Wszakże Rzym również je uznaje wszystkie siedm, albowiem odprawiły się one, zanim rozłączenie nastąpiło, a zatem nie może się w nich znajdować nic takiego, coby tyczyć się miało punktów w sporze pozostających. Od schizmy zaś, nie zebrał się ani jeden Sobór, którył

Kościół Wschodni uważał za ekumeniczny i któremuby zatem przyznawał przywiléj nieomylności. I tak począwszy od Focyusza i Michała Cerularego niebyło żadnego Soboru w którymby Wschód i Zachód razem obradowały, chyba żeby chciano przytoczyć Sobór Florencki. Chętnie się na to zgodziemy, ale w takim razie pojednanie jest dokonane, a wszelka dyskusya upada.

Lecz Kościół Wschodni daléj się nawet posuwa, wątpiąc z góry o ekumeniczności a następnie o nieomylności każdego Soboru, jakkolwiek ten mógł być ogólnym, ale zebranym bez udziału w nim patryarchatu Zachodniego; jedném słowem nie waży się twierdzić, aby cały Wschód zebrany w Sobór reprezentował Kościół powszechny. —

Wiem dobrze, iż równie zaprzecza Zachodowi ekumeniczności Soborów, w którychby patryarchaty Wschodnie nie były reprezentowane; lecz właśnie ta okoliczność upoważnia mnie do twierdzenia, iż stósownie do zasad wschodnich wyznawców, wszystkie punkta w sporze będące między obu kościołami, nie stanowią dla nich dogmatu, ani też nie są przez nich uważane jako błędy potępione przez Kościół Są to opinie które wolno przyjąć lub odrzucić a zatem niemoże być wzbronionem aby się w nich rozpatrzeć a nawet je przyjąć.

To położenie dogmatyczne kościoła Wschodniego a w szególności kościoła rosyjskiego zdawać się może szczególném dla niektórych z moich czytelników; wszelako jeżeli zechcą zgłębić ten przedmiot mam nadzieję, że wypadkiem ich badania będzie przeświadczenie zgodne z mojemi wnioskami. Tem większą przywięzuję ważność, aby ta strona kwestyi w całém świetle została postawioną, bo po wyświeceniu jéj raz należycie natychmiast wykaże się możebność pojednania Wschodu z Zachodem. Dla czegóż dwa kościoły są rozdzielone? Oto z powodu niektórych punktów, które w kościele rzymskim dogmatycznie są określone a których nie określono w kościele Wschodnim. Niechże Wschód i Zachód zbiorą się w jeden Sobor ekumeniczny, a wtedy w oczach stron obydwóch takie dostojne Zgromadzenie nabierze powagi nieomylności, będzie więc mogło stanowić o punktach w sporze będących, czy to wykazaniem że sprzeczność jest tylko pozorną czy też nadaniem kwestyom spornym sankcyi stanowczéj swego rozstrzygnienia, sankcyi któréj dotąd brakuje według mniemania wschodnich wyznawców.

Zatem pojednanie jest możebne, a po nastąpionéj zgodzie, kościół wschodni nie przestanie wierzyć w to wszystko, w co zawsze dotąd wierzył, z dodatkiem tylko, że w coś więcéj jeszcze wierzyć

będzie, i to na podstawie własnych swoich zasad, tyczących się władzy i powagi Soborów ekumenicznych czyli powszechnych.

Po odczytaniu powyższego ustępu, trudno zaprawdę, nawet pomimo wszelkich uprzedzeń jakie przy rozbiorze téj sprawy towarzyszyć mogą, odmówić autorowi słusznego uznania, nie oddać sprawiedliwości jego talentowi, umiarkowaniu i zręczności. Sąd jego o kościele rosyjskim jest może więcéj pobłażającym aniżeli na to historya pozwala; — zdania o duchowieństwie nieusuwają zapewne wszystkich wątpliwości o jego usposobieniu; — nader trafny i szczęśliwy zwrot, że „w razie gdyby się odwołać chciano do Soboru Florenckiego połączenie jest dokonane i dyskusya skończona,“ wywołuje może odpowiedź: że dyskusya zapewne upada, ale połączenie nie byłoby jeszcze dokonaném, odpowiedź, opartą właśnie na tém co się działo po owym soborze a nawet podczas jego trwania; — ścisłość loiczna prowadząca niezaprzeczenie do tego wypadku „że wyznawcom kościoła wschodniego wolno punkta sporne uważać jako opinie, i takowe przyjąć lub odrzucić,“ pomija może zbytnie naturę ludzką, która niżeli poddać się prawdzie nawet oczywistej, woli raczéj popaść w sprzeczność, utrzymać się przy swojem i pozostać w błędzie gdy namiętność i interes za nim przemawiają; — pomimo tych uwag i wielu jeszcze innych, jakie nastręczyć się mogą, zawsze przyznać należy, że pytanie to: „czyli Rosya będzie katolicką?“, przedstawione przez autora z religijnéj strony i sprowadzone do nierównie umiarkowańszego wyrażenia: czy pojednanie kościoła rosyjskiego z Rzymem jest możebne? — traci swą jaskrawość paradoksalną jaka na pierwszy rzut oka uderza. W czwartym rozdziale pod tytułem: „Katolicyzm i rewolucya“ stara się O. Gagaryn przekonać, że pytanie to nie jest również czczą utopią na politycznem polu.

Przypuszczając że w poprzednich rozdziałach dowiódł jakoby proponowane pojednanie ze stanowiska religijnego nienapotkało na nieprzebyte trudności, staje otwarcie i śmiało do walki z mniemaniem bardzo upowszechnionem, iż główną i rzeczywistą trudność upatrywać należy w interesie właściwym państwa, któryby nigdy nie dozwolił rządowi przystać na takie pojednanie. Przyznaje z góry że usamowolnienie kościoła rosyjskiego z pod opieki a raczéj kurateli rządu pociągnęłoby za sobą pewne ograniczenie téj nieograniczonéj władzy w rzeczach duchownych, która obecnie stanowi jedną z atrybucyj władzy Cara. Pod tym względem niezaprzecza, że rząd rosyjski doznałby pewnego ubytku, lecz stawia pytanie: czyli rząd w każdym razie nie jest wystawionym na poniesienie tego uszczerbku, i czyli sama strata nie przyniesie za sobą tak wielkiego z innéj strony wynagrodzenia, iż miasto być ubytkiem stanie się zyskiem?

W odpowiedzi utrzymuje O. Gagaryn że istnieje obecnie w Rosyi znaczny ruch opinii — do którego w pewnym stopniu sam Rząd się przyczynił — ruch dążący ku usamowolnieniu kościoła rosyjskiego z pod opieki władzy doczesnéj. W opinii ludzi poważnych najlepiéj świadomych interesów kraju swego, ten rodzaj agitacyi nieomylnie doprowadzić powinien do przywrócenia dawnego patryarchatu i do usamowolnienia kościoła rosyjskiego. Im bardziéj temu ruchowi opieraćby się usiłowano, tém prędzéj kwestya niepodległości kościoła staćby się mogła powodem do zażartych rozpraw mogących w końcu sprowadzić gwałtowny wybuch opinii publicznéj. Raz rozpoczęta walka tego rodzaju, nigdy się nie ukończy na drodze spokojnego rozwiązania; prędzéj czy późniéj zamienić się musi w rewolucyą, a ta rewolucya wydrzećby mogła z rąk cesarza rosyjskiego coś innego jeszcze aniżeli ułamek władzy duchownéj o jaki się

rozchodzi. A więc dodaje autor, ta wielka kwestya usamowolnienia kościoła, która w obecnych czasach agitować poczęła Rosyę, doprowadzić musi do tych dwóch ostateczności: katolicyzm albo rewolucya.

Na poparcie tego zdania, odstępuje on na chwilę od strony czysto religijnéj téj kwestyi, wylicza jakie niebezpieczeństwa w obecnem położeniu grożą zkąd inąd Rosyi. Kreśląc obraz stanu wewnętrznego i zewnętrznego Państwa, wykrywa, jakie żywioły i dążności rewolucyjne tają się pod różnemi pozorami patryotyzmu, panslawizmu i jedności narodowéj, to jest jedności religii, języka i ustaw, — żywioły, które się ciągle dzisiaj przechowują i rozwijają. Ani cała władza autokratyczna cesarza, ani też kościoła rosyskiego, zdaniem O. Gagaryna, nie są w stanie zapobiedz nieszczęsnym skutkom, jakie ztąd dla Rosyi wyniknąć mogą. Usamowolnienie kościoła jedynie, przeprowadzone nie w skutek agitacyi, ale na drodze pojednania go ze stolicą świętą, nadając mu potrzebną niepodległość, udzieliłoby mu zarazem powagi i siły dostatecznéj aby uspokoić i uporządkować umysły, a tem samém odwrócić burzę jaka jéj w teraźniejszym stanie zagraża.

A cóż dopiero byłoby do powiedzenia — pisze on po wyliczeniu zarodów gwałtowne wstrząśnienie w Rosyi zapowiadających — gdybyśmy wzrok nasz zatrzymali na niezliczonych sektach jakie powstały i do dziś dnia rozmnażają się w Rosyi, a których duchowieństwo rosyjskie nie zdołało zwrócić na łono swego kościoła. Niemoc jego tu oczywista i zupełna. Mieści się w tem wielkie i bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Sekty te przedstawiają gotowe kadry, w obrębie których tajne towarzystwa urządzać się mogą. Niechaj tylko się zjawi jaki człowiek jak dawniéj Puhaczew lub dzisiaj Mazzini, a wnet wybuchną okropne zamachy jakie się tam knują w łonie tych sekt. Kościół rosyjski pozostaje w stanie niemocy; władza cesarska najwięcéj jeżeli zdoła opóźnić chwilę wybuchu; zetknięcie sekt religijnych z żywiołem rewolucyjnym codzień staje się bliższem i groźniejszem; niema więc czego czekać, a nadaremnie oglądam się na wszystkie strony, nie widzę tylko jeden środek mo-

gący odwrócić niebezpieczeństwo, a tym jest duchowieństwo narodowe i katolickie zarazem.

Lubo rozdział ten jest ciekawy, jak to z powyższego ustępu przekonać się można, wszelako nie dosięga trzech pierwszych ani siłą rozumowania ani ważnością konkluzyi. I nie dziw: w części pierwszéj, religijnéj, autor opierał się na niezbitych prawdach; w politycznéj i społecznéj zaś na faktach mniéj więcéj pewnych i zaprzeczeniu ulegających. Jakoż, O. Gagaryn widzi Rosyę zagrożoną rewolucyą, ale czyliż w skreśleniu niebezpieczeństw i całego stanu państwa nie będzie pomówiony, o nieco przesady? Tak zawsze bywa, a dowody zbyt trudne. W obec rewolucyi stawia katolicyzm, jako jedyny środek uniknięcia wybuchu. Ludzie stanu rosyjscy, mówi on, mają tylko wybór między rewolucyą a katolicyzmem. Nie spotkaż, jako już się stało, *) zarzutu, na najnowszéj opartego historyi, że panująca religia katolicka nie zatrzymała wybuchów rewolucyjnych ani we Francyi ani w Hiszpanii; zarzutu wprawdzie najniesłuszniejszego, bo O. Gagaryn o duchu katolicyzmu a nie o saméj tylko jego formie mówi, ale zawsze zarzutu który w oczach powierzchownie rzeczy sądzących rozumowania jego wielce osłabi? Przeciwnicy jego nie zwrócąż uwagi na to, że reformy które teraz Rosya zdaniem samego O. Gagaryna, przeprowadzić zamierza, przed któremi cofnąć się już nie może, mają właśnie na celu uprzedzenie owego zapowiedzianego wstrząśnienia; — że reformy te idą z góry a nie z dołu, a przeto że do nich zdania do dążności rewolucyjnych zastósowane, odnosić się nie mogą. Będąż chcieli pamiętać zarzuty te czyniący, że reformy społeczne potrzebują silniejszego jeszcze hamulca, pewniejszego jeszcze kierunku, a zwłaszcza mocniejszéj w narodzie podstawy moralnéj, niżeli

---

*) Dziennik *la Presse* z 25 sierpnia r. b.

zmiany wywołane przez chwilowe wstrząśnienia, i że jednych i drugiéj tylko wiara Chrystusa w kościele powszechnym przechowana skutecznie dostarczyć może.

Z resztą czyliż kwestya religijna choćby najdelikatniejszą i najwprawniejszą ręką na polityczne przeniesiona pole, nie traci na wyniosłości i zakresie, na świetle i barwie, jak roślina wspaniała na niewłaściwym przesadzona gruncie?... Jakież zwykle wyradza się zamięszanie pojęć duchownych i świeckich! Jakże w nim trudno prawdę od pozorów rozróżnić! A do tego wiadomo aż nadto, że spory religijne w widokach politycznych użyte, stają się obosieczną bronią; najszkodliwszem narzędziem. Tak też owa sprawa pojednania kościoła rosyjskiego z Rzymem do celów politycznych wyłącznie skierowana, prawdziwą stać by się mogła klęską, o obrządek grecko-unicki prawdziwem byłby niebezpieczeństwem dla wyznawców katolickich pod berłem rosyjskiem zostających. I tu okazuje się raz więcéj jeszcze, przezorność Stolicy Apostolskiéj, skoro w wysokiéj swéj mądrości zakazała przechodzenia z jednego obrządku do drugiego, tylko w koniecznych wypadkach i za szczególnem pozwoleniem.

Nie dziw więc, powtórzyć się godzi, że w obec ogromnych i rozlicznych trudności, względów, a powiedzieć nawet można niebezpieczeństw, towarzyszących zawsze kwestyom religijnym w ogólności, a kwestyi połączenia kościoła rosyjskiego z kościołem powszechnym w szczególności, skoro te na politycznem rozbierane być mają polu, rożdział czwarty dzieła O. Gagaryna niewyrównywa poprzednim, i że konkluzyę główną do jakiéj autor w traktowanéj przez siebie kwestyi dochodzi, w części religijnéj upatrywać właściwie należy. Co wszakże nie przeszkadza, że dzieło jego ma ważność, znaczenie i służyć może za skazówkę w obecnych stosunkach Rosyi ze Stolicą Apostolską.

Broszura bowiem O. Gagaryna pojawiła się w chwili, kiedy po wszystkich organach prasy europejskiéj wiele było mowy o konkordacie między Rzymem a Rosyą; nie o takim, wprawdzie jaki autor podaje za sposób do pojednania obu kościołów, ale zawsze o konkordacie i o rozpoczętych negocyacyach mających na nowo urządzić ich wzajemne stosunki. Wyrażenie „na nowo“ jest tu na swojem miejscu, wiadomo bowiem że konkordat z Rzymem stanął już za przeszłego monarchy rosyjskiego, ale dotąd ogłoszonym nie został. Spodziewano się zatem dziś czegoś więcej i dotąd trwa ta nadzieja, pomimo tylu bolesnych wspomnień jakie rozpoczęte niegdyś negocyacye między Carem a Papieżem w umysłach zostawiły; spodziewano się pewnego zbliżenia Rosyi do Rzymu i po nowym kierunku polityki tego państwa przez Europę oczekiwanym, i po usposobieniu nowego cesarza które ma być sprawie téj więcej przychylnem. Chwila dyskusyi nadeszła — pisze O. Gagaryn, stawiając oba kościoły w obec siebie w celu konieczności ich zbliżenia; zaprasza wszystkich ludzi dobréj woli, w jakimkolwiek znajdujących się obozie, do rozpraw nad sporem, który te kościoły rozdziela, nie wątpiąc, że kwestya raz postawiona korzystnie na rzecz obu rozwiązać się musi.

Jeżeli przeto sama już chwila ogłoszenia dzieła o którém mowa, zapewniała dostatecznie, że było ono jak to mówią na czasie; to znów podwójny charakter autora, jako kapłana i rosyanina dawał rękojmię, że praca jego nie liczy się do rzędu owych dorywczych pism, co to jak stracone dzieci na świat wypuszczone bywają, bez względu jaki je los spotkać może; ale raczéj że praca ta jest owocem rozważnego i głębokiego zastanowienia się. Nadto, cecha duchowna z jednéj strony, zaręczała że w pracy téj nie może być zdań błędnych co do istotnych zasad religii katolickiéj; bo w końcu przy-

puścić niepodobna, aby książka przez członka Zgromadzenia Jezusowego napisana, o tak trudnym zwłaszcza i drażliwym traktująca przedmiocie, pod cenzurę właściwéj władzy kościelnéj oddaną być nie miała, i aby ujrzeć mogła światło dzienne, dopókiby takowéj nie przeszła; — z drugiéj strony cecha rodowa kazała wnosić, że autor pisząc o położeniu własnego kraiu, o usposobieniu duchowieństwa w tak ważnéj sprawie, czyni to z należytą znajomością rzeczy i ludzi, do nabycia któréj poprzednie jego w Rosyi stanowisko niemało mu posłużyć mogło.

Z tych powodów niniejszy rozbiór; — stąd nieco dłużne sprawozdanie, aby zbyt streszczone opinie autora fałszywemu nie uległy tłómaczeniu, i nie stały się przyczyną jakowego obałamucenia; — ztąd także ograniczenie się na krótkich i koniecznych uwagach: sprawa i charakter autora wskazywały wstrzymanie się od polemiki bo tak przystoi dla świeckiego pióra.

Za taką jednakowoż uchodzić nie może krótkie zestawienie niektórych zdań O. Gagaryna, z opiniami hrabiego Józefa de Maistre, a to tem mniéj iż kilka ustępów w dziele pierwszego, przywodzą pomimowolnie na pamięć ustępy z memoryału *) który ten ostatni podał cesarzowi Aleksandrowi I., jakkolwiek stanowiska obu autorów w wspomnionych pismach są różne. Wprawdzie są oni obaj katolikami, dobro kościoła powszechnego mającymi na oku, występują z umiarkowaniem i niezaprzeczoną dla Rosyi życzliwością; ale O. Gagaryn jako duchowny i rosyanin, od kraju oddalony, ma jedynie na celu zjednoczenie dwóch kościołów, pisze dla Europy a zwłaszcza dla Rosyan, przeto wolniejsze ma ręce

---

*) Memoryał ten który nigdy drukiem ogłoszony nie został, posiadamy w rękopiśmie. Czytelnicy znają piérwszy jego rozdział zmieszczony *w Dodatku do „Czasu“* T. I, zeszyt styczniowy stron. 91.

w wyborze stanowiska i w ocenianiu ludzi i rzeczy; de Maistre zaś, cudzoziemiec, poseł obcego państwa przy dworze rosyjskim, gdy przychylnością monarszą ośmielony rady cesarzowi Wszech Rosyi podaje, w memoryale wprawdzie całkiem poufnym ale zawsze najwyższą władzę wprost obchodzącym, ma niejako wskazane z góry stanowisko z którego mu w wykładzie myśli zejść nie wolno, i granice których przekraczać sama przyzwoitość i godność jaką piastuje nie pozwala. Wszelako pomimo tego prawdziwy ten mąż stanu, z geniuszem sobie właściwym zdołał pogodzić niesłychane wymagania wyjątkowego swego położenia z nieskazitelnem sumieniem i gorącą wiarą, i nieustępując nic z przekonania, uczynić z całą otwartością i śmiałością zbawienne przedstawienia monarsze, którego zbyt wysoko poważał i kochał aby mu miał schlebiać.

W trzecim rozdziale rzeczonego memoryału, gdzie traktuje o religii w Rosyi pod względem politycznym, wychodzi on z zasady: że trzeba religii dla ludu ale że ludem są wszyscy.

Nasuwa się tu uwaga, że to co właściwie ludem zowiemy, czyli właściwy lud rosyjski, nie jest nigdy uwzględniany przez autorów traktujących o rzeczach kościoła w Rosyi. O. Gagaryn mówi tylko o trzech władzach: Papieża, Cesarza i Duchowieństwa które z sobą ugodzić się mają. De Maistre któremu także wielkiéj znajomości świata rosyjskiego odmówić nie można, pisze tylko o cesarzu, duchowieństwie, szlachcie. W rosyjskich pisarzach, gdy idzie sprawa o kościół, nigdy prawie właściwy lud nie wchodzi w rachubę trudności do przezwyciężenia lub siły, która się oprze. Jest to zdaje się oczywistym dowodem, że kwestya zmian w kościele rosyjskim nie jest jak się zdaje kwestyą dogmatu, kwestyą religijną w ścisłem znaczeniu tego wyrazu,

ale jest kwestyą polityczną a raczéj rządową i interesem duchowieństwa.

Rzecz się ma inaczéj gdy idzie o religię, któréj potrzebują wszyscy a zatem i lud rosyjski. Lecz aby religia odpowiedziała skutecznie téj powszechnéj potrzebie, to jest aby była rzeczywiście uzupełnieniem władzy świeckiéj, bez którego ta ostatnia obejść się nie może, musi być silną i wywierać wpływ sobie właściwy. Siła zaś wpływu religijnego jest zawsze w prostym stosunku z poważaniem jakiego używa duchowieństwo.

Stósownie do tych zasad radzi hr. de Maistre, aby duchowieństwu to jest kościołowi jak największą dać niepodległość, bo duchowieństwo podległe poważanem być nie może. Co do potrzeby niepodległości kościoła, zgadza się przeto zupełnie z O. Gagarynem, ale duchowieństwo rosyjskie nie przedstawia mu się z tak korzystnéj dla połączenia się z zachodem strony. Wprawdzie trzeba wziąść na uwagę, że memoryał ten pisany w r. 1811, a przez lat przeszło czterdzieści znaczne zajść mogły zmiany w usposobieniu duchownych. De Maistre zarzuca przedewszystkiem duchowieństwu rosyjskiemu pociąg do protestantyzmu, a który się przebija głównie w części jego uczeńszéj i bardziéj wykształconéj, a mianowicie i najwyraźniéj w dziełach. Protestanci i duchowieństwo rosyjskie, mówi on, zgadzają się w jednym dogmacie, a tym jest nienawiść do papieża. Kładzie on tem samem nierównie większą uwagę na ten punkt sporny aniżeli O. Gagaryn; i zdaje mu się że wchodzi tu w grę namiętność bardzo silna, skoro zdoła zbliżać duchowieństwo rosyjskie do protestantyzmu z którym kościół rosyjski rozchodzi się w zasadzie i nic nie ma wspólnego, a oddalać od katolicyzmu z którym zasada, historya i wszystkie prawie dogmata go łączą.

W protestantyzmie też widzi de Maistre główne dla kościoła rosyjskiego i państwa niebezpieczeństwo. O.

Gagaryn upatrywał takowe w Byzantyzmie. W końcu a raczéj w gruncie wychodzi to może na jedno, bo Byzantyzm jak zauważał O. Gagaryn zbliża się do febronianizmu, a ten ostatni znów, jak każdemu wiadomo, w bliskiem bardzo z protestantyzmem zostaje pokrewieństwie. Protestantyzm niebezpiecznym jest dla kościoła rosyjskiego zdaniem de Maistra, bo niszczy wiarę mocno już brakiem jedności nadwerężoną, powiększa rozdział z kościołem powszechnym, dodaje siły sektom osłabiając duchowieństwo za pomocą indiferentyzmu. Niebezpiecznym jest dla państwa, bo zaprzecza wszelkiéj powadze, oddając wszystko pod dyskusyę, a wszelka dyskusya ogólna i popularna nad dogmatami religijnemi pociąga za sobą w następstwie podobnąż dyskusyę nad zasadami politycznemi. Co do samych sekt, jest on zupełnie tego samego zdania co O. Gagaryn; w ustępie broszury powyżéj przytoczonym, gdzie wzmianka o Puhaczewie, znajdują się prawie wyrażenia de Maistra.

Zawsze jednak wydaje mu się, iż główne niebezpieczeństwo zagraża od protestantyzmu, i przeciw jego wpływowi radzi Rosyi jak najwięcéj się chronić, zwłaszcza w sprawie wychowania. I tak naprzykład, skoro rząd w jakowéj szkole nie może oddać posady profesorskiéj wyznawcy rosyjskiego kościoła dla jakiejkolwiek przyczyny, posadę tę katolikowi a nie protestantowi powierzyć winien. Jeżeli bowiem ma w jakiéj religii sprzymierzeńca, to w katolickiéj a nie w protestanckiéj, już dla tego samego, że tylko dwa te kościoły uznają rzeczywiście zasadę powagi i władzy.

Wypada się tu zatrzymać, lubo memoryał wieleby jeszcze materyału dostarczył. Z tego atoli co powiedziane, widoczna różnica w stanowisku z jakiego zapatrują się hr. de Maistre i O. Gagaryn na stosunki obu kościołów w Rosyi, i na sposoby jakiemi je zbliżyć do siebie usiłują. O. Gagaryn życzy sobie radykalnego

środka, i przemawia za pojednaniem. De Maistre nie mówi o pojednaniu, ale stara się, aby kościół rosyjski uważał kościół powszechny za sprzymierzeńca a nie za nieprzyjaciela. Przemawiając do Monarchy zmuszony jest uznać *statu quo*, czyli w religii rosyjskiéj religię panującą. Radzi więc, skoro tak jest, aby rzeczywiście była panującą, to jest aby kościół używał jak największéj niepodległości, i jak najsilniejszy wpływ na swych wyznawców wywierał. Ale przyznając te przywileje religii państwa, chce także aby inne religie w państwie używały przywilei i swobód właściwych. Nie chce on dla kościoła katolickiego w Rosyi tolerancyi, bo katolicyzm jest faktem w Rosyi przez rząd uznanym. Katolicyzm ma prawo historyczne do należnych sobie swobód, a nie zdobyte; nie jest przybyszem ale rząd rosyjski zastał go na gruncie, podobnie jak znalazł mahometanizm w niektórych prowincyach. Tolerancyą mogłyby się cieszyć sekty, naprzykład roskolnicy, gdyby mieli siłę wywalczyć ją na rządzie. Ale katolicyzm ma prawa i swobody nieodłączne od swojéj istoty. Religia państwa może je ograniczać, ale tylko do pewnego stopnia, to jest o tyle, o ile nie narusza jego istoty; może naprzykład wzbronić propagandy między swemi wyznawcami, ale nie może czynić go odpowiedzialnym za każdy fakt przejścia na łono katolicyzmu; jak również nie ma przyczyny wstrzymywać jego działania na inne wyznania. Również nie może w kościele katolickim łamać jedności i stosunków z Rzymem, odmawiać wolności administrowania i rządzenia się według kanonów świętych, nie powinna kłaść zapory w prowadzeniu i wychowywaniu swych synów w przepisach wiary i zasad. Zdaniem de Maistra, rząd rosyjski czynić tego nie powinien dla własnéj nawet korzyści. Zaprawdę, trzeba było takiego geniuszu, takiéj pewności zasad i politycznego rozumu, jakie ów znakomity mąż posiadał, aby na politycznêm i rosyj-

skiém ciągle zostając polu, do takich dla obrony kościoła katolickiego dojść w piśmie swojém rezultatów. Prawda że memoryał podany był Monarsze którego wysoki posiadał szacunek i który prócz innych przymiotów, wyrozumiałością i duchem pojednawczym się odznaczał.

Dziwnym zbiegiem okoliczności negocyacye obecne z Rzymem, o których głos publiczny zapewnia, zawiązane zostały za rządów Cesarza Rosyi który nie tylko nosi imie Aleksandra, równie jak monarcha do którego się de Maistre odzywał, ale nadto, który te same zdaniem całéj Europy, wysokie posiada przymioty. Nie wchodząc w rozbiór różnych o negocyacyach z Rzymem krążących pogłosek, czyli one tylko wyprowadzenie z archiwów dawniéj ułożonego konkordatu i wprowadzenie go w życie mają na celu, czyli téż ułożenie całkiem nowego lub nareszcie niektóre tylko częściowe zmiany w położeniu kościoła katolickiego w Rosyi, — wnosić wszelako można, że negocyacye te mieszczą się w sferze postawionych przez de Maistra życzeń, że się toczą na stanowisku przez niego obraném: przyznanie swobód kościołowi katolickiemu należnych, z uznaniem pewnych wymagań i przywilei kościoła rosyjskiego jako panującego.

Chwilowy jeden symptomat popiera jak się zdaje ten wniosek. Skoro nuncyusz papiezki Monsignor Bernetti udawał się w r. 1826 na koronacyą Cesarza Mikołaja w Moskwie, a na uroczystości w cerkwi Wniebowzięcia Matki Boskiéj znajdować się nie mógł, potrzeba mu było usprawiedliwić tę nieobecność, jakowymś nadzwyczajnym wypadkiem; charakter dygnitarza kościoła Rzymskiego nie wystarczał. W porę złamana oś u powozu i wynikłe ztąd opóźnienie posłużyło za wymówkę, i pogodziło konieczność Rzymu z wymaganiem Moskwy. Dzisiaj inaczéj. Monsignor Chigi, wyjechał z Rzymu za późno aby

stanąć w Moskwie na pierwszy dzień w którym odbyć się miała uroczystość kościelna koronacyi Cesarza Aleksandra II,. i wyjechał głośno oświadczając iż na téj ceremonii znajdować się nie może.

Różnica w postępowaniu uderzać musi: otwartość z jednéj strony, odpowiada wyrozumiałości z drugiéj. Otwartość z wyrozumiałością są to najlepsze pośredniczki w każdym sporze gdzie idzie o uznanie praw i swobód jakie komu należą.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w wrześniu.

W książce na któréj uczyłem się był czytać, a zapewne wraz ze mną wielka liczba rówienników moich, znajduje się między innemi rozmowa ojca ze synem o przyjemnościach pór roku. W rozmowie téj chłopiec jest zachwycony tą porą roku, którą właśnie przepędza, tak iż podczas wiosny woła z uniesieniem: bodaj się wiosna nigdy nie skończyła!, w lecie żąda żeby lato wciąż trwało, podobnież w jesieni jesień, w zimie zima mu się tylko podoba. Roztropny ojciec każde z tych życzeń każe natychmiast synowi zapisać, a po upływie roku pokazuje mu wszystkie cztery kartki własną jego zapisane ręką, i wyprowadza ztąd stósowną naukę o porządku tego świata i przyjemności każdéj pory roku.

Mniéj od owego ojca cierpliwy, nieczekałem końca roku, aby się przekonać, jakie téż to były w ciągu tych kilku miesięcy zdania moje, którem pod nazwą *Kroniki* na osobnych zapisywał tu kartkach. Przejrzawszy je wszystkie, smutno mi się zaprawdę zrobiło, bom się przekonał, że ani razu niepostało we mnie życzenie owego chłopca. Ani razu jak się pokazało nie zawołałem: bodajby nigdy styczeń się nie skończył! — oby luty trwał

zawsze! itd. itd. Nie jestem ja wszakże zagniewany na świat i ludzi jak kotzebuowy bohater, ani też pełen dumy bajronowéj, bym chciał mniemać, że się wszystkie boleści społeczne w mojem sercu pomieścić zdołają; przecież i tak wątpię, by mi kiedy przyszła taka chwila, za którą Faust Goethego chciał djabłu zapisać duszę, to jest taka chwila, by warto było rzec do niéj: „Zatrzymaj się! tyś taka piękna!“

Zima, wiosna i lato minęły bez żalu, jesień zaczyna strącać przedwcześnie pożółkłe drzew liście i rano chłodnym dmuchać wiatrem, a radbym też wiedzieć czyby ów chłopiec który mi był tak zachęcającym przykładem, gdyby mu w mieście jesień przepędzić kazano, zawołał: oby jesień nigdy nie ustawała! Co może mieć wrzesień w Krakowie tak pocieszającego? Ni to lato do przechadzki, ni zima do zabawy. Polowanie które się w tym miesiącu otwiera, obce jest zupełnie mieszczaninowi czystéj krwi, który choćby na strzelnicy w ogrodzie strzeleckim jeden *beller* za drugim palił, to i tak nie ubije zająca.

Jakby na zamknięcie letniéj pory przedsiębrano przez ciąg trzeciego tygodnia wędrówkę pobożną do Mogiły. Poza rogatką mogilską stawa przez czas odpustu mogilskiego kilkanaście wozów chłopskich, niby to zagraniczne omnibusy, gotowe do przyjęcia podróżnych. Lubownicy przechadzki odbywają tę wedrówkę pieszo łąkami i polami zdala od kurzawy gościńca i po ścieżkach sobie tylko znanych, stawają mało późniéj od jezdnych przed kościołem. Pod murami dziedzińca klasztornego, na dziedzińcu i w ogrodzie pełno kramów i straganów z owocami, piernikami i zabawkami dziecinnemi, namioty pod któremi rozgrzewające i chłodzące napoje, szereg dziadów i kalek, rozłożone na trawniku familijne i przyjacielskie gromadki, wszystko takie jak na każdym odpuście, takie jak przeszłego roku, jak przed laty, przed wieki; tylko że nawożony grunt ogrodowy i nadsypywany nieraz zapewne podwórzec podniósł się, i zdaje się jakoby kościół w ziemię lgnął i o kilka stopni schodowych się zniżył. W miarę tego zniżania się podwyższono mury koscioła po pożarach jakim ulegał, bo ślady tego widoczne. Koronka biegnąca w okół murów zewnętrznych, zapewne niegdyś pod samym dachem,

dziś niedochodzi go o wiele, a wewnątrz obok zabytku gotyckich słupów, włoskie sklepienie w głównéj nawie. Tu i owdzie rysy spękanych murów świadczą także o pożarze, a gdzie osłabiona ściana groziła zawaleniem, tam wsparto ją skarpą. Jedna taka skarpa od strony ogrodu godna jest widzenia, a świadczy zarazem jak mało ceniono w pewnych epokach zabytki sztuki starożytnéj i pomniki historyczne. Skarpa ta zbudowana jest z kamieni nagrobkowych: ślady jeszcze na nich napisów charakterem 14go wieku, na jednym kamieniu noga rycerza i herb Odrowąż.

Kawałek drogi od klasztoru wznosi się mogiła Wandy, owéj poetycznéj figury zamierzchłych czasów żyjącéj w podaniu ludu i w tym pomniku. Ale lud dzisiejszy zapomniał pewnie o podaniu, bo z całego tłumu gwarnego co zalegał ogród klasztorny, spotkałem na kopcu jednego tylko człowieka. Był to żołnierz współrodak może Wandy, bo jak historya twierdzi, ziemia ta była za czasów téj księżniczki krainą horwacką.

Wróciwszy z Mogiły przerzucam dzienniki i oto natrafiłem na wiadomość, że książę Pückler-Muskau zamierza także za życia wystawić sobie pomnik w kształcie kopca. Nic dziwnego u takiego dziwaka! I cóż, jeżeli po jakich ogromnych wstrząśnieniach politycznych, po nowéj kiedyś wędrówce ludów zaginie ślad téj gazety w któréj wyczytałem wzmiankę o tym samochwalczym zamiarze, to nowi przybysze gotowi będą poczytać kopiec sypany za dzienną płacą, za grobowiec bohatyra, którego imię „Semilasso“...

Wanda!... Semilasso!... *du sublime au ridicule il n'y a qu' un pas.*

W miesiącu wrześniu wracają zwykle z kąpiel wędrowcy, zdrowi na ciele, rześcy na umyśle, z wypróżnioną kieszenią i tłomoczkami pełnemi zagranicznych fraszek. O ploteczkach się nie mówi: te nie obciążają ani pamięci ani sumienia; czepiają się mimowoli podróżnych jak ptaki morskie okrętów, i jak one zwiastują przybycie krzykiem. Gdyby chcieć z tych ploteczek złożyć historyę wycieczek kąpielowych, więcéjby się wykłuło małżeństw niżeli było panien na wydaniu; więcéj wykazałoby się przegranych w Homburgu, Wiesbaden i innych tego rodzaju przyzwoitych *spelunkach*, niż ode-

brano indemnizacyi, a więcéj wygranych niżby bracia Blanc zapłacić byli w stanie. Doszła nawet poufna wiadomość, że się zdarzały sprawy honorowe, z których najkrwawsze kończyły się kozą za długi.

Błędni rycerze wieków średnich goniący po swiecie za miłosnémi przygodami, zamiast po turniejach jeżdżą teraz po kąpielach. Z Karlsbadu do Marienbadu, z Marienbadu do Teplic, inni do Ems, do Ostendy, szukają wszędzie celu godnego swych uczuć, niosąc mu w dani niedotyrane resztki zdrowia i majątku, i w nagrodę téj ofiary żądają nie nikłych oznak przywiązania, nie mdłych zapewnień stałości, ale realniejszych dowodów najczystszéj hipoteki. Twardą zbroję rycerską zamienili oni na miękki strój od pierwszego krawca paryskiego, zamiast obosiecznego miecza obosiecznym językiem odcinają współzawodników, i w tém najpodobniejsi do dawnych rycerzy turniejowych, że jak tamci ze spuszczonemi niekiedy występowali przyłbicami, tak ci znów umieją pokryć się maską, którą dopiero zdejmują po zwycięstwie — po ślubie.

Już to bezpieczniejsze pod wielu względami kąpiele krajowe, gdzie szlacheckim zwyczajem zajeżdża się bryką ładowną, z całą kuchnią i śpiżarnią, z pościelą i służbą. Tam nie znajdzie tak łatwo wiary pierwszy lepszy obieżyświat, bo wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, a najbliżsi tylko sąsiedzi zjeżdżać się tam zwykli i w cichości skromnie płukać zbolałe ciało i pokrzepiać się kubkami u źródła. Nie przybywa tam nikt prócz tych co naprawdę zdrowia szukają, a pojawienie się młodego człowieka najgorzéjby go właśnie zalecało, boć musi to być schorzały. Wszystkie przygody ograniczają się na tem, że ktoś jadąc do kąpiel uwiązł w błocie, że w uzdrawiającem źródle pływały łapcie żydowskie, że trzeba na furażowanie rozsyłać samemu ludzi w dalekie strony, a o talerz jajecznicy trudniéj niż gdzieindziéj o pasztet sztrasburgski. Kąpiele krajowe obfitujące w rozmaite sole, żelazo, jod, brom, siarkę, w szczawiki i gazy, w powietrze czyste, żętycę i góry, w lasy zastępujące parki sztucznie sadzone, w piękne widoki i drobne niedogodności, na wszystkie choroby są skuteczne, wyjąwszy — na chorobę próżności.

Gdyby wszakże właściciele ich i dzierżawcy chcieli nieco dołożyć starań i worka, mogliby z niejednego zakładu stworzyć cacko prawdziwe. Przeszło sto miejsc w źródła rozmaitego składu i mocy obfitujących ma Galicya, a są między niemi takie, że równych im nie znajdzie nigdzie. Niejedne z nich dziś zaniedbane, słynęły niegdyś szeroko po świecie dla swoich uzdrawiających przymiotów. Nie trzeba wszelako czekać, aż się jaki lekarz przypadkiem dowie, że źródło do którego o sto i więcéj mil jeździć wypada, wytrysnęło tuż w bliskości, jak źródło ś. Gangolfa. Kiedy sypiano w świetlicy na rozesłanéj na słomie skórze niedźwiedziéj lub łosiéj i przykrywano się delią lub opończą, kiedy wożono ze sobą bigos i krupy, a na resztę ubito co mimochodem zwierzyny; kąpiele takie wystarczały. Dzisiejszy gość kąpielny wymaga hotelu, *table d'hôte*, muzyki przy stole, galeryi do przechadzki w niepogodę, sal konwersacyjnych, najmniéj kopy gazet i wielu innych drobiazgów, które prawdziwemi stały się potrzebami. Gości bez nich nie ściągnie. Gdyby do tego jeszcze kilka znakomitszych rodzin zmówiło się, że przez lat parę krajowe tylko kąpiele zwiedzać będzie, toby się i życie obudziło i niejeden grosz zostałby w kraju na zbogacenie okolicy bliskiéj, i teatr nawet nie potrzebowałby się z Krakowa wynosić na lato daléj jak do Szczawnicy, Krynicy lub Iwonicza.

Wszystko to jednak zawisło od niewiast, bo to co domowego życia tyczy, a więc i pobyt w kąpielach, do ich wyłącznego niemal należy wydziału; one są paniami domu, one władają tém berłem którego mądre rządy szczęście, a lekkomyślne lub co gorsza swawolne, nieład, niepokój i zgorszenie w pożycie małżeńskie przynoszą.

Użyłem tu wyrazu „niewiasta", bo chciałbym przywrócić mu całe prawo obywatelstwa jakiego dawniéj w polskiej używał mowie. Dziś on zaledwie w poważnym tylko, niemal uroczystym przystoi stylu, ustąpiwszy miejsca w potoczném znaczeniu swojém wyrazowi cudzoziemskiemu „damy", który bez względu na obcość swoją i dwuznaczność w polskim języku, nie jest szlachetniejszém mianem płci niewieściéj niżeli wyraz „niewiasta". Czyż życie potoczne takiéj już nabrało pło-

chości, że się poważnego nazwania „niewiasta“ użyć w niém nie godzi? Francuzka *dame*, może być zarówno *la grande dame* jak i *la dame aux camélias* albo *dame aux halles*. Proszę użyć wyrazu niewiasta, czy on nie ma wyższéj moralnéj cechy? Wyraz „kobieta“ jest tylko płciowém mianem i nic prócz fizyczności nie oznacza.

Wpływ niewiast na życie społeczne jest niezmiernie wielki. Ogólnik ten powtarzany zbyt często zbył się swojego głębokiego znaczenia, bo go nikt dotąd nie miał odwagi a może i zdolności rozłożyć na szczegóły. Dotykał go szczęśliwie nieraz autor *Lafiryndyzmu*, ale go z jednéj tylko brał strony; Trentowski spotykał się z nim często w *Chowannie*, ale go za wyłączny przedmiot swoich studyów nie obierał; zresztą ten i ów natrącał go niekiedy, lecz systematycznie nikt go dotąd ze stanowiska społecznego nie objął, tak np. jak go Ventura religijnie określił. Dla tego też wychowanie niewiast jest tak niedokładne i pozbawione jedności, bo przez brak wyjaśnień nad przeznaczeniem niewiasty w społeczeństwie, rzucano się w największe przeciwieństwa, albo też wychowanie ich zostawiano na wolę przypadku i przemiennéj chwilowéj potrzeby. Kształcono szwaczki, kucharki, nauczycielki języków i muzyki, śpiewaczki, tancerki, *bas bleus*, filozofki, artystki, emancypowane kobiety; przytłumiano wszelkie uczucia lub rozdymano je w chorobliwy sentymentalizm; próbowano nawet w zwątpieniu ostateczném, nadać im mechanicznemi i fizycznemi sposobami męskość, aby je uratować od nieoznaczoności życia i dać podstawę samoistną; lecz z wszystkich tych prób wyradzały się jakieś chorobliwe jestestwa, albo dziwotwory bezpłciowe. Nieumiano wszakże ułożyć zasad wychowania niewieściego, któreby odpowiadało przyszłemu powołaniu kobiety nietylko jako żony i matki, ale oraz jako połowy rodzaju ludzkiego. Téj różnicy jaka zachodzi między męskiem a żeńskiem wychowaniem, nie odznaczono w ten sposób, aby te obie połowy idąc obok siebie każda na właściwéj sobie drodze, mogły się jednakowoż w każdym punkcie życia spotykać z sobą. Jeżeli bowiem pod względem umysłowym panuje u mężczyzny zdolność pojmowania oderwanych nawet pojęć, to znów u niewiasty jest zdolność wyobrażania form choćby także oderwa-

nych; u mężczyzny treść, u kobiety forma. Bacząc na to, wszystkiego tego kobieta uczyć się może i powinna, czego się uczy mężczyzna, ale uczyć się inaczéj, nie w treści duchowéj lecz w formie zewnętrznéj; a wtedy jedno drugie uzupełniać będzie i oboje składać będą jedność celu.

Jakiż to związek może mieć ta gadanina — zapytać kto gotów — z sprawozdaniem kronikarza wrześniowego w Krakowie?

Oto ten, iż w tym miesiącu otwarto zakład pedagogiczny żeński przy szkole klasztornéj Ś. Jana. Mają tam kształcić nauczycielki czyli tak zwane guwernantki. Pierwsze początki tego zakładu w roku zeszłym ograniczały się na wykładzie pedagogiki i metodyki; w dalszem onego rozwinięciu mają być objęte wszystkie gałęzie nauk podstawę wychowania niewieściego stanowiące. Jakie to jednak są nauki, jaka ich rozległość? pod tym względem większa część zakładów żeńskich tego rodzaju niema jeszcze wyrobionego dokładnie pojęcia. Nie łatwo też znaleść właściwy środek między pedantyzmem a ogładzonem pozornem wykształceniem; między zamknięciem umiejętności w prawidła nieruchome, a powierzchownem traktowaniem przedmiotu bez gimnastyki umysłowéj, która uczy pokonywać trudności i myśleć samorodnie.

Któż napisze kiedy program wzorowéj szkoły żeńskiéj?

Lwów w wrześniu.

W krótkich słowach odzywam się znowu do was, wróciwszy ze wsi do miasta stołecznego. Mimo pory jesiennéj, w któréj każdy zbiera co zasiał, dla korespondenta niema téj jesieni zbiorów ani w stolicy ani na prowincyi. Powszechna to, jak uważam, klęska korespondentów w tym roku; niema co zbierać. Prawda żeśmy niezasiewali; ależ to nie nasza rzecz. My korespondenci jesteśmy z rodu pasożytami, co się żywią cudzemi sokami — tem co czas zasiał — „fruges consumere nati.“ Kiedy więc czas dla nas niełaskaw, niechże czas przyjmie za odpowiedzialność korespondencyę lakoniczną.

W Warszawie umieją sobie lepiéj radzić; kiedy niema o czem pisać, toć dobry do korespondencyi jakiś miejscowy policyjny wypadek z oszustami, o którym wam donoszą, lubo ten dosyć jest charakterystyczny. My i takich wypadków nie mamy, a jeźli są — on lave son linge sale en famille — więc nikt nic nie wie. Przepraszam najmocniéj za cytat francuzki; nasz język niema na to, cobym chciał powiedzieć, dość sposobnego wyrazu — niemiał sposobności kształcić się na podobnych wypadkach.

Otóż powróciwszy ze wsi- rozglądam się po Lwowie. Pan X. jeszcze w kąpielach, pani J. jeszcze za granicą, państwo Z. jeszcze nie wrócili ze wsi do miasta — i tak mógłbym ułożyć długą litanię podobnych odpowiedzi. Miasto żyje trybem życia powszedniego. Gdyby nie sklep jakiś nowy, tu lub tam otworzony i zupełne zniknięcie owoców tegorocznych na targach i u przekupniów, niebyłoby o czem przemówić, i musielibyśmy podziwiać wypadki neszatelskie. Jedno jeszcze tu i owdzie dosłyszysz: jak stoją promessy? i co przyniesie kolej żelazna krajowi, dobre czy złe? — Ot patrzcie, że i tu się jeszcze zdania rozchodzą ku dwom przeciwnym biegunom. Słuchając tych zdań twierdzić można śmiało, że odbywamy znowu jakiś wielki nowicyat jak niedawnemi laty. Jeden woła: „ostatnie drobne dochody, karczmy, młyny, targi zabije kolej żelazna.“ Drugi na to: „a więc otworzą się nowe interesa, nowe sposoby zbywania ziemiopłodów i wyrobów; będzie sprzedaż i kupno z pierwszéj ręki, bez pośrednictwa brodatego; będą handlowe spółki, stowarzyszenia i t. d.“ Któż ten spór rozstrzygnie? Oczywiście sama tylko kolej żelazna; a kto na nowicyacie, niech czeka rozstrzygnienia tego, w obec Europy jeżdżącéj kolejami żelaznemi.

Zajrzałem też i w literackie zaułki, i oto niektóre nowości. Nakładem Wilda drukują się i niebawem wyjdą z pod prasy: *Nowe szkice historyczne* przez Karola Szajnochę. Obejmować będą spory tom jeden w ósemce. — W drukarni Zakładu Ossolińskich opuścił prasę tom dwudziesty *Rozpraw towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego*. Tamże odbija się obecnie zeszyt trzeci *Dzieł znakomitych pisarzy krajowych* nakładem Kajetana Jabłońskiego wydawanych. Obejmuje on, równie jak dwa

poprzednie zeszyty, pisma Józefa hr. Dunina Borkowskiego. — Wojciech Maniecki wydaje teraz swoim nakładem drugi tom *Kazań ks. J. Izakowicza*, których tom pierwszy, dawniéj już ogłoszony, zyskał dobre przyjęcie i prawie już rozkupiony. Tenże nakładca drukuje *Książkę do nabożeństwa* niegdyś przez ś. Alfonsa Marya Liguori ułożoną, z niektóremi dodatkami. — Księgarz warszawski Orgelbrand, którego staraniem ważne i obszerne dzieło *Historya powszechna przez Cezara Cantu* napisane w przekładzie polskim zostało ogłoszone, wzywa wszystkich uczonych polskich, aby się przyczynić mogli do *Encyklopedyi powszechnéj*, którą na wzór wielkich encyklopedyj innych narodów w języku ojczystym, i po większéj części z oryginalnych tworów polskiego pióra, .ogłosić zamierza. Życzyćby należało, aby jego przedsiębiorstwo jak najpomyślniejszy uwieńczył skutek. Jeszcze jedno. Od 1go października ujrzymy u nas nowe pismo peryodyczne treści polityczno-literackiéj pod napisem „*Swit.*" Ma to być gazeta codzienna, polityczna, z literackim felietonem, nakładem Winiarza a pod redakcyą główną p. Wisłockiego Dr. medycyny.

Wiedeń w wrześniu.

Jesteśmy od początku tego miesiąca w najpiękniejszéj dla stolicy, i można powiedzieć dla całéj Austryi porze roku. Ranki i wieczory nieco zimne, ale czyste, świeże i pogodne. W dzień słońce nie pali, nie męczy i nie dokucza jak latem, ale ogrzewa, ożywia i pokrzepia. Jesień ma wszędzie właściwy sobie urok: tutaj postać jej jest żywszą, weselszą i swobodniejszą. Po innych stolicach wrzesień należy do lata lub już prawie do zimy: tu zaś jest prawdziwym początkiem jesieni. Mieszkańcy stolicy bawią jeszcze po wsiach oczekując na zbiory winogradów; lecz już widny w mieście ruch około domów, które się czyszczą, bielą i zdobią do przyjęcia swych dawnych gości. Wiedniowi trzeba oddać tę sprawiedliwość, że lubi schludność. Ulice, sklepy, domy, mieszkania prywatne, nawet ubogie, noszą na sobie wybitnie tę pierwszą ucywilizowanego narodu cechę.

Niema wystawy, przepych rzadki, mało powierzchownego blasku, lecz czystość i pewien rodzaj naturalnéj, dobrodusznéj przyzwoitości, są to rzeczy powszechne. Szkoda tylko, że domy w mieście zwłaszcza, są po większéj części w dawnym stylu, gdzie mało, jak się nam teraz zdaje, zważano na wygodę mnożącéj się ludności. Mieszkania są szczupłe i po większéj części w rozkładzie swym źle obrachowane. Schody ciasne, często za nadto strome i częściéj jeszcze źle oświetlone. Wyziewy z kuchen lub z ciemnych, jakby powiedział Trembecki, pokoi, przekradają się tu i owdzie aż do bawialnych salonów. Posadzki drewniane i malowane ściany równoważą się jeszcze z parkietami i obiciami papierowemi. Wieczorem skromne lampy bronią niestety dotąd, po wielu nawet przyzwoitych domach, przystępu gazowi. Z resztą nielitościwy odźwierny tu tak nazwany *mistrz domu*, gasi oszczędne światełka zaraz prawie po zamknięciu bramy, to jest o 10téj wieczorem. Coby na to powiedziano w Paryżu lub Londynie? I tu jest krzyku i protestacyi niemało, ale właściciele domów ani na to zważają, chociaż podatek od oświetlenia płacić sobie dobrze każą. Przebudowanie domów po wielu ulicach i zaprowadzenie ogólne gazu, należą tu do życzeń wielu lubiących pozory i wygody, i byłyby nawet dla przedsiębiorców dobrą spekulacyą. Znam kilku, którzy tą drogą przyszli do ogromnych majątków. Bądź co bądź, Wiedeń w jesieni, gdzie można jeszcze spędzić dzień na ulicy a noc na wsi, jest przyjemnym dla pobytu z powodu umiarkowanego powietrza i znacznego ruchu wracających z rozmaitych wód cudzoziemców. Hotele są przepełnione: lecz nie braknie na mieszkaniach prywatnych. Jadło lubo ani tańsze, ani lepsze jak w innych porach roku, ale bogatsze w dobrą zwierzynę, ryby i owoce. Po sklepach, ciekawych, kupujących bez liku. Teatra niedostępne. Przechadzki po *Praterze* i po *Glacis* ożywione. Jednem słowem, jest ruch, a że w nim żywioł zagraniczny przemaga. więc można dodać, że jest nawet i życie.

Z przyległych wiosek najwięcéj przyciąga do siebie w téj porze roku, Vöslau. Kąpiele mineralne pod otwartem niebem w cieniu rozłożystych, już w części pożółkłych drzew, są dobre i skuteczne. Woda czysta jak

kryniczna, zimą i latem 19° mająca, zawiera wiele pierwiastków wzmacniających. Towarzystwo lepiéj dobrane jak w Baden i liczniejsze. Bale których było kilka w przeciągu lata, odznaczały się pewną etykietą wiejską, którą dyma lepszego nawet towarzystwa, zachowują rzadko po tego rodzaju zebraniach. Mieszkania rozrzucone po górach, przedstawiają na wszystkie strony, nowe i urocze widoki. Właścicielowi kąpieli Hr. Fries życzyć by tylko potrzeba, żeby się wygodami i przyjemnościami towarzyskiego życia więcéj zajmował. Lecz obojętnie mi on na zrobione mu w téj mierze propozycye odpowiedział, że mu i bez tego woda sama do 30,000 złr. daje rocznie czystego dochodu.

Z Baden już się prawie świat cały rozjechał. Wody siarczane wymagają ciepła w powietrzu, żeby szkodliwemi dla zdrowia nie były. W Brühl jeszcze mieszkających i zwiedzających nie mało.

Ostatniem w pobliżu stolicy wiejskiem ustroniem, i najwięcéj ożywionem w téj chwili, jest Hitzing. Powrót rodziny cesarskiéj do Schönbrunn daje ogrodowi pewien urok, który świat wyższy przyjeżdżający tu na przechadzkę, z sobą przynosi. N. Pani rzadko się ukazuje w godzinach wieczornych. W przeszłym roku spotykałem często Cesarstwo w ogrodzie przed południem.

Wracając do miasta, na czem mam jeszcze uwagę waszą zatrzymać? Muzyka, poezya, sztuki piękne, nie są w Wiedniu przedmiotem rozmyślań lub badań, lecz przyjemności. Wejdę kiedyś późniéj w rozbiór psychologiczny Wiedeńczyków pod tym względem; dziś powiem, że nowych zjawisk i następnie nowych wrażeń, jeszczem w tych trzech sferach smaku i intellektualności ludzkiéj, tutaj nienapotkał. W teatrach prawie codzień te same i rzadko nad mierność wyższe płody. O operze można byłoby powiedzieć, że istnieć przestała, gdyby nie afisze, które co dzień z przeciwnem twierdzeniem do łatwowiernéj publiczności przemawiają. W balecie jest kilka ładnych twarzyczek, lecz wyjąwszy dwie tancerki, jeden tylko i to jeszcze bardzo młody talent. Panna Ricci ma przyszłość dla siebie i przy pracy dojdzie do sławy i majątku. Teatra po przedmieściach obfitują przeciwnie w dobre i ładne aktorki. P. Nestroy dyrektor *Carltheater*, przyprowadził pod tym wzglę-

dem swą kompanię do rzadkiego bogactwa. — To też ma co wieczór pełno widzów. Na Wiedeniu w teatrze i po za teatrem mówią bardzo o jednem wielkiem skojarzeniu. Pan młody przynosi tytuł wysoki i dobre pieniądze; panna młoda swój przyjemny talent i swą jak świat twierdzi, wypróbowaną wierność. Stosunek tak ułożony czekał na ulegalizowanie swe w oczach kościoła i ludzi już od lat kilku. Lecz poprzestaję na tem — gdyż może to jeszcze pozostać tak jak dotąd, albo się nawet i rozejść zupełnie.

Drugą nowością, którą się świat wiedeński zajmuje w téj chwili, jest zjazd czyli tak nazwany kongres naturalistów. Europa cała zesłała na ten zjazd swych reprezentantów: jak zaś reprezentowaną jest nauka i co z tego zebrania osiągnie w korzyści, powiedzieć trudno. Nazwisk mniéj więcéj w świecie uczonym znanych, jest w tym spisie niemało. Lecz zdaje mi się, że zabraknie czasu na rozpatrzenie się w tylu zniesionych z rozmaitych stron widokach, przedstawieniach domysłach, lub odkryciach. Sami uczeni przekonani są tak dostatecznie o tem, że się spieszą z zatrudnieniami swemi jak mogą, i spędzają resztę chwil wolnych na obiadach, przechadzkach, wycieczkach i rozmaitych zabawach. Mieli także teatr *paré* w Operze, obiad po 2 złr. na osobę u Sperla. Jeżdżą wszyscy kosztem rządowym do Semmering — potem mieli bal u Sperla. Dzienniki zajmują się dosyć posiedzeniami tych uczonych badaczy natury. N. Pan dał wspaniały dowód gościnności płacąc z kassy prywatnéj koszta ich pobytu w stolicy. Zamykam ten polotny przegląd wspomnieniem galeryi obrazów otwartéj na *Balplatz*. Jest to zbiór rozmaitych współczesnych po większéj części godnych uwagi płodów. Zwracają pomiędzy niemi szczególnie na się wzrok znawców dwa prześliczne portrety, jeden Kardynała Antonelli a drugi ś. p. pani de Fonton. Ten ostatni wyszedł z pod pędzla teraźniejszego dyrektora sztuk pięknych w Wenecyi i uderza nietylko nadzwyczajnem podobieństwem, lecz i niepospolitą szlachetnością stylu, czystością rysunku i świeżością kolorytu. Piękne to dzieło jest własnością P. Barona de Morenheim sekretarza przy tutejszem rossyjskiem poselstwie, i jak wiadomo brata téj

pani, w kwiecie wieku zeszłéj z tego świata, przed kilku miesiącami.

Berlin w wrześniu.

Poczyna się drugi główny rozdział kroniki berlińskiéj, nakreślony wedle zmysłu wzroku, a obejmujący nasamprzód malarstwo, którego zmysł ten głównym jest warunkiem i narzędziem, potem rzeźbiarstwo i budownictwo, wreszcie w ogólnych zarysach wszystko to, co od zmysłu tego mniéj więcéj zawisłe, stało się w ostatnim czasie godniejszém uwagi jak w artystyczném tak w przemysłowém, a obok tego i w towarzyskiem życiu stolicy pruskiéj.

Przedewszystkiem kilka ogólnych uwag o organie samym i o głównéj materyi jego — kolorze. Każde jestestwo organiczne ma pewien zmysł, którym się przed innemi odznacza, który jest główném narzędziem jego instynktu, i który wraz z nim stanowi jego właściwą gatunkową i indiwidualną naturę. U jednych zmysł dotykania, u drugich zmysł węchu lub smaku, u innych zmysł wzroku lub słuchu nad inne jest wykształcony, i bardzo często do zdumiewającéj podniesiony potęgi. Fizyologia jestestw organicznych uderzające przedstawia nam w tym względzie przykłady. U człowieka, w normalnym stanie jego organizmu, zmysły te s zrównoważone; każdy odbywa z osobna wprawdzie ale w harmonii z drugiemi swoje funkcye. Brak jednego z nich, słabość, albo nieregularność w funkcyonowaniu, uważa się za błąd organizmu. Komu niedostaje jednéj klepki, tego nazywamy pustą, przewrotną, niedowarzoną głową, chociaż to nie jest koniecznym braku tego skutkiem. Zdarza się jednak, że i u człowieka przeważa z przyrodzenia jeden zmysł drugie, bo i natura zawisłą jest od przypadkowości, i nie zawsze tworzy normalne organizmy. Harmonia funkcyonowania zmysłów nie cierpi na tém, lubo zmysł najbystrzejszy bywa w niéj wtedy panującym, i fizyczne czynności człowieka zwracają się głównie w jego stronę. Można to np. widzieć u dzieci, które wszystko najprzód do ust biorą, albowiem zmysł

smaku, który jest narzędziem fizycznego życia, najwcześniéj, a raczéj od samego urodzenia jest u nich więcéj niż inne wykształcony. Można to zresztą widzieć i u ludzi dorosłych i niekoniecznie surowych i dzikich, których cały organizm jest jakby machiną do przerabiania potraw.

Lecz człowiek jest przedewszystkiem duchową istotą. Zmysły są u niego tylko narzędziami wiążącemi go z zewnętrzném przyrodzeniem. Z pomocą ich tworzy on sobie siłą ducha świat własny, osobny, udzielny, równie nieskończony i równie rozmaity jak świat natury, a do tego świata swego utworu odnosi się on znów za pośrednictwem tychże samych zmysłów, czuje go, smakuje, wącha, słyszy, widzi. Że w tym drugim stosunku człowieka duchowego do świata, będącego jego dziełem, zmysły jego muszą stać na wyższym stopniu wykształcenia, aniżeli stały w stanie pierwotnym, to każdy łatwo zrozumie. Przebiegły one bowiem już długą i szeroką przestrzeń licznych i bardzo rozmaitych obserwacyj, prób i doświadczeń, zanim stanęły na punkcie, z którego wnikać mogły w tajemną istotę otaczającéj je natury, i usposobić się przezto do pomagania człowiekowi w tworzeniu jego własnego świata.

Zmysły więc kształcą się, a kształcenie się ich zależy na tém, że wnikają coraz głębiéj, każdy w naturę swojego materyału. Towarzyszy im nieodstępnie w téj pracy myśl, która w pierwotném poczęciu jest wprawdzie ich skutkiem, wedle zasady „nihil est in intellectu quod non sit in sensu“; ale w dalszym postępie swoim jest ich przewodniczką i panią, która każe im badać, śledzić, chwytać, czego pierwotnie nie czują, nie wąchają, nie smakują, nie widzą, nie słyszą. Okazałem to już przy zmyśle słuchu, mówiąc o muzyce. Okaże się to późniéj i przy innych zmysłach, tych nawet, które nazywamy praktycznemi czyli realnemi, ponieważ z materyałem funkcyj swoich stykają się bezpośrednio, i bezpośrednio go czują, jakiemi są: dotykanie czyli czucie, powonienie i smak. Ale w większym daleko stopniu rozwija i pokazuje się to wykształcenie w zmysłach zwanych teoretycznemi czyli idealnemi, które materyą funkcyj swoich, jako: szelest, głos, ton, światło, cień, kolor, wprzódy odbijają, reflektują, odtwarzają niejako

w sobie, i dopiero przez twór ten przejmują istotną treść jéj, a więc czują ją rzeczywiście tylko pośrednio. Temi zmysłami są wzrok i słuch, i one też same jedne mają do czynienia z zmysłową stroną sztuk pięknych, kiedy zmysły dotykania, powonienia i smaku nie doznają w nich żadnéj rozkoszy, lubo zmysł dotykania nie jest obojętny dla funkcyj wzroku, mianowicie w sztuce rzeźbiarskiéj.

Lecz i wzrok i słuch lubują się w sztukach pięknych tylko w miarę wykształcenia swego. Mówimy o tym, który rozprawia o rzeczach na których się nie zna, że sądzi jak ślepy o kolorach. Przysłowie to jest bardzo trafne; ale można mieć wzrok bardzo bystry, i mimo to nie umieć sądzić o kolorach, mianowicie pod względem ich estetycznéj piękności, to jest, w zastósowaniu ich do sztuki malarskiéj. Widzieliśmy w listach o muzyce, że zmysł słuchu ma materyą swą w czasie; zmysł wzroku ma ją w przestrzeni. Lecz ani przestrzeń, ani materya, nie może stać się przedmiotem dla oka, jeżeli do nich nie przyłączy się światło; ale nawzajem nie może stać się nim i światło samo, jeżeli nie jest przyćmione, przegrodzone przez materyą, przez powietrze, i nie przedstawi się w objawie kolorowym. Widzi zaś oko wtedy nie tylko sam kolor, ale i różnicę światła i cienia we wszystkich ich odmianach i stopniach, widzi wreszcie sam zarys przedmiotu i całe jego ograniczenie na zewnątrz. Gdy więc mówimy, że treścią wzroku jest czucie koloru, to w krótkiem tém wyrażeniu mieści się cała skala przyrodzonych pojawów, na które pospolity wzrok nie zwraca uwagi, nie mając o nich świadomości, które przecież przez patrzącego na dzieło sztuki malarskiéj nie mogą być pominięte, bo one są materyalnemi jéj warunkami i żywiołami, i stanowią całą tajemnicę jéj techniki. Przestrzeń, światło, cień, postać, oddalenie, ograniczenie, zaokrąglenie przedmiotu, światłocień, kolor, powinowactwo, stopniowanie, cieniowanie, reflektowanie się kolorów, czyli, mówiąc wyrazami technicznemi, rysunek, perspektywa, koloryt, modelowanie, karnacya, harmonia kolorów — wszystko to powinno być wzięte pod najskrupulatniéjszą uwagę, aby dzieło malarskie bez względu na kompozycyą i na jego idealne warunki, mogło się stać dziełem sztuki pięknéj.

Pokazuje się ztąd, że jak w otaczającéj nas naturze nie każdy widzi kto patrzy, i nie każdy słyszy kto słucha, dla tego, że albo tępy ma zmysł, albo że za daleko jest, albo że to co ma widzieć lub słyszeć jest za drobne lub nie dość głośne, tak i w świecie ducha i w najwznioślejszych jego utworach — arcydziełach sztuki, nie każdy co na nie patrzy lub słucha ich, widzi i słyszy to co stanowi najwyższą ich zaletę i czyni je właśnie arcydziełami. Aby zmysły wzroku i słuchu mogły funkcyonować w służbie inteligencyi, powinny się zatem kształcić, powinny się wprzódy nauczyć patrzeć i słuchać. Dlaczego wszystko to mówię, to się wnet pokaże. Droga umiejętności patrzenia bardzo jest długą. Ciągnie się ona przez całe wieki, porówno z biegiem kultury ludzkiéj, i daleko jéj jeszcze od końca. Na ileż to przedmiotów w świecie natury i ducha inaczéj dziś patrzymy, jak przed niedawnym jeszcze czasem? A jakże to długiego czasu potrzeba było, aby poznać i zastósować do malarstwa perspektywę? Zachodzi dotąd wątpliwość, czy Grecy ją znali, mianowicie perspektywę kolorów to jest powietrzną. Jak widać z malowideł herkulańskich i pompejskich, znali i zachowywali ją w postaciach ludzkich, ale w wszystkich innych malowidłach, architektonicznych i krajobrazowych, niedaleko w niéj byli postąpili, lubo perspektywa liniowa czyli matematyczna, jak świadczą dzieła sztuki budowniczéj i rzeźbiarskiéj, była im jak najdokładniéj znana. Perspektywa liniowa, która uczy akuratnego skracania prostych linij, aby każdy punkt w naturze stał w proporcyonalnym stósunku do oka, była dopiero racyonalnie w naukowych dziełach przez Leonarda da Vinci i Albrechta Duerera wykazana i wydoskonalona. Perspektywę kolorów czyli powietrzną, uczącą oceniać miarę światła, którą przedmioty w stosunku do swego oddalenia rzucają ku patrzącemu, i pokazującą zarazem, jak to przedmioty w stosunku powietrza znajdującego się pomiędzy niemi i patrzącym oddzielają się przez odpowiednie tony kolorów stopniowo od siebie, wykształcił dopiero na północy van Eyck a na południu Paolo Uccello. Perspektywa zasadza się na matematyce i optyce, a ta druga nauka zaczęła być bardzo późno kształconą, po części i przez naszego Ciołka, dopiero w drugiéj połowie

13 wieku. Tak długo musiało i malarstwo, już z samych technicznych powodów, zostawać w dzieciństwie, bez względu na idealną jego stronę, która je przenosi i pozwala mu się rozwinąć rzeczywiście dopiero w chrześciańskim świecie.

Chińczycy dotychczas perspektywy nie znają; dla tego malarstwo ich, mimo posuniętej do wysokiego stopnia techniki w wyrabianiu kolorów, w któréj im i Europejczycy nie dorównywają, stoi zawsze na tém samém miejscu, i dzieła ich nie mogą się wcale liczyć do sztuk pięknych. Wzrok ich widzi tylko i chwyta powierzchnią przedmiotów, nie obejmuje dla tego ich rzeczywistéj postaci, i nie wnika zgoła w ich wewnętrzne życie. Zmysł kolorów wysoko jest wprawdzie u nich wykształcony, ale tylko zmysł kolorów pojedynczo branych. Powinowactwa ich we względzie malarskiéj piękności, harmonii w dobieraniu, nie znają. Tak samo się rzecz ma i u innych oryentalnych narodów, dawnych i nowych. Muzyka i malarstwo są to obce dla nich sztuki. Muhamedanom stoi we względzie malarstwa i religia na przeszkodzie. Z drugiéj strony, narodom wschodnim, Indyanom, Persom, Turkom, w wyrobach materyj jedwabnych i kobierców, wysokiego zmysłu kolorów odmówić nie można.

Zmysł ten zresztą w pierwszym stopniu rozwinięcia swego lubi pstrość, to jest, kładzenie wszelkich kolorów obok siebie bez żadnego ładu i jedności. Jest to dopiero przyrodzone, proste lubowanie się w kolorach, bez przywięzywania do nich jakiegokolwiek symbolicznego znaczenia lub myśli. Im więcéj w nich kontrastów i jaskrawości, tém pewniéjsze i mocniejsze upodobanie. Na tym stopniu stoi zmysł dzieci, ludzi prostych i dzikich, surowych i niewykształconych, lecz i cywilizowanych, jeżeli nie mają udoskonalonego zmysłu wzroku. Takim jest zmysł Chińczyków, Indyan, takim był Egipcyan i Meksykan.

W drugim stopniu rozwinięcia swego zmysł kolorów przywięzuje się do jednéj barwy, w któréj przed innemi cały naród ma upodobanie; wyobraźnia przychodzącego do uznania się narodu szuka w barwie takowéj pewnego partykularnego odznaczenia się, pewnego zewnętrznego symbolu jedności swéj, już to pochodzenia,

już potęgi. Francuz przybiera za narodowe kolory biało-błękitno-czerwony, Niemiec czarno-czerwono-złoty, Słowianie, z wyjątkiem Rossyan, biało-czerwony, inne narody inne, w bardzo różnych kombinacyach. Jak narody, tak i pewne klasy i stany, zakony, cechy, stronnictwa, towarzystwa, familie, wreszcie i pojedynczy ludzie przyjmują stale lub przechodnio pewne kolory, w które wkładają symboliczne znaczenie, jakie im instynkt zmysłu wskazał, i rozum uznał za trafne. Ta symbolika kolorów wykształciła się najwięcéj w wiekach średnich, rozbitych na niezliczone partykularności. Znały ją jednak już, chociaż nie w takiém rozszczególnieniu, wieki starożytne.

W trzecim nakoniec stopniu rozwinięcia swego zmysł kolorów przychodzi do pochwycenia całéj harmonii tychże. Pojęcie piękności jest wtedy jego przewodnikiem, a sztuka malarska najwznioślejszym zakresem, w którym harmonia kolorów znajduje najzupełniejsze urzeczywiszczenie.

Od niéj przelewa się na ubiór, na ozdoby architektoniczne, na dekorowanie pokojów, na różne wyroby rękodzielne, i t. d., szukając wszędzie efektu, zgodnego z naturą farb, a zarazem z uczuciem piękności.

Z tego wszystkiego można dopiero poznać, na jakim stopniu wykształcenia znajduje się zmysł kolorów u całych narodów i u pojedynczych ludzi, u artystów i u profanów, u mężczyzn i u kobiet. Jest to zajmujące studium, równie zajmujące jak studium zmysłu słuchu, czyli tonów. Oba, kolor i ton, pozwalają wnikać w najgłębsze tajniki serca i duszy. Dla tego też o jednym i o drugim podobnie się wyrażamy. Mówimy bowiem i w malarstwie o tonach farb, o cieple, zimnie, grze, harmonii kolorów. Wszakże kolor, i wszystko to co z nim stoi w połączeniu, a o czém tylko pobieżnie wspomniałem, jest tylko materyalną stroną malarstwa. O kompozycyi, o stronie jego idealnéj nie było dotąd mowy. Strona ta jest dziś sponiewieraną. Wirtuozostwo w technice kolorów jest wszystkiém, i wielka tłuszcza tych tak zwanych wirtuozów pędzla mniema, że w technice dopina ostatecznego celu sztuki malarskiéj; wybucha więc purpurowym gniewem, gdy się kto z niepoświęco-

nych poważy zaglądać krytycznem okiem do ich pracowni.

Słyszałem, szanowny Redaktorze, że i ty miałeś od naszych wirtuozów pędzla, mówiąc o dziełach ich na ostatniéj wystawie krakowskiéj, nie mało do słuchania, żeś jednego przy drugim nie ogłosił za powstających Rafaelów a przynajmniéj za Vernetów. Jakże ci się też było wdawać nienależącemu do cechu w nie swoje rzeczy? Tobie, który przy świetle słońca i przy świetle lampy mając tylko z papierem i atramentem lub drukiem do czynienia, nie znasz żadnego innego koloru prócz białego i czarnego, które są właśnie negacyą kolorów? Tobie, o którym każdy czytelnik „*Czasu*“ wié; że stósując się do wymagalności, potrzeb, okoliczności, ducha epoki, nie masz i nie chcesz mieć żadnego koloru? Tobie, który wyrosłszy z lat młodzieńczych nie lubisz koloru ciągłéj wesołości i czynnych zapędów—koloru żółtego, bo

znasz te chwilki radośne—znasz te błyskawice,
kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
czekamy wniebowzięcia — aż nasze źrenice
grubszą niżeli dawniéj osłonią się nocą.

Tobie, który znalazłszy szczęście na łonie familii, śmiejesz się z zblazowanego hipokondryka poety, śpiewającego:

kochanki, żony płacz mię nie wzruszy
bo wiem, nim błyśnie poranek,
z błękitnych oczu te łzy osuszy
nowy mąż, nowy kochanek —

i nie dbasz, mając rzeczywistość w domu, o symbol tęsknoty, wierności i stałości — o kolor błękitny? Tobie, który nie uganiasz się za kolorem purpurowym, bo chociaż jesteś szlachcicem i masz prawo do korony, to wiész, że korona ta złożona teraz jest na tronie Boga? Tobie, który od koloru czerwonego uciekasz jak od upiora, bo wszystkobyś wprzód zrobił, niż włożył czapkę jakobińską na głowę? Tobie, który będąc, jak to ci każdy poświadczy, najłagodniejszego i najsłodszego charakteru

człowiekiem, masz odrazę od wszelkiéj gwałtowności, a więc nie lubisz koloru pomarańczowego? Tobie, który nie będąc duchownym i nie mając ambicyi zostania kardynałem, z obojętnością patrzysz na kolor fioletowy, równie jak na brunatny, nie myśląc zostać bernardynem? Wirtuozi pędzlowi mieliby więc zupełną racyą wylewać z najczerwieńszą namiętnością żal i gniew przeciwko krytykowi, który wdał się w nie swoje rzeczy, sądząc jak ślepy o kolorach. Ale pociesz się, i przestań na kolorach białym i czarnym. Nie zrobią cię za to prusakiem, ani wyznawcą Hegla, który pisał estetykę. Prędzéj mnieby ten honor mógł spotkać, który także nie należę do cechu malarskiego, a jednak poważam się pisać o malarstwie. Biały kolor nie jest tylko samą negacyą kolorów, jest i możebnością roztoczenia się wszystkich na tle jego. Każdy malarz poczyna od białego koloru, gruntuje płótno białym kolorem. Biały kolor oznacza czystość myśli, niezajętość serca, trzeźwość umysłu, rozum. Jest symbolem niewinności, niepokalaności. Biała lilia jest kwiatem Najświętszéj Panny; białe szaty ubiorem aniołów i dobrych duchów, nawet u murzynów. Biały kolor nie jest wprawdzie symbolem czynu, ale wskazuje na możność czynu. Był on pierwotnym kolorem Słowian, dopóki byli tylko rodem i szczepem i nie mieli historyi; gdy postąpili do czynu, rozbili się na narody i przyśli do poczucia sił swych i potęgi, wtedy do koloru białego przyłączył się kolor czerwony — symbol czynu i potęgi.

Kolor czarny jest prawdziwém przeciwstawieniem białego. On też jest istotną negacyą kolorów, bo ciemność jest stłumieniem światła. Boleść straty, żałoba, rozpacz, rozdarcie umysłu, mają w nim swój symbol. Lecz i zło, zbrodnia, uczucie winy, nim się oznaczają. Złe duchy i szatan czarne mają szaty. Postęp od koloru białego do czarnego, czyli łączenie ich z sobą, jak na herbach i chorągwiach pruskich, zdaje się być nienaturalném. Lecz ostateczności zetknięte z sobą sprawiają tém większy kontrast. Nie czynią jednak syntezy, bo nie zlewają się wjedność, lecz trwają w sprzeczności, w walce. Kolory te mogą zatem służyć do odznaczenia państwa, ale nie oznaczają jednolitego narodu, którym też Prusy nie są.

Syntezą kolorów białego i czarnego jest kolor szary. Przegląda w nim pozór egzystencyi bez istotnego życia, możność jakiegoś znaczenia i rzeczywistość, która minęła. Wątpliwość, niedecydywność, wachanie się, obawa, niesmak, nuda, wyrażają się przez szary kolor. Przymioty te spowinowacone są z refleksyą, którą wyżéj wskazałem jako charakterystyczną cechę mieszkańców Berlina. Wreszcie szarego koloru są wszystkie mary zagrobowe i duchy pośrednie, pokutujące, pragnące być zbawionemi. Kolory biały i czarny w kościele mogą być uważane za symbol walki dobrego ze złem. Więc i ty szanowny krytyku wystawy krakowskiéj, za takie je uważaj, i nie daj się tém ustraszyć, jeżeli wirtuozi nasi djabła czarniejszym malować będą, niżeli nim jest w istocie. Pociesz się i tém, że tak samo jest i w Atenach nad Sprewą, a jak jest, to ci w następnym powiem liście.

Paryż we wrześniu.

Opera wielka po raz pierwszy przedstawiła całego *Wilhelma Tella*. Ujrzeliśmy nareszcie na tutejszéj scenie we właściwym kształcie *Semiramidę*, *Mojżesza* i *Tella*, ową trójcę harmonii czyli muzyczną *deltę*, którą Opera powinna na swym frontonie nosić jako symbol melodyi, a która tak długo niezrozumiana walała się w kurzawie po teatralnych poddaszach, a jeźli się ukazała, to tylko w maleńkiéj cząsteczce, żeby nie znudzić widzów niecierpliwie oczekujących baletu.

Dopiero dwa z trzech arcydzieł Rossiniego znalazły we Francyi godnych siebie tłumaczy. Balzak w swéj weneckiéj powieści *Masimilla Doni*, skreślił uczoną i szczegółową analizę *Mojżesza*, którąbym tu przytoczył chętnie, gdyby nie przechodziła zakresu tego listu, bo znakomitą jest choć nie koniecznie trafną. Autor *Ludzkiéj Komedyi* stara się odgadnąć i wytłómaczyć każdą intencyę mistrza i komentuje ją z właściwą sobie głębokością. Jestto piękny urywek muzykalnéj krytyki, jakiemu podobny, mógłby chyba napisać Liszt albo Berlioz — brak mu tylko jednéj rzeczy: prawdy.

Balzak, ów geniusz skomplikowany jak labirynt, zawiły jak las dziewiczy, strojny jak świątynia koryncka, najmniéj może z pisarzy francuzkich zdolnym był zrozumieć prostotę, łatwość i jasność które cechują geniusz Rossiniego. Goethe powiedział, że teleskop i mikroskop wykrzywiają wzrok pod pewnym względem. Otóż Balzak właśnie tém grzeszy, iż patrzy na *Mojżesza* przez mikroskop. Obserwacye jego przestają być skutkiem wykończenia prawdziwe. Jest on jak malarz któryby zamiast przedstawić muchę tak jak ją widzimy, wymalował ogromne zwierzę nieznane, bo wylęgłe pod mikroskopową soczewką.

Rossini tworzy arcydzieła nietylko bez rozmysłu i planu, ale nawet bez pracy. Jestto fakt powszechnie znany. Sam jeden Balzak upatruje w jego natchnieniach mozartowską mądrość lub bethowenowskie głębiny, nadto, przypisuje mu własne swoje myśli, z których żadna nie postała w głowie niedbałego Włocha, co jak harfa eolska bezwiednie wydaje czarowne dźwięki.

Semiramida prawdziwszego znalazła tłumacza w Merym. Ten nie badał zamiarów Rossiniego, nie pytał nawet czy były jakie, tylko południowém czuciem i spontaneiczną włoską naturą zrozumiał muzykę swojego *divo Maestro*, jak go zowie. On jeden znalazł odpowiednie przenośnie i prawdziwie babilońskie frazesy do opisu téj opery, a ton jego dostroił do wysokości ośmiopiętrowéj wieży Babel. Rossini, który w prostocie ducha mniemał że dobrą ułożył muzykę i nic więcéj — z podziwem i admiracyą słucha jak mu Méry tłómaczy tajemnice tego kolosalnego poematu, jak mu pokazuje czarne na białem, że ta a ta rulada od niechcenia przepyszna, znaczy szpaler potworów z ludzką twarzą — ta a ta gamma podnośna, są to schody wprowadzające do wiszących ogrodów — ten znów basowy akompaniament odmyka niezgłębione pieczary... oprowadza po miastach podziemnych — owa zaś extaza jenerał-basu wyraża całą grozę krwawéj mitologii asyryjskiéj.

Nie jeden wolałby słuchać *Semiramidy* opowiedzianéj przez Merego, niż wyśpiewanéj przez najpierwszych artystów. Żaden recenzent paryzki nie śmie już dotknąć po nim téj opery, mówiąc że jest ona własnością autora *Wojny Nizamu*. Jakżeż się temu dziwić, kiedy sam Ros-

sini zachwycony klnie się na Bachusa, że kompozytorem *Semiramidy* jest Méry. Jak w każdym żarcie tak i w tym jest połowa prawdy: Méry dopełnił Rossiniego; przełożył *Semiramidę* z boskiéj na ludzką mowę. On ją tłómaczy, komentuje, śpiewa od początku do końca, naśladując na przemiany soprano, contralto, tenor, baryton, oboje i trombony, maleńkim głosikiem bardzo czystym, podobnym do tchnienia jakiegoś ducha melodyi co się wyraża tak jasno, że ci nawet którzy słyszeli *Semiramidę* wykonaną głosem Grisi, Alboni i najpierwszych śpiewaków, twierdzą, że nigdy nie zrozumieli jéj tak dobrze, jak kiedy im ją szeptał Méry, ukryty w obłoku cygarowego dymu.

Jeden *Wilhelm Tell* nietylko nie znalazł w formie muzycznéj godnego siebie komentatora, ale co gorsza nawet, bohaterskie jego dzieje do rzędu bajek policzono we Francyi. Michelet powiedział z katedry, że niema żadnéj pewności czy istniał kiedy jaki Tell i że prawdopodobnie cała jego historya jak również okrucieństwa Gesslera, są zmyśleniem.

Wracam do opery. Chociaż w Paryżu się urodził, *Tell* Rossiniego nie znalazł sympatyi w publiczności francuzkiéj. Po kilku pierwszych przedstawieniach upadł prawie zupełnie. Było to wprawdzie w czasach, kiedy Rossini uchodził tu za muzykalnego waryata, składającego nuty jakby w malignie, przeciw wszelkim prawidłom muzycznym i przepisom dobrego smaku — ale i dzisiaj nawet kiedy Rossini zasiadł na złotym tronie Harmonii, tylko przez modę i obawę uchodzenia za nieuków, Paryżanie słuchają i chwalą ten jego utwór. Po odegraniu sławnego marszu, który zapewne zamiast pobudki grać będzie Anioł zwołujący umarłych na Sąd Ostateczny, a któremu zawsze wtoruje cała sala — rozpoczyna się rozmowa, ziewanie lub drzémka, przerywana tylko kiedy niekiedy baletem.

Mimo tego, radość jest tu powszechna, że z dodaniem kilku aryj i całego jednego aktu do *Tella*, przeszło godzina drzémki przybyła.

Jeżeli przebudzisz jakiego Francuza i zapytasz go czemu śpi na przedstawieniu *boskiego* Tella, niezmięszany bynajmniéj odpowie ci natychmiast, że Francuz, jako człowiek wolny i wykształcony, prócz melodyi po-

trzebuje treści, a libretto jest niegodziwe, bo ułożone przez pana Jouy, a nie Scribego.

Po części ów „wolny“ i „wykształcony“ człowiek ma słuszność. Libretto jest tak czcze, nie obwijając w bawełnę tak głupie, że nawet jałowe na jedno kopyto przycięte kalki Scribego, natchnioną obok dzieła pana Jony przybierają postawę. Francuzki autor libretta Tella, nie dość że napuszystością stylu podał w śmieszność najpatetyczniejsze miejsca, powykrzywiał zupełnie sytuacye stworzone przez Schillera, skarłowacił uczucia które wieszcz niemiecki tak potężnie wyraził, ale nadto, nieumiał zastosować wyrazu poezyi do wyrazu muzyki: wykrzykuje tam właśnie, gdzie muzyk naciska cichy pedał.

Są to bolesne nonsensa, których żeby nie poczuć, potrzeba być namiętnie zakochanym w muzyce Rossiniego i mieć tyle imaginacyi, ażeby pod nią podłożyć treść własnéj kompozycyi. Tak usposobiony, znajdzie w cztero-aktowym Tellu, tym olbrzymie, któremu historya dała granitowe ciało, a muzyka ognistą duszę, niewyczerpane źródło podniosłości, mającéj długo zatrzymać ducha w sferach nadziemskich.

W *Porte-Saint-Martin*, *Syn Nocy* a raczéj *Córka Nocy*, djabeł wcielony w hiszpankę, *Petra Camara*, zwabia ciągle ciekawe tłumy. Rzecz istotnie widzenia godna, mianowicie dla tych co djabłami straszą: obaczywszy Petrę każden z tych mistyków dowie się, iż miał zupełnie mylne o szatanach pojęcie — że djabeł nie taki straszny jak go malują — że od czasów Apokalipsy wyładniał do niepoznania — że nie tylko nie jest już potworem z rogami, z końską nogą, ostrym nosem i długim ogonem, ale summą kokieteryi i wdzięku utajoną w koronkowym obłoku. Filozof także dowie się tam rzeczy, o których mu się nie śniło. Gdyby Goethe był widział Petrę, byłby niezawodnie swego Mefistofela nie w hiszpańskim płaszczu, ale w hiszpańskiéj baskinie na świat wyprawił, a wtedy, można dać gardło, że nie jednego Fausta, ale mędrców filozofów z całéj kuli ziemskiéj byłby pozyskał piekłu.

Zdaje mi się że nie znasz téj czarownicy. Paryżanie mówią, *qu' elle est révoltante de beauté.* Definicya nader trafna. Jestto ów typ maurytańsko-hiszpańskiéj piękno-

ści, znany i uwielbiany przez wszystkich romancerów i poetów południowych, piękność, którą niezrównanie odmalował Musset w *Powieściach hiszpańskich*, a za którą Bajron (trudno mu zaprzeczyć że się na tych rzeczach znał) oddaje całą ludność żeńską połączonych królestw Wielkiéj Brytanii, i Irlandyi, oraz Francyi, Niemiec, Szwecyi i Norwegii. Więc już zapewne wiesz, jak wygląda, a jeżli nie wiesz, odsyłam cię do *Childe-Harolda* pieśni pierwszéj — sam zaś daléj rzecz ciągnę.

Camara zwabiona do Paryża wspomnieniem dawnych tryumfów, z równém powodzeniem występuje teraz w *Wyspie Piratów*. Łatwo wypisać tytuł tego baletu, ale nie podobna w naszym północnym języku znaleźć słów, któreby mogły dać wyobrażenie o tańcu Camary. Zowie się on *Petra la Sevillana*, i jest najzapamiętalszy ze wszystkich jakie kiedy widziano.

Petra zakrywana kolistym płaszczem swego towarzysza, obiega naprzód scenę w poskokach które najstósowniéj porównać można do *kurz-galopu* rasowego konia powstrzymywanego silną dłonią. Po téj promenadzie zrzuca mantylę i ukazuje się w całym blasku swéj szalonéj toalety. Gdybyś mnie zapytał, jakiego koloru jest jéj suknia, nie umiałbym ci odpowiedzieć. Wyobraź sobie iskrę na któréj rysują się czarne hafty, powiewają frendzle, kutasy, pióra, kokardy — błyszczą blaszki, dzwonki, gruchawki, guziki, breloki, drogie kamienie, perły, muszle, słowem wszystkie ozdoby jakie może pomieścić na sobie baskina. Sam Goya, ów malarz hiszpański *par excellence*, nie ubrałby charakterystyczniéj hiszpańskiéj dziewczyny.

W takim ubiorze Petra raz puściwszy się w taniec, szaleje bez końca! Niepojęty szał unosi ją prawie niedościgłą oku. Z przechyloną w tył głową, zamkniętemi oczyma, uśmiechem nerwowym na ustach, zdaje się usypiać zasłaniając się szybkością tańca jak konik polny trzepotaniem gazowych skrzydeł.

Jakiś tajemniczy węzeł wiąże taniec hiszpański z tańcem wschodnim. Petra pośród szalonych pląsów wpada ciągle w uparte kołowanie derwiszów — aż wyrwana z tego wiru szczękiem kastanietów, budzi się jakby ze snu... otwiera oczy, przebiega scenę w szérz około rzędu lamp dzielących ją od parteru, unosząc falbany jak-

by w nie chciała zgarnąć wszystkie żądze i pochwały, po czém z pogardą strzepuje spodniczkę i z głośnym śmiechem ucieka jak spłoszona sarna, a za nią puszcza się w pogoń cały balet — i zaczynają się turnieje. Ona ucieka ciągle migając połyskiem perłowych zębów i skrami czarnych oczu — oni zastępują jéj drogę, klaszczą w kastaniety, i już już schwytać mają ciągle im się wymykającą wietrznicę. Aż w końcu, po takiéj gonitwie z przeszkodami, w którréj padłby nie jeden rumak wyścigowy — dognana, pokonana, bezsilna tancerka, pada na jedno kolano, przechyla się w tył, tak że ramionami dotyka ziemi, i w téj postawie przysypana lawiną róż i fijołków — znika.

Gdyby można oddać słowami taniec, opisałbym ci jeszcze *Elfy*, ów śliczny balet powietrzny, w którym nie skaczą już, ale fruwają, wyprawiając w powietrzu gonitwy którychby pozazdrościły szybko-pióre jaskółki — opisałbym nową Galateę występującą pod postacią Dryady, tańce węgierskie i węgierskie stroje które w tym balecie niepoślednią grają rolę, oraz duchy skandynawskie (sprowadzone zapewne koleją żelazną) hasające wesoło po węgierskich winnicach. Ale jakżeż to wszystko opisać? Mówmy lepiéj o czemś mniéj skrzydlatem.

W *Variétés* inne widowisko uszczęśliwia Paryżanów — widowisko jedyne w swoim rodzaju i godne widzenia, bo lepiéj malujące charakter narodowy niż szkice obyczajowe Suego lub Koka.

Podobnie jak Ateńczycy wróciwszy z wojny wstępowali na estradę i osobiście przedstawiali spół-obywatelom swe bohatérskie czyny, tak dziś Zuawy, bohatyrowie naszych czasów, w swojéj stolicy, pośród okrzyków spółczucia i rzęsistéj illuminacyi, przedstawiają sceny, którym niedawno przygrywał grzmot tysiąca dział, a oświecały pękające granaty.

Wprawdzie żaden z tych walecznych aktorów nie jest Eschylem, co bił się jak lew pod Salaminą, a powróciwszy grał sam główną rolę swojéj tragedyi *Persowie*, gdzie tak potężnie maluje wygraną, do któréj się przyczynił, i rozpacz Xerxesa.

Zuawy dramatycznym talentem nie błyszczą — umieją oni tylko tworzyć materyał do dramatu — ale też aktor-

skich zdolności nikt od nieżąda, sztuka nie gra tu żadnéj roli, nikt na nią nie zważa — powabem przedstawienia jest samo wystąpienie ulubieńców Francyi, improwizacye które ex-aktorom Inkermanu dyktuje humor i dowcip wrodzony, a mianowicie obrazy z kampanii — owa rzeczywistość straszna, która co chwila przychodzi mięszać zabawkę tych bohaterskich dzieci, owa tragiczna strona komedyi którą umiano pochwycić zręcznie i umiejętnie przedstawić. W obec takich obrazów, aktorowie i widze łączą się z sobą duchem; wtedy scena, parter i loże jeden wspólny odgrywają dramat. Każdéj udanéj wycieczce Zuawów na nieprzyjaciela wtóruje krzyk i zamięszanie całéj sali.... zapał do takiego dochodzi stopnia, że widzowie gotowi by strzelać do kozaków gdyby Zuawy pierwéj już sami niedali sobie z nimi rady.

To prawdziwe uczucie wywołane prawdą a zupełnie różne od dzisiejszego usposobienia tutejszych dziennikarzy — objawiające się wrzawą w miejscu gdzie zwykle sentymentalizm rozbudzony sztucznie lub nieczyste żądze, czubkami palców przyklaskują mdłym lub bezwstydnym płodom wodewilistów — ma w sobie coś orzeźwiającego, coś, co niedozwala zwątpić do reszty o ludziach i przyszłości. Jest w téj nazwie *cher camarade* któréj ci nieustraszeni żołnierze używają zawsze, zwracając mowę tak dobrze do elegantki jak do panicza, wyrobnika lub cudzoziemca, jakiś dźwięk miły sercu — dźwięk co brzmi w duszy jak ponowiona obietnica niewiernej, niepoczciwéj, a zawsze drogiéj kochanki z którą nas wiąże cała przeszłość, a któréj słowom takbyśmy radzi uwierzyć!

Les Anglaises pour rire, komedya ułożona w przekopach pod Sebastopolem, rozpoczyna się monologiem zakochanéj suberetki, czyli Zuawa z ogromnemi wąsami i czepcu na głowie, wysznurowanego w aksamitny gorsecik pasterski. Niezadługo przybywa jéj pani, *la jeune première* inkermańskiego teatru, i obiedwie powierzają sobie swoje cierpienia miłosne. Pani tém się różni od sługi, że jest ogolona, wygorsowana bardzo, ubrana w różową krepową suknię z krótkiemi rękawami; postawę ma nader przyzwoitą, spuszcza oczy, i miałaby minę zupełnie wzorową gdyby się nauczyła zręczniéj rozrzu-

cać zapalne spojrzenia, rozmawiać nieco ciszéj i śpiewać mniéj gromkim basem.

Zwierzenia przerywa przybycie kochanka; rozpoczynają się czułe oświadczyny, kiedy nagle słychać trąbkę i wystrzały... Aktorowie krzycząc „do broni!“ wypadają za kulisy.

Tu zmiana dekoracyi.

Widać w głębi fortecę, a na pierwszym planie przekopy, których bronią Zuawy przeciw rosyjskiéj wycieczce. Aktorowie których dopiero widzieliśmy na scenie, stoją w szeregu w swych teatralnych kostiumach, to jest w upudrowanych perukach, krepowych sukniach, aksamitnych gorsetach, czepkach z fontaziami, i palą ogień rotowy że aż miło duszy! — Podobne wypadki rzeczywiście trafiały się nieraz pod Sebastopolem. Wyobrazić sobie można zdumienie żołnierzy rosyjskich, kiedy padali pod strzałami balowo ustrojonych panien.

Odparłszy nieprzyjaciela, aktorowie wracają na scenę w toaletach trochę pomiętych. *La jeune première* opalona prochem, komenderuje: „równaj się! prezentuj broń!“ i zwracając mowę do publiczności woła:

Powiedzcie koledzy czy wam się przedstawienie podobało, bo jesteśmy w obawie — przyklaśnijcie co prędzéj, *à fin que l'on ne dise pas que les Zouaves ont eu peur*. Sztuka co dzień inaczéj się kończy — monotonia jest tylko w oklaskach.

We *foyer* tego teatru znajduje się ciekawy zbiór afiszów z pod Inkermanu i z nad Czernéj. Kilka z nich już Anglicy na wagę banknotów kupili, a kiedyś zbieracze pamiątek historycznych jeszcze drożéj zapłacą. Wypisuję ci parę, za których dosłowność możesz zaręczyć potomności:

Théâtre d'Inkerman.

M. M. les amateurs du 2 des Zouaves joueront ce soir.

La chambre à deux lits.
Pascal et Chambord.
La Demoiselle à marier.

(Prière de communiquer)

Albo też:

„Dzisiaj w tłusty Czwartek,
„Wielki bal maskowy.

„Illuminacya z lamp kolorowych,
„Orkiestra z pięćdziesięciu muzykantów.
„Fajerwerki — jak zwykle.
„Wejść można tylko w kostiumie lub mundurze.
„O północy tombola dla dam.“
a u spodu:
„100,000 franków nagrody temu kto dowiedzie że w Krymie jest wół tłusty.“

Wszystkie te afisze są illustrowane karykaturami robionemi piórem tak wybornie, iżby je bezpiecznie mógł podpisać Gavarnier, Cham albo Daumier. Wszędzie wybija dzielny duch francuzki, co zawsze zgodny w niedoli, żartuje sobie z niebezpieczeństw i biedy, a tylko bezczynności znieść nie może.

Wiele powiedzieć by tu jeszcze można o publikacyach, posiedzeniach i przedstawieniach, które zajmowały Paryż w ostatnich czasach, jakoto: o listach Proudhona, których sława doszła już aż do Kamczatki — o posiedzeniu pięciu Akademii na którém pan Viennet (ta ostatnia tragiczna wierzba płacząca) oblewał łzami konającą Tragedyą, a historyk Martin zastanawiał się nad potężnym wpływem jaki geniusz Druidów wywiera na Geniusza Francyi — o nieczystym procesie Lecomta, ulubieńca dam polskich i ulubionéj *Independansy* — o sprawozdaniach z naukowéj podróży księcia Napoleona opiewających straszne niebezpieczeństwa na jakie dla dobra ludzkości się naraża — o zapowiedzianéj *Afrykance* Meyerbeera — któréj Paryżanie oczekują jak żydzi Messyasza, — o wygwizdanym w Odeonie *Lekarzu Duszy*, o kłótni katolików którzy po przywróceniu pokoju w Europie, wojnę sobie wydali tak zażartą, że od dwóch miesięcy cała prasa francuzka tylko jéj biuletyny drukuje; — ale są to wszystko rzeczy nadto dobrze już znane światu, żeby nad niemi warto się było zastanawiać, tém więcéj, że we wszystkich tych gadaninach i bałamuctwach również jak w życiu „wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zabawki, a *on* wielkie X nieznane tylko dla tego, by trójkę platonowską dopełnić.“

———

Bononia francuzka we wrześniu.

Wielki to skarb w człowieku dobra dusza, szczególniéj między oberżystami. Oberżysta *dobréj duszy* nie jest to homonim głupca lub niedołęgi, ale człowiek w którym przyrodzona uprzejmość i grzeczność umie odpychać pokusy śmiesznéj dumy lub niskiego interesu. U niego i ceny są umiarkowańsze i wygody lepsze i usługa pilniejsza. Są ludzie z natury kwaśni a uprzejmi przez sam rozum, przez dobrze zrozumiany interes. Takich spotyka się często za granicą. Jednakże i ludzie dobrzy z interesu, niemogą iść w porównanie z ludźmi dobrymi z charakteru i serca. Pierwszych znosimy, boć ściśle biorąc, niemamy prawa robić im żadnego zarzutu, kiedy atoli ktoś nam zachwali inną oberżę, chętnie ich opuszczamy. Do *dobrych dusz* wracamy zawsze, choćby nawet w ich domu to lub owo zostawiało coś do życzenia. W naszym kraju niestety! dobre dusze między oberżystami są bardzo rzadkie, a dusz cierpkich któreby chciały zadawać gwałt swojéj naturze, wcale niema. Za dawnych czasów była w Warszawie po za miastem kawiarnia, któréj kurczęta, szparagi i raki wabiły do siebie wszystkich miejscowych Lukullusów. Pewien jegomość przychodzi obstalować podwieczorek. Wówczas jadano jeszcze podwieczorki. Zastaje gospodynię domu w kuchni, przy wielkim kominie. Stała odwrócona tyłem do niego, w żółtéj sukni z serwetą założoną za pas, ustawiając w około ognia miliony garnuszków ze śmietanką. „Proszę Pani — rzekł gość — czy mogę dziś mieć kurczęta i raki na podwieczorek?“ — „A cóż u sto djabłów — odpowiedziała mu z gniewem, nieraczywszy nawet odwrócić do niego całego oblicza — z temi podwieczorkami człowiek sobie rady dać nie może!“ — „Ależ Mościa Dobrodziejko, ja nie żądam darmo, chcę zapłacić“ — „Jeszczeby tego brakowało, żebyś Pan żądał darmo“ — „Ależ Mościa Dobrodziejko, ja proszę tylko o to, czego pani nikomu nie odmawiasz“ — „Na ileż tam osób? — zapytała sucho i krótko — „Na ośm“ — „Na którą godzinę?“ — „Na siódmą“ — „No to proszę przyjść, tylko punkt o siódméj, a zobaczę.“ Gość przyjął i te słowa za wielką łaskę, bo wiedział że gdzieindziej podwieczorku niedostanie.

Do pewnéj oberży krakowskiéj zajeżdża raz młody panicz i znużony całodzienną podróżą, rzuca się z niesłychanym apetytem na postawiony mu byfsztyk. —„Co za niegodziwe mięso! — krzyknie stroskany — Mości gospodarzu, tego byfsztyku w usta wziąść nie można!“ „Pan mówisz że nie można?“ — odpowie mu sucho gospodarz przechodzący się po sali — „Tak jest“ — „A ja powiadam że wyśmienity.“ — To rzekłszy spojrzał na młodzieńca okiem pogardy i wyszedł, dając mu do zrozumienia że wynieść się z hotelu wolno, ale ganić co dają nie wolno.

Co za różnica za granicą! pierwszy mój nocleg odbyłem w jednym z hotelów niemieckich. Wysadził mnie z doróżki nie żydek z czerwoną brodą i trzcinką w ręku, pytający mnie zaraz, czy nie potrzebuję faktora, ale gospodarz w czarnym fraku z białą na szyi krawatą, otoczony całą swoją czeladzią. Witali mnie uprzejmie jakby jakiego udzielnego księcia, pytając o rozkazy. Nieczekałem w bramie ani minuty, niewidziałem zasapanéj klucznicy kłócącéj się z żydkiem o zawieruszone klucze, niezastałem stancyi niezamiecionéj, niepostrzegłem ani pajęczyn na suficie, ani kurzu na oknach, ani urwanego sznura u dzwonka; dano mi w mgnieniu oka pokój schludny, dywanem wysłany, atmosferę świeżą, bieliznę białą jak śnieg, wodę czystą jak kryształ. Zjadłem potem wieczerzę wyśmienitą, w czasie któréj trzech kelnerów niespuszczało mnie z oka, czychając na moje skinienia, czy czego nie zażądam lub nieodrzucę. Przynosili mi gazety, choćem ich o to nieprosił, nalewali mi wody do szklanki, choćem tego nie żądał; gotowiby nawet byli krajać mi mięso i podawać do ust, gdybym na to zezwolił. A kiedy odprowadzony przy pochodniach do przeznaczonéj mi komnaty, zapaliwszy cygaro, zdrów, syt, wesół i ze wszystkiego kontent, złożyłem znużone ciało na wygodnéj pościeli, wysunął mi się z ust mimowolny okrzyk: niech żyje cywilizacya! Nasze hotele, pomyślałem sobie, mają jedno tylko podobieństwo do zagranicznych, to jest, że podają równéj objętości rachuneczki. Zapłacić trzeba toż samo jeśli nie więcéj, ale za co? Boże zmiłuj się! Czy zajrzy kiedy do nas podobna cywilizacya, jak za granicą? Żeby na to pytanie odpowiedzieć *affirmative*, po-

trzebaby wielu warunków, a *najprzód*, żeby było u nas więcéj podróżujących, więcéj gospód a ztąd większa między oberżystami konkurencya. Pani Ida Pfeiffer pisze, że między dzikiemi ludźmi na wyspie Sumatrze, niemasz żadnéj oberży. Oberże są miarą cywilizacyi. — *Powtóre*, żeby panowie oberżyści nie wstydzili się swego rzemiosła, nie zbierali zbyt niecierpliwie majątków i niekierowali synków wyłącznie na szlachciców. *Potrzecie*, żeby w obyczajach panów podróżujących nastąpiła pewna reforma, a mianowicie, żeby nie wodzili z sobą niesfornéj czeladzi, co woli sypiać na słomie niż na pościeli, obciera buty firankami, talerze prześcieradłami i drapie obicia komnat zapałkami. *Poczwarte*.....

Ale dosyć już tego. Panowie wydawcy *Dodatku*! Porównywając powyższe moje uwagi o oberżystach, z miejscem z którego list mój datuję, zapytacie może, jaki między niemi związek, do czego to wszystko prowadzi? Zaraz się wytłumaczę. Uwagi o oberżystach przyszły mi na myśl w Frankfurcie nad Menem, właśnie w chwili kiedym sobie po raz pierwszy przypomniał, żem wam obiecał pisać z podróży. Niedziwcie się więc, że pisząc pod ich wpływem, od nich korespondencyą moją zaczynam. Każdy pisarz używa to za wstęp, co ma najwięcéj na sercu. — „Wszystko to dobrze — powiecie — ale do jakiegoż to dziwnego miasta Bogi cię zaniosły?“ Zaraz wam i tę tajemnicę objaśnię. Juliusz Cezar podbijając Gallią, miał wodza któremu było imie Quintus Pedius. Ów Quintus Pedius rodził się w Bononii włoskiéj i poszedłszy do brzegów dzisiejszego kanału La Manche, upatrzył port wygodny, zbudował przy nim miasto i nazwał je Bononią, od miejsca swego urodzenia. W późniejszych czasach Francuzi przezwali swoją Bononią *Boulogne*, tak jak Włosi *Bolonią*. Polacy których zupełnie nie razi twardość języka łacińskiego, pozostali przy *Bononii* włoskiéj, czemuż niemają również pozostać przy francuzkiéj? Kiedy więc piszę z Bononii francuskiéj, uprzedzam że piszę z Boulogne. Wreszcie jest to tylko momentalna z méj strony fantazya; wszak człowiek w podróży może sobie pozwolić niektórych fantazyj.

Przybyłem tu popłukać się w morzu. Jest to miejsce w którémem się po raz pierwszy rozgościł. Zanim się

jednak rozpatrzę i opowiem co robię, napiszę wam słówko o moich dotychczasowych obrotach. Jechałem do Boulogne na Paryż; niewiele to z drogi, a podróż naturalnie ciekawsza. Turyści jadący z Trzebini lub Maczek do Paryża, pędzą zwykle dniem i nocą, niezatrzymując się w żadném miejscu pośredniém i uważając każdy dłuższy rasztak, za kradzież drogiego czasu. Jeśli gdzie wstąpią, to chyba do Frankfurtu po cygara od Krebsa lub do Homburga po fawory zielonego stolika, przy którym, nie jadłszy, nie piwszy, można czasem odzyskać koszta kilkomiesięcznéj podróży. W Strazburgu zmierzą okiem wysokość wieży gotyckiéj, powiedzą: niech ją licho weźmie jaka wysoka! wstąpią do katedry w południe, na muzykę sztucznego zegaru, uśmieją się z piania drewnianego koguta i ze skrzydeł sowy, a potem rzuciwszy się w wagon, nie budzą się aż w „Babylonie". Ja mam inny zwyczaj. Jeżdżę sobie pospolicie *à petites journées*; zatrzymuję się wszędzie gdzie mnie wabi piękna natura, wdzięk arcydzieł sztuki lub interes historycznych pamiątek. Jestem w podróży Anglikiem.

Jadąc przez Francyą wypoczywałem dwa dni w Nancy. Wiecie że to jest miejsce, którego by żaden Polak nie powinien pomijać; stolica monarchy rodaka, który sobie zarobił na chlubny u poddanych tytuł: *Króla filozofa i dobroczyńcy*. Zwiedzałem był to miasto przed wielą laty, a przecież miło mi było powtórnie się przekonać, z jak żywą wdzięcznością miejscowi mieszkańcy pielęgnują zawsze pamięć swego polskiego opiekuna i ojca. Na placu Stanisława zastałem posąg ze spiżu, wyobrażający jego postać, świeżo przez mieszkańców wzniesiony. Wielu królów ma swoje posągi; posąg Stanisława tém się odznacza, i stanął w miejscu innego. Dawnemi laty, na téj samej przestrzeni stało oblicze Ludwika XV. Zwalone przez rewolucyą francuzką, nieznalazło już litościwéj ręki którąby je chciała podnieść. Dzisiejsza generacya wolała wypłacić dług wdzięczności Stanisławowi, niż powtórzyć dług pochlebstwa jego zięciowi. Na marmurowéj podstawie posągu wyrytą jest stułokciowa litania wyświadczonych krajowi dobrodziejstw przez Stanisława. Szczęśliwy naród, który zliczyć niemoże zasług swych rządców! Czy Leszczyński byłby w stanie tyle zrobić dobrego dla rodzinnéj ziemi, ile zrobił dla Lota-

ryngii? jest to pytanie, o którém długo byłoby mówić... wolę zamilczeć.

Wszystko czém świeci Nancy, zawdzięcza Stanisławowi, który więcéj tam zdziałał w ciągu kilknastoletniego panowania, niż poprzedni książęta przez wieki. Zasługa jego tem jest większą, iż do chwalebnych rządów niemiał bodźca w interesie dynastyi. Pan dożywotni księstwa, wiedział dobrze, iż takowe po jego śmierci wcielone będzie do Francyi. Stanisław był tylko starostą, ale starostą co stawia, nie tym co rozwala budynki.

Francya posiada wiele miast prowincyonalnych i bogatszych i ludniejszych, żadne z nich jednak nie zachowało tyle zewnętrznych znamion stolicy udzielnego państwa co Nancy. Uderza w niéj nadewszystko mnogość bram wjezdnych. Jest ich dziewięć a sam Stanisław postawił ich cztery, wszystkie w kształcie łuków rzymskich z bogatemi trofeami i płaskorzeźbami, i nie w innym celu jak dla efektu perspektywy. Gdyby przeto który z przyszłych władców Francyi chciał do ostatka zatrzeć w umyśle Lotaryńczyków pamięć przeszłości i powiedzieć im „*pas de rèveries messieurs les Lorrains!*“ powinienby zacząć od zburzenia tych bram, przypominających niepotrzebnie zgasłą pompę stolicy niepodległej monarchii.

Stanisław ozdabiając Nancy trzymał się ciągle wzorów wersalskich. Ów symetryczny *plac królewski.* (place royale) na którym stoją ratusz, pawilony, wodotryski, łuk tryumfalny a w przezroczu pałac prefektury, przypominaią wiernie styl budowl Ludwika XIV. Miasto tak szanuje wszystko co wykonano według jego planów, iż lubo znaczna część tych gmachów przeszła już na własność prywatną, nikomu niewolno ani piętra podnieść, ani skrzydła przedłużyć, ani dodać lub ująć najmniejszéj ozdoby. Dzieła Stanisława niemogą co do wielkości iść w porównanie z dziełmi Ludwika: podług stawu grobla; w jednym tylko rodzaju sztuki mogą sobie przyznawać palmę pierwszeństwa. Za jego czasów żył w Nancy ślusarz nazwiskiem Lamour, sławny z robienia żelaznych krat. Leszczyński niezaniedbał korzystać z jego talentu, i kraty żelazne Lamoura zdobiące plac ratuszowy i poręcze u schodów, lubo już ogołocone z wie-

lu piękności, do dziś dnia zastanawiają znawców. Trudno upatrzeć gdzieindziéj coś podobnego, i Lotaryńczycy przechowują je jako osobliwość ich tylko stolicy właściwą. Przed laty podziwiano tu jeszcze piękniejszy płód pracy tegoż samego, niewiem czy rzemieślnika czy mistrza, to jest kratę otaczającą gzyms w nawie kościoła *Notre Dame de bons secours* Ów mejstersztym skradziono za rewolucyi, co dało powód do następującego, dość ciekawego epizodu. Kościół *Notre Dame* zamykający cudowny posąg Matki Boskiéj, używał w Lotaryngii téj saméj niemal czci, co u nas kościół Częstochowski. Za rewolucyi, rząd sprzedał go cichaczem na własność prywatną; ale zaledwie nabywca dotknął się kraty, taki powstał między ludem rozruch, że władza miejscowa zręczną tylko zmianą frontu, zapobiegła kontrrewolucyi. Dekret jéj był następujący: „Ponieważ wola ludu jest najwyższem dla rządu prawem, a lud życzy sobie zachować w całości ozdoby kościoła Notre Dame; przeto rząd cofa sprzedaż i zostawia rzeczy w dawnym stanie.“ Dlatego jednak nie uratowano kraty. Gdyby był Paryż posiadał dwa lub trzy tak wysoko czczone kościoły, jak *Notre Dame de bons secours*, kto wie czyliby wiele wypadków politycznych, nie wzięto wcale innego obrotu.

Kiedym już zaczął mówić o kościele *Notre Dame*, muszę przejść do interesujących pamiątek, jakie w sobie dla nas Polaków zamyka. Ów kościół stanął w XV wieku, na uczczenie owego sławnego zwycięztwa, jakie za *przyczyną* Matki Boskiéj odnieśli Lotaryńczycy nad Burgundczykami, a w czasie którym 10,000 tych ostatnich wraz z swym księciem Karolem Śmiałym grób znalazło. Z początku była to tylko kaplica, późniéj dla coraz większéj czci jakiéj doznawać zaczął umieszczony w niéj posąg Matki Boskiéj, przebudowano ją na kościół. Atoli i w takim kształcie nieodpowiadał jeszcze swemu znaczeniu, dopóki król Stanisław nieotoczył go okazałością dzisiejszą. Miasto Nancy posiadało wiele daleko wspanialszych świątyń. Stanisław obrał sobie za szczególny przedmiot swéj pieczy, najskromniejszą, ale zamykającą w sobie to, do czego najczęściéj wzdychało pobożne jego serce. W pierwszym zaraz roku panowania zajął się jej przebudowaniem, i z góry zaraz prze-

znaczył ją za przyszłe miejsce spoczynku dla siebie i swojej familii; albowiem jako pan dożywotni księstwa i niemal przypadkowy rządca, niechciał składać swych prochów obok dawnych książąt Lotaryńskich, spoczywających w innym przybytku. Na kamieniu węgielnym położył następujący napis: „Stanisław I. Król Polski, W. Ks. Litewski, Ruski, Pruski, Moskiewski itd., Książe Lotaryngii i Baru, Margrabia de Pont à Moeyson, de Nomeny, Hrabia de Vaudemont itd.“ Zewnętrzna postać świątyni niema w sobie nic nadzwyczajnego; jest w stylu włoskim z czasów Leona X. Front dolny w kolumny, wyższy w pilastry, zakończony wieżą i dachem w strzałę. Obok drzwi dwa posągi w niszach, jeden św. Katarzyny, drugi św. Stanisława, patronki i patrona małżonków Leszczyńskich. Wewnętrzna dwupiętrowa nawa kościoła, przypomina swym kształtem i sztukateryą kaplicę wersalską. Wielki ołtarz w chórze poświęcony jest Matce Boskiéj patronce Księstwa, któréj wyobrażenie przetrzymało wszystkie burze rewolucyjne; dwa poboczne, Katarzynie i Stanisławowi. W owym to chórze stoją pomniki ściągające do siebie kroki każdego wedrowca. Jest ich cztery, wszystkie z białego marmuru. Pierwszy poświęcony Katarzynie Opalińskiéj żonie Stanisława, wyobraża ją w postaci klęczącéj, w chwili kiedy Anioł pański wiedzie ją do nieba. Mówią że królowa na trzy dni przed śmiercią miała podobne widzenie. U spodu wylatuje z grobu biały orzeł, świadek gorących jéj życzeń, bo opatrzony napisem: „*Manus Domini confortabit te et ideu eris benedic'a in aeternum.*“ (Ręka pańska wzmocni cię, i będziesz błogosławiony na wieki). Pomnik ten ma wysoką wartość artystyczną, wykonał go znakomity swego czasu rzeźbiarz, Sebastyan Adam. Znawcy podziwiają szczególnie medalion wyobrażający allegoryczną postać Miłosierdzia, otoczoną trojgiem dziatek i uderzający doskonałością rysów oraz prawdziwością wyrazu. Drugi pomnik, na przeciw pierwszego, wystawia króla Stanisława w postaci leżącéj. Wykonany w kilkanaście lat późniéj, był dziełem innego mistrza, i niekoniecznie się udał. Mówią że artysta zgryziony myślą, iż jego praca w porównaniu z pierwszą, będzie wiecznem świadectwem jego niższości, życie sobie odebrał. Trzeci pomnik, skromniéjszy od tamtych, zamyka pro-

chy Franciszka Maksymiliana, hrabiego na Tenczynie, księcia Ossolińskiego, kawalera orderu Ś. Ducha, podskarbiego kor. polskiego i mistrza dworu przy Stanisławie. Czwarty najsmutniejszy, mieści w sobie serce Maryi, królowéj francuzkiéj, córki Stanisława, zapisane kościołowi testamentem. — Dawniéj pokazywano w zakrystyi mnóstwo kosztownych darów fundatora, mianowicie koronę i berło, któremi się koronował w Polsce. Dziś wszystkich skarbów niemasz ani śladu; zastępuje ich miejsce zbutwiały wizerunek Stanisława, na płótnie, przeniesiony zkąd inąd w późniejszych czasach. Jeżeli na stu ziomkach Stanisława, podróżujących do Paryża, zaledwie jeden zagląda do Nancy, inaczéj się dzieje, kiedy burze światowe zniewalają do pielgrzymek znaczniejsze ich oddziały. Dwie marmurowe tablice, po obudwu ścianach kościoła zachowały pamięć dwu podobnych odwiedzin w latach 1814 i 1832. Różnica epok tłómaczy różnicę uczuć jakie kierowały sercami pielgrzymów. Pierwsi wracając do kraju, zostawili wyrazy wdzięczności i nadziei, drudzy wędrując w przeciwnym kierunku, wyrazy smutku i cierpkich doświadczeń. Wszyscy złożyli hołd czci synowskiéj cieniom Stanisława. Mówią że Stanisław, kontent z swego losu w Lotaryngii, nie żałował polskiego tronu; dla tego jednak nieprzepomniał zachowywać pamięci jego narodowych godeł, mieszcząc je na wielu gmachach publicznych. Lecisz mój ptaku, bieżysz mój koniku, radbyś się wyrwał z ziemi nie swoiéj; bądź kontent, że ci król bannita jaki taki zabezpieczył przytułek. Pytałem się w mieście, czy niepozostało jakich ruchomych zabytków po Stanisławie; odpowiedziano mi, że istniały w całości do rewolucyi francuzkiéj, lecz późniéj rozproszyły się po rękach prywatnych i dziś niemasz zamożniejszéj familii w Lotaryngii, któraby nieposiadała jakiéj pamiątki. W Muzeum publicznem nieznalazłem nic, wyjąwszy obrazu Matki Boskiéj Częstochowskiéj na złotém tle, pochodzącego zapewne z apartamentów Stanisława; chociaż Francuzi, nieznając jego znaczenia, pokazują go tylko jako egzemplarz malowidła szkoły bizanckiéj.

Ale dosyć już o Nancy. Kto wie, czym i tak nieprzestąpił granic waszéj *Kroniki*. Nie będę wam pisał i o Paryżu gdyżby to było wdawać się w rzecz nie-

swoją, w atrybucye stałych waszych korespondentów, którzy wam regularnie ztamtąd zdają sprawę, a znacie aksioma: *non bis in idem*. Milczenie moje uznacie za tém sprawiedliwsze, iż zastałem w Paryżu zupełną ciszę, jeżeli w owym gwarze półtora miliona gadatliwych mieszkańców, niedbających o resztę świata, bawiących się u siebie i dla siebie, może być jaka cisza. Dwa główne widowiska ciekawości europejskiéj: polityka i bursa (bo nierachuję bałów mabilowych), zaledwie dają znaki życia, burmistrzują tylko architekci, mularze, cieśle i ogrodnicy, strojąc stolicę Francyi w owe przepyszne szaty, które jéj przykrawa dzisiejszy monarcha. Pod ich kielnią, siekierę i łopatą, roztwierają się place, prostują ulice, odsłaniają zaniedbane pomniki, z gruzów lepianek wznoszą się wspaniałe gmachy, gdzie był kurz i żwir powstają zielone gaje i srebrzyste wody, gdzie pusta płaszczyzna, wysokie skały i szumiące wodopady; a wszystko jakby różczką czarowną. Malkontenci (bo gdzież ich niema) szemrzą na te zbytki, mówiąc: wszystko to piękne, ale co za marnotrawstwo publicznego grosza! dla tego jednak ukamienowaliby pierwszego, któryby ich pozbawił roskoszy, jakich dawniéj nigdy nieznali. Niech kto jak chce sądzi o dzisiejszym władcy Francyi, tego mu atoli nikt niezaprzeczy, że zna swoich ludzi. Francya zaciąga ogromne długi, głód i wojna może je jeszcze powiększyć, ekonomiści przyszłych pokoleń będą mieli ciężkie zadanie, jak wybrnąć z toni grożącéj okropnym kataklizmem; ale czyliż to zagadka saméj tylko Francyi?

Warszawa w wrześniu.

Jesteśmy tu w oczekiwaniu wielu bardzo ważnych nowin, które dotychczas są jeszcze dla nas tajnemi. — Nie uwierzycie ile z tego powodu krąży pomiędzy publicznością wieści po większéj części nieuzasadnionych. — W każdym razie, wkrótce rozstrzygnie się rzecz, a to co już wiemy na pewno, bardzo dobrze daje nam wróżyć o reszcie.

Akademia lekarska zyskała już podobno zatwierdze-

nie, i nawet nazywać się będzie akademią. — Miałem sposobność otrzymać kilka bliższych wiadomości co do jéj urządzenia, przynajmniéj tak jak było w projekcie który poszedł do Petersburga. — Nadzór nad akademią będzie miała Komisya Spraw Wewnętrznych w Królestwie, a nie okrąg naukowy. Będzie ona posiadać swojego prezydenta (mówią że ma nim być Mianowski z Petersburga), inspektora, który będzie stanowić władzę policyjną, profesorów zwyczajnych, nadzwyczajnych i adjunktów. — Oprócz tego będą członkowie honorowi, nie udzielający prelekcyj, ale zasiadający na sesyach.— Po dziesięciu latach, z grona profesorów zwyczajnych wybieranych będzie czterech akademików. — Godność ta jako wysoką nagrodę otrzymają ci z profesorów, którzy przysłużyli się ważnem jakiem odkryciem, albo też znakomitą nauką i pracą okażą się godnymi tego zaszczytu. — Z akademików honorowych i profesorów zwyczajnych składa się Rada zawiadująca sprawami akademii. Wszystkie uchwały stanowią się przez głosowanie, w razie równości prezydent rostrzyga. — Do akademii medycznéj przydzieloną zostanie szkoła farmaceutyczna i weterynaryjna. — Nauki będą wykładane w języku polskim, chociaż według uznania Rady, w szczególnych wypadkach można używać łacińskiego lub rosyjskiego. Będą i docenci, czego dotąd nie było przykładu w rosyjskich uniwersytetach. Studenci oprócz rozciągniętego nad nimi nadzoru właściwéj zwierzchności, będą jeszcze ulegać tak jak każdy mieszkaniec tutejszy, nadzorowi policyi miejskiéj.

Tych czterech akademików o których wyżéj, możnaby prawie uważać jako zawiązek wyższego towarzystwa naukowego w kraju naszym. — Bardzo z tego błogie mogą wyniknąć skutki. — Kamień węgielny już stanął, a powoli cegła po cegle, może się cały gmach zbudować. Szkołę sztuk pięknych mamy już; o wydziale prawnym coraz głosniéj mówią, a dochodzą nas bardzo nawet uzasadnione wieści, że od szkoły realnéj będą oddzielone dwie klasy takoż z wykładem uniwersyteckim. — Podobno już nawet oznaczone miejsce na gmach, gdzie ma się to wszystko pomieścić; jak głoszą, ma on stanąć naprzeciwko szpitalu Dzieciątka Jezus; a ponieważ miasto właśnie w tę stronę co raz bardziéj rozszerza się i za-

ludnia, wybór ten bardzo jest właściwym. To pewna, że kilku profesorów wysłanych zostało za granicę dla kształcenia się tamże i udzielono im na to bardzo wystarczające fundusze. — P. Przystański już wrócił, bawił kilka miesięcy, i mogę wam ręczyć, że czasu nie zmarnował, teraz podobno trzech znowuż jedzie z terminem 3 letnim, a każdy dostaje na rok po 1000 r. sr. zapomogi. A przytem, poszło także podobno do Petersburga przedstawienie, o pomnożenie godzin wykładu języka polskiego w szkołach publicznych i o ułatwienie przyjmowania do szkół. — Widzicie że miałem słuszność mówiąc że, wiele bardzo dobrych nowin.

Znany już jest ogłoszony świeżo Manifest koronacyjny dla Cesarstwa. — Dla gubernij zachodnich również jak i dla całego państwa rosyjskiego wielkiem będzie ulżeniem i dobrodziejstwem nietylko uwolnienie od poboru wojskowego, ale i nowy spis ludności. — Dotyczczas bowiem, od tych z włościan którzy umarli albo wziętymi zostali do wojska, obywatele płacić musieli pogłówne, bo taki spis co kilkanaście lat się odbywa, a raz obliczony podatek nie zmienia się już do nowego spisu, choćby znaczna część ludności wymarła albo ubyła jakim bądź sposobem. Łatwo więc pojąć, jakim będzie zyskiem dla obywateli nakazanie nowego obliczenia po tak uciążliwéj wojnie i tyle razy grasującéj cholerze.

O obchodzeniu u nas uroczystości koronacyjnéj wiecie już z gazet naszych. Godna jest jednak uwagi zmiana jaka w przeciągu niespełna trzydziestu lat daje się widzieć u ludu warszawskiego. Za koronacyi Cesarza Mikołaja, pomimo ulewnego deszczu, który z placu Ujazdowskiego, gdzie się również uczta dla ludu odbywała, rozgonił całą prawie publiczność dbającą o stroje, wszystko jednak odbyło się w najzupełniejszym porządku. Trzeba było prawie lud zapraszać żeby przystąpił do stołów, nie było żadnych bijatyk ani rozrywań, i miało to rzeczywiście pozór uczty ludowéj. Widno teraz cięższe były lata, i żołądki ludu warszawskiego musiały się djabelnie wygłodzić, bo wszystko rozerwano w okarmgnieniu, nie czekając nawet na przybycie Gubernatora, który wedle programatu miał dać pierwszy znak rozpoczęcia uczty. A nie uwierzycie ile tam przy tem wszystkiem guzów i sińców! jak zawsze starozakonni naj-

więcéj przypłacili. Niewolno było w ten uroczysty dzień brać nikogo do kozy, i rozeszło się to pomiędzy ludem, więc hulał sobie. Rozrywano nawet płótna służące za obrusy, wszelkie naczynia, deski i nogi stołowe. A najwaleczniejszemi w rozrywaniu żywności okazywały się baby. A chociaż kuchnie łazienkowskie gdzie przyrządzano potrawy do uczty, spłonęły były na kilka dni przed dniem koronacyjnym, wraz z przygotowanemi wiktuałami, chociaż trzeba było podobno nowe kupować, to wyznajemy, że wierzymy w wielką odwagę ucztujących, przez wzgląd na to, że usta umieszczone są w niewielkiéj odległości od nosów. Bo co jednym może się nawet podobało, to na drugich bardzo przykre musiało robić wrażenie. Ja przynajmniéj skutki tego wrażenia uczułem, kiedy około mnie noszono w tryumfie różne głowy bydlęce z pozłoconemi rogami. Wiele bowiem z tych głów, tak jak wszystkie prawie inne mięsiwa dowodem były, że przyprawiaczom ich obcą była tajemnica owego pokostu, którym powleczone mięso wytrzyma przeprawę z Montevideo do Europy.

Na tę ucztę i zabawy przeznaczono podobno spory fundusz: przenosił on jak słyszałem 20,000 rubli. Stoły i rusztowania przygotowywano od kilku dni, mięsiwa stały przez całą noc, i przez ten czas pilnowała ich straż opatrzona dla bezpieczeństwa *kagańcami*. Temu samemu losowi co potrawy i stoły, uległy huśtawki, karuzele i heca. W niespełna parę godzin wszystko zniszczono, połamano, zburzono. Cały ten nieporządek i niepowstrzymałość w porównaniu do dawniejszéj przyzwoitości, dowodzi, że między lud warszawski musiało się wmieszać mnóstwo obcych a niekorzystnych dlań pierwiastków. Ta zmiana instynktów mass w tak niedługim czasie, smutne zaprawdę czyni wrazenie. W teatrze wielkim przedstawiono obraz allegoryczny stósowny do okoliczności i grano jeden akt z opery Verdego „Ernani“: jak wiecie, przebaczenie stanowi osnowę sztuki.

Ale, otóż i w teatrze wiele jest nowości. — Dyrekcya poszukuje na gwałt sztuk oryginalnych zbiera je *par monts et par vaux*, a można powiedzieć *par veaux*, bo nie idzie nawet o ich wartość, byleby były. — W bieżącym roku przedstawiono już *Łobzowian* Anczyca, *Hrabiego na Wątorach* Syrokomli, *Ulicznika Warszawskiego*

i *Nad Wisłą* Wieniawskiego. — A zapowiadają *Chatkę w Lesie* Syrokomli, *Wdowca* i *owtórne Pśluby* Drzewieckiego. Zdaje się, że dyrekcya korzystając ze szczęśliwych okoliczności chce się zmyć z zarzutu wstrętu do nowych sztuk. Złośliwi utrzymują, że tym sposobem najlepiéj się uniewinni, przekonywając, że po prawdzie nie było dotychczas co przedstawiać. Bo téż oprócz może *Łobzowian*, i to z bardzo wielkiemi restrykcyami, wszystkie te próby były nieszczęśliwe, mianowicie utwory pana Wieniawskiego. Wprawdzie publiczność uszczęśliwiona, że może się przypatrzyć kilku nibyto swojskim obrazkom, ciągle tłumem zalega salę teatralną, ale tem ci gorzéj dla niéj, że taką niepoczesną dają jéj strawę. O *Hrabi na Wątorach* pisałem wam już w przeszłym liście, zaś *Nad Wisłą* Wieniawskiego dowiodło nam, że można jeszcze coś gorszego od *Ulicznika Warszawskiego* napisać. A widocznie sam autor bardzo drażliwy, bo ciągle przeciw recenzentom reklamuje po dziennikach. Chwali się sam z tendencyi. A wiecie na czem zależy ta tendencya? Oto że wyprowadza na scenę osoby mogące śmiało figurować w znanem dziełku *Les égouts de Paris*. Stanowi tam grunt i ozdobę sztuki walka na pięści żyda z przewoźnikiem, i zbyt dobrze znany portret uosobiający zepsucie naszego miasta.

Nieszczęśliwa ta *tendencya*, ileż to pod jéj płaszczykiem dzieje się nadużyć! — każdy u nas myśli o dobru ogólném i jedynie dla niego pracuje. Wszystkie anonse *Kuryera* na tém stoją. Ludzkość tylu ma opiekunów, że wkrótce będzie musiała bez butów chodzić, żeby im się wszystkim wypłacić. Jakiś pisarek wymęczy romansidło lub sztuczkę do teatru, jakiś przemysłowiec założy garkuchnię, jakiś krawiec zniży cenę paltotów, jakiś bankier zakłada towarzystwo na akcye, jakiś student stara się na aplikanta bióra powiatowego, jakaś podżyła panna znudziwszy się pieskami i kotkami ofiaruje się kwestować dla ubogich, jakiś fabrykant wymyśla nowy rodzaj mocnych trunków które taniéj kosztują, albo ekonom nowy bat który mocniéj bije, wszystko to dla dobra ludzkości, z zaparciem się własnéj korzyści; każdy z tych ludzi ma *jak najlepszą tendencyę*. A chciéj mu zaprzeczyć, on ci jak najdowodniéj pokaże iż się poświęca dla bliźnich. W dzisiejszych czasach prosty

złodziéj gotów się tłumaczyć że ma jak najlepsze chęci, bo tylko ulżywa ciężaru i kłopotów współobywatelom. I wsadźże go tu w kajdany, kiedy on jest dobroczyńcą ludzkości!?—

Powracając do spraw teatralnych, sam to wyznaję, bo trudno zaprzeczyć temu, że sztuka dramatyczna jest dotychczas u nas w samych nieledwie zawiązkach.— W obec tylu znakomitych imion i utworów w innych literaturach odznaczających się na tem polu, trudno nam się czem pochwalić.— Ależ nie święci garki lepią, i my może doszlibyśmy do jakich pomyślnych rezultatów, chociaż powoli i postępowo, ale nie na téj drodze na jakiéj dotyczas jesteśmy. Zawód autora dramatycznego jest trudnym wszędzie, u nas zaś trudniejszym niż gdziekolwiek.— Trzeba walczyć z usposobieniem publiczności, która znajduje, że scena, jeżeli się na niéj nie śpiéwa lub nie tańczy, powinna być tylko przybytkiem śmiechu, i to owego śmiechu żywiącego się trywialnościami, wybuchającego na widok figlów poliszynela w maryonetkach. Przytem w samym teatrze, trzeba pogodzić tysiące wymagań sprzecznych jedne z drugiemi, którym początkujący autor musi stawić czoło, a potrzecie, umieć się zastósować do przepisów obowiązujących. Są to trzy próby ognia, przez które poważnéj sztuce, gdyby się jaka mogła pojawić, przejść bardzo trudno. Naturalnie, że znajdą się spekulanci, którzy widząc że płaskie koncepta mają mir u publiczności, będą się ubiegać za niemi. Taka sztuka będzie chętnie przyjęta bo robi pieniądze, a z przepisami nie ma nic sprzecznego, bo jest najczęściéj bez sensu, a więc ani grzeje ani ziębi. Kraszewski próbował dwóch komedyjek, które wydał u Glücksberga, i choć te mu się niebardzo udały, gdyby widział ułatwienie dla siebie, korzyść dla ogólu i zachętę od tych, którzy ją dać mogą, wziąłby się ochoczo do pracy. Korzeniowski także milczy, już dla tych samych przyczyn, Fredro nawet, ów dzielny komedyopisarz, którego dowcip i trafne obrazowanie charakterów mogłyby być ozdobą nie tylko polskiéj sceny, ucichł już od dawna. I młodzi by się garnęli do tego, bo wszak nie braknie u nas ludzi zdolnych, ale komuż się zechce narażać się na tysiące nieprzyjemności, bez widoku żadnéj korzyści materyalnéj, i grać rolę suplikanta, udawać się z proś-

bami to do dyrekcyi, to do panów artystów, to w tysiączne inne miejsca, kiedy właśnie przeciwnie być by powinno. A przytem nasi literaci po większéj części nie są Krezusami, a pisać dla teatru, jest to marnować czas na próżno, bo każda sztuka mierzy się u nas na łokcie i od łokcia się płaci po pięćdziesiąt złotych za akt. A chcąc sumiennie co napisać, to przecież nie miesiąc i nie dwa czasu odłożyć trzeba.

Dyrekcya nasza powinnaby, tak jak się to dzieje za granicą, wyznaczyć jakiś procent od dochodów z przedstawień. Tym sposobem każdy autor mógłby być wynagrodzonym w miarę zasług. A przytém w przyjmowaniu sztuk trzebaby zwracać uwagę na poprawienie gustu publiczności i na korzyść samychże artystów. Bo i największe zdolności zmarnieją, jeżeli będą się musiały w jedném ciasném kółku kręcić.

Ale na co te próżne słowa. W sam raz przypominam tu sobie bardzo stósowną anegdotkę i opowiem wam ją:

Pewien wujaszek mając siostrzeńca który był bardzo trapionym przez wierzycieli, przyrzekł był sobie, że mu nie da ani grosza, i dotrzymywał święcie słowa. Jakiś poczciwy przyjaciel przyszedł raz z odwiędzinami do owego zakamienialca i opowiadając mu rozpacz nieszczęśliwéj ofiary jego skąpstwa, zapewniał go, że głową o mur tłucze. Ale wujaszek, miasto rozczulić się, zapytał z najzimniejszą krwią: „A co mur na to?“ — Sens moralny pozostawiam waszéj domyślności.

Zapowiadają nam przybycie pani Ristori — i to w tym roku jeszcze w listopadzie. Ma być już podobno nawet mieszkanie najęte dla niéj. Po włosku nie wiele u nas osób umié, będziemy więc tylko przyklaskiwać giestom i wyrazowi twarzy. Przynajmniéj choć po włosku tragedya będzie na scenie naszéj. Za to do włoskiéj opery sprowadzono nam zasiłek aż z Anglii. Przybył nam nowy tenor p. Swift, z szumnym tytułem śpiewaka teatrów angielskich, za który to tytuł bardzo drogo każe sobie płacić, podobno 40,000 złp. na rok, co stanowi mniéj więcéj summę płacy sześciu albo ośmiu naszych artystów razem wziętéj. P. Swift ma głos dość przyjemny, nie jest to jednak wcale mistrz ale uczeń dopiero — kiedyś jak się wykształci, wyrobi, będzie może dobrym śpiewakiem. Słyszeliśmy go w *Lukrecyi*, daleko mu

jeszcze do Dobrskiego, który kiedy był na takiéj jak on stopie, brał pensyi cztery czy pięć tysięcy na rok. — Ale téż i publiczność zaczyna być mniéj już wytrwałą i cierpliwą; dowodem tego, iż niezadowolona z artystki która występowała w operze *Nieméj z Portici*, niedawno na wielkim teatrze przedstawionéj, zaczęła wywoływać siwego konia na którym Masaniello odbywał swój tryumf. Skutkiem tego przestano grać *Niemę*, i siwy koń jako indywiduum zbyt wielkie wrażenie wywołujące, powrócił do stajni. — Jeden czy dwóch artystów z naszéj sceny przenosi się do teatru wileńskiego, który przeszedłszy pod nową dyrekcyę, coraz bardziéj się ożywia. Winszujemy mu z serca powodzenia, które zawsze prawie nagradza usiłowania.

Warszawa pusta jeszcze i mało kto wrócił z za granicy, tylko domy coraz nowe się budują a dawne odnawiają. O oświeceniu gazem ucichło jakoś; ponieważ jedni już przedsiębiorcy zwinęli chorągiewkę, lękamy się żeby i drudzy tego nie uczynili. Również ucichły mowy o projekcie założenia u nas Banku kredytu ruchomego, chociaż o ile mi wiadomo, kilka bardzo możnych osób stara się usilnie u rządu o pozwolenie.

Z dziennikarstwa i literatury także nie wiele mogę wam donieść nowego. Deotyma pojechała nad Gopło, pisze bowiem poemat pod tytułem *Piast*, i zapragnęła zwiedzić owe miejsca płynące niegdyś miodem, a gdzie teraz w najlepsze zaczyna piwo bawarskie toczyć nurty swoje. Korzeniowski ukończył już *Krewnych*, powieść czterotomową, która się drukuje obecnie w feuilletonie *Gazety Warszawskiéj*, i w któréj natrafił szczęśliwie na szereg nowych zupełnie obrazów, których dotąd nikt prawie nietykał. Powieść ta, wzięta z życia średniéj klasy i napisana z prawdą, a co ważniejsza z pożytkiem dla czytających. Zarzeka się jednak Korzeniowski że już przestanie powieści pisać, i nawet podobno przy końcu *Krewnych* wystósował pożegnanie jakieś dla czytelników. Nowa droga na którą wszedł i na któréj mu się dobrze powiodło, powinnaby go właśnie zachęcić do dalszych usiłowań. Ponieważ jednak tego rodzaju postanowienia wielu autorów objawia, a żaden prawie nie ma siły dotrzymać słowa, mamy nadzieję że i Ko-

rzeniowski nie wytrwa w swojém milczeniu i wkrótce z czém nowém się odezwie.

Choroby wieku Kraszewskiego wychodzące w *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych*, wywołują mnóstwo zdań *pro* i *contra*. Więcéj jednak przeciwnych. Kraszewski powstaje w téj powieści na zmateryalizowanie dzisiejszego pokolenia. — Nie czas jeszcze takie rzeczy u nas pisać, bo zaledwie zaczynamy poprawiać się z niedbalstwa i nieładu jakie nas zgubiły. Zapewnie w téj nowéj dążności jaka prześwieca tu i owdzie, pokazują się i nadużycia, bo gdzież ich niema, a tém bardziéj u nas, którzy zwykliśmy przesadzać wady i przymioty jakie zkąd inąd bierzemy. Ale niema się czego lękać żeby serce na tém szkodowało; my tego serca mamy podostatkiem i moglibyśmy jeszcze innym go udzielić. W każdym jednak razie Kraszewski jako wyższa umysłowość, lubo mógł się pomylić, wytknął jednak kilka błędów rzeczywiście rażących. Jest to zasługą; powieść jego bowiem poruszyła najżywotniejszą kwestyę, a może pośrednio posłuży do jéj rozjaśnienia.

W Redakcyi *Gazety Codziennéj* szykują się ważne zmiany: podobno Syrokomla ma zostać redaktorem głównym téj gazety, która nawiasem mówiąc, ciągle zmienia redaktorów. Skutkiem tego ma on się wkrótce przenieść na mieszkanie do Warszawy. Podobno dla pertraktowania z Syrokomlą tego interesu, Dr. Tripplin udał się na Litwę i dotychczas ciągle tam bawi. Podróżnik ten jak mówią, zyskał w krainie Gedyminów bardzo sympatyczne przyjęcie. Nawet podczas jego pobytu w Wilnie odbył się chrzest dziecka Syrokomli. Trypplin zaproszony został na chrzestnego ojca i dziecko na jego pamiątkę nazwano Teodorem. Z tego wypłynie znów jakaś *Podróż* po Litwie. Będą miały co czytać amatorki nadzwyczajności. Co do Syrokomli, lękamy się czy pobyt w Warszawie nie zaszkodzi pieśniarzowi litewskiemu. Warszawa ma trochę kobiecego usposobienia, pożąda tego czego nie ma, ale lekceważy to co posiada. Tego rodzaju urok jakim Syrokomla dla czytelników jest przyodziany, powinien z daleka przyświecać. Bliższe poznanie często rozczarowanie za sobą wiedzie. A zresztą, praca dziennikarska nie dla poety, tu trzeba djabelnie prozą nadrabiać, zwłaszcza przy takiém współzawo-

dnictwie i zawiściach koteryjnych jakie u nas istnieją. Taka praca wysyssa myśli i szybko wyczerpuje zdolności, bo trzeba ciągle płacić nową monetą, a zasób jéj nie odrabia się w miarę wydatków. Zresztą zobaczymy, może sobie fałszywą opinię tworzymy o Syrokomli, może on wyjdzie cało i zwycięzko z téj walki. Przyszłość pokaże. I Lenartowicz wybiera się podobno z powrotem do kraju.

Chleb tanieje, zaraza na bydło ustała prawie, a stan zdrowia w Warszawie dobry. Tylko wstręt od małżeństw jest najgłówniejszą chorobą panującą pomiędzy tutejszymi młodymi ludźmi. Jeżeli stan w jakim jesteśmy obecnie, pójdzie tak postępowo, to za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat, będą pokazywać pary małżeńskie za pieniądze jako nadzwyczajną rzadkość, a metryki ślubne będą należały do pamiątek archeologicznych.

Henryk Stattler bawi od kilku dni w Warszawie. — Jarmark Łowicki odbywa się w chwili gdy to piszę, podobno liczniejszy w ludzi niż w bydlęta.

BIBLIOTH: UNIV. JAGELLONICAE

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.